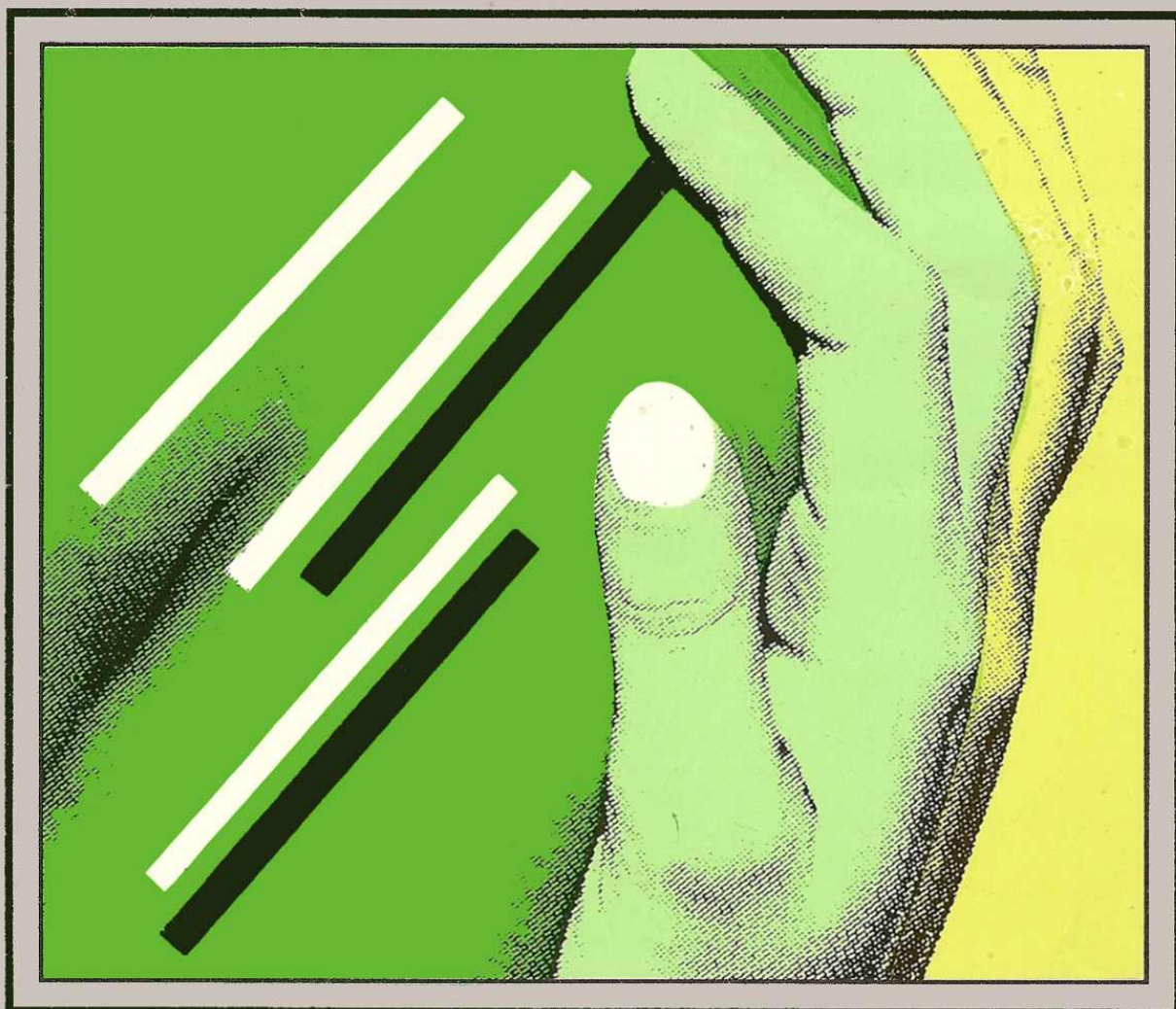


ALBERTO
MORAVIA
MATKA I CÓRKA



CZYTELNIK

ALBERTO MORAVIA

MATKA I CÓRKA

Przełożyła Zofia Ernstowa



CZYTELNIK · WARSZAWA 1993

ROZDZIAŁ I

Ach, jakie piękne to były czasy, kiedy wyszłam za mąż i wyjechałam z moich rodzinnych stron do Rzymu. Znacie tę piosenkę: „Kiedy Ciociara¹ za mąż wychodzi, obrasta tłuszczem, a męża głodzi”.

Ale ja nie żałowałam niczego mężowi, bo poślubił mnie i zawiózł do Rzymu, a ja cieszyłam się z tego, nie wiedząc, że tam właśnie spotka mnie nieszczęście. Miałam twarz owalną, oczy czarne, duże i pełne blasku, krucze włosy, nisko zarastające na czoło i mocno splecione w dwa grube warkocze, które wyglądały jak biczyska. Usta miałam czerwone jak korale i kiedy się śmiałam, szczyrzyłam zęby białe i równe. Byłam silna i potrafiłam przenieść na głowie nawet i pięćdziesiąt kilo. Moja matka i mój ojciec byli chłopami, wiadomo, ale dali mi wyprawę niczym wielkiej pani: wszystkiego po trzydzieści sztuk. Trzydzieści prześcieradeł, trzydzieści poszewek, trzydzieści chustek do nosa, trzydzieści koszul, trzydzieści par majtek. Wszystko w najlepszym gatunku, z grubego lnianego płótna, tkanego własnoręcznie przez matkę na jej warsztacie. Niektóre poszewki były nawet gęsto zahaftowane wypukłym ścięciem. Miałam także długi sznur koralu z gatunku tych najdroższych,

¹ Ciociara — mieszkanka włoskiej prowincji Ciociarii.

ciemnych, kolczyki ze złota wysadzone koralami, złoty pierścionek z korałem, a nawet broszkę, także złotą z korałem. Poza tym jeszcze kilka innych złotych rodzinnych pamiątek i medalion, który nosiłam na piersi, z przepiękną kameą; wyrzeźbiony był na niej pasterz i jego owce.

Mój mąż miał sklepik spożywczy na Zatybrzu, na uliczce del Cinque. Wynajął mieszkanie tuż nad sklepem, tak że wyglądając oknem z sypialni mogłam dotknąć ręką jaszkawoczerwonego szyldu, na którym był napis: „Chleb i makaron”. Dwa okna mieszkania wychodziły na podwórze, a dwa na ulicę. Mieliśmy wszystkiego cztery pokoiki, niskie i ciasne, ale bardzo ładnie je urządziłam; część mebli dostałam z domu, a część kupiliśmy na Campo di Fiori. Sypialnia była całkiem nowa: metalowe, małżeńskie łóżko, pomalowane tak, że do złudzenia naśladowało drzewo, i ozdobione w głowach bukietami róż oraz girlandami; w salonie postawiłam piękną sofę z drewnianym rzeźbionym oparciem, obitą kwiecistym materiałem, dwa foteliki z takimi samymi oparciami i obiciem, okrągły stół, przy którym jadaliśmy posiłki, i kredens. Trzymałam w nim talerze, wszystkie ze ślicznej porcelany ze złotymi brzeżkami i owocowym deseniem pośrodku. Mój mąż wychodził wczesnym rankiem do sklepu, a ja sprzątałam mieszkanie. Porządkowałam, zamiatałam, polerowałam, froterowałam, czyściłam każdy kącik i każdy przedmiot. Po sprzątaniu mieszkanie wyglądało jak lustro; z okien, zasłoniętych białymi firankami, padało łagodne światło, a mnie serce rosło, kiedy

patrzyłam na te moje pokoiki, takie lśniące, czyściutkie, porządne, w których każda rzecz stała na swoim miejscu. Ach, jak to przyjemnie mieć własny dom, do którego nikt obcy nie wchodzi, którego nikt nie zna, i doprawdy, że chciałoby się spędzić całe życie tylko na doglądaniu go i porządkowaniu. Po sprzątaniu ubierałam się, czesałam bardzo starannie, brałam koszyk i wychodziłam na targ po zakupy. Targ znajdował się o kilka kroków od mego domu i krążyłam tam zawsze przeszło godzinę pomiędzy straganami, nie tyle po to, żeby kupować, bo większą część artykułów spożywczych mieliśmy w sklepie, ale żeby się wszystkiemu napatrzeć. Krążyłam między straganami i oglądałam owoce, warzywa, mięso, ryby, jaja. Znałam się na tym i sprawiało mi przyjemność sprawdzać ceny, obliczać zarobki, oceniać jakość towaru, odkrywać oszustwa i fortele sprzedawców. Lubiłam także się targować, oglądać produkty, ważyć je, odkładać z powrotem, potem znowu wracać, dalej się targować i na koniec odchodzić, nic nie kupując. Niejeden z tych przekupniów zalecał się do mnie, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że chętnie odda mi swój towar bezpłatnie, o ile tylko będę mu przychylna; ale ja z miejsca odpowiadałam tak wyniośle, że każdy z nich mógł się od razu zorientować, iż nie ma do czynienia z kobietą lekkich obyczajów. Zawsze byłam dumna i skora do gniewu; niewiele potrzeba, by ogarnęła mnie furia, i całe szczęście, że kobiety nie noszą noży w koszykach na zakupy, bo byłabym nawet zdolna do morderstwa. Zdarzyło się pewnego razu, że na jednego z tych przekupniów, który wyjątkowo natrętnie mnie nagabywał, rzuciłam się z długą

szpilką i gdyby nie interwencja policjanta, byłabym mu ją wbiła w plecy.

Do domu zawsze wracałam zadowolona i kiedy już nastawiłam mięso na rosół z dodatkiem kości i włoszczyzny, zaraz schodziłam do sklepu. Także i tam czułam się szczęśliwa. Sprzedawaliśmy wszystko po trosze: makaron, pieczywo, ryż, suszone jarzyny, wino, oliwę, konserwy. Siedziałam za ladą niczym królowa, z rękami obnażonymi po łokcie, z medalionem z kameą przypiętym na piersi. Zdejmowałam towary z półek, ważyłam je, w mig robiłam rachunki ołówkiem na skrawku pergaminu, pakowałam paczki i oddawałam klientom. Mój mąż był o wiele powolniejszy. Wspominając o moim mężu, zapomniałam nadmienić, że był już dość stary, kiedy za niego wyszłam, tak że niektórzy mówili nawet, iż poślubiłam go dla pieniędzy. Oczywiście, nigdy nie byłam w nim zakochana, ale Bóg mi świadkiem, że zawsze mu byłam wierna, chociaż wiedziałam, że mnie zdradza. Mój mąż, biedaczysko, miał różne swoje manie, a między innymi i tę, że się podoba kobietom, co bynajmniej nie zgadzało się z prawdą. Był gruby, ale nie czerstwy, tylko niezdrowo nalany, miał czarne oczy z nabiegłymi krwią białkami i tabaczkowożółte plamy na twarzy. Był zgryźliwy, opryskliwy i skryty, nie znosił najmniejszego sprzeciwu. Stale wymykał się ze sklepu, a ja wiedziałam, że idzie na kobiety, ale mogłabym przysiąc, że jeśli nawet któraś z nich była mu powolna, to tylko za pieniądze. Jak wiadomo, pieniądze mają magiczne działanie, na ich widok nawet młoda

mężatka gotowa jest zadrzeć spódnicę. Od razu poznawałam, kiedy jego zaloty miały pomyślny przebieg, bo bywał wtedy wesoły, a nawet uprzedzająco grzeczny. Natomiast kiedy nie miał kobiet, stawał się ponury, odpowiadał mi ordynarnie, a czasem bywało i tak, że brał się do bicia. Ale ja powiedziałam mu pewnego razu: — Możesz sobie chodzić na dziewczynki, ile ci się tylko podoba, ale wara ode mnie, bo jak nie, to cię rzucę i wrócę do rodziców. — Ja natomiast nie chciałam mieć kochanka, chociaż, jak już wspomniałam, wielu mężczyzn uganiało się za mną. Całą moją pasję życiową wkładałam w dom, w sklep, a gdy zostałam matką, w moją córkę. Miłość nie istniała dla mnie, a nawet — może dlatego, że obcowałam tylko z moim mężem — budziła we mnie wstręt. Moim jedynym pragnieniem było żyć w spokoju i w dostatku. A zresztą kobieta powinna dochować wiary mężowi, nawet jeśli nie jest jej wierny, jak było w moim wypadku.

Z biegiem lat mąż mój nie znajdował już żadnych amaterek, nawet za pieniądze, i stał się po prostu nieznośny. Nie żyłam z nim już od dłuższego czasu, kiedy nagle, może dlatego, że był wyposzczony, znowu zawziął się na mnie i chciał mnie zmusić, żebym się z nim kochała. I to nie po bożemu, jak mąż z żoną, ale tak, jak poczynają sobie ulicznice ze swoimi kochankami. Nigdy mi się nie podobały te wszystkie sztuczki i nigdy nie pozwalałam na coś podobnego, nawet kiedy jako świeżo upieczona mężatka przyjechałam do Rzymu i łudziłam się, że jestem w moim mężu zakochana. Oświadczyłam, że nie chcę z nim żyć

ani jak żona, ani jak nałożnica. Kiedy to pierwszy raz usłyszał, uderzył mnie tak mocno, że krew puściła mi się z nosa, ale potem widząc, że jestem nieugięta, przestał mi się naprzykrzać, lecz znienawidził mnie i prześladował na wszystkie sposoby. Znosiłam to wszystko z godnym podziwu spokojem, ale w głębi duszy i ja go znienawidziałam i nie mogłam na niego patrzeć. Powiedziałam księdzu przy spowiedzi: przyjdzie dzień, że nie wytrzymam dłużej i to wszystko źle się skończy. Ksiądz jak ksiądz, poradził mi, żebym uzbroiła się w cierpliwość i ofiarowała mój krzyż Madonnie. A tymczasem przyjąłem do pomocy w domu dziewczynę. Nazywała się Bice, miała piętnaście lat i jej rodzice oddali mi ją pod opiekę, bo było to przecież jeszcze dziecko. Mój mąż zaczął się do niej zalecać i kiedy widział, że jestem zajęta obsługą klientów, wymykał się ze sklepu, przesadzał w kilku susach schody, wpadał do kuchni i jak wilk rzucał się na to niebożątko. Tym razem sprzeciwiłam się stanowczo i kazałam mu zostawić dziewczynę w spokoju, a kiedy i to nie pomogło, zwolniłam ją ze służby. Z tego powodu znienawidził mnie do reszty i od tej pory zaczął mnie nazywać „ciemną chłopką”. „Gdzie jest ta ciemna chłopka?” „Wróciła już ta ciemna chłopka?” Jednym słowem miałam z nim krzyż pański, tak że muszę się przyznać, iż kiedy rozchorował się na dobre, doznałam pewnej ulgi. Mimo to pielęgnowałam go troskliwie, jak powinno się pielęgnować chorego męża, i wszyscy byli świadkami, że w czasie jego choroby zaniedbałam nawet sklep. Na koniec umarł i znowu poczułam się prawie szczęśliwa. Miałam sklep, miałam mieszkanie, miałam córkę,

prawdziwego aniołka, i nic więcej nie chciałam od życia. Były to moje najszczęśliwsze lata: 1940, 1941, 1942, 1943. Prawda, że była wtedy wojna, ale mnie nie dała się we znaki, bo nie miałam synów tylko córkę i ta cała wojna niewiele mnie obchodziła. Mogli się byli zabijać, ile wlaźło, samolotami, czołgami, bombami, mnie wystarczyło do szczęścia mieszkanie i sklep i byłam naprawdę szczęśliwa. Mało zresztą wiedziałam o wojnie, bo chociaż doskonale rachuję i umiem się nawet podpisać na kolorowej odkrytce, to, powiedziawszy prawdę, kiepsko idzie mi czytanie. W gazecie czytywałam tylko kronikę kryminalną, a raczej czytała mi ją na głos Rosetta. Dla mnie Niemcy, Amerykanie, Rosjanie i Anglicy to jeden diabeł. Wojskowym, którzy przychodzili do sklepu i mówili: „Zdobędziemy to i zwyciężymy tam” — odpowiadałam zawsze: „Dla mnie wszystko jest w porządku, dopóki sklep dobrze idzie”. A interesy naprawdę dobrze szły, chociaż miałyśmy kłopot z wydawaniem towaru na kartki. I ja, i Rosetta przez cały boży dzień trzymałyśmy nożyczki w ręku, jak gdybyśmy były szwaczkami, a nie sklepikarkami. Sklep prosperował jak najlepiej, bo mam głowę nie od parady; zawsze umiałam oszukać klienta na wadze, a poza tym, ponieważ wszystko było na kartki, handlowałyśmy towarem z czarnego rynku. Od czasu do czasu zamykałyśmy sklep i wyjeżdżałyśmy do nas na wieś albo w okolice Rzymu. Zabierałyśmy dwie duże puste walizy z fibry i napełniałyśmy je mąką, wędlinami, jajami i kartoflami. Z żandarmami, przeprowadzającymi rewizje, łatwo doszłam do porozumienia, bo im także kiszki marsza grały, tak więc miałam

więcej towaru pod ladą niż na ladzie. Lecz pewnego razu jeden z nich uwziął się, żeby mnie szantażować. Przyszedł do sklepu i powiedział, że jeśli mu się nie oddam, zrobi na mnie donos. Odpowiedziałam mu bardzo spokojnie: — Dobrze, przyjdź później do mnie do domu. — Zrobił się czerwony jak burak, jak gdyby go miała trafić apopleksja, i wyszedł bez słowa. Wrócił o oznaczonej godzinie; wprowadziłam go do kuchni, wyjęłam z szuflady nóż i przykładając mu go nagle do gardła, powiedziałam: — A teraz możesz zrobić donos, ale przedtem poderżnę ci gardło! — Wystraszył się i powiedział prędko, że chyba oszalałam, bo on tylko żartował. Potem dorzucił: — Jak to? Czy ty nie jesteś taka jak inne kobiety? Nie podobają ci się mężczyźni?

Odpowiedziałam mu: — Te rzeczy możesz mówić innym... ja jestem uczciwą wdową, mam sklep i tylko sklep mnie obchodzi... miłość nie istnieje dla mnie... zapamiętaj to sobie raz na zawsze. — Nie uwierzył mi. A tymczasem to, co mu powiedziałam, było najprawdziwszą prawdą. Po urodzeniu Rosetty, a może nawet przedtem, miłość przestała mnie interesować. Taka już jestem, że nie mogę ścierpieć zetknięcia z mężczyzną. Gdyby rodzice w swoim czasie nie byli wydali mnie za męża, to pewnie po dziś dzień byłabym taką, jaką urodziła mnie matka.

Ale mój wygląd może wprowadzić w błąd, bo podobam się mężczyznom i choć z latami przytyłam, mam twarz gładziuteńką, bez jednej zmarszczki, oczy błyszczące i białe zęby. W tym

okresie, który, jak już wspomniałam, uważam za najszcześniejszy w moim życiu, trudno by zliczyć mężczyzn, którzy ubiegali się o moją rękę. Ale ja wiedziałam, że mieli chętkę na sklep i mieszkanie, nawet ci, którzy naprawdę mnie kochali. Może sami nie zdawali sobie z tego sprawy, że bardziej niż na mnie zależy im na sklepie i na mieszkaniu, i oszukiwali samych siebie. Mnie jednak nie brak zdrowego rozsądku, więc myślałam sobie tak: „Dla mnie mieszkanie i sklep są ważniejsze od każdego mężczyzny... dlaczego więc oni mieliby rozumować inaczej... wszyscy jesteśmy ulepiani z tej samej gliny”. I gdyby chociaż ci moi konkurenci byli nie powiem już bogaci, ale zamożni! Gdzie tam, już na pierwszy rzut oka można było poznać, że to głodomory, że każdy z nich szuka jakiegoś zaczepienia. Jednemu takiemu z Neapolu, agentowi tajnej policji, który wzdychał do mnie z największym uporem i próbował uwieść komplementami, i mówił do mnie zwyczajem neapolitańskim „donno Cesiro” — powiedziałam bez ogródek:

— Ciekawa jestem, czy gdybym nie była właścicielką sklepu i mieszkania, mówiłbyś mi to samo?

Ten przynajmniej był szczery. Odpowiedział mi śmiejąc się:

— No, ale masz przecież sklep i mieszkanie! — Pomimo że był taki szczery, odebrałam mu wszelką nadzieję.

Tymczasem wojna toczyła się dalej, ale nic mnie to nie obchodziło i kiedy w radio kończyła się muzyka i zaczynali

nadawać komunikaty, mówiłam Rosetcie: — Zamknij, zamknij radio!... Niech te takie syny mordują się między sobą ile wlezie, ale ja nie chcę o tym słyszeć. Co nas może obchodzić ta ich wojna?... biorą się za łby, nie pytając o zdanie biednych ludzi, których wysyłają na front, więc my, biedacy, mamy prawo się tym wszystkim nie interesować. — Z drugiej strony trzeba jednak przyznać, że ta wojna była mi na rękę: sprzedawałam coraz więcej towarów nielegalnych, za które kazałam sobie słono płacić, coraz mniej handlowałam w sklepie, gdzie trzeba było przestrzegać cen, ustalonych przez państwo. Kiedy zaczęły się bombardowania Neapolu i innych miast, moi klienci w sklepie mówili: — Uciekajmy stąd, bo wybiją nas co do jednego. — Odpowiadałam im zawsze to samo: — Nie przylecą do Rzymu, bo tutaj jest papież... a poza tym, gdybym wyjechała, kto by się zajął sklepem? — Także moi rodzice napisali ze wsi, zapraszając mnie do siebie, ale im odmówiłam. Coraz częściej wyjeżdżałyśmy z Rosettą w okolice Rzymu; kupowałyśmy, co tylko się dało, i wracałyśmy z pełnymi walizkami. Na wsi w bród było produktów spożywczych, ale chopi nie chcieli ich sprzedawć rządowi, bo mało płacił, i czekali tylko na handlarzy, płacących ceny rynkowe. Część towarów, które już nie mieściły się w walizkach, przewożyłyśmy na sobie; pamiętam, jak wracałam pewnego razu do Rzymu owinięta w pasie, pod spódnicą, zwojami kiełbasy, tak że wyglądałam, jak gdybym były w ciąży. Rosetta wkładała jajka za gors i kiedy je wyjmowała, były takie ciepłutkie, jak gdyby dopiero podebrane od kury. Te podróże były długie i niebezpieczne. Pewnego razu,

tuż koło Frosinone, samolot zaczął ostrzeliwać pociąg z karabinu maszynowego i zatrzymaliśmy się w szczerym polu. Kazałam Rosetcie wysiąść i ukryć się w rowie, ale sama zostałam w pociągu, bo miałam walizki pełne towaru, a w przedziale siedzieli ludzie nie wzbudzający zaufania i bałam się, żeby mnie nie okradli. Położyłam się więc na podłodze, między ławkami, z których zdjęłam oparcia, i cała przykryłam się nimi. Rosetta wraz z innymi schowała się w rowie. Samolot po wystrzeleniu pierwszej serii pocisków zatoczył szerokie koło na niebie, nadleciał znowu ze straszliwym hukiem i znowu zaczął nas ostrzeliwać. Kule leciały jak grad, raz koło razu. Potem oddalił się, zapanowała cisza, wszyscy wrócili do pociągu i odjechaliśmy wreszcie. Ludzie pokazywali mi kule, długie na palec; niektórzy twierdzili, że to byli Amerykanie, inni, że Niemcy. A ja powiedziałam Rosetcie: — Trzeba ci przygotować wyprawę i posag. Niedługo wrócą z wojny nasi żołnierze. Wróg łamie sobie głowę, żeby ich powybić co do jednego, ale przecież nie zamordują wszystkich. Dlaczego więc i my nie miałybyśmy wyjść zdrowo i cało z tych tarapatów? — Rosetta na ogół nic mi nie odpowiadała albo mówiła, że wszędzie pójdzie za mną, że przy mnie jest jej miejsce. Miała łagodny charakter, całkiem różny od mojego, i Bóg mi świadkiem, że to był anioł chodzący po tej ziemi. Zawsze mówiłam Rosetcie: — Proś Boga, żeby wojna potrwała jeszcze kilka lat... wtedy będziesz miała nie tylko wyprawę i posag, ale będziesz bogata. — Ale ona nic na to nie mówiła, tylko wzdychała, i na koniec dowiedziałam się, że była zakochana w pewnym chłopcu, którego wysłano na front, i

bała się, żeby go nie zabili. Przebywał w Jugosławii i pisywali do siebie; zebrałam informacje, z których wynikało, że był to porządny chłopak rodem z Pontecorvo. Jego rodzice mieli kawałek ziemi, a on chodził na kursy buchalteryjne, które przerwała wojna, ale które miał zamiar potem skończyć. Powiedziałam więc Rosetcie: — Najważniejsze, żeby wrócił z wojny... o resztę zatroszczę się ja. — Rosetta, uszczęśliwiona, rzuciła mi się na szyję. Mogłam wtedy rzeczywiście powiedzieć, że zatroszczę się o resztę, miałam mieszkanie, miałam sklep, miałam odłożone pieniądze, a jak wiadomo, każda wojna musi się skończyć i wszystko wraca do normy. Rosetta przeczytała mi nawet ostatni list od narzeczonego, z którego zapamiętałam przede wszystkim jedno zdanie: „Niełatwe mamy tu życie; ci Słowianie nie chcą się poddać i stale musimy być w pogotowiu”. Nic nie wiedziałam o Jugosławii, ale powiedziałam Rosetcie tak: — Po co się pchamy do tego kraju? Nie możemy siedzieć u siebie? Ci, którzy nie chcą się poddać, mają świętą rację, już ja ci to mówię.

W 1943 roku zrobiłam doskonały interes, przeszmygłowałam kilkanaście szynek z Sermonety do Rzymu. Doszłam do porozumienia z szoferem, który przewoził do Rzymu cement samochodem ciężarowym. Schował szynki pod worki, tak że dojechały zdrowo i cało, zarobiłam dużo pieniędzy, bo ludzie wprost wyrywali je sobie z rąk. Może właśnie dlatego, że zaabsorbował mnie handel szynką, nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje. Po powrocie z Sermonety powiedziano mi, że

Mussolini uciekł i wojna naprawdę ma się ku końcowi. Odpowiedziałam: — Byle tylko sklep szedł dobrze, nie obchodzi mnie ani Mussolini, ani Badoglio, ani żaden inny. — Mussolini zresztą nigdy mnie nic nie obchodził; wzbudzał we mnie wstręt, z tymi wytrzeszczonymi gałami i bezczelną gębą, która nie zamykała się ani na chwilę. Od kiedy związał się z tą Petacci, wciąż mówiłam, że to wszystko źle się skończy, bo, jak wiadomo, mężczyźni w starszym wieku tracą głowę z miłości, a Mussolini był już dziadkiem, kiedy poznał tę dziewczynę. Jedyną dobrą stroną tej nocy dwudziestego piątego lipca było to, że rozbito magazyny wojskowe na via Garibaldi, i ja wtargnęłam tam wraz z innymi, przynosząc do domu olbrzymi krąg parmezanu. Było tam wszystkiego pod dostatkiem i wszystko rozgrabiono. Jeden z moich sąsiadów przywiózł na wózku do domu kaflowy piecyk, który stał w biurze administratora.

W ciągu tego lata można było robić interesy, bo ludzie bali się głodu i gromadzili po domach zapasy; wszystkiego im było mało. W spiżarniach i piwnicach więcej było towarów niż w sklepach. Przypominam sobie, jak pewnego dnia zaniiosłam szynkę jednej klientce na via Veneto. Mieszkała w ślicznej kamienicy; otworzył mi drzwi lokaj w liberii. Przyniosłam szynkę w fibrowej walizce i owa pani, uperfumowana i śliczna jak Madonna, wyszła na moje spotkanie do przedpokoju, a potem zjawił się jej mąż, gruby i niski. Mało brakowało, a byłaby ucałowała mnie z wdzięczności, mówiąc: — Droga, droga pani... proszę wejść, pozwoli pani tutaj. — Poszłam za nią

długim korytarzem, a kiedy otworzyła drzwi do spiżarni, zobaczyłam prawdziwy sklep kolonialny. Był to pokój bez okna, pełen półek, a na nich stały pudełka sardynek, kilowe puszki z mięsem, angielskie i amerykańskie, paczki makaronu, worki z mąką i fasolą, słoiki z konfiturami, wisiało tam też kilka szynek i sporo suszonej kiełbasy. Powiedziałam jej: — Ma pani jedzenia co najmniej na dziesięć lat. — Ale ona odpowiedziała: — Nigdy nic nie wiadomo. — Wyjęłam szynkę z walizki, a pan domu wyciągnął pieniądze z portfela palcami drżącymi z radości, powtarzając w kółko jedno i to samo: — Jak tylko będzie pani miała coś dobrego, to proszę pamiętać o nas... jesteśmy gotowi zapłacić dwadzieścia, a nawet trzydzieści procent więcej od innych.

Jednym słowem wszyscy poszukiwali żywności i bez zajknięcia płacili każdą cenę, tak więc nie przyszło mi do głowy, żeby porobić zapasy dla siebie, bo za najcenniejszą rzecz uważałam zawsze pieniądze. A tymczasem pieniędzy ugryźć nie można i kiedy przyszedł głód, nie miałam co jeść. W sklepie półki świeciły pustkami, zostało mi tylko trochę makaronu i kilka pudełek sardynek w najgorszym gatunku. Pieniądze, i owszem, miałam i dla wszelkiej pewności przechowywałam je w domu, bo ludzie mówili, że rząd chce pozamykać banki i przywłaszczyć sobie oszczędności biednych ludzi. Ale pieniądze traciły na wartości i wątroba się we mnie przewracała, że to, co zarobiłam na czarnym rynku, muszę teraz na tymże czarnym rynku wydawać, płacąc bojońskie sumy za byle głupstwo. A

tymczasem zdążyli znowu wrócić faszyci, i Niemcy, i przechodząc pewnego ranka przez piazza Colonna zobaczyłam czarną chorągiew, zwisającą z pałacu Mussoliniego. Cały plac pełen był mężczyzn w czarnych koszulach, uzbrojonych po zęby, i ci wszyscy, którzy brali udział w rozruchach w nocy dwudziestego piątego lipca, uciekali teraz chyłkiem wzdłuż murów, niczym myszy, kiedy pojawi się kot. Powiedziałam Rosetcie: — Miejmy nadzieję, że teraz szybko wygrają wojnę i że wreszcie będzie co jeść. — Był wrzesień i pewnego ranka powiedziano mi, że na via della Vite rozdzielają jaja. Poszłam tam i zobaczyłam rzeczywiście dwa samochody ciężarowe pełne jajek. Ale nikt nic nie rozdzielał, tylko stał tam Niemiec w koszuli i w kalesonach, który pilnował wyładunku z karabinem maszynowym przewieszonym przez ramię. Ludzie stali grupkami dokoła i przyglądali się, jak zdejmowano skrzynie; nic nie mówili, ale tak byli wygłodzeni, że oczy wychodziły im na wierzch. Niemiec bał się najwyraźniej, żeby się nie rzucili na niego, bo bez przerwy okręcał się dokoła, trzymał rękę na karabinie i co chwila odskakiwał na bok jak żaba. Był młody, gruby, miał bardzo białą skórę, opaloną na czerwono; musiał się porządnie przypiec na słońcu, bo jego łydki i ramiona były po prostu purpurowe.

Ludzie, widząc, że nie zanosi się na żaden rozdział, zaczęli szemrać, najpierw cicho, a potem coraz głośniejsze. Niemiec, coraz bardziej przerażony, wymierzył w tłum z karabinu, wołając: — Raus, raus! — Wtedy i ja straciłam głowę, bo nic jeszcze tego

dnia nie jadłam i dokuczał mi głód, i zawołałam: — Daj nam jajka, to się rozejdziemy! — On powtórzył: — Raus! — przytykając mi lufę do piersi; wtedy pokazałam mu usta, żeby mu dać do zrozumienia, że jestem głodna. Bynajmniej go to nie wzruszyło i pchnął mnie karabinem w żołądek, co tak mnie zabolalo, że wpadłam w szewską pasję. — Żleście zrobili — krzyknęłam — że wyrzuciliście Mussoliniego... za niego było lepiej... Od kiedy wy tu jesteście, przymieramy głodem. — Nie wiem dlaczego, moje słowa wywołały śmiech w tłumie; niektórzy ludzie wytykali mnie palcami, wołając: — Ciemna chłopka! — zupełnie jak mój mąż i jeden z nich powiedział: — Cóż to? Nie czytacie gazet w Sgurgoli? — Odpowiedziałam mu, wściekła: — Nie jestem ze Sgurgoli, tylko z Vallerossa... a po drugie, jakim prawem odzywasz się do mnie! — Ale tamci śmieli się dalej, uśmiechał się nawet Niemiec. A tymczasem wyładowywano otwarte skrzynie, wypełnione pięknymi, białymi jajami i wnoszono je do magazynu. Wtedy zawołałam: — Chcemy jajek... rozumiesz... chcemy jajek! — Z tłumy wystąpił policjant i powiedział mi: — Radzę ci, żebyś się stąd ulotniła. — A ja na to: — Jadłeś dzisiaj?... bo ja nie... Wtedy on wymierzył mi policzek i pchnął mnie tak mocno, że wpadłam na stojących za mną ludzi. Przysięgam, że byłabym go zabiła, i broniłam się do upadłego, wykrzykując, co o nim myślę. Ale ludzie odciągali mnie do tyłu i na koniec odeszłam zgubiwszy chustkę w tym całym zamieszaniu.

Wróciłam do domu i powiedziałam Rosetcie: — Jeżeli stąd w porę nie wyjedziemy, poumieramy z głodu. — Wybuchnęła wtedy płaczem i powiedziała: — Mamo, tak strasznie się boję! — Bardzo się tym przejęłam, bo do tej pory Rosetta nigdy się nie skarżyła, nie narzekała, i co więcej, jej spokój często dodawał mi odwagi. Powiedziałam jej: — Głupia, czego się boisz? — A ona: — Mówią, że przylecą tu samoloty i zbombardują nas wszystkich... mówią, że chcą nam zniszczyć wszystkie linie kolejowe i pociągi, a potem, kiedy Rzym będzie odcięty i nie będzie już nic do jedzenia, wykończą wszystkich bombardowaniem... och, mamo, tak się boję...! Gino nie pisze do mnie już od miesiąca i nic o nim nie wiem. — Próbowałam ją pocieszać oklepanymi formułkami, w które sama już nie wierzyłam: że w Rzymie mieszka papież, że Niemcy szybko wygrają wojnę, że nie ma się czego bać. Ale ona szlochała głośno, tak że w końcu musiałam wziąć ją w ramiona i kołysać jak małe dzieciątko. Kiedy pieściłam ją, a ona płakała, w dalszym ciągu powtarzając „Tak się boję, mamo”, myślałam sobie, że moja córka nic a nic nie jest podobna do mnie, bo ja nie bałam się nikogo ani niczego. Rosetta nie była zresztą podobna do mnie nawet z wyglądu: miała twarz jak owieczka, duże łagodne, nieco wystraszone oczy, cienki orli nosek, ładne wypukłe usta, wystające nad cofniętą do tyłu brodą, co czyniło ją podobną do owcy. A jej włosy przypominały wełnę jagnięcia, były jasne, gęste i kręte; cerę miała białą i delikatną z brązowymi pieprzykami, ja natomiast mam włosy czarne i cerę śniadą, jak gdyby opaloną na słońcu. Na koniec, żeby ją uspokoić, powiedziałam: — Wszyscy

mówią, że lada dzień nadejdą Anglicy, a wtedy skończy się głód... A tymczasem wiesz, co zrobimy? Pojedziemy na wieś do dziadków i zostaniemy tam do końca wojny. U nich nie brak jedzenia, mają fasolę, mają jajka, mają świnie. Poza tym na wsi zawsze coś się znajdzie. — Wtedy Rosetta zapytała: — A mieszkanie?— Odpowiedziałam jej: — Przemyślałam i to, córuchno kochana... wynajmiemy je, oczywiście czasowo, Giovanniemu, a po powrocie on odda je nam nie tknięte... a sklep zamknę, bo i tak nic w nim nie ma i jeszcze przez dłuższy czas nie byłoby co sprzedawać.

Trzeba wiedzieć, że ów Giovanni był handlarzem węgla i drzewa na opał i przyjaźnił się z moim mężem. Było to wielkie i grube chłopisko z czerwoną twarzą, sumiastymi wąsami i poczciwymi oczyma. Kiedy mój mąż żył jeszcze, obydwaj chodzili razem wieczorem do gospody, gdzie spotykali się z innymi sklepikarzami z naszej dzielnicy. Ubierał się w luźne, wyszarżane ubrania, w ustach pod wąsami tkwiła mu zawsze połówka zgaszonego cygara i nigdy nie widziałam go inaczej, jak z ołówkiem w ręku, bo stale był zajęty robieniem zapisków i rachunków. Sposób bycia miał taki sam jak wyraz oczu: łagodny i serdeczny i dawniej, kiedy Rosetta była jeszcze małą dziewczynką, spotykając mnie pytał za każdym razem: — Jak się ma dzidzius?... co porabia dzidzius? — Chciałabym przytoczyć tutaj pewne wydarzenie, które zresztą do dziś dnia jest dla mnie niejasne, bo bywa tak czasem, że z biegiem lat człowiek ztraca świadomość, czy pewne fakty istotnie miały

miejsce; dzieje się tak zwłaszcza wtedy, kiedy — jak w tym wypadku — nigdy się potem o tym nie wspomina. A więc, gdy żył jeszcze mój mąż, przyszedł do mnie pewnego razu Giovanni i usiadł w kuchni, podczas gdy zajęta byłam gotowaniem. Opowiadał to i owo, a w końcu zaczął mówić o moim mężu. Zawsze byłam przekonana, że są przyjaciółmi od serca, można więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, kiedy usłyszałam nagle takie zdanie: — Powiedz, Cesiro, jak ty możesz wytrzymać z takim ścierwem? — Tak się właśnie wyraził: „ścierwo”. Nie wierzyłam własnym uszom i odwróciłam się, by na niego popatrzeć. Miał wyraz twarzy łagodny i spokojny, trzymał w kąćniku ust połówkę zgaszonego cygara. Po chwili dorzucił: — Ledwie się już trzyma na nogach i kipnie lada dzień... a poza tym stykając się z ulicznicami, może cię zarazić pewnego pięknego dnia brzydką chorobą. — A ja na to: — A czy ja go w ogóle widzę, tego mojego męża? Wraca wieczorem, rzuca się na łóżko, a ja odwracam się na drugi bok i tyle. — Wtedy on, o ile dobrze pamiętam, powiedział: — Przecież jesteś jeszcze młoda; chcesz żyć jak zakonnica? Jesteś młoda i potrzebujesz mężczyzny, który by cię kochał. — Zapytałam go: — A ciebie co to obchodzi? Nie potrzeba mi mężczyzn, a gdyby nawet było inaczej, nic ci do tego. — Wtedy wstał z krzesła, a przynajmniej wydaje mi się, że tak było — podszedł do mnie i ujmując mnie za brodę, powiedział: — Z wami, kobietami, trzeba dużo gadać, paplać i paplać... jestem przecież zawsze w pobliżu ciebie! Nigdy nie pomyślałaś o mnie? — Tyle lat minęło od tego czasu, że trudno mi przypomnieć sobie dokładnie, co było dalej, ale

jestem prawie pewna, że zaproponował mi całkiem otwarcie, żebym z nim żyła. Moją odpowiedź pamiętam doskonale: — Nie wstyd ci? Vincenzo jest twoim przyjacielem. — Odpowiedział mi: — Jakim znowu przyjacielem? Ja nie przyjaźnię się z nikim. — A potem, mogłabym na to przysiąc, powiedział, że jeśli wpuszczę go do sypialni i położę się z nim do łóżka, da mi pieniądze. Otworzył portfel i zaczął wyklądać na kuchenny stół banknoty, patrząc na mnie przenikliwie i powtarzając: — Mam jeszcze dołożyć czy już dosyć? — W końcu powiedziałam mu spokojnie, żeby sobie poszedł. Zabrał pieniądze i wyszedł. Tak było naprawdę, bo nie mogłam przecież wymyślić sobie tego wszystkiego, ale nie wspomniał już o tym ani nazajutrz, ani nigdy potem. Znowu zachowywał się tak jak zawsze, z prostotą, łagodnie, tak że zadawałam sobie pytanie, czy nie przyśniło mi się czasem, że nazwał mego męża ścierwem, proponował mi miłość i wyklądał na stół pieniądze. Z latami wzrastało moje przekonanie, że owo zdarzenie nigdy nie miało miejsca, że przyśniło mi się po prostu. Lecz sama nie wiem dlaczego, wiedziałam zawsze, że Giovanni był jedynym mężczyzną, który naprawdę mnie kochał, dla mnie samej, a nie dla mojego majątku, i że do niego jednego mogłabym się zwrócić w ciężkiej chwili.

Poszłam więc do Giovanniego, którego zastałam samego w składziku, w ciemnej suterenie, zastawionej wiązkami drzewa i workami miazgu węglowego. Był to jedyny towar, jaki można było znaleźć w Rzymie tego lata. Powiedziałam, o co mi chodzi,

a on wysłuchał mnie w milczeniu, trzymając zgaszone cygaro w ustach i przymrużając oczy. Wreszcie odrzekł: — Dobrze... będę pilnował i sklepu, i mieszkania, dopóki nie wrócisz... to nie lada kłopot w dzisiejszych czasach... sam nie wiem, dlaczego godzę się na to..., powiedzmy, że robię to z dobrego serca. — Te słowa sprawiły mi przykrość, bo wydało mi się, że słyszę znowu owo zapytanie: — Jak możesz wytrzymać z tym ścierwem? — Prawie nie wierzyłam własnym uszom także i tym razem. Nagle wyrwało mi się: — Mam nadzieję, że robisz to przede wszystkim dla mnie? — Sama nie wiem, czemu to powiedziałam, może dlatego, że byłam przekonana, iż mnie kocha, i w tej ciężkiej chwili sprawiłoby mi przyjemność usłyszeć, że robi to ze względu na mnie. Patrzył na mnie przez chwilę, wyjął z ust cygaro i położył je na brzegu stołu. Potem podszedł do drzwi wiodących na ulicę, wszedł po schodkach i zamknął drzwi na sztabę, tak że znaleźliśmy się nagle w ciemnościach. Zrozumiałam teraz, o co chodzi, i wstrzymałam oddech; serce biło mi mocno, lecz nie byłam niezadowolona z tego, co się dzieje, tylko bardzo zmieszana. Przypuszczam, że w tej sytuacji dodawało mi odwagi to, że w Rzymie panowała panika i głód, że byłam zrozpaczona, decydując się na opuszczenie mieszkania i sklepu, oraz świadomość, że w przeciwieństwie do innych kobiet, nie miałam jeszcze nigdy w życiu prawdziwego mężczyzny. Fakt faktem, że kiedy zbliżył się w ciemności, a potem chwycił mnie w ramiona, poczułam, że opuszczają mnie siły i staję się całkiem bezbronna; moim pierwszym impulsem było mocno przytulić się do niego i podać mu usta. Ciężko

dyszałam, a on pchnął mnie na worki, napełnione miałem węglowym. Oddając mu się, poczułam, że po raz pierwszy w życiu naprawdę oddaję się mężczyźnie. I choć worki były twarde, a on przygniótł mnie całym ciężarem, doznałam wielkiej ulgi i czułam się lekka jak piórko. Potem, kiedy już odszedł, leżałam jeszcze dłuższy czas na workach, ogłupiała i szczęśliwa, i wydawało mi się, że jestem znowu młoda, jak w czasach, kiedy przyjechałam do Rzymu z moim mężem. Marzyłam wtedy, że przeżywać będę właśnie coś takiego, ale spotkało mnie rozczarowanie i nabrałam wstrętu i do mężczyzn, i do miłości. Giovanni zapytał mnie na koniec, czy mogę z nim już pomówić o naszych interesach. Wstałam mówiąc, że tak, i wtedy zapalił żółtą lampkę. Zobaczyłam, że siedzi tak jak przedtem przy stole, jak gdyby nic nie zaszło, z cygarem w ustach, z przymrużonymi spokojnymi oczyma. Podchodząc do niego powiedziałam: — Przysięgnij mi, że nigdy nikomu nie powiesz o tym, co się stało przed chwilą... przysięgnij mi. — Uśmiechnął się i odrzekł: — Nie wiem o niczym... nie rozumiem, o czym mówisz... przyszedł tu w sprawie sklepu i mieszkania. — Znowu miałam takie wrażenie, jak gdyby to wszystko mi się tylko śniło; gdyby nie moja pognieciona, ubrudzona węglem sukienka, mogłabym myśleć doprawdy, że nic się nie zdarzyło. Wyjąkałam zawstydzona: — Naturalnie, masz rację... przyszedłam tutaj w sprawie sklepu i mieszkania. — Wtedy Giovanni wziął arkusz papieru i napisał w moim imieniu oświadczenie, że wynajmuję mu na rok sklep i mieszkanie, i kazał mi to podpisać. Położył arkusz na skrzyni, poszedł otworzyć drzwi i powiedział: — A więc wszystko

załatwione... przyjdę jutro rano objąć obydwie lokale, a wieczorem odwiozę was na stację. — Stał przy drzwiach i kiedy wychodząc przechodziłam obok niego, poklepał mnie dłonią po siedzeniu, uśmiechając się przy tym, jak gdyby chciał powiedzieć: — Dogadaliśmy się także i co do tej drugiej sprawy. — Pomyślałam sobie w duchu, że nie mam już prawa protestować, bo przestałam być uczciwą kobietą. Pomyślałam również, że także i to było skutkiem wojny i głodu, iż uczciwa kobieta nie może się oburzyć, kiedy klepią ją po tyłku, bo przestała być uczciwą.

Wróciłam do domu i od razu zaczęłam robić przygotowania do podróży. Serce mi się krajało, że muszę opuścić ten dom, w którym spędziłam ostatnich dwadzieścia lat i z którym rozstałam się tylko wtedy, kiedy jeździłam po towar. Byłam przekonana, co prawda, że lada dzień nadejdą Anglicy i że wyjeżdżam co najwyżej na miesiąc. Niemniej dręczyło mnie przecucie, że nie tylko moja nieobecność się przedłuży, ale że spotka mnie coś złego. Nigdy nie zajmowałam się polityką i nic nie wiedziałam o faszystach, Anglikach, Amerykanach i Rosjanach; jednakże słysząc o nich nieustannie, wyrobiłam sobie przekonanie, że tacy biedacy jak ja niczego dobrego nie mogą się po nich spodziewać. Było tak jak na wsi, kiedy niebo zaciemnia się przed burzą, gałęzie drzew zaczynają się chwiać, owce cisną się jedna przy drugiej i choć jest lato, zaczyna dąć zimny wiatr: bałam się; ale nie wiedziałam czego. Serce mi się ścisnęło na myśl, że zostawiam sklep i mieszkanie, jak gdybym

miała nigdy ich już nie zobaczyć. Ale Rosetcie powiedziałam tak: — Nie bierz za dużo rzeczy, bo wyjeżdżamy najwyżej na dwa tygodnie, a jest jeszcze ciepło. — Była połowa września i taki upał jak nigdy o tej porze.

Tak więc zapakowałyśmy do dwóch fibrowych walizek tylko letnie rzeczy, a na wypadek, gdyby było chłodniej, wzięłyśmy po jednej zmianie ciepłej bielizny. Aby osłodzić sobie wyjazd, bezustannie opowiadałam Rosetcie, jakie przyjęcie zgotują nam na wsi moi rodzice: — Zobaczysz, dadzą nam tyle jedzenia, że będziemy pękać... przytyjemy, wypoczniemy sobie... na wsi nie ma tych wszystkich trudności co w Rzymie... będzie nam dobrze, wyśpimy się za wszystkie czasy, a przede wszystkim najemy do syta... mają świnie, mają mąkę, mają owoce, mają wino, będzie nam tam jak w raju. — Ale to wszystko nie wystarczało, by pocieszyć Rosettę; myślała o narzeczonym, który był w Jugosławii i nie pisał już od miesiąca. Wiedziałam, że Rosetta co rano wstaje skoro świt i idzie do kościoła modlić się za niego, aby wrócił zdrowo i cało i żeby mogli się pobrać. Chcąc okazać, że ją rozumiem, objęłam ją i ucałowałam mówiąc: — Córeńko złota, bądź pewna, że Madonna cię wysłucha i nie pozwoli, żeby cię spotkało coś złego. — A tymczasem kończyłam przygotowania do podróży i kiedy minęło pierwsze przygnębienie, nie mogłam się doczekać wyjazdu. Między innymi także i dlatego, że w ostatnich czasach udęczona nalotami, brakiem żywności, koniecznością wyjazdu i innymi kłopotami, wegetowałam z dnia na dzień. Odechciało mi

się nawet sprzątać mieszkanie, na które zazwyczaj chuchałam i dmuchałam, froterując na kolanach posadzki, tak że wyglądały jak lustro. Jednym słowem wydawało mi się, że moje życie zostało strzaskane jak spadająca z wozu skrzynia, z której wysypuje się na bruk cała zawartość. A kiedy pomyślałam o tym, co było z Giovannim i jak potem poklepał mnie po tyłku, czułam, że strzaskano się coś i we mnie i że byłabym teraz zdolna do wszystkiego, nawet do kradzieży, nawet do morderstwa, bo straciłam szacunek dla siebie samej i nie byłam już ta sama co dawniej. Pocieszałam się myślą, że przynajmniej Rosetta ma matkę, która będzie się nią opiekować. Ach doprawdy, życie składa się z przyzwyczajień i uczciwość także jest przyzwyczajeniem, jeśli raz się je zmieni, życie staje się piekłem, a my sami nieokiełznanymi diabłami, nie szanującymi ni siebie, ni innych.

Rosetta martwiła się poza tym o swojego syjamskiego kota, którego znalazła na ulicy, kiedy był jeszcze maleńki. Wykarmiła go smoczkiem i ten kotek w nocy sypiał w jej łóżku, a w dzień chodził za nią z pokoju do pokoju jak pies. Poradziłam jej, żeby zostawiła go dozorczyńni z sąsiedniej kamienicy, i zgodziła się na to. Teraz siedziała na łóżku w swoim pokoju, trzymała kotka na kolanach i głaskała go delikatnie, a on, biedaczek, nie wiedząc, że pani go opuszcza mruczał i mrużył oczy. Zrobiło mi się jej żal, bo wiedziałam, że cierpi, i powiedziałam: — Córuchno moja, zobaczysz, że miną te paskudne czasy i wszystko dobrze się ułoży... skończy się wojna, wróci dobrobyt, a ty wyjdiesz za

mąż i będziesz szczęśliwa ze swoim mężem. — W tej samej chwili, jak gdyby w odpowiedzi na moje słowa, syreny zawyły na alarm. Ten przekłety ryk przenikał mi zawsze aż do głębi serca i wydawało mi się, że wróży nieszczęście. Tym razem ogarnęła mnie taka złość, że otworzyłam okno wychodzące na podwórze, i wygrażając pięścią krzyknęłam: — A żebyś zdechł razem z tym, który cię tutaj przysłał! — Rosetta nie poruszyła się z miejsca i powiedziała: — Dlaczego się tak złościsz, mamó? Sama mówiłaś, że niedługo wszystko dobrze się ułoży. — Wtedy, choć przyszło mi to niełatwo, opanowałam się z miłości do tego anioła i powiedziałam: — Tak, ale na razie musimy opuścić nasze mieszkanie i licho wie, co się może jeszcze zdarzyć.

Tego dnia cierpiałam czyścicowe męki. Wydawało mi się, że już nie jestem sobą: to myślałam o tym, co zaszło z Giovannim, i na wspomnienie, że oddałam mu się jak dziewczka uliczna, ubrana, na workach z węglem, gryzłam palce z wściekłości; to znowu rozglądałam się po domu, w którym mieszkałam przez dwadzieścia lat i który musiałam opuścić, i ogarniała mnie po prostu rozpacz. W kuchni palenisko było wygaszone, w sypialni, gdzie sypiałam w małżeńskim łóżku razem z Rosettą, prześcieradła leżały w nieładzie. Nie miałam siły nawet posłać łóżka, wiedząc, że przez długi czas nie będę w nim spała, ani rozpalić ognia pod kuchnią, na której od jutra nie będę już gotowała. Przy stole nie nakrytym obrusem zjadłyśmy trochę chleba z sardynkami; co chwila spoglądałam na Rosettę i

na widok jej smutku jedzenie stawało mi kością w gardle, bo było mi jej żal i bałam się o nią. Myślałam sobie, że biedactwo nie miało szczęścia, przychodząc na świat i żyjąc w takich czasach. Około drugiej położyłyśmy się na rozgrzebanym łóżku i przespałyśmy się trochę; a raczej spała tylko Rosetta, skulona przy moim boku, a ja leżąc z otwartymi oczyma myślałam cały czas o Giovannim, o workach z węglem, o uderzeniu po tyłku, o sklepie i mieszkaniu, z którymi musiałam się rozstać. Na koniec zadzwonił dzwonek u drzwi, więc odsunęłam delikatnie Rosettę i poszłam otworzyć. Był to Giovanni, uśmiechnięty, z cygarem w ustach. Nie dając mu dojść do słowa, krzyknęłam z wściekłością: — Posłuchaj, co było, to było... i sama przyznaję, że nie jestem już ta, co dawniej... masz rację, że traktujesz mnie jak ulicznice... ale jeśli ośmielisz się jeszcze raz poklepać mnie po siedzeniu, to klnę się na Boga, że cię zabiję... potem pójdę do więzienia, ale może się właśnie okazać, że w dzisiejszych czasach najlepiej jest w więzieniu, i pójdę tam z przyjemnością. — On ze zdziwienia zmarszczył lekko brwi, ale nie powiedział ani słowa. Wszedł do przedpokoju i mruknął cicho: — Sporządzimy ten akt przekazania mieszkania.

Poszłam do sypialni i wzięłam kartkę papieru, na której kazałam spisać Rosetce wszystko, co znajdowało się w mieszkaniu i w sklepie. Wyliczyłam nawet najdrobniejsze przedmioty, nie dlatego, żebym nie miała zaufania do Giovanniego, ale lepiej być ostrożnym i nikogo nie obdarzać nadmiarem zaufania. Tak więc zanim zaczęłam wyliczać inwentarz,

powiedziała z wielką powagą do Giovanniego: — Trzeba ci wiedzieć, że wszystko, co posiadam, to owoc ciężkiej dwudziestoletniej pracy mojej i mojego męża... musisz strzec każdej rzeczy jak oka w głowie, żeby po moim powrocie nie brakowało ani jednego gwoźdźca. — On uśmiechnął się i odrzekł: — Możesz być spokojna, zastaniesz na miejscu wszystkie gwoździe, co do jednego.

Zaczęłam od sypialni. Zrobiłam dwie kopie spisu, jedną trzymał on, drugą Rosetta i kolejno wskazywałam każdy sprzęt. Pokazałam mu małżeńskie łóżko z metalu, zrobione na imitację drzewa, z tak pięknie pomalowanymi słojami, że każdy myślał, iż to prawdziwy orzech. Podniosłam kołdrę, żeby zobaczył dwa materace, jeden z włosów, a drugi z wełny. Otworzyłam szafę i przeliczyłam podpinkę, prześcieradła i inne sztuki bielizny. Otworzyłam szafki nocne i pokazałam mu nocniki z porcelany w czerwone i niebieskie kwiaty. Potem przeszłam do spisu mebli: komoda z marmurowym blatem, owalne lustro w złotej ramie, cztery krzesła, łóżko, dwie szafki nocne, dwudrzwiowa lustrzana szafa. Przeliczyłam też wszystkie drobiazgi: szklany klosz, a pod nim bukiet kwiatów z wosku, które wyglądały jak prawdziwe i które dostałam na prezent ślubny od mojej sąsiadki, bombonierka z porcelany na confetti, dwie figurki, pasterka i pasterz, poduszczyk do szpilek z niebieskiego aksamitu, pudełeczko z Sorrento, które grało przy otwieraniu, a na pokrywce miało wymalowany Wezuwiusz, dwie karafki do wody z kompletami szklanek ze rżniętego szkła, wazon do kwiatów z kolorowej

porcelany, w kształcie tulipana, w którym trzymałam zamiast kwiatów trzy piękne pawie pióra, dwa kolorowe oleodruki. Jeden z nich przedstawiał Madonnę z Dzieciątkiem, a drugi scenę z opery „Otello”, tak mi przynajmniej powiedziano: była na nim jasnowłosa kobieta i Murzyn, właśnie ten Otello. Z sypialni zaprowadziłam Giovanniego do stołowego pokoju, który służył mi także jako salon; stała tam również maszyna do szycia. Pokazałam mu cztery krzesła obite zielonym aksamitem i kazałam dotknąć okrągłego stołu z ciemnego orzecha. Leżała na nim haftowana serweta i stał porcelanowy wazon do kwiatów, para od tego z sypialni. Potem otworzyłam kredens i przeliczyłam, sztuka po sztuce, serwis z porcelany na sześć osób, z kwiatami i girlandami, tak piękny, że jadłam na nim najwyżej dwa razy w życiu. Zaznaczyłam przy tym: — Ten serwis to moje oczko w głowie, spróbuj tylko coś zbić, a zobaczysz! — Odpowiedział z uśmiechem: — Bądź spokojna. — Na zakończenie wyliczyłam pozostałe przedmioty, dwa oleodruki, przedstawiające kwiaty, maszynę do szycia, radio, kozetkę obitą rypsem i także dwa foteliki, karafkę i kieliszki z różowego szkła, kilka bombonierek i pudełek, rozpięty na ścianie piękny kolorowy wachlarz z widokiem Wenecji. Następnie przeszliśmy do kuchni, gdzie przeliczyłam wszystkie naczynia oraz rondle z miedzi i aluminium, sztuce z nierdzewnej stali i pokazałam mu, że nie brak niczego, ani pieca, ani noża do obierania kartofli, ani szafki na szczotki, ani cynowej śmietniczki. Jednym słowem wyliczyłam wszystko i potem zeszliśmy do sklepu. Tutaj spis trwał o wiele krócej, bo oprócz półek, lady i kilku krzesłek nie zostało nic, cały towar

był wyprzedany. Sklep, odkurzony i zamieciony, świecił pustkami w tym okresie klęski głodowej. Na koniec wróciliśmy do mieszkania i wtedy powiedziałam, zrezygnowana: — Po co właściwie ten cały spis... i tak mam przeczucie, że już nigdy nie wrócę. — Giovanni, który siedział i palił cygaro, odpowiedział potrząsając głową: — Za dwa tygodnie przyjdą Anglicy, nawet faszyści tak mówią... Jedziesz na dwa tygodnie wypoczynku i po twoim powrocie zrobimy wspaniałe przyjęcie... Co ci przychodzi do głowy? — Mówił jeszcze wiele innych rzeczy, żeby podnieść na duchu i mnie, i Rosettę, i prawie udało mu się nas pocieszyć; poweselałyśmy nieco, a kiedy Giovanni wychodził i znaleźliśmy się sami w przedpokoju, nie poklepał mnie po siedzeniu, tylko pogłaskał po twarzy, co robił zresztą często jeszcze za życia mego męża. Byłam mu za to wdzięczna, bo wydawało mi się, że nic między nami nie zaszło i że jestem taka jak dawniej.

Resztę dnia spędziłam na końcowych przygotowaniach do podróży. Najpierw zapakowałam dużą paczkę jedzenia na drogę: włożyłam do niej kielbasę, kilka pudełek sardynek, puszkę tuńczyka i trochę pieczywa. Dla ojca i matki zrobiłam osobną paczkę: dla ojca wzięłam prawie nowe ubrania mego męża, które uszył sobie na krótki czas przed śmiercią i prosił, żebym go w nie ubrała do trumny; ale w ostatniej chwili pomyślałam sobie, że byłoby grzechem marnować taki piękny garnitur z granatowej wełny, i owinełam nieboszczyka w stare prześcieradło. Tym sposobem ocalałam ubranie. Ojciec był prawie tego samego wzrostu co mój mąż, i do garnituru dołączyłam też buty,

stare wprawdzie, ale jeszcze bardzo porządne. Matce postanowiłam zawieźć szal i spódnicę. Dołożyłam jeszcze do tej paczki całą żywność, jaka mi pozostała: parę kilo cukru i kawy, kilka puszek konserw i wianków kiełbasy. Ułożyłam to wszystko w trzeciej walizce, miałyśmy więc teraz trzy walizki i worek, w który zapakowałam kołdrę i poduszkę, na wypadek gdyby nam przyszło jechać do Neapolu, a że miałyśmy wysiąść w połowie drogi między Rzymem a Neapolem, pomyślałam sobie, że ostrożność nigdy nie zawadzi.

Wieczorem zasiadłyśmy do kolacji, na którą przyrządziłam trochę ciepłej stawy, żeby nie było nam tak smutno. Jednakże nie zdążyłyśmy jeszcze zacząć jeść, kiedy zawyły syreny na alarm. Zobaczyłam, że Rosetta zbladła i zaczęła się trząść jak listek. Zrozumiałam wtedy, że nawet ona, tak dotychczas opanowana, załamała się i nie wytrzymuje nerwowo tych nalotów. Zdecydowałam się zejść z nią do piwnicy, co zresztą nic by nie pomogło, gdyby bomba spadła na nasz dom, bo była to taka rudera, że od razu rozpadłaby się w gruzy, a my zostałybyśmy żywcem pogrzebane. Zeszłyśmy więc do schronu, gdzie zebrali się lokatorzy z całej kamienicy, i przesiadaliśmy w ciemności trzy kwadransy. Wszyscy mówili, że przyście Anglików to kwestia kilku dni, bo wylądowali już w Salerno koło Neapolu, a marsz z Neapolu do Rzymu nie powinien zająć więcej niż tydzień, choćby nawet żółtym krokiem posuwali się naprzód. Niemcy i faszyci uciekali teraz jak zające i nie zatrzymają się pewnie nawet przed Alpami. Niektórzy jednak

twierdzili, że Niemcy będą bronić Rzymu, bo Mussoliniemu zależało na utrzymaniu stolicy za wszelką cenę. Nie wahałby się nawet przed zamienieniem Rzymu w ruinę, byleby tylko nie wkroczyli tam Anglicy. Słuchałam tego wszystkiego i myślałam sobie, że dobrze robimy, wyjeżdżając z domu. Rosetta tuliła się do mnie i była tak wylekniona, że zrozumiałam, iż uspokoi się dopiero wtedy, kiedy będziemy poza Rzymem. W pewnej chwili ktoś powiedział: — Wiecie, co mówią? Że rzucą spadochroniarzy, którzy będą chodzić po domach i przewracać wszystko do góry nogami. — Jak to? — No tak, rabunek i kobiety. — Wtedy powiedziałam: — Chciałabym zobaczyć takiego, który miałby odwagę mnie dotknąć. — Z ciemności odezwał się głos Proiettiego, piekarza, który służył z głupoty i „miał tak niewyparzoną gębę, że nie mogłam go ścierpieć: — Ciebie może i nie tkną — powiedział z chichotem — bo jesteś za stara... ale twoją córkę — i owszem, tak. — Odpowiedziałam na to: — Zastanów się lepiej, zanim coś powiesz... mam trzydzieści pięć lat, bo wyszłam za mąż jako szesnastoletnia panna... jak owdowiałam, niejeden chciał się ze mną żenić... jeśli nie wyszłam powtórnie za mąż, to tylko dlatego, że nie chciałam. — Tak — odrzekł piekarz — kwaśne winogrona. — Wtedy zirytowałam się i zawołałam: — Zajmij się lepiej tą kurwą, twoją żoną... jeszcze nie ma spadochroniarzy, a ta i tak stale przyprawia ci rogi... można sobie wyobrazić, co będzie, kiedy oni się tu zjawią! — Myślałam, że jego żona przebywa jeszcze w swoich rodzinnych stronach w Sutri, bo kilka dni przedtem widziałam, jak wyjeżdżała; a tymczasem, patrzcie, co za zbieg okoliczności,

ona także była w schronie, tylko nie zauważyłam jej po ciemku. Usłyszałam za to jej wrzask: — Kurwa to ty, ty łajdaczko, piekielnico, flejtuchu jeden! — a potem chwyciła Rosettę za włosy, myśląc, że to ja, i zaczęła ją okładać pięściami. Rosetta krzyczała wniebogłosy, a ja w ciemności rzuciłam się z takim impetem na żonę Proiettiego, że przewróciliśmy się obydwie i, tarzając się po ziemi, kopałyśmy się i wrywałyśmy sobie włosy. Wszyscy podnieśli krzyk, a Rosetta płakała i wołała mnie głośno. Rozdzielono nas w końcu, ciągle w tych egipskich ciemnościach, w których i rozjemcom musiało się dostać parę kopniaków. W tej samej chwili dały się słyszeć syreny zwiastujące zakończenie alarmu i ktoś zapalił światło. Stałyśmy obydwie naprzeciw siebie, potargane i zadyszane. Ci, którzy nas trzymali, mieli podrapane twarze i włosy w nieładzie. Rosetta szlochała w kącie.

Położyłyśmy się bardzo wcześnie do łóżka tego wieczora, nie kończąc kolacji, która została na stole do następnego ranka. W łóżku Rosetta mocno przytuliła się do mnie, jak za dziecinnych lat, czego ostatnio nigdy nie robiła. Zapytałam jej: — Co ci jest? Czy jeszcze się boisz? — Odpowiedziała mi: — Nie, nie boję się, ale czy to prawda, mamó, że ci spadochroniarze robią takie rzeczy z kobietami? — A ja na to: — Nie słuchaj tego głupca... sam nie wie, co gada. — Ale czy to prawda? — nalegała dalej. — Nie, nieprawda — odpowiedziałam — a poza tym jedziemy jutro na wieś i tam będziemy bezpieczne. — Milczała przez chwilę, a potem zapytała: — A

żebyśmy mogły wrócić, to kto musi zwyciężyć: Niemcy czy Anglicy? — Jej słowa wprawiły mnie w nie lada zakłopotanie, bo jak już wspomniałam, nie czytywałam gazet, a w dodatku nie interesowałam się przebiegiem wojny. Odrzekłam: — Nie wiem, co oni tam kombinują... ale wiem jedno, że i Anglicy, i Niemcy to skurwysyny... że biorą się za łby, nie pytając o zdanie nas, biedaków... Ale wiesz, co ci powiem: nam potrzeba tego, żeby ktoś naprawdę zwyciężył, bo wtedy skończy się wojna... Anglicy czy Niemcy, wszystko jedno, byle jedni z nich okazali się silniejsi.

Rosetta jednak pytała dalej: — Wszyscy mówią, że Niemcy są źli, co oni takiego zrobili mamie? — Wtedy odpowiedziałam jej: — Zrobili to, że zamiast siedzieć u siebie, przyszli mącić wodę u nas... i dlatego wszyscy mają ich po dziurki w nosie. — Ale tam, gdzie my teraz jedziemy — spytała — są Niemcy czy Anglicy? — Sama nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, i rzekłam tak: — Tam nie ma ani Niemców, ani Anglików... są pola, krowy, chłopcy i dobrze się żyje... a teraz śpij. — Nie odezwała się już ani słowem, skuliła się przy mnie i zdawało mi się, że wreszcie zasnęła.

Okropna to była noc. Budziłam się co chwila i przypuszczam, że Rosetta także nie zmrużyła oka, chociaż udawała, że śpi, by mnie nie martwić. Chwilami wydawało mi się, że się budzę, a tymczasem spałam i śniło mi się, że się przebudziłam. Chwilami znowu, zmęczona i zdenerwowana, łudziłam się, że śpię, ale nie spałam. Chrystus na Górze Oliwnej, przed zdradą

Judasza, nie męczył się tak, jak ja męczyłam się tej nocy. Serce mi się ścisnęło na myśl, że muszę opuścić ten dom, w którym przeżyłam tyle lat. Myślałam o tym, że po drodze mogą ostrzeliwać pociąg albo że pociągi już w ogóle nie chodzą, bo mówiono, że lada dzień Rzym zostanie odcięty. Myślałam także o Rosetcie i o tym, jakie to nieszczęście, że mój mąż był taki, jaki był, i że umarł, bo dwom samotnym kobietom ciężko żyć na tym świecie. Kobiety bez męskiej opieki są naprawdę jak ślepe, idą przed siebie po omacku, same nie wiedząc dokąd.

W pewnej chwili — nie wiem, która to mogła być godzina — usłyszałam na ulicy strzały. Zdążyłam się już do tego przyzwyczaić, bo zdarzało się to co noc, ci hultaje zachowywali się tak, jak gdyby dla zabawy strzelali do celu, ale Rosetta obudziła się i spytała: — Co się stało, mamó? — Nic, nic — odpowiedziałam — to te skurwysyny uprzyjemniają sobie czas strzelaniem... a niechby się już raz powybijali nawzajem co do jednego. — Potem dla odmiany przejechała kolumna samochodów ciężarowych. Jechali i jechali bez końca, aż trząsnął się cały dom, a kiedy zdawało się, że nareszcie koniec, znowu nadjechała jakaś ciężarówka robiąc hałas nie do opisanego. Trzymałam Rosettę w ramionach, tuląc jej głowę do piersi i nagle przypomniałam sobie te czasy, kiedy była niemowlęciem i kiedy ją karmiłam. Miałam piersi nabrzmięte mlekiem, jak wszystkie kobiety z Ciociarii, które są najlepszymi mamkami z całego Lazio. Rosetta wysysała wszystko mleko i z dnia na dzień stawała się ładniejsza, wyglądała jak róża, tak że ludzie przysta-

wali na ulicy, by na nią popatrzeć. Pomyślałam sobie teraz, że byłoby lepiej, gdyby się w ogóle nie urodziła, jeśli musi przeżywać piekło na ziemi. Ale potem powiedziałam sobie, że takie czarne myśli nachodzą człowieka tylko w nocy, że grzechem jest tak myśleć, i przeżegnałam się po ciemku, polecając się Panu Jezusowi i Madonnie. Usłyszałam pianie koguta w sąsiednim mieszkaniu, gdzie mieszkała rodzina, która trzymała cały kurnik w łazience. Pomyślałam sobie, że tylko patrzeć, jak zacznie świtać, i zasnęłam.

Obudził mnie głośny, nieprzerwany dzwonek u drzwi wejściowych, widocznie ktoś musiał dzwonić już od dawna. Wyskoczyłam po ciemku z łóżka, poszłam do przedpokoju i otworzyłam drzwi. Był to Giovanni, który powiedział wchodząc: — Nie ma co mówić, zdrowo śpicie. Dzwonię już chyba od godziny. — Byłam w koszuli nocnej; do dziś dnia mam jędrne piersi, które wtedy były jeszcze pełniejsze, sterczące do góry nawet bez stanika, z wystającymi sutkami, wyraźnie zarysowującymi się pod płócienną koszulą. Zobaczyłam od razu, że Giovanni wpatruje się w mój biust i że oczy świecą mu pod brwiami jak węgle w popiele. Domyśliłam się, że chce chwycić mnie za sutki, i cofając się powiedziałam obcesowo: — Nie, Giovanni... nie istniejesz dla mnie i musisz zapomnieć o tym, co było... gdybyś nie był żonaty, wyszłabym za ciebie... ale jesteś żonaty i nie wolno nam tego robić. — Nie powiedział ani tak, ani nie, ale widać było, że stara się opanować, i na koniec powiedział spokojnym głosem: — Masz rację, ale miejmy

nadzieję, że ta ropucha, moja żona, zakończy życie podczas wojny... tak więc gdy wrócisz, będę wdowcem i pobierzemy się... tylu ludzi ginie pod bombami, dlaczego i ona nie miałaby zginąć? — Znowu zrobiło mi się nieprzyjemnie i byłam tak zdumiona jego słowami, że nie wierzyłam własnym uszom, tak jak wówczas, kiedy powiedział, że mój mąż to ściervo, chociaż był jego nierozłącznym przyjacielem. Znałam żonę Giovanniego i zawsze myślałam, że on ją kocha, a w każdym razie jest do niej przywiązany. Żyli ze sobą od wielu lat i mieli troje dzieci, a tymczasem on mówił o niej z nienawiścią i pragnął jej śmierci. Sposób, w jaki to mówił, pozwalał się domyślać, że nienawidził jej od dawna i że to uczucie o władnęło nim bez reszty, nawet jeśli niegdyś ją kochał. Przyznaję, szczerze, że ogarnął mnie lęk na widok tego człowieka, który był mężem i przyjacielem przez tyle lat, a potem wyrażał się tak zimno i podle o żonie i przyjacielu. Ale nie zdradziłam się z tym przed Giovannim, który tymczasem przeszedł do kuchni, i słyszałam, że przekomara się z Rosettą, która także zdążyła już wstać z łóżka. — Zobaczysz, że przyjedziecie obydwie utuczone i będzie to dla was jedynym następstwem wojny... na wsi nie brak sera Jaj Jagniąt... najecie się do syta i dobrze wam tam będzie.

Wszystko już było spakowane, zniosłam więc do przedpokoju trzy walizki i worek z pościelą. Giovanni wziął dwie walizki, ja worek, a Rosetta najmniejszą walizkę. Oni zeszli na dół po schodach, a ja udawałam, że zaciął się zamek przy drzwiach. Gdy tylko usłyszałam, że są już na parterze, wróciłam

do sypialni, podniosłam klepkę w podłodze i wyjęłam ze schowka pieniądze. Na owe czasy była to duża suma, w tysiąclicowych banknotach. Nie chciałam ich wyciągać przy Rosetcie, bo młodzi mają pstro w głowie i mogą zawsze popełnić jakąś nieostrożność nie umiejąc trzymać języka za zębami. W sprawach pieniężnych lepiej nie ufać nikomu. Przed wyjściem z mieszkania podniosłam spódnice i schowałam pieniądze w płócienną kieszeń, którą już uprzednio tam sobie wszyłam. Potem zeszłam na ulicę.

Przed domem stała dorożka; Giovanni nie chciał nas odwozić swoją ciężarówką od węgla, bo bał się, żeby mu jej nie zarekwirowali. Pomógł wsiąść nam obydwóm, a potem sam wsiadł. Dorożka ruszyła, a ja nie mogłam oprzeć się chęci obejrzenia się za siebie; chciałam popatrzeć raz jeszcze na skrzyżowanie ulic, na mój dom i sklep, bo miałam złe przecucia, że nigdy ich już nie zobaczę. Dopiero zaczynało świtać, na dworze było szaro i zobaczyłam w tej szarości mój dom stojący na rogu z zamkniętymi oknami i sklep ze spuszczoną żaluzją. Naprzeciw stał dom, także narożny, gdzie w niszy na drugim piętrze znajdował się oszklony wizerunek Madonny w złotej ramie, przed którym zawsze paliła się lampka. Pomyślałam sobie, że owe światełko, które płonęło nawet podczas wojny, nawet podczas głodu, podobne jest do mojej nadziei szczęśliwego powrotu, i doznałam pewnej ulgi; ta nadzieja powinna mi przyświecać, nawet gdy będę daleko stąd. W niepewnym świetle pierwszego świtu skrzyżowanie ulic

wyglądało jak pusta scena w teatrze, z której zeszli już aktorzy. Widać było, że są to domy, a raczej domki biednych ludzi, nieco pokrzywione, wspierające się jedne na drugich, odrapane na parterze przez wozy i samochody, które tędy przejeżdżały. Przy moim sklepie znajdował się skład węgla Giovanniego; drzwi i ściany były tam czarne niczym czeluść pieca i sama nie wiem dlaczego, owa czerń zrobiła na mnie smutne wrażenie. Myślałam o tym, że we dnie, za dobrych czasów, te ulice roiły się od ludzi; kobiety siedziały przed domami na wyplatanych krzesłach, dzieci skakały przez skakanki, koty krążyły po chodnikach, młodzi chłopcy szli do pracy do gospody, która była zawsze przepełniona po brzegi. Gdy wspominałam to wszystko, krajało mi się serce i uświadamiałam sobie, że te domki i te ulice były mi drogie; może dlatego, że spędziłam tutaj prawie całe życie, bo kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy, byłam młodziutką dziewczyną, a teraz dojrzałą kobietą i miałam dorosłą córkę. Zwróciłam się do Rosetty: — Nie chcesz nawet popatrzeć na nasz dom, na nasz sklep? — a ona odpowiedziała: — Nie denerwuj się, mammo... sama powiedziałaś, że wrócimy za parę tygodni. — Westchnęłam i zamilkłam. Dorożka skręciła w stronę Tybru, nie spojrzałam już na naszą ulicę.

Wszystkie ulice były puste i snuła się po nich szarawa mgła, niby para nad kotłem z gotującą się bielizną. Wilgotne od rosy chodniki połyskiwały, jak gdyby były ze stali. Nie napotkaliśmy nawet psa z kulawą nogą, a raczej napotykaliliśmy właśnie tylko psy. Widziałam ich kilka, wszystkie brzydkie,

wygłodzone i brudne, wężące po rynsztokach lub załatwiające się pod murami, na których wisiały plakaty podjudzające do walki. Przejechaliśmy Tybr mostem Garibaldiego, minęliśmy via Arenula, largo Argentina i piazza Venezia. Na balkonie w pałacu Mussoliniego wetknięta była taka sama czarna chorągiew, jaką widziałam na piazza Colonna, a przy bramie stało na warcie dwóch uzbrojonych faszystów. Plac był pusty i wydawał się przez to większy niż zwykle. Nie zauważyłam z początku złotego fascio na czarnej chorągwi i miałam wrażenie, że to żałobna chorągiew, taka sama jak czarne płachty, jakie wywiesza się w bramie domu, w którym umarł któryś z lokatorów. Dopiero po chwili dostrzegłam złotą odznakę na pofałdowanej materii i zrozumiałam, że to chorągiew Mussoliniego. Zapytałam Giovanniego: — Jak to? Wrócił Mussolini? — Odpowiedział mi pompatycznie, paląc cygaro: — Wrócił, i miejmy nadzieję, że zostanie tu na zawsze. — Otworzyłam usta ze zdziwienia, bo wiedziałam, że jest zagorzałym wrogiem Mussoliniego. Ale Giovanni zawsze mnie zadziwiał i nigdy nie wiedziałam, co przyjdzie mu do głowy. Potem poczułam, że trąca mnie łokciem w bok, po czym mrugnął wskazując na dorożkarza; dał mi do poznania, że powiedział tak ze względu na niego. Owa ostrożność wydała mi się przesadna, dorożkarz wyglądał bowiem na poczciwego staruszka, gęste siwe włosy wymykały mu się spod czapki, był podobny do mego dziadka i na pewno nie zajmował się donosicielstwem, ale nie powiedziałam nic.

Wjechaliśmy na via Nazionale; robiło się coraz jaśniej i na czubku wieży Nerona różowo połyskiwało słońce. Ale na stacji było jeszcze ciemno jak w nocy i paliły się wszystkie światła. Dworzec pełen był ludzi, takich samych biedaków jak my, z tobołkami, i widać też było wielu niemieckich żołnierzy, którzy, z bronią i plecakami, kryli się po najciemniejszych kątach. Giovanni poszedł kupić bilety i zostawił nas z walizkami na środku dworca. Kiedy czekałyśmy na niego, nadjechało nagle z wielkim hukiem kilkunastu motocyklistów, wszyscy ubrani na czarno jak czereda diabłów. Po tej czarnej chorągwi na piazza Venezia także i te czarne koszule zrobiły na mnie przygnębiające wrażenie, do tego stopnia, że pomyślałam sobie: „Po co ta czerń, po co wszędzie tyle tej czerni? Te skurwysyny z tą ich przeklętą czernią naprawdę przynieśli nam w końcu nieszczęście.” — Motocykliści zatrzymali się przed dworcem, postawili motocykle pod murem i stanęli w drzwiach; spoglądali groźnie spod czarnych kasków, trzymając ręce na przytroczonych do pasów rewolwerach. Tchu zabrakło mi w piersi ze strachu i serce zaczęło walić jak młotem. Obawiałam się, że ci motocykliści przyjechali po to, żeby zablokować wejścia i aresztować wszystkich. Zdarzało się to bardzo często, a potem ginął słuch o tych ludziach, których wywozili ciężarówkami w nieznane. Rozejrzałam się dokoła, jak gdyby szukając ucieczki. Zobaczyłam po chwili, że od strony peronów nadchodzi grupka osób, a policjanci wołają: — Rozstąpić się, rozstąpić się! — i wtedy zrozumiałam, że motocykliści przyjechali jako eskorta jakichś ważnych osobistości. Z powodu ścisku nie mogłam

dostrzec, kto to taki, ale niezadługo usłyszałam, że odjeżdżają te przeklęte motocykle. Domyśliłam się, że pojechali za samochodem owego dygnitarza. Giovanni przyszedł po nas z biletami w rękę, mówiąc, że kupił bilety do Fondi, skąd górami będziemy mogły przejść do naszej wsi. Wyszliśmy ze stacji na peron. Świeciło tam słońce kładąc się na bruk długimi promieniami, które wyglądały jak promienie słońca w salach szpitalnych i na podwórzach więziennych. Na peronie nie było żywej duszy, ale kiedy wsiadłyśmy do pociągu, zobaczyłyśmy, że pełen jest żołnierzy w hełmach nasuniętych na oczy; wszyscy mieli plecaki na ramionach i trzymali karabiny między nogami. Była ich niezliczona ilość, i przechodząc od przedziału do przedziału, zastawałyśmy w każdym ośmiu niemieckich żołdaków, w pełnym rynsztunku, milczących i nieruchomych, jak gdyby otrzymali rozkaz, żeby nie poruszać się i nie mówić. Na koniec w jednym z wagonów trzeciej klasy zobaczyłyśmy włoskich żołnierzy. Cisnęli się w przedziałach i na korytarzu, jak było przeznaczone na rzeź; żaden z nich nie dbał o wygodę, bo i tak jechali na śmierć. Oni także, tak samo jak Niemcy, byli milczący i niemrawi, ale widać było, że ich postawa wynika ze zmęczenia i desperacji, natomiast Niemcy byliby z pewnością gotowi wyskoczyć w każdej chwili z pociągu i stanąć do walki. Powiedziałam Rosetcie: — Zobaczysz, że odbędziemy tę podróż na stojąco. — Istotnie, po długiej bieżaninie po całym pociągu, rozgrzanym od słońca, które wpadało przez brudne szyby, ustawiliśmy na koniec walizki w korytarzu koło ubikacji i postanowiliśmy tam zostać. Giovanni, który towarzyszył nam w

wędrowce po pociągu, powiedział: — Muszę już wysiąść, bo pociąg na pewno zaraz ruszy. — Jakiś mężczyzna w czarnej koszuli, siedzący nie opodal na walizce, powiedział ponuro, nie patrząc na nas: — Gdzie tam zaraz... czekamy już trzy godziny.

Jednym słowem Giovanni pożegnał się z nami, ucałował Rosettę w obydwie policzki, a mnie w brodę. Chciał mnie pocałować w usta, ale zdążyłam odwrócić twarz. Gdy odszedł, usiadłyśmy na walizkach, ja na wyższej, Rosetta na niższej, i oparła głowę na moich kolanach. Siedziałyśmy tak w milczeniu chyba z pół godziny i w końcu Rosetta zapytała: — Kiedy odjedziemy mamó? — Odpowiedziałam: — Tyle wiem co i ty, córuchno. — Sama nie wiem, ile czasu tak przesiedziałam z Rosettą przytuloną do moich nóg. Ludzie na korytarzu drzemali i wzdychali, słońce paliło coraz mocniej, a na peronie panowała głucha cisza. Niemcy, którzy milczeli dotąd jak zakłeci, nagle zaczęli śpiewać. Nie można powiedzieć, żeby brzydtko śpiewali, mieli głosy niskie i zachrypnięte, ale pieśń brzmiała czysto. Jednakże mnie, przyzwyczajonej do wesołych piosenek naszych żołnierzy, zrobiło się ciężko na sercu, bo choć nie rozumiałam słów, wydawało mi się, że śpiewają coś nieskończenie smutnego. Śpiewali powoli, monotonna i wyglądało na to, że i oni nie mają ochoty dalej walczyć, bo ich śpiew był naprawdę smutny. Powiedziałam do tego mężczyzny w czarnej koszuli, który siedział koło mnie: — I oni mają dosyć wojny... przecież ostatecznie i oni są ludźmi... posłuchaj, jak smutnie śpiewają. — Ale on odpowiedział nachmurzony: — Nie znasz się na tym... to

ich hymn... tak jak nasz Marcia Reale. — Po chwili milczenia dorzucił: — Naprawdę smutni jesteśmy my, Włosi.

Na koniec pociąg ruszył, bez gwizdnięcia, bez hałasu, jak gdyby przypadkiem. Chciałam polecieć się jeszcze raz opiece Madonny, żeby chroniła i mnie, i Rosettę od wszystkich nie-szczęść, na których spotkanie jechałyśmy. Ale ogarnęła mnie taka senność, że nie miałam już na to siły. Pomyślałam jeszcze tylko: „Ach, te skurwysyny” — i sama nie wiedziałam, czy mam na myśli Niemców, czy Anglików, czy faszystów, czy Włochów. A potem zasnęłam.

ROZDZIAŁ II

Obudziłam się może po godzinie, pociąg stał i cisza panowała dokoła. W wagonie było teraz tak gorąco, że ledwie mogłyśmy oddychać. Rosetta wstała i wyglądała oknem. Bóg wie, czemu się przyglądała. Wiele osób, wzdłuż całego korytarza, także stało przy oknach. Podniosłam się z trudem, bo byłam jak odurzona i zlana potem, i także podeszłam do okna. Widać było słońce, błękitne niebo, zieleń i wzgórza całe pokryte winnicami. Na jednym z tych pagórków, na wprost pociągu, palił się biały domek. Czerwone języki ognia i kłęby czarnego dymu buchały z okien. Jak daleko oko sięgało, owe płomienie i dym były jedyną ruchomą rzeczą, bo cała okolica wyglądała jak wymarła, nie drgnął nawet liść na drzewie i nie widać było żywej duszy. Nagle wszyscy ludzie w wagonie zaczęli krzyżeć: — Jest! Jest! — Spojrzałam na niebo i zobaczyłam nad horyzontem czarną plamkę, która prawie natychmiast przybrała kształty samolotu, po czym znikła. Nie minęła i minuta, a usłyszałam, że samolot leci nad pociągiem z potwornym hukiem, jak oszalały, dudniąc niczym olbrzymia maszyna do szycia. Trwało to ułamek sekundy, po czym hałas przycichł i zaraz potem usłyszałam silny wybuch tuż obok. W wagonie rzucili się na ziemię wszyscy oprócz mnie, bo nie zdążyłam o tym nawet pomyśleć. Zobaczyłam, że palący się dom ginie w olbrzymiej

szarej chmurze, która od razu zaczęła się rozprzestrzeniać po całym wzgórzu, pełzając kłębamii w kierunku pociągu. Znowu zapanowała cisza i ludzie podnosili się z podłogi, prawie nie wierząc, że udało im się ujść z życiem. Potem znowu wszyscy zaczęli cisnąć się do okien. Powietrze pełne było pyłu, który dławiał w gardle. Obłok dymu rozrzedzał się powoli i w pewnej chwili zobaczyliśmy, że biały domek został zmieciony z powierzchni ziemi. Niedługo potem pociąg ruszył w dalszą drogę.

Było to najpoważniejsze wydarzenie w ciągu owej podróży. Jeszcze niejednokrotnie zatrzymywaliśmy się w szczerym polu. Postoje trwały po pół godziny, po godzinie, tak że droga, którą pociąg w normalnych czasach przebywał w dwie godziny, przeciągnęła się do sześciu. Rosetta w Rzymie bała się śmiertelnie bombardowania, a teraz kiedy domek wyleciał w powietrze i pociąg ruszył, powiedziała: — Tu na wsi jakoś mniej się boję niż w Rzymie. Widać słońce, otwartą przestrzeń... W Rzymie bałam się zawsze, że wszystko zawali mi się na głowę... tutaj gdybym nawet zginęła widziałabym słońce. — Odezwał się na to jeden z pasażerów stojących na korytarzu: — Widziałem i takich, którzy umierali w słońcu, w Neapolu. Leżeli pokotem na chodnikach po bombardowaniu. Wyglądali jak stos brudnych łachmanów. Ci widzieli przed śmiercią słońce. — Ktoś inny wtrącił: — Tak jak w neapolitańskiej piosence... „O sole mio”. — I zachichotał. Ale nikt nie miał ochoty rozmawiać, a co

dopiero żartować. Tak więc dalsza podróż minęła w grobowym milczeniu.

Miałyśmy wysiąść w Fondi i gdy tylko minęliśmy Terracinę, powiedziałam Rosetcie, żeby się szykowała. Rodzice mieszkali w górach, w wiosce położonej w okolicy Vallecorsa, mieli tam dom i kawałek ziemi. Z Fondi szosą jechało się do nich samochodem około godziny. Ale, wola boska, kiedy dojechalśmy do miejscowości Monte San Biaggio, która stoi na szczycie wzgórza nad doliną Fondi, zobaczyłam, że wszyscy wysiadają. Niemcy wysiedli już przedtem, w Terracinie, tak że w pociągu pozostali sami tylko Włosi. Teraz wszyscy wysiedli, a my przeniosłyśmy się do pustego przedziału. Doznałam ogromnej ulgi, bo nareszcie skończył się ścisk, dzień był piękny i niedługo już powinnyśmy były dojechać do Fondi, skąd miałyśmy wyruszyć na wieś do rodziców. Pociąg stał w miejscu, ale to mnie nie dziwiło, zatrzymywał się przecież po drodze tyle razy. Powiedziałam do Rosetty: — Zobaczysz, że odżyjesz na wsi: najesz się, wypiszesz i wszystko będzie dobrze. — Opowiadałam jej o życiu na wsi, a pociąg stał dalej. Musiała już być pierwsza albo druga godzina i upał stawał się nie do zniesienia. — Zjemy coś — powiedziałam i zdjęłam z półki walizeczkę, do której zapakowałam żywność. Wyjęłam chleb i kiełbasę, zrobiłam dwie kanapki i wypiliśmy z Rosettą po szklance wina. Jadłyśmy, było gorąco i cisza panowała dokoła. Przez okna widać było tylko rosnące przy stacji platany, białe od kurzu, suche jak ukryte w ich listowiu świerszcze, które

dzwoniły tak głośno, jak gdyby był jeszcze sierpień. Byłyśmy na wsi, na wsi, gdzie się urodziłam i wychowałam, w moich rodzinnych stronach, pachnących rozpalonym na słońcu kurzem, wysuszonym nawozem i nagrzanymi ziołami. — Ach, jak mi tu dobrze! — nie mogłam powstrzymać się od okrzyku, opierając nogi na przeciwległej ławce. — Słyszysz, jaka cisza? Cieszę się, że nie jesteśmy już w Rzymie.

— W tej samej chwili otworzyły się drzwi i ktoś zajrzał do przedziału.

Był to kolejarz, śniady i chudy, z przekrzywioną na bakier czapką, w rozpiętej kurtce, z długą brodą. Wchodząc powiedział: — Smacznego — ale z miną poważną, prawie wrogą. Myśląc, że jest głodny, jak zresztą wszyscy w tym okresie wojny, wskazałam na zawinięte w pergamin zapasy i powiedziałam: — Może się pan poczęstuje. — Ale on odpalił mi z miejsca, wyraźne zniecierpliwiony: — Nie czas teraz na poczęstunki, proszę wysiadać. — Jedziemy do Fondi — powiedziałam i pokazałam mu bilety. Nawet nie spojrzał na nie i zawołał: — Czy nie widziałyście, że wszyscy tu wysiadają? Pociąg nie idzie dalej. — Nie idzie do Fondi? — Gdzie tam, linia kolejowa jest przerwana. — Po chwili dodał nieco grzeczniej: — Na piechotę dojdziecie do Fondi w pół godziny. Ale musicie teraz wysiąść, bo pociąg wraca do Rzymu — i wyszedł trzaskając drzwiami.

Siedziałyśmy jak skamieniałe, każda z bułką w ręku i spoglądałyśmy na siebie. Wreszcie powiedziałam Rosetcie: — Źle

się zaczyna. — Rosetta, jak gdyby odgadując moje myśli, odrzekła: — Nie, mammo... wysiadziemy i znajdziemy jakiś wóz albo samochód. — Nie słuchałam jej dalej, ściągnęłam walizki, otworzyłam drzwi i wysiadłam z pociągu. Na stacji nie było nikogo; w poczekalni nikogo; na placu przed dworcem — nikogo. W głębi placu stała fontanna; z gorąca i zdenerwowania miałam język suchy jak kołek i poszłam się napić: fontanna była wyschnięta. Rosetta, która została przy walizkach, patrzyła na mnie z przerażeniem: — Co teraz poczniemy, mammo?

Znałam dobrze te okolice i wiedziałam, że otwierająca się przed nami droga prowadzi do Fondi: — A co chcesz robić, córuchno? Trzeba ruszyć w drogę.

— A walizki?

— Będziemy je niosły.

Nic nie odpowiedziała, ale skonsternowana spojrzała na walizki: nie mogła pojąć, jakim cudem je uniesiemy. Otworzyłam jedną z walizek, wyjęłam z niej dwie serwetki, skrzyłam z nich dwa kółka: jedno dla mnie, drugie dla niej. Byłam przyzwyczajona od dziecka do noszenia ciężarów na głowie, mogłam unieść do pięćdziesięciu kilo.

Skręcając serwetki powiedziałam: — Teraz matka ci pokaże Jak się to robi. — Rosetta nabrała otuchy i uśmiechnęła się.

Mocno skręcone kółko położyłam sobie na głowie i kazałam Rosetcie zrobić to samo. Potem zdjęłam buty i pończochy i

znowu powiedziałam Rosetcie, żeby zrobiła to samo. Następnie położyłam sobie na krążku największą walizkę, potem tę średnią, a na wierzchu worek, kolejno według wielkości, i umieściłam na głowie Rosetty najmniejszą walizkę. Wytłuma-
czyłam jej, że musi iść z wyprostowaną szyją, podtrzymując z
jednej strony ręką róg walizki. Zobaczyłam, że zrozumiała od
razu i już idzie naprzód z walizką na głowie. Pomyślałam sobie
wtedy: — Urodziła się w Rzymie, ale i ona jest Ciociarą z krwi i
kości; odezwała się w niej krew przodków: — Tak więc z
walizkami na głowie, boso, brzegiem drogi, porośniętym rzadką
trawą, ruszyliśmy do Fondi.

Szliśmy dosyć długo. Droga była opustoszała, a także i na
polach nie spotkałyśmy żywej duszy. Człowiekowi z miasta
mogło się wydawać, że wieś zawsze tak wygląda; ale ja,
rodowita wieśniaczka, poznałam od razu, że wszystko dokoła
jest zaniedbane i opuszczone. Wszędzie rzucało się to w oczy.
Kiście winogron w winnicach powinny były być już zebrane, a
tymczasem zwisały między pożółkłymi liśćmi, ciemne,
przejrzyste, niektóre nawet już zgniłe i na wpół zjedzone przez
osy i jaszczurki. Zarośnięta chwastami kukurydza miejscami
kładła się pokotem, a kaczany były dojrzałe, prawie czerwone.
Pod drzewami figowymi leżało na ziemi całe mnóstwo fig,
popękanych, przepołowionych, podziobanych przez ptaki. Nie
widać było ani jednego chłopca i pomyślałam sobie, że widocznie
wszyscy uciekli. A jednak dzień był piękny, ciepły i pogodny,
prawdziwie wiejski. Taka jest wojna, pomyślałam, wszystko

wydaje się normalne, a tymczasem wojna sieje spustoszenie, ludzie boją się i uciekają, a obojętna natura dalej rodzi owoce, zboża, zioła, jak gdyby nigdy nic.

Doszliśmy do bram Fondi, z nogami zakurzonymi po kolana, z wyschniętymi gardłami, zmęczone i milczące. Powiedziałam Rosetcie: — Pójdziemy teraz do gospody, napijemy się, zjemy coś i odpoczniemy sobie. A potem rozejrzemy się za jakimś samochodem albo wozem, który odwiózłby nas do dziadków. — Gdzie tam, ani śladu gospody, ani śladu samochodu, ani śladu wozu! Gdy weszliśmy do Fondi, zorientowaliśmy się w jednej chwili, że miasto jest opuszczone. Nie widać było nawet psa z kulawą nogą, żaluzje w sklepach były spuszczone, gdzieś tam widniały kartki z napisem, że właściciele wyjechali z Fondi. We wszystkich domach drzwi i bramy zasunięte były na sztaby, okna pozamykane. Odnosiło się wrażenie, że w tym mieście wszyscy mieszkańcy powymierali na zarazę. I pomyśleć tylko, że o tej porze roku ulice Fondi zawsze roiły się od ludzi. Kobiety, mężczyźni, dzieci wraz z kotami, psami, osłami, końmi, a nawet i kurami, wszyscy wylęgali na miasto załatwiając przeróżne sprawy lub ciesząc się piękną pogodą, spacerowali, siadali przed domami i w kawiarniach. Niektóre boczne uliczki robiły na pierwszy rzut oka wrażenie zamieszkanych, bo słońce odbijało się jaskrawo na bruku i na fasadach domów; ale zaraz potem dostrzegało się okna ze spuszczoneymi żaluzjami, drzwi pozamykane na cztery spusty i owo kładące się na kamieniach słońce prawie

przepęniało lękiem; tak samo jak przepęniała lękiem cisza, a w niej głuche dudnienie naszych kroków. Zatrzymywałam się od czasu do czasu, stukałam do drzwi, wołałam, ale nikt się nie pokazał, nikt mi nie odpowiedział. A oto na koniec gospoda „Pod Kogutem”, gdzie na drewnianym szyldzie wymalowany był kogut, wyblakły i zamazany. Drzwi były zamknięte, stare drzwi zielonego koloru, z antycznym zamkiem, z dużą dziurką od klucza. Zajrzałam przez tę dziurkę i w głębi ciemnej izby zobaczyłam okno wychodzące na ogród, pełen światła, gdzie wśród zieleni zwisały czarne kiście winogron. Widać tam było także stolik, oświetlony przez słońce, to wszystko. Tu także nikt się nie odezwał, oberżysta uciekł wraz z innymi.

Tak więc wyglądała prowincja: gorzej od Rzymu. I przypominając sobie moje złudzenia, że znajdę tu wszystko, czego brakło w Rzymie, odwróciłam się i powiedziałam Rosecie: — Wiesz, co ci powiem? Odpoczniemy chwilę, a potem wrócimy na stację i pojedziemy do Rzymu. — Naprawdę chciałam tak zrobić, ale zobaczyłam, że Rosetta wystraszyła się, zapewne na myśl o bombardowaniu. Dodałam więc szybko: — Zanim wyruszymy w drogę powrotną, chcę zrobić jeszcze ostatnią próbę. Tak wygląda Fondi. Spróbujemy zorientować się, jak jest na wsi. Może znajdziemy jakiegoś chłopca, u którego będziemy mogły przenocować. A potem zobaczymy.

Odpoczywałyśmy przez chwilę siedząc na murku, nie odzywając się do siebie, bo dźwięk naszych głosów na tym odludziu napawał nas lękiem. Potem włożyłyśmy walizki na

głowę i wyszliśmy z miasta inną niż przedtem drogą. Maszerowałyśmy szosą około pół godziny w palących promieniach słońca, brnąc w białym, mączystym kurzu, i gdy tylko napotkaliśmy gaje pomarańczowe rosnące po obydwu stronach drogi, skręciłam w pierwszą ścieżkę pomiędzy drzewami. „Dojdziemy tedy do jakiejś wsi — pomyślałam sobie — ścieżka zawsze prowadzi do jakiegoś miejsca zamieszkanego przez ludzi”. Szliśmy teraz w cieniu gęstych drzew pomarańczowych o połyskliwych, nie zakurzonych liściach. Po skwarze panującym na szosie czułyśmy się tutaj jak w raju. W pewnej chwili idąc tą ścieżką, wijącą się między pomarańczami, Rosetta zapytała: — Mamo, kiedy się zbiera pomarańcze? — odpowiedziałam bez zastanowienia: — W listopadzie. Zobaczysz, jakie są słodkie. — Potem zaraz ugryzłam się w język, bo był dopiero koniec września, a ja podkreślałam stale, że wyjeżdżamy z Rzymu najwyżej na dwa tygodnie, chociaż sama w to nie wierzyłam. Zdradziły mnie teraz moje nieopatrzone słowa. Ale ona, na szczęście, nie zwróciła na to uwagi.

Szliśmy dalej tą ścieżką, aż na koniec otworzyła się przed nami niewielka naga płaszczyzna, pośrodku której stał dom, niegdyś zapewne różowy; teraz szedł od wilgoci i starości i miał odrapane ściany. Zewnętrzne schody prowadziły na drugie piętro; znajdował się tam taras z hakowatym sklepieniem, z którego zwisały warkocze pieprzu tureckiego, pomidorów i cebuli. Przed domem na dziedzińcu rozłożony był dywan fig, suszących się na słońcu. Był to zamieszkały chłopski dom.

Istotnie, gospodarz wyszedł z domu, zanim jeszcze zdążyliśmy go zawołać. Domyśliłam się od razu, że schował się gdzieś, by sprawdzić, kto nadchodzi. Był to człowiek już stary i przerażająco chudy, z zaszuszoną twarzą, długim orlim nosem, głęboko osadzonymi oczyma; czoło miał niskie i wyłysiałe. Do złudzenia przypominał sępa. Zapytał z miejsca: — Kto jesteście i czego chcecie? — Trzymał w ręku sierp, jak gdyby chciał się bronić. Ja jednak nie dałam się zbić z tropu, przede wszystkim dlatego, że byłam z Rosettą, a jak wiadomo każdy czuje się silny, kiedy musi bronić słabszego. Odpowiedziałam mu, że nic nie chcemy, że jesteśmy z Lenoli (co nie było kłamstwem, bo urodziłam się w miejscowości położonej niedaleko Lenoli), że przeszliśmy szmat drogi i półżywe jesteśmy ze zmęczenia; podkreśliłam przy tym, że jeśli da nam nocleg, zapłacę mu dobrze, tyle co w hotelu. Słuchał mnie stojąc na środku dziedzińca, szeroko rozkraczwszy nogi; w tych podartych spodniach, wylatanej marynarce i z sierpem w ręku wyglądał naprawdę jak strach na wróble. Miałam wrażenie, iż dotarło do jego świadomości tylko jedno, że dobrze mu zapłacę, i miałam rację, bo jak się potem przekonałam, był to półgłówek, dla którego poza zarobkiem nic nie istniało. Ale nawet zrozumienie własnego interesu było dla niego zagmatwaną sprawą, upłynęło bowiem wiele czasu, zanim zrozumiał, co do niego mówię, i powtarzał w kółko jedno i to samo: — Nie mamy wolnych pokoi, chcesz zapłacić, ale czym chcesz zapłacić? — Nie chciałam wyciągać pieniędzy z wszytej pod spódnicę kieszeni, bo nigdy nic nie wiadomo; w czasie wojny każdy może się stać złodziejem i mordercą, a jemu źle pa-

trzyło z oczu. Tak więc o mało nie wykrzyczałam sobie gardła tłumacząc mu, że może być spokojny, bo na pewno zapłacę, ale moje słowa obijały się jak groch o ścianę. Rosetta zaczęła mnie ciągnąć za rękaw szepcząc, żebyśmy lepiej stąd odeszły, kiedy na szczęście zjawiała się żona, mała, chuda kobietka, o wiele młodsza od niego; miała twarz egzaltowaną i błyszczące oczy. W przeciwieństwie do męża zrozumiała od razu, o co chodzi, i prawie rzuciła mi się na szyję wołając: — Ależ oczywiście, pokój, dlaczegoż by nie? My możemy spać na tarasie albo w szopie na sianie, a tobie odstąpimy nasz pokój. Jest także co jeść, będziesz jadła z nami, zwyczajną wiejską strawę, wiadomo, ale będziesz jadła z nami. — Mąż odsunął się teraz na bok i zerkał na nas ponuro jak chory kurczak, który wybałusza oczy, stroszy pióra i już nawet nie dziobie. Gospodyni ujęła mnie pod rękę i powtarzając: — Chodź, pokażę ci pokój, chodź, dam ci moje łóżko, a my z mężem będziemy spać na tarasie — zewnętrznymi schodami zaprowadziła nas na górę.

Tak zaczął się nasz pobyt u Concetty, bo tak miała na imię ta kobieta. Jej mąż nazywał się Vincenzo i był dwadzieścia lat od niej starszy. Dzierżawił ziemię od pewnego kupca, niejakiego Festa, który teraz, jak wielu innych, uciekł z miasta i mieszkał w domku na szczycie jednej z gór, otaczających dolinę. Nasi gospodarze mieli dwóch synów, Rosaria i Giuseppa; obydwaj mieli czarne włosy, twarze ordynarne i brutalne, małe oczy i niskie czoła. Byli ponurzy i milczący i rzadko kiedy przebywali w domu; ukrywali się, bo kiedy przyszło zawieszenie broni,

obydwaj byli w wojsku i zdezerterowali. Teraz bali się aresztowania, ponieważ patrole faszystowskie krążyły po całej okolicy wyłapując mężczyzn, których potem wysyłano na roboty do Niemiec. Ukrywali się w gajach pomarańczowych zjawiając się tylko na posiłki, podczas których nie odzywali się ani słowem, i zaraz potem znikali jak kamfora. Pomimo że byli dla nas grzeczni, nie znosiłam ich, sama nie wiedząc dlaczego, i często powiadałam sobie, że jestem niesprawiedliwa; potem przyszedł dzień, kiedy zrozumiałam, że nie oszukał mnie mój instynkt i że moja antypatia do nich była usprawiedliwiona. Trzeba wiedzieć, że niedaleko od domu między pomarańczowymi drzewami stał duży, pomalowany na zielono barak z blaszanym dachem. Concetta powiedziała mi, że przechowuje tam pomarańcze, i może nawet zgadzało się to z prawdą. Ale do zbioru pomarańcz było jeszcze daleko, wszystkie dopiero dojrzewały na drzewach, mimo to zauważyłam, że Concetta razem z synami ciągle się kręcą przy tym baraku. Na ogół nie jestem wścibska, lecz kiedy zostałam raz sama z córką w domu tych ludzi, których nie znałam i do których, prawdę mówiąc, nie miałam zaufania, muszę się przyznać, że ogarnęła mnie ciekawość. Tak więc pewnego popołudnia, gdy cała rodzina udała się do baraku, poszłam tam także ja i schowałam się za drzewami. Barak znajdował się na niewielkiej polanie i wyglądał żałośnie, miał zmurszałe ściany, przekrzywiony dach, cud prawdziwy, że nie zawalił się jeszcze. Na środku polany stał zaprzęzony w muła wóz Vincenza, na którym leżał cały stos najrozmaitszych rzeczy: siatki od łóżek, materace, krzeselka,

szafki nocne, tobołki. Duże dwuskrzydłowe drzwi baraku otwarte były na oścież, a dwaj synowie Concetty odwiązywali sznury, którymi te sprzęty przytroczone były do wozu. Vincenzo trzymał się na uboczu; siedział z głupkowatą miną na obalonym pniu drzewa i palił fajkę. Concetta natomiast była w baraku, nie widziałam jej, lecz słyszałam, jak woła: — Prędzej, pośpieszcie się, robi się późno. — Jej synowie, których widywałam zawsze milczących, niezdarnych, jak gdyby wystraszonych, byli teraz jak odmienieni, ożywieni, zręczni, czynni, energiczni. Przyszło mi do głowy, że trzeba widzieć ludzi wtedy, kiedy zajęci są tym, co ich interesuje: chłopów w polu, robotników w fabryce, sklepikarzy w sklepie, a złodziei uwijających się wokół skradzionych rzeczy, bo rzecz oczywista, te statki, krzesła, szafki, materace, tobołki, wszystko było kradzione. Od razu zorientowałam się, że tak jest, a wieczorem potwierdziła mi to sama Concetta, kiedy wzięwszy na odwagę zapytałam ją zniecierpliwiona, czyje są te rzeczy, które składali dzisiaj w baraku. Jej synów nie było już w domu, bo jak zwykle wyszli zaraz po kolacji; w pierwszej chwili Concetta była wyraźnie zmieszana, ale opanowała się zaraz i odpowiedziała mi z właściwą sobie nienaturalną wesołością i entuzjazmem: — Ach, widziałas nas... źle zrobiłaś, żeś nie przyszła nam pomóc. Nie mamy nic do ukrywania, nic a nic. To są rzeczy z jednego domu z Fondi. Jego właściciel biedaczysko, tuła się gdzieś po górach i kto wie, czy w ogóle wróci. Zamiast zostawiać tam te rzeczy, które i tak zostałyby zniszczone przy bombardowaniu, woleliśmy je zabrać. Tym sposobem nie zmarnują się przynajmniej. Jest wojna i

wszystko, na czym się nie położy ręki, przepada, moja droga. A po wojnie ten właściciel każe sobie słono zapłacić za swoje straty rządowi i kupi jeszcze ładniejsze meble. — Muszę przyznać, że byłam zupełnie oszołomiona, a nawet przerażona, bo będąc sklepikarką miałam silnie rozwinięte poczucie własności i zawsze byłam uczciwa. Wiedziałam, że co moje, to moje, a co twoje, to twoje, i że nie wolno mieszać tych pojęć, bo w przeciwnym razie porządek na świecie przewróci się do góry nogami. A tymczasem teraz znalazłam się w domu złodziei; a co najgorsze, ci złodzieje nie potrzebowali się bać niczego, bo w tych okolicach nie istniało już ani prawo, ani policja. I rzeczywiście nie tylko się nie bali, ale chętni byli się tym, że kradną. Oczywiście nie pisnęłam ani słowa, jednakże Concetta musiała się widocznie domyślić, co o tym sędzę bo powiedziała: — Musisz zrozumieć, że zabieramy te rzeczy dlatego, że są właściwie niczyje. Ale jesteśmy uczciwymi ludźmi, Cesiro, i zaraz ci dam na to dowód: zapukaj tutaj. — Wstała i zastukała w ścianę obok kuchennego pieca. Wstałam i zastukałam także: usłyszałam głuchy odgłos, jak gdyby za ścianą znajdowała się próżnia. Zapytałam: — Co tam jest za tą ścianą? — Na to Concetta z entuzjazmem: — Rzeczy pana Festy, prawdziwy skarb, cała wyprawa jego córki i wszystko, co wywieźli z domu: pościel, kołdry, batysty, srebra, porcelana, biżuteria. — Zamieniłam się w słup soli, bo nie spodziewałam się czegoś podobnego, a Concetta mówiła dalej z tym dziwnym entuzjazmem, który nie opuszczał jej nigdy, tłumacząc mi, że Vincenzo i Festa byli, jak się to mówi, spokrewnieni przez

świętego Jana. To znaczy Festa trzymał do chrztu syna Vincenza, a Vincenzo córkę Festy. Tak więc łączył ich święty Jan i stali się jak gdyby krewnymi. Festa ufał świętemu Janowi i zanim schronił się w góry, замуrował swój dobytek w kuchni Vincenza i kazał mu przysiąc, że po skończonej wojnie odda mu go nietknięty. Vincenzo złożył przysięgę. — Te rzeczy Festy są dla nas święte — zakończyła Concetta z takim nabożeństwem, jak gdyby mówiła o Przenajświętszym Sakramencie. — Umarłabym raczej, niż pozwoliłabym sobie cokolwiek ruszyć. Zamurował to wszystko miesiąc temu i wszystko będzie tu leżało do końca wojny. — Lecz ja w dalszym ciągu miałam co do tego wątpliwości; nie przekonało mnie nawet oświadczenie Vincenza, który siedział dotąd w milczeniu i palił fajkę, a teraz powiedział grobowym głosem: — Tak, święte. Niemcy i Włosi będą musieli przejść po moim trupie, zanim ośmielą się tam włamać. — Po tych słowach męża Concetta spojrzała na mnie płonącymi, rozegzaltowanymi oczyma, jak gdyby chciała powiedzieć: — A widzisz? No i co powiesz? Jesteśmy czy nie jesteśmy uczciwi? — Pomimo wszystko nadal czułam się tak, jak gdyby mnie ktoś oblał kubłem zimnej wody, i przypominając sobie, z jakim zapalem synowie moich gospodarzy wyładowywali złodziejskie łupy, pomyślałam sobie: „Baj baju... Kto raz ukradł, kraść będzie zawsze”.

Odkrycie owej kradzieży sprawiło, że zaczęłam przemyśliwać nad opuszczeniem domu Concetty i przeniesieniem się gdzie indziej. Miałam pieniądze ukryte w kieszeni pod spódnicą;

była to duża suma, a my dwie byłyśmy samotnymi, bezbronnymi kobietami. Nie miałyśmy nikogo, kto ująłby się za nami, a poza tym w tych okolicach królowało bezprawie i nie było policjanta ani na lekarstwo. Zamordowanie dwu bezbronych istot i przywłaszczenie sobie ich pieniędzy nie przedstawiałoby najmniejszych trudności. Nigdy wprawdzie nie pokazywałam Concetcie mojej sakiewki, ale wypłacałam jej od czasu do czasu drobne kwoty za pokój i wyżywienie, tak jak było umówione z góry, i moi gospodarze musieli się domyślać, że mam gdzieś schowane pieniądze. Na razie rabowali opuszczone mienie, lecz wcześniej czy później mogli się złakomić na moją własność i kto wie, posunąć się nawet do morderstwa. Obydwaj synowie wyglądali jak bandyci, ojciec jak półgłówek, Concetta była egzaltowaną dziwaczką. Nasza sytuacja niewesoło się przedstawiała. Do Fondi było niedaleko, ale ich dom stał samotnie, na uboczu, ukryty w gajach pomarańczowych i gdyby poderżnięto nam gardła, nikt by się o tym nigdy nie dowiedział. Była to co prawda dobra kryjówka, lecz niestety jedna z tych, gdzie może człowieka spotkać gorsze nieszczęście niż pod gołym niebem w czasie nalotu. Tego samego wieczoru, kiedy kładłyśmy się spać z Rosettą w naszym pokoju, powiedziałam jej: — Trafiłyśmy do rodziny rzezimieszków. Mogą nam nie wyrządzić żadnej krzywdy, ale równie dobrze mogą nas z najzimniejszą krwią ukatrupić i zakopać jak gnój pod drzewami pomarańczowymi. — Nurtował mnie niepokój i powiedziałam to, żeby się wyładować; źle zrobiłam, bo Rosetta, która nie zdążyła jeszcze przyjść do siebie po bombardowaniach w Rzymie, od razu

zaczęła płakać i tuląc się do mnie szeptała: — Mamo, boję się. Czy nie możemy uciec od razu? — Wtedy dorzuciłam szybko, że to tylko moje przywidzenia, że wszystko, co się dzieje, dzieje się na skutek wojny i że Concetta, Vincenzo oraz ich synowie są na pewno porządny ludźmi. Nie wyglądało na to, żeby moje słowa przekonały Rosettę. Powiedziała po chwili: — A ja uważam, że i tak powinniśmy się stąd wyprowadzić... choćby dlatego, że jest nam tutaj tak źle. — Obiecałam jej, że tak zrobimy i to jak najszybciej, bo żyłyśmy tu rzeczywiście w opłakanych warunkach, co do tego Rosetta miała rację.

Teraz, wracając myślą do tego okresu mogę powiedzieć z ręką na sercu, że w czasie całej naszej tułaczki nigdzie nie było nam tak źle jak u Concetty. Odstąpiła nam swoją sypialnię, którą dzieliła z Vincenzem od czasu, gdy się pobrali; ale muszę podkreślić, że choć jestem chłopką tak samo jak ona, jeszcze nigdy w życiu nie widziałam takich brudów. W pokoju był taki smród, że można się było udusić, pomimo że okna stale trzymałam otwarte. Skąd brał się ten odór? Ze stęchlizny, z zastarzałego zjełczałego brudu, do którego dołączył się zapach pluskiew i uryny. Szukając źródła tego smrodu otworzyłam szafki nocne: stały tam dwa wąskie wysokie nocniki bez ucha, z białej porcelany w czerwone kwiaty. Te nocniki jeszcze nigdy nie były myte, tak że lepiej nie opisywać, jak wyglądały, i one przede wszystkim rozsiewały ten wstrętny odór. Wystawiłam je za drzwi i Concetta o mało co nie pobiła mnie za to, mówiąc, że te nocniki dostała od matki, że to rodzinna pamiątka, i nie

rozumie, dlaczego nie chcę ich trzymać w pokoju. Poza tym już pierwsza noc, jaką przespałyśmy na małżeńskim łożu Concetty, stała się istnym piekłem. Materac był cały w dziurach, nierówny, gruzełki włosia kłuły nas niemiłosiernie poprzez cienkie jak papier prześcieradło, sprężyny łóżka skrzypiały przy najmniejszym ruchu, a poza tym czułam, że coś mnie gryzie, tak samo zresztą Rosetta, która nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok. Na koniec zapaliłam świecę i z lichtarzem w ręku obejrzałam łóżko. Zobaczyłam uciekające we wszystkich kierunkach roje pluskiew, ciemnoczerwonych, porozdymanych od naszej krwi, którą wysysały przez kilka godzin. Łóżko było czarne od pluskiew i nie skłamię, jeżeli powiem, że nigdy jeszcze nie widziałam ich tyle naraz. W Rzymie zdarzało mi się czasami znaleźć jedną lub dwie, ale kazałam przerobić materace i nie pokazały się więcej. Tu było ich tysiące, musiały mieć swoje gniazda nie tylko w materacach, ale w zakamarkach drewnianego łóżka i w całym pokoju. Kiedy wstałyśmy następnego ranka, poszłyśmy obydwie przejrzeć się w lustrze: byłyśmy pokryte czerwonymi cętkami na całym ciele, pluskwy pogryzły nas wszędzie i wyglądałyśmy jak zarażone jakąś paskudną chorobą skórną. Zawołałam Concettę i pokazałam jej siedzącą nago na łożku Rosettę, która cicho płakała. Powiedziałam, że to wstyd spać razem z pluskwami. Odpowiedziała mi ze zwykłą egzaltacją: — Masz rację, to wstyd, to nieprzyzwoitość, sama wiem, że pluskwy są wstrętne. Ale my jesteśmy biednymi ludźmi ze wsi, a ty panią z miasta: dla nas pluskwy, dla ciebie atlasowe prześcieradła. — Entuzjastycznie przyznawała mi

rację, ale w dziwny sposób, jak gdyby pokpiwała sobie ze mnie. I rzeczywiście zakończyła tę rozmowę w sposób całkiem nieoczekiwany, mówiąc, że pluskwa jest też stworzeniem boskim i skoro Pan Bóg ją stworzył, to miał w tym najwidoczniej jakiś cel. Powiedziałam jej, że od dzisiaj będziemy spały w szopie; moi gospodarze przechowywali tam siano dla muła. Siano kłuło nas i może tam także były jakieś insekty, ale niewinne, takie, które co najwyżej przechodzą po ciele i łaskoczą, lecz nie piją krwi. Zdawałam sobie jednak sprawę, że nie wytrzymamy długo takiej poniewierki.

W tym domu wszystko było obrzydliwe; nie tylko spanie, ale również jedzenie. Concetta było niechlujna, brudna, niedbała, robiła wszystko naprędce. Jej kuchnia wyglądała jak czarna nora, po której walały się oblepione warstwą kurzu talerze i garnki. Nigdy nie było tam wody, niczego się nie zmywało i pitrasilo byle jak. Concetta gotowała codziennie tę samą zupę, którą w Ciociarii nazywają „minestrina” i którą przyrządza się w następujący sposób: kraje się cienko chleb i układa się te kromeczki, jedną na drugiej, w glinianym garnku aż po brzegi. Potem zalewa się chleb rozgotowaną fasolą. To danie jada się na zimno, kiedy z chleba nasiąkniętego wywarem fasolowym zrobi się papka. Nigdy nie byłam amatorką owej potrawy, ale na widok minestriny ugotowanej przez Concettę po prostu zbierało mi się na wymioty, bo zawsze znajdowałam w niej muchy, a poza tym Concetta nie umiała smacznie przyrządzić nawet tego najprostszego dania. Także sposób

jedzenia w tym domu budził wstręt; każdy sięgał swoją łyżką do wspólnego garnka, oblizywał ją i znowu nabierał nią minestrinę, nigdy nie używano talerzy. Doprawdy nie do uwierzenia! Pewnego dnia zrobiłam uwagę na temat much, poprzyklepianych do chleba i fasoli, a ona odpowiedziała mi: — Jedz, jedz. A cóż to takiego mucha? Mięso jak każde inne, nie gorsze od cielęciny. — Na koniec widząc, że Rosetta nie może już jeść tego świństwa, zaczęłam wychodzić razem z Concetta po zakupy na szosę. Tam odbywał się teraz targ, nie w mieście, gdzie na skutek nalotów i rekwirowania towarów przez faszystów nikt nie czuł się bezpieczny. Na szosie spotykało się wieśniaczki, sprzedające świeże jajka, owoce, mięso, a czasem nawet ryby. Zdierały skórę z klientów, a kiedy ktoś próbował się z nimi targować, odpowiadały: — Dobrze, ty zjesz sobie swoje pieniądze, a ja jajka. — Jednym słowem i one wiedziały, że panuje głód i że w okresie głodu pieniądze tracą wartość. Co było robić, miałam nóż na gardle i stale musiałam coś kupować; wypadało mi także częstować moich gospodarzy i skutek był taki, że pieniądze płynęły jak woda, co stało się dodatkową przyczyną mojego niepokoju.

Chciałyśmy się przenieść gdzie indziej, ale gdzie? Pewnego dnia powiedziałam Concettie, że skoro Anglicy nie nadchodzą, byłby już czas wybrać się na wieś do rodziców, wozem czy choćby nawet piechotą, i tam przeczekać aż do końca wojny. Entuzjastycznie przyznała mi rację: — Ależ oczywiście, że tak będzie najlepiej! Każdy czuje się dobrze tylko we własnym

domu. Kto może zastąpić matkę? Dobrze robisz, tu nic ci się nie podoba, gryzą cię pluskwami, minestrina jest niesmaczna, ale u rodziców z tymi samymi pluskwami, z tą samą minestriną będzie ci jak w raju. Dlaczegoż by nie? Jutro rano Rosario zawiezie was tam wozem, zrobicie piękną przejażdżkę. — Zadowolone i pełne nadziei, czekałyśmy następnego dnia na powrót Rosaria, który przyjechał wprawdzie wozem zaprzężonym w muła, ale przywiózł jak najgorsze wiadomości. Niemcy wyłapywali mężczyzn, faszyci aresztowali każdego, kto ośmielił się pokazywać na szosie. Anglicy zrzucali bomby, Amerykanie lądowali na spadochronach; wszędzie dokoła panował głód i wybuchały zamieszki, w najbliższym czasie Niemcy mieli wypowiedzieć bitwę Anglikom właśnie w tych okolicach, gdzie mieszkali moi rodzice; na razie — były to wiadomości z komendy niemieckiej — wywieziono stamtąd całą ludność do obozu koncentracyjnego we Frosinone. Rosario mówił także, że nawet boczne drogi nie były bezpieczne, bo samoloty obniżały lot i ostrzeliwały ludzi bez miłosierdzia, dopóki nie powybijały wszystkich co do nogi: przejścia przez góry roiły się od dezerterów i bandytów, dla których fraszką było zamordowanie człowieka. Jednym słowem doradzał nam, żebyśmy czekały tutaj na przyście Anglików, co było zresztą kwestią kilku dni; armia aliancka posuwała się naprzód i powinna była dotrzeć tutaj nie później niż za tydzień. Niektóre z tych wiadomości były prawdziwe, inne fałszywe, ale tak ze sobą pomieszane, że nawet te fałszywe wyglądały na prawdziwe. To, że ostrzeliwano drogi i bombardowano miasta, zgadzało się z prawdą, natomiast

nieprawdą było, że przygotowywano wielką bitwę w moich rodzinnych stronach i że wywieziono stamtąd całą ludność. Ale my, wystraszone i zdane wyłącznie na te informacje, nie zdawałyśmy sobie sprawy, że Rosario obsypuje nas owymi hiobowymi wieściami tylko dlatego, żeby zatrzymać nas w domu rodziców i dalej ciągnąć z nas zyski. Z drugiej strony czasy były naprawdę ciężkie, a ja, mając córkę, nie mogłam ryzykować narażania jej choćby na jedną setną tych niebezpieczeństw, o których nam opowiadał. Tak więc zdecydowałam się odłożyć na czas nieograniczony wyjazd do rodzinnej wsi i czekać w okolicy Fondi na przyjście aliantów.

Należało jednakże, pomimo wszystko, opuścić jak najprędzej dom Concetty, bo na tym odludziu, między gajami pomarańczowymi, wszystko mogło się zdarzyć; z biegiem czasu synowie Concetty napawali mnie coraz większym lękiem. Wspomniałam już, że na ogół byli milczący, ale kiedy zaczynali mówić, wzbudzali jeszcze mniej zaufania. Potrafili na przykład opowiadać żartobliwym tonem takie rzeczy: — W Albanii w pewnej wsi zaczęli do nas strzelać i mieliśmy dwóch rannych. I wiecie, jak żeśmy ich pomścili? Ponieważ wszyscy mężczyźni uciekli, wybraliśmy sobie najładniejsze kobiety i zgwałciliśmy je wszystkie bez wyjątku... Jedne przystały na to z ochotą, kurwy, czekały tylko na tę okazję, żeby przyprawić rogi swoim mężom, inne brałyśmy siłą... niektóre tak żeśmy wymaglowali, że słaniały się na nogach i wyglądały, jak gdyby już wyzionęły ducha. — Ja drętwiałam słuchając tych opowieści, ale Concetta śmiała się i

powtarzała: — Co tam, są młodzi. Wiadomo, że młodym chłopcom podobają się dziewczęta; mają gorącą krew te chłopaki. — Mniejsza o mnie, ale Rosetta zaraz robiła się blada jak chusta i cała się trzęsła. Tak że pewnego dnia zwróciłam uwagę: — Dajże spokój, przecież jest tutaj moja córka. Nie mówi się takich rzeczy przy panienkach. — Wolałabym, żeby protestowali czy nawet obsypywali mnie wyzwiskami; oni natomiast nic nie odpowiedzieli, tylko zaczęli lustrować Rosettę od stóp do głów tymi oczyma błyszczącymi jak węgle, oczyma, które budziły lęk, podczas gdy Concetta powtarzała: — Młodzi, wiadomo, chłopaki z gorącą krwią. Ale ty, Cesiro, nie potrzebujesz obawiać się o swoją córkę. Moi synowie nie tknęliby jej za żadne skarby świata. Jesteście naszymi gośćmi, a gość to świętość. Twoja córka bezpieczna jest tutaj jak w kościele. — A tymczasem milczenie synów i egzaltacja matki zwiększały jeszcze mój niepokój. Byłam zadowolona, że zaopatrzyłam się kilka dni temu w sprężynowy nóż, który kupiłam od pewnego chłopca i nosiłam zawsze w kieszeni pod spódnicą wraz z pieniędzmi. Nigdy nic nie wiadomo, gdyby przyszło im do głowy jakieś szelmstwo, najpierw mieliby ze mną do czynienia, a ja byłabym zdolna nawet poderżnąć im gardła.

W kilka tygodni po naszym przyjeździe zaszedł fakt, który skłonił nas ostatecznie do opuszczenia tego domu. Pewnego ranka siedziałyśmy obydwie z Rosettą na podwórzu, zajęte obieraniem kaczanów kukurydzy — ot, tak dla zabicia czasu — kiedy na ścieżce ukazało się dwóch mężczyzn. Od razu

domyśliłam się, kto to taki, nie tylko dlatego, że mieli czarne koszule i karabiny przewieszane przez ramię, ale także i z tego powodu, że Rosario, który jadł nie opodał chleb z cebulą, czmychnął w jednej chwili między drzewa pomarańczowe. Powiedziałam cicho do Rosetty: — To faszyci, nie odzywaj się ani słowem, sama dam sobie z nimi radę. — Tych nowych faszystów, świeżo upieczonych po dwudziestym piątym lipca, dobrze znałam, bo spotykałam się z nimi w Rzymie. Były to typy spod ciemnej gwiazdy, włóczykije, którzy dla interesu włożyli czarne koszule wtedy, gdy uczciwi ludzie nie chcieli już ich nosić, ale były to przeważnie chłopcy rosłe niczym dęby, jakich spotyka się wielu na Zatybrzu. Ci dwaj natomiast wyglądali jak chuchra i jak śledzie i pewnie sami bali się tych karabinów, którymi mieli straszyć innych. Jeden z nich był cały pokręcony, łysy, z twarzą pomarszczoną jak suchy kasztan; ramiona miał tak wąskie, że litość brała patrzeć, oczy podkrążone, nos zadarty i długą brodę; drugi wyglądał na karła z twarzą profesora, okrągłą, poważną, w okularach. Concetta, która od razu zeszła na dół, przywitała tego pierwszego malowniczym przewiskiem: — Czego szukasz w tych stronach, Małpiszonie? — Małpiszon, ten łysy i chuderławy, odpowiedział butnie, kołyszając się na nogach i poklepując kolbę karabinu: — Kumo Concetto, kumo Concetto, nie udawajcie niewiniątka. Wiecie, czego szukamy. Wy wiecie o tym najlepiej. — Słowo honoru, że nie rozumiem! Chcesz wina? Chcesz chleba? Chleba mamy mało, ale mogę ci dać flaszkę wina i trochę suszonych fig. Wiejskie specjały, wiadomo. — Chytra z was niewiasta, kumo

Concetto, ale trafiła kosa na kamień: mnie nie przechytrzycie. — Co ty pleciesz, Małpiszonie? Ja miałabym być chytra? — Chytra jesteś i ty, i twój mąż, ale twoi synalkowie są jeszcze bardziej szczwani. — Moi synowie? A kto ich widział, tych moich synów? Sama już nie pamiętam, od kiedy ich tu nie ma. Moi synowie są w Albanii. Biedni moi synowie są w Albanii i walczą za Króla i za Mussoliniego, niech Bóg ma ich w swojej opiece! Oby zdrowo i cało powrócili! — Jaki znowu król, jaki znowu król, mamy republikę, Concetto. — No, to niech żyje republika. — A twoi synowie nie są w Albanii, tylko tutaj. — Tutaj? Och, gdyby to było prawdą! — Tak, są tutaj i nie dalej jak wczoraj widziano ich handlujących na drodze do Cocoruzzo. — Co ty opowiadasz, Małpiszonie? Moi synowie tutaj? Chciałabym, żeby tak było naprawdę, wyściskałabym ich, wycalowała, wiedziałabym, że nic im już nie grozi, ja, która płaczę co noc i przechodzę gorsze katusze niż Madonna od Siedmiu Boleści. — Przestań bzdurzyć i powiedz, gdzie oni są. — A skąd ja mogę wiedzieć? Mogę ci dać wina, mogę ci dać suszonych fig i trochę żółtej mąki, choć mam jej niewiele, ale jak mogę ci dać moich synów, skoro ich tu nie ma? — No, zobaczymy na razie, jak wygląda to wino.

Usiedli przed domem na dwóch krzeselkach. Concetta, jak zwykle rozentuzjasmowana, przyniosła butelkę wina, szklanki i koszyczek pełen suszonych fig. Małpiszon, który usiadł okrakiem na krześle, napił się wina, a potem powiedział: — Twoi synowie są dezerterami. A wiesz, jaki wydano dekret na

dezertków? Jeśli ich złapiemy, musimy ich rozstrzelać. Takie jest prawo. — A ona z zadowoleniem: — Macie rację, dezertkom należy się kula w łeb... łajdaki... trzeba ich wszystkich rozstrzelać. Ale moi synowie nie są dezertkami, Małpiszonie. — A czym są w takim razie? — Są żołnierzami. Walczą za króla i Mussoliniego, oby Bóg pozwolił im dożyć stu lat. — Pewnie handlując na czarnym rynku, co? — Chcesz jeszcze wina? — Jednym słowem, kiedy nie znajdowała odpowiedzi, częstowała ich winem, a ci dwaj, którzy przyszli tu przede wszystkim na wino, nie odmawiali i pili.

My siedziałyśmy nieco dalej, na schodkach. Małpiszon pił i nie odrywał wzroku od Rosetty; i nie patrzył na nią jak policjant, który myśli o tym, czy dokumenty są w porządku; patrzył na jej nogi, na jej biust, tak jak patrzy mężczyzna na ładną kobietę, która rozpala mu krew w żyłach. Na koniec zapytał Concetty: — A te dwie, co to za jedne?

Szybko odpowiedziałam za Concettę, bo nie chciałam, żeby ci faszyści dowiedzieli się, że jesteśmy z Rzymu. — Jesteśmy spokrewnione z Concettą, przyjechałyśmy z Vallecorsa. — Concetta przytaknęła z entuzjazmem: — Tak, oczywiście, to moje kuzynki, Cesira jest córką mojego wuja, to moja krew, moja, przyjechały do mnie w odwiedziny, wiadomo, krew nie woda.

Ale Małpiszon nie zdawał się przekonany. Widocznie był inteligentniejszy, niż na to wyglądał: — Nie wiedziałem, że

masz rodzinę w Vallecorsa. Mówiłaś mi zawsze, że pochodzisz z Minturno. A jak ma na imię ta śliczna dziewczyna?

— Ma na imię Rosetta — powiedziałam.

Wypróżnił do dna szklanekę, wstał i podszedł do nas: — Podobasz mi się, Rosetto. Potrzebujemy właśnie służącej w koszarach, która gotowałaby nam i słała łóżka. Chcesz iść z nami, Rosetto? — Mówiąc to wyciągnął rękę i ujął Rosettę pod brodę. Uderzyłam go od razu po rękę, wołając: — Ręce przy sobie.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczyma, udając, że się dziwi. — Co się stało? O co ci chodzi?

— Chodzi mi o to, żebyś nie dotykał mojej córki!

Z bezczelną miną zdjął z ramienia karabin i przytykając mi lufę do piersi, wycedził: — Czy wiesz, z kim mówisz? Ręce do góry!

A ja, spokojnie, jak gdyby mierzył we mnie nie z karabinu, lecz z patyka, odsunęłam nieco lufę i powiedziałam wzgardliwie: — Ręce do góry? Jeszcze czego! Wiesz, do czego ci służy ten karabin? Do tego, żeby wypijać cudze wino i podbierać suszone figi. Zaraz widać, że jesteś głodomorem i tyle.

On, co najdziwniejsze, uspokoił się od razu i śmiejąc się powiedział do swego towarzysza: — Zasłużyła co najmniej na rozstrzelanie, jak sądzisz? — Ale tamten potrząsnął głową

przecząco i mruknął coś w rodzaju: — Daj spokój, przecież to kobieta, wiesz, jakie są kobiety. — Wtedy Małpizzon opuścił karabin i powiedział pompatycznie: — Tym razem daruję ci, ale wiedz, że byłaś o krok od śmierci: kto podnosi rękę na milicję, kula w łeb. — To zdanie wypisane było na murach w Rzymie, a także i w Fondi, i ten głupiec nauczył się go na pamięć. Dorzucił po chwili: — Ale żebyś wiedziała, że masz nam przysłać swoją córkę, jako służącą, do koszar w Cameruzzo. — Odpowiedziałam: — Możesz sobie ostrzyć zęby na moją córkę, ile ci się tylko podoba. Ani mi się śni wysłać ją do was. — Wtedy zwrócił się do Concetty: — Zrobimy wymianę, Concetto: nie będziemy więcej szukać twoich synów, którzy są tutaj, a wiesz dobrze, że gdybyśmy naprawdę zaczęli ich ścigać, tobyśmy ich złapali. A ty przyslesz nam za to swoją kuzyneczkę. Zgoda? — Ta łajdaczka Concetta, zawsze tym entuzjastyczniej nastrojona, im bardziej zbrodnicze podsuwano jej plany, odpowiedziała radośnie: — Ależ oczywiście, jutro skoro świt Rosetta stawi się u was. Sama ją przyprowadzę, możecie być spokojni. Będzie wam gotować, sprzątać i robić, co tylko zechcecie. Oczywiście, jutro rano wam ją przyprowadzę. — Tym razem, choć krew burzyła się we mnie, byłam przezorna i nie pisnęłam słowa. Ci dwaj hultaje siedzieli jeszcze jakiś czas, wypili kilka szklanek wina, a potem jeden z koszykiem fig, a drugi z butelką pod pachą odeszli tą samą dróżką, którą przyszli.

Zaledwie zniknęli nam z oczu, od razu powiedziałam Concetcie: — Oszalałaś chyba! Prędzej zabiłabym moją córkę, niż pozwoliłabym na to, żeby usługiwała faszystom.

Powiedziałam to raczej spokojnie, bo miałam nadzieję, że Concetta wyraziła zgodę tylko pozornie, by nie drażnić tych dwóch faszystów i jak najszybciej się ich pozbyć. Słabo mi się zrobiło, kiedy usłyszałam, że nie jest bynajmniej oburzona ich propozycją: — Przecież nie zjedzą ci Rosetty. A faszyści, moja kumo, mają wszystkiego w bród: mają wino, mają zboże, mają mięso, mają fasolę. W koszarach jedzą codziennie łazanki i cielęcinę. Rosetta czułaby się tam jak królowa.

— Co ty opowiadasz? Zwariowałaś?

— Nic nie mówię, mówię tylko, że jest wojna, a podczas wojny nie wolno narażać się tym, którzy są silniejsi. Dzisiaj silniejsi są faszyści i trzeba się z nimi trzymać. Jutro będą może Anglicy, to przejdziemy na stronę Anglików.

— Czy nie rozumiesz, dlaczego zachciewa im się Rosetty? Nie widziałaś, że ten obwieś przez cały czas patrzył na jej piersi?

— A cóż to takiego! I tak prędzej czy później będzie miała jakiegoś mężczyznę. Co to takiego? Jest wojna, a jak wiadomo, podczas wojny kobiety nie powinny przebierać ani oczekiwać szacunku jak w pokojowych czasach. A poza tym pies, który szczeka, nie gryzie, moja kumo. Znam dobrze Małpizona: on myśli przede wszystkim o tym, żeby napchać sobie brzuch. —

Jednym słowem było jasne, że wzięła na serio propozycję Małpiszona: ty mi dasz Rosettę, a ja zostawię w spokoju twoich synów. I nie powiem nawet, żeby nie miała słuszności ze swego punktu widzenia: gdyby Rosetta została służącą — żeby nie użyć gorszego słowa — faszystów, ci dwaj hultaje, jej synowie, mogliby spać spokojnie pod rodzinnym dachem i nikt by ich już nie ścigał. Ale zapłatą za ich wolność miała być moja córka: będąc także matką, zrozumiałam, że z miłości do synów byłaby zdolna sprowadzić pewnego pięknego dnia faszystów i oddać w ich ręce Rosettę. Nie warto było nawet protestować, należało uciekać. Tak więc nagle zmieniłam ton i powiedziałam spokojnie: — Muszę się nad tym zastanowić. To prawda, co mówisz, że Rosetta czułaby się tam jak królowa, ale pomimo to nie chciałabym...

— Głupstwo, moja kumo. Trzeba trzymać z silniejszymi. Jest wojna.

— Zdecydujemy wieczorem.

— Namyśl się, namyśl. Nie ma pośpiechu. Znam tych faszystów, powiem im, że Rosetta przyjdzie za kilka dni. Poczekają. Weź pod uwagę, że niczego ci nie zabraknie. Faszyści mają wszystko, mają wino, mają oliwę, mają wieprze, mają mąkę... nic nie robią tylko jedzą i piją. Przytyjecie, będzie wam dobrze.

— Oczywiście, oczywiście.

— To Opatrzność, Cesiro, zesłała tych faszystów, bo powiedziawszy prawdę, Cesiro nie mogłabym was dłużej u siebie gościć. Płaciecie mi, ale kiedy panuje głód, zapasy mają większą wartość niż pieniądze. A poza tym moi synowie nie mogą już dłużej prowadzić takiego życia tułając się jak Cyganie. Teraz będą mogli mieć spokój, spać i pracować. Tak, doprawdy, że Opatrzność zesłała nam tych faszystów.

Jak widać, była zdecydowana poświęcić Rosettę. A ja byłam zdecydowana uciec jeszcze tej nocy. Wieczерę zjedliśmy we czwórkę, my dwie, Vincenzo i Concetta, bo ich synowie byli w Fondi. Gdy tylko znalazłyśmy się w szopie, od razu powiedziałam Rosettcie: — Nie myśl, że zgodziłam się z Concettą. Udawałam tylko, bo z takimi ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Spakujemy się teraz i wyruszymy o świcie.

— Ale dokąd pójdziemy, mamó? — zapytała płaczliwym głosem.

— Musimy się wyrwać z tego złodziejskiego gniazda. Pójdziemy, dokąd nas oczy poniosą.

— Ale dokąd?

Myślałam już nieraz o tej ucieczce i ułożyłam sobie wszystko z góry. Powiedziałam jej: — Nie możemy iść do dziadków, bo Niemcy wywieźli ludzi z tamtych okolic i Bóg jeden wie, co się z nimi stało; pójdziemy najpierw do Tomasina, to porządny człowiek, i zapytamy go o radę. Opowiadał

mi często o swoim bracie, który mieszka w górach z całą rodziną i dobrze mu się tam wiedzie. Będzie mógł wskazać nam drogę. Nic się nie bój, jest przy tobie matka, która cię kocha ponad wszystko. Poza tym mamy pieniądze, które są najlepszymi przyjaciółmi, jedynymi, na których zawsze można liczyć. Na pewno znajdziemy dach nad głową. — Jednym słowem pocieszyłam ją: ona także знаła Tommasina, przyrodniego brata Festy, tego kupca, od którego dzierżawił ziemię Vincenzo. Tommasino był handlarzem i, choć tchórzem podszyty, nie umiał się zdecydować na ucieczkę w góry i połączenie z rodziną, bo pochłonął go bez reszty handel na czarnym rynku. Mieszkał w małym domku na krańcu doliny u stóp gór; zarabiał dobrze, ale z narażeniem życia, bo przeprowadzał swoje interesy pod gradem bomb i kulek karabinowych, wśród faszystowskich łapanek i niemieckich rekwizycji. Ale, jak wiadomo, dla pieniędzy nawet tchórze stają się odważni i tak było także w wypadku Tommasina.

Tak więc, przy świetle świecy, ułożyliśmy w walizkach te rzeczy, nieliczne zresztą, które wypakowałyśmy w czasie naszego pobytu, u Concetty; potem jak stałyśmy, w ubraniu, rzuciłyśmy się na siano i spałyśmy około czterech godzin. Rosetta chętnie spałaby dłużej, była młoda i miała tak twarde sen, że nie obudziłaby jej nawet grająca nad uchem orkiestra wiejska. Ja natomiast spałam lekko i mało — zwłaszcza od czasu naszej ucieczki z Rzymu, na skutek zmartwień i zdenerwowania. Tak więc, gdy tuż przed świtem dało się słyszeć

pianie kogutów, najpierw dalekie, gdzieś w dolinie, a potem tuż obok w kurniku Vincenza, zerwałam się z posłania i zaczęłam potrząsać Rosettą. Mówię: zaczęłam, bo trwało to dość długo, Rosetta nie chciała się zbudzić, choć powtarzała płaczliwie, na wpół we śnie, na wpół na jawie: — Co się stało? Co się stało? — Wyglądało to tak, jak gdyby zapomniała, że znajdujemy się w Fondi, w domu Concetty, i myślała, że jesteśmy w Rzymie, gdzie nie wstawaliśmy nigdy przed siódmą z rana. Na koniec rozbudziła się, ale narzekała dalej; powiedziałam jej: — Wolałabyś może spać do południa, żeby cię potem obudził faszysta w czarnej koszuli? — Zanim wyszliśmy z szopy, wyjrzałam ostrożnie przez drzwi i spojrzałam na podwórko. Leżały tam suszące się na ziemi figi, stało krzeselko, na którym Concetta zostawiła koszyk z kukurydzą, ale nie było żywej duszy. Ułożyłam więc sobie walizki na głowie, pomogłam Rosetce zrobić to samo, tak jak po przyjeździe na stację Monte San Biaggio, po czym wyszliśmy z szopy i szybko pobiegliśmy na ścieżkę, wiodącą do pomarańczowego gaju. Wiedziałam, dokąd mamy iść, i kiedy tylko znalazłyśmy się na szosie, skierowałam się ku górcom, które leżą na północ od doliny, Fondi. Zaledwie świtało i przypomniał mi się ów świt w domu, kiedy uciekałam z Rzymu. Pomyślałam sobie: „Kto wie, ile jeszcze zobaczę takich świtów, zanim wrócę do domu”. Nad całą doliną unosiła się sinoszara, jak gdyby sztuczna mgiełka; niebo było białawego koloru i widniały na nim gdzieniegdzie żółte gwiazdy, jak gdyby nie wschodził dzień, ale znów zapadała noc, mniej czarna niż poprzednia; rosa pokrywała drzewa smutne i

nieruchome, wilgotna szosa ziębiła moje bose stopy. Wszędzie dokoła panowała cisza, ale także inna niż w nocy; pełna suchych trzasków, szelestów, szumu skrzydeł: powoli budziła się wieś. Szłam przed Rosettą i patrzyłam na wyrastające dokoła ku niebu góry; góry nagie, monotonne, na których z rzadka tylko odcinała się jakaś ciemniejsza plama i które wyglądały jak wymarłe. Ale ja, rodowita góralka, wiedziałam, że skoro tylko znajdziemy się tam w górze, napotkamy uprawne pola, lasy, kępy krzaków, domki, chałupy, chłopów i uciekinierów z miast. Pomyślałam sobie, że tyle jeszcze rzeczy dziać się będzie w tych górach, i pragnęłam, aby to były rzeczy dobre i abym napotkała tam uczciwych ludzi, a nie takich łajdaków jak Concetta i cała jej rodzina. A przede wszystkim, żebyśmy mogły jak najkrócej tam przebywać, żeby szybko zjawili się Anglicy, żebym jak najprędzej wróciła do Rzymu, do sklepu i mieszkania. Tymczasem wzeszło już słońce, lecz kryło się jeszcze za krawędzią gór; szczyty i całe niebo dokoła nich płonęły różowym blaskiem. Zatarły się gwiazdy na niebie, które stało się bladoniebieskie, po czym nagle wyskoczyło słońce przeświecając jak złoty krążek przez szare konary drzew oliwnych; jego promienie kładły się długimi smugami na drodze i choć nie grzały jeszcze, wydało mi się od razu, że żwir pod moimi stopami nie jest już taki zimny. Rozweselona widokiem słońca, powiedziałam Rosetcie: — I kto by powiedział, że jest wojna, tu człowiek całkiem o niej zapomina. — Rosetta nie miała nawet czasu mi odpowiedzieć, bo od strony morza ukazał się samolot, który leciał z zawrotną szybkością. Najpierw dał się słyszeć huk motorów, który stawał

się coraz potężniejszy, a kiedy go zobaczyłam, już pikował na nas z nieba. Ledwie zdążyłam chwycić Rosettę za ramię i uskoczyć z nią za rów na pole kukurydzy, gdzie rzuciłyśmy się na ziemię. Samolot, lecący nisko wzdłuż drogi, minął nas z tak ogłuszającym, a przy tym wściekłym, rozsierdzonym hałasem, jak gdyby wziął się właśnie na nas; potem, puszczając za sobą dym, wzniósł się ponad topole, którymi wysadzana była droga, i oddalał się lecąc wzdłuż łańcucha gór, na połowie ich wysokości. Z daleka, w promieniach słońca, wyglądał jak mucha. Leżałam na brzuchu, kurczowo tuląc do siebie Rosettę, ale cały czas patrzyłam na drogę, gdzie została mała walizeczka, która spadła Rosetcie z głowy, kiedy szarpnęłam ją za rękę. W momencie gdy samolot przelatywał nad drogą, zobaczyłam unoszące się nad zwirem maleńkie obłoczki kurzu, które potem rozplynęły się w powietrzu. Wreszcie hałas umilkł, wyszłam więc z powrotem na drogę i zobaczyłam wtedy, że walizka była podziurawiona w wielu miejscach, a na ziemi leżały ołowiane długie na palec kule. Tak więc nie było wątpliwości: ten samolot celował w nas, bo my tylko byliśmy na drodze. Pomyślałam: „A żebyś szczęśli!” i nagle ogarnął mnie bunt przeciwko wojnie: ten lotnik nie znał nas, był może dzielnym chłopcem w wieku Rosetty, i tylko dlatego, że była wojna, próbował nas zabić, ot tak sobie, dla zabawy, jak myśliwy, który idąc z psem przez las, strzela na chybił trafił w gęstwiny drzew, myśląc sobie: Na pewno coś upoluję, choćby wróbla. Tak, byliśmy jak dwa wróble, do których mierzy znudzony myśliwy, i jeśli nawet trafi, zostawia je tam, gdzie padną, bo nie warto mu się nawet po nie

schylać. — Mamo — powiedziała Rosetta, kiedy już ruszyliśmy w dalszą drogę — mówiłaś, że na wsi można zapomnieć o wojnie, a tymczasem ten lotnik chciał nas zabić. — Odpowiedziałam jej: — Pomyliłam się córuchno. Wojna jest wszędzie, zarówno na wsi, jak i w mieście.

ROZDZIAŁ III

Mniej więcej po półgodzinnym marszu znalazłyśmy się na rozstaju dróg: na prawo był most przerzucony nad wodospadem, a za mostem biały domek, gdzie mieszkał Tommasino. Schodząc z mostu zobaczyłam klęczącą na przybrzeżnych kamieniach kobietę, która prała bieliznę w rozlewisku potoku. Zawołałam do niej: — Czy tu mieszka Tommasino? — Wyżymając upraną sztukę bielizny, odpowiedziała: — Tak, mieszka tutaj, ale nie ma go teraz w domu. Poszedł z samego rana do Fondi. — A wróci? — Tak, wróci. — Nie pozostawało więc nic innego jak czekać; usiadłyśmy na stojącej u wylotu mostu kamiennej ławce. Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu na słońcu, które świeciło coraz jaśniej i coraz silniej dogrzewało, po czym Rosetta zapytała: — Czy myślisz, mamó, że Annina troskliwie zaopiekuje się Kłębuszkiem i że zastanę go zdrowego po powrocie do Rzymu? — Byłam całkiem gdzie indziej myślami i w pierwszej chwili nie zorientowałam się, o co jej chodzi. Potem przypomniałam sobie, że Annina jest dozorczynią w kamienicy sąsiadującej z naszą w Rzymie, a Kłębuszek to kot, ulubieniec Rosetty, którego zostawiła właśnie u Anniny. Zapewniałam Rosettę, że kot jeszcze wyładnieje i przytyje, choćby dlatego, że Annina ma brata rzeźnika i nawet podczas głodu nie zabraknie jej mięsa. Moje słowa pocieszyły ją i zamilkła przymykając oczy w słońcu.

Przytoczyłam owo naiwne pytanie, które Rosetta zadała mi w tak krytycznej chwili, aby posłużyło ona jako przykład, że moja córka pomimo skończonych osiemnastu lat była jeszcze bardzo dziecinna. Nie miałyśmy jeszcze nic w ustach, nie wiedziałyśmy, gdzie przyjdzie nam spać tej nocy, a ona troszczyła się o kota.

Wreszcie na drodze ukazał się mężczyzna; idąc jadł pomarańcze. Od razu poznałam, że to Tommasino, który wyglądał jak Żyd z getta: miał podłużną twarz, nie goloną co najmniej od tygodnia brodę, garbaty nos i wyłupiaste oczy; powłóczył nogami, a stopy stawiał piętami do siebie i palcami na zewnątrz. On także mnie poznał, bo przez te dwa tygodnie byłam jego klientką, zaopatrywałam się u niego w żywność. Pomimo to nie odpowiedział z daleka na moje powitanie, szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, zjadając pomarańcze. Kiedy się zbliżył, od razu przystąpiłam do rzeczy: — Tommasino, opuściłyśmy dom Concetty i musisz nam pomóc, bo nie wiemy, gdzie się schronić. — Stał wtedy przy balustradzie mostu, oparł nogę o murek i nadgryzł drugą pomarańczę, którą wyjął z kieszeni, wypluwając mi skórkę prosto w twarz. Potem powiedział: — Łatwo powiedzieć. W tych czasach każdy sobie rzepkę skrobie i tylko Bóg ma wszystkich w swojej pieczy. W czym zresztą mógłbym ci pomóc? — Odrzekłam na to: — Czy znasz jakichś chłopów mieszkających w górach, którzy mogliby przyjąć nas do siebie na pewien czas, to znaczy do czasu przyjscia Anglików? — A on: — Nie znam nikogo, a przy tym obilo mi się o uszy, że pełno

tam uciekinierów. Ale możecie spróbować... w górach zawsze znajdzie się jakieś schronienie, jakiś szałas, jakaś szopa... — Odpowiedziałam: — Nie, nie pójdę w góry na ślepo. Masz tam brata, znasz różnych ludzi. Musisz mnie do kogoś skierować. — Wypluwając mi w twarz drugą skórkę, powiedział: — A wiesz, co ja bym zrobił na twoim miejscu? — Co? — Wróciłbym do Rzymu. Oto, co bym zrobił.

Zrozumiałam, że Tommasino jest głuchy na moje prośby, bo uważa nas za nędzarki; zawsze chodziło mu tylko o pieniądze i nigdy nie kiwnął palcem, jeśli nie widział w czymś własnego interesu. Jak dotąd nie zdradzałam się przed nim, że jestem w posiadaniu większej gotówki, ale teraz przyszedł moment, żeby mu to powiedzieć. Mogłam mieć do niego zaufanie, bo był moim kolegą po fachu, miał sklepik spożywczy w Fondi, był sklepikarzem tak jak ja, a obecnie trudnił się tym samym co i ja w Rzymie: handlem na czarnym rynku. Jak wiadomo, kruk krukowi oka nie wykole. Tak więc nie nalegając dłużej, powiedziałam: — Nie wrócę do Rzymu, dość mam głodu i nalotów. Poza tym nie chodzą już pociągi, a moja córka, Rosetta, nie przyszła jeszcze do siebie po bombardowaniach. Postanowiłam, że pójdę w góry i poszukam tam schronienia. Zapłacę. Chciałabym też zrobić zapasy żywności, to znaczy kupić oliwy, mąki, fasoli, pomarańcz, sera, wszystkiego po trochu. Zapłacę za wszystko gotówką, mam blisko sto tysięcy lirów. Nie chcesz mi pomóc, no to trudno. Zwrócę się do kogoś innego. Nie jesteś jeden na całe Fondi, jest Esposito, Scalisse i wielu innych.

Chodźmy, Rosetto. — Powiedziałam to zdecydowanym tonem, po czym ułożyłam walizki na krążkach, sobie i Rosetcie, i ruszyliśmy drogą w kierunku Monte San Baggio. Na wiadomość, że mam sto tysięcy lirów, Tommasino wybałuszył oczy, przygryzając skórkę od pomarańczy, którą właśnie zamierzał wypluć. Potem wypluł ją i pobiegał za mną. Niosąc stos walizek na głowie, nie mogłam obejrzeć się za siebie, ale słyszałam jego chrypliwy, zadyszany głos i przyśpieszone kroki: — Chwileczkę, poczekaj, co ci się tak śpieszy, u diabła! Zaczekaj, porozmawiamy.

Przystanęłam na koniec i po krótkich ceregielach zgodziłam się zawrócić z drogi i wejść do jego domu. Wprowadził nas do białej pustej izby na parterze, znajdowała się tam tylko siatka z materacem, na którym leżała w nieładzie pościel. Usiedliśmy wszyscy troje na łóżku i Tommasino zwrócił się do mnie uprzejmie:

— Zróbmy spis towarów, które ci są potrzebne. Nic jednak nie obiecuję, bo w tych przeklętych czasach chłopci są szczerwani jak lisy. I nie targuj się ze mną co do cen, musisz mieć do mnie zaufanie: nie jesteśmy w Rzymie, w pokojowych czasach, tylko podczas wojny, w Fondi. Co do mieszkania w górach, nie umiem ci nic powiedzieć. Przed bombardowaniem było tam dosyć miejsca, ale potem wszystko zostało wynajęte. Ale ponieważ dziś jeszcze idę do mojego brata, pójdziecie razem ze mną i na pewno coś się znajdzie, a zwłaszcza, jeśli zechcesz zapłacić z góry. Ale na zakupy żywności musisz mi zostawić

tydzień. Na razie w górach mój brat albo ktoś inny pożyczy ci albo odsprzeda coś niecoś. — Mówił to wszystko rozsądnie, jak człowiek, który zna się na rzeczy; wyjął z kieszeni notes zatłuszczony i wymięty, wziął kopiowy ołówek, poślinił go i zapytał: — Ile potrzebujesz mąki?

Podyktowałam mu dokładnie całą listę towarów: Tyle a tyle mąki w najlepszym gatunku, tyle i tyle oliwy, fasoli, owczego sera, smalcu, kiełbasy, pomarańcz i tak dalej. Wypisał wszystko dokładnie, po czym schował notes do kieszeni i wyszedł z pokoju, wracając po chwili z bochenkiem chleba i kawałkiem kiełbasy: — Na początek daję wam to... zjedzcie teraz i poczekajcie na mnie... za godzinę wyruszemy w góry... ale zapłać mi od razu za ten chleb i kiełbasę, żeby potem nie było jakiejś pomyłki. — Wyciągnęłam więc tyciąclirowy banknot i dałam mu go; obejrzał papierek pod światło i wydał mi resztę banknotami w drobnych odcinkach: jeszcze nigdy nie widziałam tak podartych i brudnych pieniędzy, jakie bywają w obiegu tylko na wsi, gdzie jest ich mało i stale obracają się w tych samych rękach, bo chłopci niechętnie składają pieniądze w banku, wolą je trzymać w domu. Oddałam mu niektóre banknoty, najbardziej zniszczone, a on wymienił mi je mówiąc: — Gdybyś miała nawet pełny wóz takich banknotów, przyjąłbym je bez wahania.

Jednym słowem Tommasino zostawił nas zapewniając, że szybko wróci; jadłyśmy chleb i kiełbasę siedząc w milczeniu na łóżku, ale byłyśmy teraz spokojne, że znajdziemy dach nad głową i nie zabraknie nam żywności. Sama nie wiem dlaczego,

może idąc za tokiem moich myśli, powiedziałam w pewnej chwili do Rosetty: — Widzisz, Rosetto, co znaczą pieniądze? — A ona: — To Madonna nam pomogła, mamó, wiem, że tak jest i że zawsze będzie nas wspomagać. — Nie śmiałam jej przeczyć, bo wiedziałam, że jest bardzo religijna, zawsze modliła się rano, kiedy wstawała z łóżka, i wieczorem, kiedy kładła się spać, ja sama tak ją wychowałam, zgodnie z panującymi u nas obyczajami. Nie mogłam jednak powstrzymać się od myśli, że pomoc Madonny była dosyć dziwna: Tommasino zdecydował się dopomóc nam dla pieniędzy, a ja z kolei zarobiłam te pieniądze na czarnym rynku dzięki temu, że była wojna i panował głód. A tę wojnę i klęskę głodu może zesłała nam Madonna, ale dlaczego? Żeby ukarać nas za nasze grzechy?

Skoro już posiliłyśmy się chlebem i kawałkiem kiełbasy, ułożyłyśmy się na brudnej pościeli Tommasina i przespałyśmy się pół godziny, bo wstałyśmy tego dnia o świcie i ogarnęła nas taka senność, że czułyśmy się jak pijane. Spałyśmy jeszcze, kiedy powrócił Tommasino i, klepiąc nas po policzkach, mówił wesoło: — Wstawajcie, wyruszamy. Wstawajcie. — Był zadowolony, najwidoczniej cieszył się już z góry, że na nas zarobi. Wstałyśmy i wszyscy razem wyszliśmy z domu. U wylotu mostu stał szary osiołek, bardzo mały, z gatunku tych, które nazywają sardyńskimi; biedne stworzenie obładowane było całym mnóstwem tobołków, na których Tommasino położył jeszcze nasze walizki. Tak więc ruszyliśmy w drogę, przodem szedł Tommasino z różgą w ręku, prowadząc za uzdę osiołka.

Ubrany był po miejsku, w czarny kapelusz, czarną kurtkę, czarne spodnie w paski, tyle tylko, że nie miał krawata; jego żołnierskie buty z żółtej cielęcej skóry były całe zabłocone. My dwie maszerowałyśmy za nim.

Szliśmy najpierw po równinie podnóżem jednej z owych gór, po czym skręciliśmy w krętą, wiodącą pod górę drogę, obrośniętą z obu stron krzakami, wyboistą, pełną kurzu i kamieni. Wznosiliśmy się coraz to wyżej i wkrótce znaleźliśmy się w ciasnej, stromej dolinie pomiędzy dwiema górami, która stawała się coraz to węższa; pięła się ku dwóm szczytom, zmieniając się tam w maleńką ścieżynkę. Czy uwierzycie, że zaledwie dotknęłam stopą pierwszych kamieni górskiej drogi, pełnej wysuszonego gnoju, kurzu i dziur, doznałam radosnego podniecenia. Jestem rodowitą góralką, do szesnastego roku życia biegałam tylko po takich drogach i czułam się tu jak u siebie w domu. Pomimo że nie było tu moich rodziców, odnalazłam kawałek rodzinnego domu w tych stronach, gdzie oni mnie wychowali. Jak dotąd, pomyślałam sobie, przebywałyśmy na nizinie, gdzie ludzie są fałszywi, nieuczciwi, brudni i zdrażliwi; ale teraz, stąpając po tej kochanej górskiej drodze, pełnej kamieni i oślego gnoju, zakurzonej i stromej, odnajduję góry i moich ziomków. Nie pisnęłam o tym ani słowa Tommasinowi, bo po pierwsze nie zrozumiałby mnie, a po drugie był on właśnie jednym z tych ludzi z dolin zachłannych na pieniądze. Lecz kiedy przechodziłyśmy koło ślicznego żywopłotu, przy którym rosły cyklameny, powiedziałam półgłosem Rosetcie: — Zerwij

trochę tych cyklamenu, zrób bukiet i wepnij go sobie we włosy. To ładnie wygląda. — Powiedziałam jej to, bo nagle przypomniałam sobie, że i ja tak robiłam jako młodziutka dziewczyna: zrywałam cyklamenu, które w Ciociarii nazywamy nie wiadomo dlaczego „garkotłukami”, i zatykałam je sobie we włosach, nad uchem. Wydawało mi się wtedy, że jestem co najmniej dwakroć piękniejsza. Rosetta usłuchała mojej rady i kiedy się zatrzymaliśmy, by odetchnąć na chwilę, zrobiła jeden bukiet dla mnie, a drugi dla siebie i wpięłyśmy je sobie we włosy. Śmiejąc się powiedziałam do Tommasina, który spojrzał na nas zdumiony: — Chcemy ładnie wyglądać przestępując progi naszego nowego domu. — Ale on nie uśmiechnął się nawet: miał oczy wbite gdzieś w przestrzeń, robiąc w myśli obliczenia, co sprzeda, a co kupi, jakie będzie miał zyski i straty. Urodzony paskarz, i do tego z niziny.

Droga przechodziła najpierw obok osiedla, położonego u wylotu doliny, a potem skręcała na prawo wijąc się wśród gęstych krzewów, wzdłuż górskiego zbocza. Wznosiła się pod górę łagodnymi zygzakami i tylko miejscami stawała się bardziej stroma, tak że nie odczuwałam najmniejszego zmęczenia. Przywykłam zresztą od dziecka do górskiej wspinaczki, i od razu, jak gdyby instynktownie, nogi moje nabrały właściwego drygu: stawiałam powolne, miarowe kroki, tak że nie zadyszałam się nawet przy ostrych podejściach. Rosetta natomiast, która była rzymianką, i Tommasino, pochodzący z niziny, musieli zatrzymywać się co chwila, aby zaczerpnąć tchu. Im wyżej

wznosiła się droga, tym rozleglejszy był widok na dolinę, którą powinno się raczej nazwać żlebem, tak była wąska. Wyglądała jak schody, których stopnie, szerokie na dole, coraz bardziej zwężały się ku górze. Owe stopnie były to uprawne systemem tarasów pola, składające się z wąziutkich pasów żyznej ziemi, z których każde podparte jest kamiennym murkiem. Na tych pasach rośnie po trosze wszystko: zboże, kartofle, kukurydza, jarzyny, len; gdzieniegdzie sadi się tam także drzewa owocowe. Znałam dobrze owe pólka, jako młoda dziewczyna napracowałam się jak koń, nosząc w koszu na głowie kamienie, potrzebne do budowy tych murków, i potem nauczyłam się chodzić drożynkami i schodkami, które łączą jedno pólko z drugim. Tego rodzaju uprawa wymaga nadludzkiej pracy, chłop bowiem, zanim je użyźni, musi je wykarczować i usunąć z nich głązy, a potem wnieść na górę nie tylko kamienie do budowy podpór, ale nawet i ziemię. Jednakże kiedy już tego dokona, ma być zapewniony, bo pólka dostarczają mu wszystkiego i nie musi już nic kupować. Nie umiem określić, jak długo szliśmy tą górską drogą, która wiodła najpierw lewym zboczem, a potem skręcała na leżącą po prawej stronie górę. Widziałyśmy teraz całą kotlinę: tam, gdzie kończyły się pola uprawne, ciemniało pasmo lasów, potem las rzedniał i gdzieniegdzie tylko widniały drzewa wyrastające ze skalistego zbocza, jeszcze wyżej kończyły się i drzewa, a bieleły tylko kamienie aż po sam szczyt, odcinający się wyraźnie na błękitnym tle nieba. Tuż pod granią uwypuklała się kępa zieleni, przez którą przeświecały czerwone skały. Tommasino powiedział nam, że między tymi

skalami znajduje się wejście do głębokiej groty, w której ukrywał się przed laty słynny w całej okolicy pasterz z Fondi. Spalił on żywcem w chałupie swoją narzeczoną, po czym przeniósł się do innej miejscowości górskiej, ożenił się tam, miał dzieci, i wnuki, i kiedy go w końcu znaleziono, był już staruszką z białą brodą, ojcem, teściem i dziadkiem, kochanym i szanowanym przez wszystkich. Tommasino dodał, że poza tą granicą ciągną się góry Ciociarii, między innymi Góra Wrózek; przypomniałam sobie wtedy, że w dzieciństwie ta nazwa często pobudzała mnie do marzeń i pytałam matkę, czy na tej górze naprawdę mieszkają wróżki. Matka opowiadała mi zawsze, że wrózek nie ma na tym świecie i że nazwa tej góry jest całkiem przypadkowa, ale nigdy jej nie wierzyłam. I jeszcze teraz, choć miałam dorosłą córkę, miałam ochotę zapytać Tommasina, dlaczego tak nazwano tę górę i czy to prawda, że niegdyś mieszkali tam wróżki.

Za zakrętem drogi zobaczyłyśmy na pobliskim pólku białego wołu zaprzęzonego do pług, który popychał jakiś chłop po tym długim i wąskim pasemku ziemi. Tommasino przyłożył rękę do ust i zawołał: — Hej! Paride! — Chłop szedł jeszcze przez chwilę za pługiem, po czym zatrzymał się i nie śpiesząc wyszedł naprzeciw nas.

Nie był wysoki, ale proporcjonalnie zbudowany, jak wszyscy mężczyźni w Ciociarii: miał okrągłą głowę, niskie czoło, mały orli nos, wystającą dolną szczękę i usta cienkie jak cięcie brzytwy, które wyglądały tak, jak gdyby nigdy się nie

uśmiechały. Tommasino powiedział wskazując na nas: — Paride, te dwie panie są z Rzymu i szukają jakiegoś schronienia w górach... oczywiście tylko na krótko, dopóki nie przyjdą Anglicy, a to kwestia kilku dni. — Paride zdjął czarny kapelusz i spoglądał na nas tępo, oczyma bez wyrazu, oślepiionymi słońcem, tak właśnie jak patrzy chłop, który orząc ziemię przebywa całymi dniami sam na sam ze swoim wołem. Potem odpowiedział powoli i niechętnie, że nie ma nigdzie wolnych pokoi, bo wszystkie domki zostały już wynajęte, i że nie wie, gdzie mogłybyśmy się ulokować. Rosetta posmutniała od razu; ale ja byłam spokojna, bo miałam pieniądze w kieszeni i wiedziałam, że pieniądze rozwiązują każdą sytuację. I w istocie, zaledwie Tommasino powiedział mu szorstko: — Trzeba ci wiedzieć, Paride, że te panie zapłacą... nie chcą od nikogo żadnej łaski, zapłacą gotówką. — Paride podrapał się po głowie i spuszczać oczy powiedział, że ma stajnię przylegającą do chałupy, szopę, w której trzyma warsztat tkacki, potem dorzucił, że skoro idzie o krótki pobyt, mogłybyśmy się tam jakoś urządzić. Tommasino odpalił z miejsca: — A widzisz, Paride, że jest miejsce... trzeba tylko trochę dobrej woli... no, Paride, wracaj teraz do pracy... sam przedstawię te panie twojej żonie. — Zamienili jeszcze kilka słów, po czym Paride wrócił do pług, a my ruszyliśmy w dalszą drogę.

Byliśmy już prawie u celu. I rzeczywiście po kwadransie marszu zobaczyliśmy kilka stojących półkolem domków, w miejscu gdzie kończyły się uprawne półka. Były to maleńkie,

dwuizbowe domki zawieszane na zboczu. Chłopi budują je przeważnie sami, nawet bez pomocy murarza. W tych domkach spędzają tylko noce. We dnie pracują na polach, a na posiłki lub podczas deszczu idą do szałasów, które są jeszcze łatwiejsze do budowy. Składają się z poukładanych jeden na drugim płaskich kamieni, które przykrywa się słomianym dachem; taki szałas można postawić w jedną noc. Toteż widać było dokoła dużo owych szałasów, które w połączeniu z domkami wyglądały jak mikroskopijne wioski. Nad niektórymi unosił się dym, widomy znak, że gotowano tam strawę, inne przypominały szopy czy stajenki, do których wprowadza się na noc trzodę. Między domkami a szałasami na ogołocym z zieleni terenie kręciło się wielu ludzi.

Gdy doszliśmy już do osiedla, zobaczyliśmy, że wszyscy są zajęci nakrywaniem dużego stołu, ustawionego na dworze, prawie na skraju półki, pod rozłożystą figą. Na stole leżał już obrus, stały talerze i kieliszki, a teraz znoszono duże polana drzew, które miały służyć jako krzesła. Na nasz widok jeden z mężczyzn wybiegł od razu naprzeciw Tommasina wołając: — Przyszedłeś akurat na czas, żeby zasiąść do stołu.

Był to Filippo, brat Tommasina, i nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się widzieć dwóch ludzi bardziej różniących się od siebie. O ile Tommasino był powściągliwy, milczący, skryty i prawie ponury, pochłonięty nieustannie obliczaniem w myśli zysków, przy czym wbijał wzrok w ziemię i nerwowo obgryzał paznokcie, o tyle Filippo był wylewny i serdeczny. Miał też

sklep, jak Tommasino, ale nie tylko spożywczy, sprzedawał w nim wszystko po trosze. Był niski i miał tak krótką szyję, że odnosiło się wrażenie, iż jego głowa jest osadzona bezpośrednio na bardzo szerokich barach, na skutek czego wyglądał jak szyszka. Jego nos przypominał łuskę szyszki. Nogi miał krótkie, potężny tors, pierś wypiętą naprzód i brzuch tak wystający, że spodnie ściśnięte paskiem sięgały mu tylko do bioder, jak gdyby opaść miały lada chwila.

Skoro Filippo usłyszał, że szukamy schronienia, mamy pieniądze i sklep w Rzymie (opowiedział mu to wszystko Tommasino, ponury i powściągliwy, jak gdyby mówił do siebie samego), nieomal rzucił się nam na szyję: — A teraz zasiądziecie z nami do stołu, nagotowaliśmy makaronu i fasoli. Podjecie sobie i będziecie jadły z nami, dopóki nie nadejdą wasze zapasy. Zresztą i tak tylko patrzeć, jak przyjdą Anglicy i znowu wszystkiego będzie w bród, a teraz najważniejsze, żeby jeść i weselić się. — Kręcił się na wszystkie strony dokoła stołu, po czym przedstawił nam córkę, młodzieńką brunetkę o smutnej, łagodnej twarzy, i syna, krępego młodzieńca, który miał szerokie, pochylone nieco do przodu ramiona, tak że na pierwszy rzut oka robił wrażenie garbatego, był śniady i nosił mocno powiększające okulary. Był lekarzem, tak przynajmniej powiedział jego ojciec: — Przedstawiam wam mego syna Michela... jest doktorem. — Potem przedstawił nam także i żonę, kobietę o wyjątkowo białej cerze, podkrążonych, wystraszonych oczach i potężnym biuście. Cierpiała na astmę, a

według mnie i na manię prześladowczą, wyglądała na chorą osobę. Jak już wspomniałam, Filippo, odkąd dowiedział się, że mam sklep w Rzymie, zaczął traktować mnie serdecznie, prawie po bratersku; zapytał, czy mam pieniądze, i kiedy odpowiedziałam twierdząco, przyznał mi się, że i on przechowuje w kieszeni od spodni większą sumę, która pozwoli mu przetrzymać wojnę, nawet gdyby Anglicy mieli przyjść dopiero za rok. Rozmawiał ze mną poufnie, jak z kimś równym sobie, jednym słowem jak kupiec z kupcem. Nie wiedziałam jeszcze, tak samo zresztą jak i on, że te pieniądze zdewalują się z biegiem wojny do tego stopnia, iż w końcu suma, która dawniej wystarczyła rodzinie na całoroczne utrzymanie, nie wystarczy nawet na najskromniejsze miesięczne wyżywienie, Filippo mówił dalej tak: — Zostaniemy tutaj, dopóki nie przyjdą Anglicy, będziemy jedli i pili nie troszcząc się o nic... kiedy przyjdą Anglicy, przywiozą z sobą wszystko, wino, oliwę, mąkę, fasolę... będzie dobrobyt, a my, kupcy, znowu weźmiemy się do handlu, jak gdyby nigdy nic. — Wyraziłam przypuszczenie — ot tak, żeby cokolwiek powiedzieć — że być może Anglicy wcale nie przyjdą, bo Niemcy wygrają wojnę. A on: — A co nas to może obchodzić? Niemcy czy Anglicy to jedno i to samo, byle tylko szala zwycięstwa przeważała się na jedną ze stron... nas obchodzi tylko sklep. — Wypowiedział te słowa głośno z wielką pewnością siebie; wówczas jego syn, który stojąc na skraju pola obserwował panoramę Fondi, odwrócił się raptownie, jak żmija, i powiedział: — Dla ciebie to może jedno i to samo, ale ja, jeśli wygrają Niemcy, odbiorę sobie życie. — Powiedział to z takim

przekonaniem i powagą, że zdziwiłam się i zapytałam: — Co ci takiego zrobili Niemcy? — Spojrzał na mnie z ukosa, a potem rzekł: — Mnie osobiście nic... ale gdyby tak na przykład tobie przyniósł ktoś do domu jadowitego węża i kazał ci się nim troskliwie opiekować, to co byś na to powiedziała? — Byłam zdumiona tym pytaniem i odpowiedziałam: — Pewnie, że nie chciałabym trzymać w domu jadowitego węża! — Dlaczego nie? Przecież ten wąż nie wyrządził ci dotychczas żadnej krzywdy, prawda? — No tak, ale wiadomo przecież, że taki jadowity gad prędzej czy później może ugryźć. — Tak samo ma się sprawa z Niemcami... nawet jeśli do tej pory nie zrobili mi nic złego, to i tak wiem, że ci Niemcy, a raczej naziści zaczną gryźć pewnego pięknego dnia. — W tej samej chwili Filippo, który słuchał nas z nieukrywaną niecierpliwością, zaczął wołać: — Siadamy do stołu, siadamy do stołu... dość o Niemcach i o Anglikach... zupa na stole.

Co za stół! Póki żyję nie zapomnę tego obiadu, zarówno z powodu oryginalnego otoczenia, jak i obfitości jadła. Oryginalne było to, że długi, wąski stół stał na długim, wąskim półku, a pod nami aż po dolinę Fondi ciągnęły się gigantyczne schody uprawnych pól; wokół nas zataczały krąg szczyty gór, a w górze jaśniało błękitne, rozświetlone, wrześnie niebo, pogodne, i ciepłe. Stół wyglądał jak róg obfitości: szynki i kiełbasy, górskie sery, bochny wiejskiego chleba ze spieczoną, chrupiącą skórką, marynaty, jaja na twardo i masło, zupa z makaronu i fasoli w wypełnionych po brzegi wazach, które kolejno przynosiły z

szałas z żoną i córką Filippa. Było także wino w butelkach, a nawet flaszka koniaku. Jednym słowem trudno było wyobrazić sobie, że w dolinie panuje klęska głodowa, jedno jajko kosztuje osiem lirów i że w Rzymie ludzie umierają z głodu. Filippo kręcił się dokoła stołu zacierając ręce z zadowolenia, z rozpromienioną twarzą. Powtarzał co chwila: — Jedzmy i pijmy... nie żałujmy sobie... przyjdą Anglicy i znowu będzie wszystkiego w bród. — Dlaczego uczepił się tej myśli, że wraz z przyjściem Anglików wróci dobrobyt, nie wiem. Ale tutaj wszyscy w to wierzyli i tylko o tym była mowa. Przypuszczam, że nabrali tego przekonania słuchając radia, przez które, jak mi mówiono, stale przemawiał pewien Anglik, który mówił po włosku jak Włoch i szerzył propagandę, że gdy pojawią się Anglicy, będziemy opływać we wszystko jak pączki w maśle.

Skoro tylko rozlano zupę na talerze, zasiedliśmy do stołu. Ile nas było osób? Filippo z żoną i dziećmi; Paride z żoną Luisą, drobną blondynką o jasnych, gęstych włosach i zamyślanej twarzy, i z synkiem Donatem; Tommasino z żoną, wysoką chudą kobietą, wąsatą i kostyczną, i z córką, która miała końską twarz matki, ale miłą w wyrazie, i czarne, dobre oczy. Było tam jeszcze kilku brodatych, źle ubranych mężczyzn, którzy — o ile dobrze zrozumiałam — byli uchodźcami z Fondi i stale trzymali się w pobliżu Filippa, jak gdyby obrali go za swego przywódcę. Wszyscy byli gośćmi Filippa, który obchodził tego dnia rocznicę swojego ślubu. Lecz o tym dowiedziałam się dopiero później; początkowo odniosłam wrażenie, że Filippo ma takie zapasy

żywności, że może sobie pozwolić na wyrzucanie ich przez okno, zapraszając codziennie na ucztę wszystkich mieszkańców osiedla.

Jedliśmy bez przesady około trzech godzin. Najpierw zupę z makaronem i fasolą; makaron był pulchny, zagnieciony na samych jajkach, żółty jak złoto, a fasola w najlepszym gatunku, duża, biała, delikatna, rozpływała się w ustach jak masło. Wszyscy zjedli po dwa, a niektórzy nawet po trzy talerze zupy, pełne po brzegi, tak była smakowita. Potem przyszła kolej na przekąski: górską szynka, trochę przesolona, ale wyjątkowo apetyczna, kiełbasa domowej roboty, jajka na twardo, marynaty. Po przekąskach kobiety poszły do szafasu, który stał kilka kroków dalej, i wróciły stamtąd niosąc półmiski grubo pokrajanej pieczeni cielęcej: było to mięso najprzedniejszego gatunku, białe i delikatne; poprzedniego dnia zabito cielaka i Filippo kupił parę kilo. Po cielęciny podano duszone jagnię w białym, słodko-kwaskowym sosie, znakomite; potem jedliśmy owczy ser, twardy jak kamień, pikantny, nadający się doskonale pod wino; później inne sery i owoce: pomarańcze, winogrona oraz figi świeże i suszone. Był także deser, tak, proszę państwa, kruche ciasteczka posypane cukrem waniliowym. Na koniec do koniaku spróbowaliśmy biszkoptów, które przyniosła z domu w pudełku córka Filippa. Ileśmy wypili? Powiedziałabym, że co najmniej po litrze na głowę, ale niektórzy wypili więcej, a inni mniej, zaledwie jedną szklankę, jak na przykład Rosetta, która nigdy dużo nie pije. Trudno opisać, jak wesoło było przy stole:

wszyscy jedli i pili, mówili tylko o jedzeniu i piciu, czyli o tym, co jedli i pili teraz właśnie, co jedli i pili dawniej, co chcieliby zjeść i wypić. Dla tych ludzi z Fondi, jak zresztą i dla moich ziomków jedzenie i picie było równie ważne jak dla rzymian posiadanie samochodu i mieszkania w dzielnicy Parioli. Według nich, kto mało je i pije, jest nędzarzem, tak więc każdy, kto chce uchodzić za pana, stara się jeść i pić jak najwięcej, wiedząc, że to jedyny sposób zdobycia ogólnego szacunku i podziwu. Siedziałam koło żony Filippa, tej kobiety o białej cerze i potężnym biuście, o której wspomniałam, że wyglądała na chorowitą. Ona jedna nie była wesoła, biedaczka, bo widać było, że źle się czuje. Pomimo to chwaliła się przede mną, jak obficie zaopatrzone we wszystko jest jej dom: — Muszę mieć zawsze co najmniej czterdzieści świeżych jaj, sześć szynek, tyleż serów i kielbas... słoniny jadamy tyle, że kiedyś połknięty kawałek wrócił mi się z żołądka do gardła i wyszedł z ust jak drugi język, ale biały. — Powtarzam dokładnie jej słowa, bo opowiedziała to tak obrazowo, aby zrobić na mnie wrażenie. Jednym słowem byli to prości ludzie ze wsi, którzy nie wiedzieli o tym, że prawdziwi panowie, ci z miasta, jadają mało, a nawet bardzo mało, zwłaszcza kobiety; pieniądze wkładają w dom, stroje i biżuterię. Ci ludzie natomiast obdarci byli jak żebracy, ale chętni się swoją słoniną i szynką jak rzymskie damy toaletami balowymi.

Filippo pił najwięcej ze wszystkich, ponieważ, jak oświadczył w pewnej chwili, była to rocznica jego ślubu; pił także i

dlatego że — jak się później przekonałam — był nałogowym pijakiem i nieraz widywałam go nietrzeźwego, z zaczerwienionym nosem i błyszczącymi oczyma, o wszystkich porach dnia, nawet o dziewiątej z rana. Tak więc, może dlatego, że się upił, w połowie obiadu rozpoczął zwierzenia: — A ja wam powiem — zaczął mówić nagle, trzymając kieliszek w ręku — że wojna daje się we znaki tylko głupcom, innym nie. Wiecie, jaki napis chciałbym umieścić nad kasą w moim sklepie: „Tu nie ma głupich.” To jest powiedzenie neapolitańskie, ale i my tak mówimy, i to czysta prawda. Nie jestem głupcem i nigdy nim nie będę, bo istnieją tylko dwie kategorie ludzi: głupi i chytry. I nikt, kto wie o tym, nie zechce nigdy należeć do tej pierwszej kategorii. A w tym tkwi sedno, żeby wiedzieć niektóre rzeczy, w tym tkwi sedno, żeby mieć oczy szeroko otwarte. Głupcy to ci, którzy wierzą w to, co jest napisane w gazetach, i płacą podatki, i idą na wojnę, i dają się tam wyrzynać jak barany. Ale chytry ludzie, ho, ho, ci chytry są przeciwieństwem tamtych. W tych czasach kto jest głupi, ginie, a kto ma głowę nie od parady, zawsze się uratuje. Głupiec zawsze pozostanie głupcem, a chytry robi się coraz bardziej szczywany. Znacie to przysłowie: lepiej z mądrym zgubić niż z głupim znaleźć; albo to: lepszy wróbel w ręku niż cietrzew na sęku; albo jeszcze to: obiecanki cacanki, a głupiemu radość. Powiem więcej: od dzisiaj nie ma już miejsca dla głupców na tym świecie, nikt już nie będzie mógł pozwolić sobie na ten luksus, żeby być głupim, choćby przez jeden dzień. Trzeba być kutym na cztery nogi, prześcigać się w chytrości, bo czasy są niebezpieczne i kto poda palec, chwytają go za rękę.

Sami widzicie, co się stało z tym biednym Mussolinim, myślał, że utną mu co najwyżej mały palec w wojacze z Francją, a tymczasem przyszło mu stracić całe ramię w wojnie przeciwko całemu światu. A teraz nie zostało mu już nic i musi udawać głupiego, on, który chciał zawsze wszystkich przechytrzyć. Wierzcie mi, rządy przychodzą i odchodzą, wojują kosztem biednych ludzi, potem zawierają pokój, i robią, co się im podoba, ale jedna rzecz, która się nigdy nie zmienia, to sklep. A niech sobie przyjdą Niemcy czy Anglicy, czy Rosjanie, dla nas sklepikarzy liczy się sklep i tylko sklep. Jest dobrze, dopóki sklep dobrze idzie.

Ta mówka musiała kosztować go wiele wysiłku, bo pot ściekał mu z czoła i ze skroni; wypił duszkiem kieliszek wina i wytarł sobie twarz chustką. Uchodźcy, którzy, jak już wspominałam, wyraźnie mu się przypochebiali, oklaskiwali go gorąco, bo jedli przy jego stole, co dla tych głodomorów było nie lada gratką. — Niech żyje Filippo, niech żyje sklep! — zawołał jeden z nich. Inny zrobił uwagę chichocząc: — Możesz powiedzieć z czystym sumieniem, że sklep się nie zmienia: tyle nastąpiło nowych wydarzeń, a sklep jak był, tak jest, i ty zawsze robisz dobre interesy, prawda, Filippo? — Trzeci udając mędrka dorzucił: — Mogą przyjść Niemcy albo Anglicy, na to zgoda; ale nie mów Filippo: niech przyjdą Rosjanie. — Dlaczego? — zapytał Filippo, który nie zrozumiał, bo kurzyło mu się ze łba od wina. — Bo Rosjanie nie pozwolą ci prowadzić sklepu, Filippo, nie wiesz o tym? Rosjanie niszczą przede wszystkim kupców. —

Nie ma głupich! — odrzekł Filippo z namysłem, dolewając sobie wina z butelki i patrząc z rozrzewnieniem na napełniający się kieliszek. Wreszcie czwarty zawołał: — Filippo, mędrzec z ciebie, masz rację, tu nie ma głupich, to jedno jest pewne, powiedziałaś prawdę.

W tym właśnie momencie, kiedy wszyscy się śmieli z tej szczerzej wypowiedzi, syn Filippa wstał nagle od stołu z nachmurzoną twarzą: — Tak, tu nie ma głupich oprócz mnie jednego. Ja jestem głupi. — Po tych słowach zapadło ogólne milczenie i wszyscy spoglądali na siebie ze zdumieniem. Syn Filippa ciągnął dalej po krótkiej przerwie: — A ponieważ głupcy nie czują się dobrze w towarzystwie mędrków, pozwolicie, że pójdę przejść się kawałek. — To powiedziawszy odsunął krzesło i ruszył wolnym krokiem wzdłuż pola, podczas gdy niektórzy wołali za nim: — O co się obraziłeś? Przecież nikomu przez myśl nie przeszło, że jesteś głupi.

Wszyscy oglądali się za siebie, patrząc jak się oddalał, ale Filippo był za bardzo pijany, żeby się tym przejąć. Wzniósł w stronę syna kieliszek i powiedział: — Na zdrowie... w każdej rodzinie jeden może być głupi... nic nie popsuje. — Wszyscy wybuchnęli śmiechem na widok tego ojca, który uważał się za spryciarza, a pił zdrowie syna, którego nazwał głupcem, a roześmieli się jeszcze głośniej, kiedy Filippo podnosząc głos krzyknął: — Możesz pozwolić sobie na to, żeby być głupcem, bo masz ojca kutego na cztery nogi. — Ktoś przytaknął: — To prawda: ojciec pracuje i zbija forszę, a syn spędza czas na

czytaniu książek i zadzieraniu nosa do góry. — Lecz Filippo w gruncie rzeczy zdawał się dumny z tego syna, który tak różnił się od niego i taki był wykształcony, więc dorzucił po chwili, podnosząc nos znad kieliszka: — Nie chcę, żebyście mnie źle rozumieli... mój syn to idealista... prawdziwy idealista... ale czym jest w tych czasach idealista? Głupcem. Może nie z własnej winy, może musi być taki, ale fakt faktem, że jest głupcem.

A tymczasem słońce schowało się za góry i powoli wszyscy zaczęli wstawać od stołu; jedni poszli grać w karty do domu Filippa, drudzy wrócili do pracy, a my, kobiety, wzięłyśmy się do sprzątania. Pozmywałyśmy naczynia w wanience przy studni i odniosłyśmy je do stojącego pośrodku osiedla domku, który zajmował Filippo wraz z rodziną. Był to piętrowy domek, na piętro wchodziło się zewnętrznymi schodami od strony pola. Wchodząc do środka doznałam pewnego zdziwienia: Filippo i jego towarzysze siedzieli na ziemi, na środku pokoju, w kapeluszach na głowach i z kartami w rękach: grali w scopone. W pokoju nie było ani jednego mebla, tylko zwinięte pod ścianami materace i całe mnóstwo worków. Musiałam przyznać w duchu, że jeśli szło o zapasy, to istotnie Filippo wprowadzał w życie głoszone przez siebie zasady. Były tam worki mąki pszennej, całe ubielone mącznym pyłem, mąki z kukurydzy, te z kolei żółte, i mniejsze woreczki napełnione zapewne fasolą, grochem, soczewicą. Było tam też wiele konserw, przede wszystkim pomidorowych; na oknie wisiało kilka szynek, a na

workach leżały kręgi sera. Zobaczyłam też dużo garnków nakrytych papierem, pełnych smalcu, butelki oliwy, gąsiory z winem, z pułapu zwisały kiełbasy domowego wyrobu. Jednym słowem znajdowało się tam wszystko, co stanowi podstawę pożywienia, bo dopóki nie zabraknie mąki, tłuszczu i pomidorów, zawsze można ugotować talerz makaronu. Jak już wspomniałam, Filippo i jego towarzysze grali na środku pokoju w scopone; żona i córka Filippa natomiast leżały na wpół nagie na materacu ociążałe z gorąca i obżarstwa. Gdy weszłam, Filippo, nie podnosząc oczu znad kart, powiedział: — Widzisz, Cesiro, jak dobrze urządziliśmy się tutaj... ty każ sobie teraz pokazać swój pokój u Parida... zobaczysz, że będzie wam tam jak w raju. — Nic nie odpowiedziałam, postawiłam talerze na ziemi i wyszłam, żeby poszukać Parida i załatwić sprawę mieszkania.

Zastałam go rąbiącego drzewo koło szałasu i poprosiłam, żeby mi pokazał przyobiecany pokój. Wysłuchał mnie opierając nogę obutą w chodak na polanie drzewa, trzymając w ręku siekiere i zerkając w moją stronę spod ronda czarnego kapelusza. Potem powiedział: — Tommasino przemawia tak, jak gdyby on był tutaj panem, a tymczasem na moim gospodarstwie panem jestem ja... zgodziłem się najpierw na twoją propozycję, ale teraz się rozmyśliłem i obawiam się, że nie będę ci mógł wynająć tej izby... Luisa przez cały dzień tka tam na warsztacie... co wtedy ze sobą zrobicie?... nie możecie przecież stale siedzieć na dworze. — Zrozumiałam, że przemawia przez niego chłopka

nieufność, wyjęłam więc z kieszeni pięćset lirów i podałam mu je mówiąc: — Boisz się, że nie będziemy ci płacić? Masz, daję ci pięćset lirów, rozliczymy się, jak się będę wyprowadzać. — Zaniemówił i wziął pieniądze: ale wziął je w całkiem specyficzny sposób, który chcę opisać, bo rzuca jaskrawe światło na psychologię chłopca pochodzącego z gór. A więc wziął banknot i trzymając go oburącz na wysokości brzucha przyglądał mu się uważnie z pewnym zmieszaniem i ponurym podziwem, jak gdyby miał do czynienia z jakimś rzadko spotykanym przedmiotem. Potem zaczął go przekręcać to na jedną, to na drugą stronę. Zaobserwowałam już później, że zawsze robi to samo, kiedy wpadną mu do ręki pieniądze, i zrozumiałam, że tutejsi ludzie nigdy nie widują pieniędzy, bo fabrykują w domu wszystko, co im jest potrzebne do życia, nawet ubrania; trochę gotówki zarabiają tylko w zimie schodząc w dolinę i sprzedając tam wiązki chrustu. Tak więc traktują pieniądź jak coś bardzo rzadkiego i cennego, prawie jak Boga. Bo ci chłopcy z gór, u których spędziłam tyle czasu, wcale nie są religijni ani nawet przesądni, dla nich najważniejszą rzeczą są pieniądze, może dlatego, że ich nie mają, a może z tej przyczyny, iż są głęboko przekonani, że tylko pieniądź może dać szczęście. Jako sklepiarka nie mogłam ich za to potępiać. Jednym słowem Paride po dokładnym obejrzeniu banknotu powiedział: — No, jeśli ci nie przeszkadza stukot warsztatu, to możesz wziąć ten pokój. — Tak więc poszłam z nim do jego domu, który znajdował się po lewej stronie osiedla i tak samo jak inne przytykał do murku podpierającego pole. Z boku tego dwupiętrowego domu, przy skalistej,

górskiej ścianie stała mała przybudówka z daszkiem pokrytym dachówkami, która miała jedne drzwi i okienko bez szyb. Weszliśmy tam i zobaczyłam, że tak jak mnie uprzedzał, połowę pokoju zajmuje warsztat tkacki starej konstrukcji, zrobiony z drzewa. Po drugiej stronie stało wiejskie łóżko, to znaczy dwa koziołki, na których wzdłuż ułożone były deski, a na nich leżał wypchany suchymi liśćmi siennik. W tej izbie trudno się było wyprostować, bo dach opadał ukośnie, w głębi widniała naga skała, a pozostałe ściany całe były pokryte pajęczynami i plamami wilgoci. Spuściłam oczy: na podłodze nie było ani cegieł, ani kamieni, tylko ubita ziemia, jak w stajni. Paride powiedział drapiąc się po głowie: — To jest ten pokój... rozejrzyjcie się i zobaczcie, czy wam odpowiada. — Rosetta, która weszła po nas, zapytała trochę wystraszonym tonem: — Tutaj będziemy musiały spać, mamó? — Ale ja odpowiedziałam jej z miejsca: — Na bezrybiu i rak ryba — a potem zwróciłam się do Parida: — Ale czy dacie nam pościel, bo my nic nie wzięliśmy ze sobą? — Zaczęły się targi; nie miał ochoty pożyczyć nam prześcieradeł, mówiąc, że to wyprawa jego żony. Na koniec zgodziłyśmy się dopłacić mu osobno za używanie pościeli. Jednakże kołder nie miał i obiecał dać nam zamiast nich swój czarny płaszcz, oczywiście także za dodatkową opłatą. To samo było ze wszystkim, czego miał nam jeszcze dostarczyć: z wiadrem do noszenia wody, z ręcznikami, sztućcami, musiałam się targować nawet o jedno jedyne krzeselko, na którym miałyśmy siadać na zmianę. Każdą rzecz trzeba mu było dosłownie wyrywać zębami i pazurami i wyrażał zgodę dopiero

wtedy, kiedy mówiłam, że zapłacę. Na koniec zapytałam, gdzie będziemy mogli gotować; odpowiedział, że w szałasie, gdzie gotowali także oni. Odpowiedziałam mu na to: — No to chodźmy zobaczyć ten szałas, żebym mogła się zorientować.

Zorientowałam się od razu, już po drodze do tego szałasu, który stał na ciągnącym się poniżej półku. Jego ściany składały się z poukładanych na płask kamieni, a dach w kształcie przewróconej do góry dnem łodzi pokryty był słomą. Znam dobrze tego rodzaju szałasy, w moich stronach trzyma się w nich trzodę, stawia się je bardzo szybko, przy dużej wprawie nawet w jedną noc: najpierw buduje się mur kładąc jedne na drugim duże kamienie, bez spajania ich wapnem. Potem na przeciwległych krańcach czworoboku zatyka się dwie rozwidlone gałęzie, na których opiera się długi kij. Dach wspiera się na tym szkielecie i składa się z mocno powiązanych ze sobą snopków słomy. Okien tam nie ma, otwór pozostawiony na drzwi jest tak niski, że wchodząc trzeba się schylać. Szałas Parida był całkiem podobny do tamtych z moich okolic; na ścianie przy drzwiach wisiało na gwoździu wiadro pełne wody, w które wetknięta była warząchew. Przed wejściem do szałasu Paride wziął warząchew i napił się wody, a potem podał ją mnie; napiłam się także. Weszliśmy do szałasu. Przez chwilę nic nie widziałam, bo, jak już mówiłam, nie było tam okien, a Paride zamknął za sobą drzwi. Potem zapalił lampkę oliwną i wewnątrz szałasu powoli się rozjaśniło. Nie było tam podłogi, tylko klepisko, pośrodku żarzył się ogień, nad którym wisiał na trójnogu czarny kociołek. Spojrzałam ku

górze i zobaczyłam w półmroku zwisające z pułapu wiązki kiełbas i krwawej kiszki, które się tam wędziły. Zwisaly też stamtąd festony sadzy, czarne i powiewne, przypominające cacka, którymi ubiera się choinkę, ale choinkę żałobnie przystrojoną. Wokół paleniska rozstawione były pniaki i zobaczyłam, ku memu zdziwieniu, siedzącą na jednym z nich sędziwą staruszkę, której przeraźliwie chuda twarz z wystającym podbródkiem i haczykowatym nosem przypominała sierp księżyca; siedziała tu sama jak palec i przędła po ciemku. Była to matka Parida i przywitała mnie tymi słowami: — Siadaj, moja droga, powiedzieli mi, że jesteś panią z Rzymu... to nie rzymski salon, tylko zwykła buda... ale będziesz się musiała chwilowo tym zadowolić... no, podejdz tu bliżej, siadaj. — Powiedziawszy prawdę, nie miałam wielkiej ochoty usiąść na wąskim pieńku i już chciałam poprosić o krzesło, ale w porę ugryzłam się w język. Potem już wiedziałam, że w szałasach nigdy nie ma krzesel; tutejsi chłopci trzymają je po domach i uważając, że są to luksusowe sprzęty, używają ich tylko w święta i podczas uroczystości rodzinnych, jak śluby, pogrzeby i tym podobne, aby się nie zniszczyły, wieszają je na suficie, jak szynki. Rzeczywiście, wchodząc pewnego dnia do mieszkania Parida stuknęłam czołem o krzesło i pomyślałam sobie, że znalazłam się naprawdę na głuchej, zabitej deskami wsi.

Szałas był teraz oświetlony i mogłam stwierdzić naocznie, że nadawał się tylko dla bydła: ciemny i zimny, z zabłoconym klepiskiem, oblepiony od góry do dołu sadzą. Powietrze

przesiąknięte było dymem, który unosił się z paleniska, może dlatego, że drzewo było mokre; dym ten aż kłębił się dokoła, bo z powodu braku okien nie znajdował ujścia na zewnątrz, ulatując tylko częściowo przez słomianą strzechę, tak że wkrótce obydwie z Rosettą zaczęłyśmy kaszleć i łzy napływały nam do oczu. Po chwili dostrzegłam przytulonego do spódniczki staruszki psa, brzydkiego kundla, oraz starego wyleniałego kota; trudno w to uwierzyć, ale te dwa biedne stworzenia płakały także jak ludzie, z powodu owego gryzącego, dławiącego dymu. Tyle tylko, że płakały siedząc nieruchomo z szeroko otwartymi oczyma, co było widomą oznaką, że są do tego przyzwyczajone. Zawsze brzydziłam się brudem i rzeczywiście moje mieszkanie w Rzymie, choć skromne, błyszczało jak lustro. Tym bardziej więc na widok tego szałasu zrobiło mi się smutno, że oto od dzisiaj i ja, i Rosetta będziemy musiały gotować, jeść i przesiadywać tutaj jak dwie kozy czy owce. To, co powiedziałam, było odbiciem moich myśli: — Całe szczęście, że to potrwa tylko kilka dni... do przyjscia Anglików. — A Paride: — Dlaczego? Nie podoba ci się szałas? — Paride, jak się później przekonałam, był dziwnym człowiekiem, zupełnie niewrażliwym i pozbawionym miłości własnej. Odpowiedziałam mu: — W naszych stronach trzyma się trzodę w szałasach. — Odrzekł na to z dziwnym uśmiechem: — A u nas siedzą w nich ludzie. — Stara dorzuciła głosem przenikliwym jak cykanie świerszcza: — Nie podoba ci się szałas, co? Ale bądź co bądź lepiej tu niż w szczerym polu. A czy wiesz, ilu tych nieszczęsnych żołnierzy, mężów naszych kobiet z gór, tułających się w Rosji, oddałoby

wszystko, byle tylko wrócić i do końca życia siedzieć w szafasach? Ale oni nie wrócą, zginą co do jednego i nawet nie będą pochowani po chrześcijańsku, jak się należy.

Ten ponury horoskop wprawił mnie w zdumienie; Paride uśmiechnął się z lekka i rzekł: — Moja matka widzi wszystko w czarnych kolorach, bo przesiaduje tu sama od rana do nocy, a przy tym jest głucha. — Po czym podnosząc głos zawołał do matki: — Kto ci powiedział, że nie wrócą? Wrócą na pewno, i to bardzo niedługo. — Stara mruknęła: — Nie tylko oni nie wrócą, ale i nas wytluką tutaj te przeklęte samoloty. — Paride znowu się uśmiechnął, jak gdyby jego matka powiedziała coś zabawnego; ale ja, wystraszona tym krańcowym pesymizmem, wtrąciłam szybko: — No to zobaczymy się później... na razie do widzenia. — Na co tamta odrzekła złowróżbnym tonem: — Zobaczymy się, zobaczymy, nie ma obawy, tym bardziej że nie wrócisz prędko do Rzymu, a może nawet nigdy. — Po tych słowach Paride wybuchnął śmiechem, lecz ja pomyślałam, że nie ma się z czego śmiać, i nie mogłam się powstrzymać od wypowiedzenia w duchu formułki niezawodnej dla odczynienia złego uroku.

Spędziłam owo popołudnie na sprzątaniu izby, w której stało nasze łóżko, ani się spodziewając, że przyjdzie nam tam mieszkać tak długo. Zamiotłam podłogę, zdrapując z ziemi brudy, które uzbierały się tam przez kilkanaście lat, oddałam Paridowi niezliczoną ilość motyk i łopat, żeby schował je gdzie indziej, starałam pajęczyny ze ścian. Potem ustawiłam łóżko

wzdłuż ściany skalnej, pozsuwałam oparte na koziołkach deski, wytrzepałam siennik napełniony liśćmi kukurydzy i przykryłam go prześcieradłem, które było naprawdę wyjątkowo ładne: ciężkie, czysto lniane, utkane ręcznie, pachnące czystością. Na wierzchu położyłam czarny płaszcz Parida. Luisa, żona Parida, ta blondynka o gęstych włosach i niebieskich oczach, którą już opisywałam, tkąła przez ten czas na warsztacie, tkąła z wielką wprawą, poruszając bez chwili przerwy silnymi muskularnymi rękami, przy czym warsztat zgrzytał i łoskotał z nieopisanym hałasem; spytałam w pewnej chwili: — Jak długo będziesz tu siedzieć i robić ten piekielny hałas? — Odpowiedziała mi ze śmiechem: — Sama nie wiem jak długo... muszę utkać materiał na spodnie dla Parida i dla dzieci. — A ja: — Oj, biedne my, biedne... ogłuchniemy ani chybi. — Ja jakoś nie ogłuchłam — odrzekła Luisa — zobaczysz, że szybko do tego przywykniesz. — Jednym słowem siedziała tam dobrych kilka godzin, bez przerwy pracując na warsztacie, który zgrzytał sucho i ponuro. Po uprzątnięciu izby usiadłyśmy obydwie, Rosetta na wypożyczonym od Parida krześle, a ja na łóżku; i siedziałyśmy tak beczynnie jak ogłupiałe, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w zajętą tkaniem Luisę. Luisa była raczej małomówna, lecz chętnie odpowiadała na nasze pytania. Tak więc dowiedziałam się, że spośród wielu mężczyzn, mieszkających w tej miejscowości przed wojną, Paride był jedynym, którego nie powołano do wojska, bo brakowało mu dwóch palców u prawej ręki. Wszyscy inni znajdowali się na froncie, przeważnie w Rosji. — Oprócz mnie jednej — powiedziała Luisa ze znaczą-

cym uśmiechem i prawie triumfalnym tonem — wszystkie kobiety tutaj są jakby wdowami. — Zdziwiłam się i myśląc, że Luisa jest taką samą pesymistką jak jej teściowa, powiedziałam: — Dlaczego wszyscy mieliby zginąć? A ja ci mówię, że wrócą. — Ale Luisa uśmiechnęła się, potrząsając głową przecząco: — Nie zrozumiałaś mnie. Nie wierzę w ich powrót nie dlatego, żeby mieli zginąć na wojnie, ale dlatego, że kobietom w Rosji podobają się nasi mężczyźni. Wiadomo, cudzoziemcy zawsze mają powodzenie. Może się tak zdarzyć, że po skończonej wojnie tamte kobiety zmuszą ich, żeby zostali, i szukaj wiatru w polu. — Jednym słowem uważała wojnę za rozgrywkę między kobietami a mężczyznami; i widać było, że jest bardzo zadowolona, iż mogła dzięki owym dwóm brakującym palcom zatrzymać przy sobie męża, podczas gdy inne kobiety miały swoich utracić z winy Rosjanek. Rozmawiałyśmy także o Filippie i Luisa powiedziała, że udało mu się uratować syna przed wojskiem dzięki protekcji i łapówkom; chłopci natomiast, którzy nie mieli ani znajomości, ani pieniędzy, musieli iść na front i ginąć. Przypomniałam sobie wtedy słowa Filippa na temat podziału świata na głupców i spryciarzy; Filippo okazał się szczywany także i w tym wypadku.

Wreszcie Bóg zesłał noc, Luisa przestała hałasować na tym piekielnym warsztacie i poszła gotować kolację. Byłyśmy obydwie tak zmęczone, że jeszcze blisko godzinę przesiadziałyśmy w milczeniu, bez ruchu, ja na łóżku, a Rosetta obok na krześle. Lampka oliwna paliła się słabo i w jej mdłym

świetle nasza izba wyglądała jak spelunka; ja patrzyłam na Rosettę, ona na mnie, i wzrok nasz co chwila wyrażał co innego; nie potrzebowaliśmy nic mówić, bo wymowa naszych oczu była silniejsza od słów. Oczy Rosetty mówiły: — Mamo, co my ze sobą zrobimy? Gdzie my właściwie jesteśmy? Boję się. — A moje odpowiadały: — Córeczko, złota moja, bądź spokojna, twoja matka jest przy tobie, nie bój się niczego. — I tak snułyśmy w milczeniu wymianę naszych myśli, a na zakończenie tej niemej konwersacji Rosetta przysunęła krzesło do łóżka i oparła głowę na moim łonie, całując mnie po kolanach; zaczęłam delikatnie głaskać ją po włosach, w dalszym ciągu nie odzywając się ani słowem. Siedziałyśmy tak jeszcze może z pół godziny; potem otworzyły się drzwi, pchnięte od zewnątrz, i ukazała się w nich głowa dziecka; był to synek Parida, Donato: — Tata się pyta, czy będziecie z nami jadły. — Nie byłyśmy głodne, bo w południe najadłyśmy się do syta przy stole Filippa; pomimo to przyjąłam zaproszenie; byłam tak zmęczona i zgnębiona, że nie chciałam siedzieć przez cały wieczór sama z Rosettą w tym smutnym pokoju.

Wyszłyśmy więc z lepianki idąc za Donatem; chłopiec biegł przed nami niczym kot, który widzi w ciemnościach, i szybko zeszłyśmy do położonego nieco niżej szałas. Zastałyśmy Parida w towarzystwie czterech kobiet: żony, matki, siostry i bratowej. Siostra Parida, która miała na imię Giacinta, była tak jak i on ciemną brunetką o ponurych, niespokojnych oczach i szerokiej, nalanej twarzy: wyglądała jak opętana i głos jej można było

usłyszeć tylko wtedy, kiedy łąjała trójkę dzieci, które czepiały się jej spódnicy i popłakiwały nieustannie, czasami nie odzywała się nawet do nich, tylko w milczeniu biła je zaciśniętą pięścią po głowie. Bratowa Parida nazywała się Anita i była żoną jego brata, który mieszkał przed wojną w okolicy Cisterny; była to ciemna, szczupła, blada kobieta, miała orli nos, pogodne oczy i spokojny, myślący wyraz twarzy. Ona także miała kilkoro dzieci, ale te nie czepiały się spódnicy matki, tylko grzecznie siedziały na ławce, czekając cierpliwie, aż dadzą im jeść. Paride na nasz widok uśmiechnął się, tym swoim uśmiechem nieśmiałym i tajemniczym zarazem, i powiedział: — Pomyśleliśmy sobie, że jesteście same, więc trzeba was zaprosić. — Po chwili dodał: — Dopóki nie nadejdą wasze zapasy, możecie jeść razem z nami; potem się policzymy. — Jednym słowem dawał do zrozumienia, że nie zamierza nas żywić na swój koszt, ale i tak byłam mu wdzięczna, bo wiedziałam, że oni są biedakami i że panuje klęska głodu. To, że godzili się dawać nam jeść w zamian za pieniądze, znaczyło bardzo wiele, ponieważ w okresie głodu każdy chowa dla siebie zapasy żywności i nie odstępuje ich nikomu za żadną cenę.

Usiadłyśmy więc i Paride zapalił lampę karbidową; roz-
błysnął śliczny, biały płomień oświetlając wszystkich siedzących na pieńkach i ławkach wokół trójnogu, nad którym bulgotał czarny kociołek. W tym towarzystwie złożonym z kobiet i dzieci Paride był jedynym mężczyzną. Anita, jego bratowa, której mąż był na rosyjskim froncie, zażartowała z nutą melancholii w

głosie: — Powinieneś być zadowolony, Paride, tyle kobiet dla ciebie jednego: błogosławiony między niewiastami. — Paride odpowiedział z półuśmiechem: — Niedługo już potrwa to szczęście. — Ale ta pesymistka, jego matka, odpaliła z miejsca: — Niedługo? Pewnie że niedługo. Będziemy gryźć ziemię, zanim jeszcze skończy się wojna. — A tymczasem Luisa postawiła na chwiejącym się stoliku glinianą wazę; wzięła bochen chleba i mocno przyciskając go do piersi, zaczęła kroić długim nożem cienkie kromki, dopóki waza nie napełniła się po brzegi. Wówczas zdjęła z ognia kociołek i wylała jego zawartość na pokrajany chleb. Jednym słowem była to ta sama zupa, którą jadaliśmy u Concetty, papka z chleba i rozgotowanej fasoli.

Potem, gdy czekaliśmy, żeby chleb dobrze nasiąknął, Luisa postawiła na ziemi pośrodku szafasu dużą miednicę i nalała do niej wody, która grzała się w dzbanku ustawionym w popiele obok trójnogu. Wówczas wszyscy zaczęli zdejmować chodaki powoli i poważnie, jak gdyby przystępowali do jakiejś uroczystej ceremonii, co zresztą co wieczór niezmiennie się powtarzało. Początkowo nie wiedziałam, o co chodzi, ale gdy Paride zanurzył pierwszy w miednicy stopę powalaną ziemią między palcami i na pięcie, zrozumiałam: my, w mieście, myjemy przed jedzeniem ręce, a oni, biedacy, pracujący przez cały dzień na polu, myją sobie nogi. Wszyscy myli je w jednej miednicy nie zmieniając wody, tak że po skończonej ceremonii — myły się i dzieci — była ona koloru czekolady. Nie umyłyśmy się tylko my dwie, tak że jedno z dzieci naiwnie

zapytało: — A wy dlaczego się nie myjecie? — Na co matka Parida, która także nie myła nóg, odpowiedziała ponuro: — To są dwie panie z Rzymu. Nie pracują w polu tak jak my.

A tymczasem minestrina była już gotowa, Luisa wyniosła miednicę z brudną wodą i postawiła pośrodku stolik z wazą. Zaczęliśmy jeść; każdy nabierał zupę swoją łyżką prosto z wazy. Ja i Rosetta zjadłyśmy najwyżej po trzy łyżki, ale inni, a zwłaszcza dzieci, tak zachłannie rzucili się na jedzenie, że waza opróżniła się w jednej chwili, przy czym rozczarowane twarze biesiadników wyraźnie wskazywały, że ich apetyt nie został w pełni zaspokojony. Paride dał jeszcze każdemu po garści suchych fig, po czym wyjął z dziury w murze flaszkę wina i nalewał je do szklanki, z której wszyscy pili kolejno, nie wyłączając dzieci. Paride raz za razem wycierał brzeg szklanki rękawem, napełniając ją z namaszczeniem, i podając wino wymieniał imię osoby, dla której było ono przeznaczone: zachowywał się tak, jak gdyby był w kościele. Wino było cierpkie i kwaśne jak ocet, górskie wino, ale z winogron, co do tego nie było wątpliwości. Po skończonym posiłku, który upłynął w milczeniu, kobiety zasiadły do kołowrotek, a Paride przy świetle lampy karbidowej zaczął przeglądać zadanie arytmetyczne Donata. Paride był analfabeta, ale umiał rachować, chciał więc, aby także jego syn nauczył się liczyć. Wyglądało jednak na to, że ten dzieciak z dużą głową i bezmyślną twarzą był bardzo tępy, bo Paride bezskutecznie tłumaczył mu przez dłuższy czas jakieś działania arytmetyczne. Rozgniewał się na

koniec i uderzył go pięścią po głowie, wołając: — Matoł! — Uderzenie odbiło się głośnym echem, jak gdyby głowa chłopca była z drzewa, ale malec nie zareagował na to i zaczął się bawić z kotem. Zapytałam Parida, dlaczego tak mu na tym zależy, żeby jego syn, który tak jak i on nie umie ani czytać, ani pisać, nauczył się arytmetyki; odpowiedział mi, że przykładą wagę do liczb, nie do liter, bo liczby służą do liczenia pieniędzy, natomiast umiejętność czytania była według niego całkiem bezużyteczna.

Chciałam opisać ten pierwszy wieczór spędzony z rodziną Morrone, tak się bowiem nazywali, przede wszystkim dlatego, że opisując ten pierwszy wieczór opisałam tym samym i następne, bo wszystkie były jednakowe; poza tym także i dlatego, że tego dnia jadłam w południe z uchodźcami, a wieczorem z chłopami, mogłam więc zrobić porównanie. Powiem prawdę: uchodźcy byli bogatsi, a przynajmniej niektórzy z nich; lepiej się u nich jadło, umieli czytać i pisać; nie nosili chodaków, a ich żony i córki ubierały się jak kobiety w mieście. Pomimo to od pierwszej chwili wolałam chłopów od uchodźców, być może dlatego, że zanim zostałam sklepikarką, sama byłam chłopką; a także dlatego, że patrząc na tych uchodźców, a zwłaszcza porównując ich z chłopami, doznawałam dziwnego uczucia, że tym ludziom wykształcenie posłużyło tylko na to, że stali się gorsi. Podobnie jak to bywa z niegrzecznymi chłopcami, którzy zaledwie pójdą do szkoły i nauczą się czytać i pisać, bazgrzą na murach nieprzyzwoite wyrazy.

Jednym słowem uważam, że nie wystarczy kształcić ludzi, ale powinno się ich także uczyć, jak korzystać z tego wykształcenia.

Na koniec wszystkim zaczęły się kleić powieki, niektóre dzieci zdążyły już zasnąć, wówczas Paride wstał i oświadczył, że czas iść spać. Tak więc wyszliśmy wszyscy z szałasów i pożegnaliśmy się życząc sobie nawzajem dobrej nocy; potem ja i Rosetta zostałyśmy same na skraju półki wpatrując się po ciemku w tę stronę, gdzie leżało Fondi. Nie widać było ani jednego światełka; dokoła panowała cisza i nieprzeniknione ciemności; tylko gwiazdy wyglądały jak żywe, świeciły jasno i zdawały się mrugać na czarnym niebie niby miliony oczu, które patrzą na nas i wszystko o nas wiedzą, podczas gdy my nic o nich nie wiemy. Rosetta powiedziała cicho: — Jaka śliczna noc, mamo — a ja zapytałam ją, czy cieszy się, że jesteśmy w górach. Odpowiedziała, że zawsze czuje się zadowolona, kiedy jest razem ze mną. Stałyśmy jeszcze przez chwilę wpatrując się w noc, po czym Rosetta pociągnęła mnie za rękaw szepcząc, że chciałaby się pomodlić, aby podziękować Madonnie za to, że szczęśliwie dotarłyśmy do celu naszej podróży. Powiedziała to cichutko, jak gdyby się bała, że ktoś ją usłyszy; zdziwiłam się trochę i spytałam: — Tutaj? — Kiwnęła głową, że tak, i powoli uklękła na skraju pola, na trawie, pociągając mnie za sobą. Nie byłam nawet z tego niezadowolona; Rosetta dopomogła mi dać upust uczuciu, które obudziło się we mnie w tę cichą spokojną noc, po dniu pełnym wrażeń i trudów: uczuciu podobnemu do wdzięczności dla kogoś czy czegoś, kto nam pomógł i otaczał

nas opieką. Tak więc usłuchałam jej chętnie, złożyłam ręce i szybko poruszając wargami zmówiłam pacierz, który odmawia się zazwyczaj przed pójściem do łóżka. Nie modliłam się już od dość dawna, od czasu kiedy oddałam się Giovanniemu, bo wiedziałam, że zgrzeszyłam, a z drugiej strony nie chciałam tego uznać za grzech. Tak więc najpierw przeprosiłam Jezusa za to, co zrobiłam z Giovannim, i przyrzekłam, że nie powtórzy się to więcej. A potem, może pod wpływem tej nocy tak przeogromnej, tak ciemnej, w której żyło tyle istnień, a nie widziało się nic, modliłam się za wszystkich, za siebie, za Rosettę, potem za rodzinę Festów i za rodzinę Parida, za wszystkich ludzi rozproszonych teraz w górach, za Anglików, którzy mieli przyjść i nas uwolnić, za nas, Włochów, którzy wycierpieliśmy tyle, a także za Niemców i za faszystów, którzy nas prześladowali, ale i oni byli chrześcijanami. Muszę przyznać, że im głębiej pogrążałam się w modlitwie, co działo się jak gdyby wbrew mojej woli, tym bardziej byłam wzruszona; oczy miałam pełne łez i choć wmawiałam sobie, że to skutki przemęczenia, byłam w gruncie rzeczy zadowolona, że jestem zdolna do takich wzniosłych uczuć. Rosetta modliła się także ze schyloną głową; nagle szarpnęła mnie za ramię wołając: — Patrz! Patrz! — Spojrzałam i zobaczyłam na tle czarnego nieba jaskrawą wstęgę, która pędząc ku górze zmieniła się nagle w zielony kwiat i zaczęła opadać powoli oświetlając na chwilę góry otaczające dolinę, lasy, a nawet, jak mi się wydało, domy w Fondi. Potem dowiedziałam się, że te zielone światła to były rakiety wyrzucane nocą dla obserwacji frontu i wybierania celu dla

pocisków armatnich oraz bomb zrzuconych przez samoloty. Ale wówczas wzięłam to za dobrą wróżbę, nieomal za znak z nieba, że Madonna wysłucha mojej modlitwy i spełni wszystko, o co ją prosiłam.

Chciałam opisać tę modlitwę przede wszystkim dlatego, żeby dać pojęcie o charakterze Rosetty, o którym mówiłam dotychczas bardzo niewiele. Później bowiem, na skutek wojny, moja córka zmieniła się nie do poznania, tym bardziej więc zależy mi na tym, by pokazać, jaka była Rosetta wówczas, kiedy znalazłyśmy się w górach. Często tak bywa, że matki nie znają dobrze swoich dzieci, ale wydaje mi się, że ja właściwie oceniałam Rosettę, pomimo że potem stała się tak niepodobna do siebie jak dzień do nocy. Wychowywałam Rosettę jak pańskie dziecko, otaczając ją zawsze troskliwą opieką i dbając o to, aby nie dowiedziała się o żadnych brzydkich rzeczach, które istnieją na świecie; zawsze trzymałam ją z daleka od wszelkich brudów. Chociaż chodziłam do kościoła, nigdy nie byłam bardzo religijną kobietą: we mnie wiara to budzi się, to ginie, i czasami, jak na przykład tej nocy w górach, wydaje mi się, że naprawdę wierzę, kiedy indziej natomiast, jak na przykład tego dnia, kiedy uciekałyśmy z Rzymu, że całkiem straciłam wiarę. A w każdym razie religia nie odbiera mi nigdy poczucia rzeczywistości, widzę ją rzeczywiście taką, jaka jest, i choć księża wychodzą ze skóry, żeby wytłumaczyć i usprawiedliwić pewne fakty, prawie zawsze to, co się dzieje, jest sprzeczne z ich słowami. Ale Rosetcie wszystko przedstawiało się zupełnie inaczej. Może dlatego, że

do lat dwunastu posyłałam ją do szkoły prowadzonej przez zakonnice, a może dlatego, że taki już miała charakter, była głęboko religijna. Nigdy nie ogarniały jej żadne wątpliwości w sprawach wiary, wszystko było dla niej tak jasne i proste, że nawet nigdy o tym nie mówiła, a może nawet i nie myślała; religia była dla niej jak powietrze, którym się oddycha, które wchodzi i wychodzi z płuc, a my nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. Trudno mi wytłumaczyć teraz, teraz, kiedy tak wiele się zmieniło, jaka była Rosetta w okresie naszej ucieczki z Rzymu. Ograniczę się do tego, że powiem, iż uważałam ją za chodzącą doskonałość. Należała rzeczywiście do tych osób, którym nawet złośliwe języki nie mogą nic zarzucić. Była dobra, szczerą, bezinteresowną. Ja mam usposobienie nierówne, łatwo wpadam w złość, potrafię krzyczeć i wymyślać, a nawet i uderzyć, bo w uniesieniu po prostu tracę głowę. Ale Rosetta nigdy nie odpowiedziała mi niegrzecznie, nigdy nie miała do mnie o to żalu, była zawsze idealną córką. Jednakże jej doskonałość polegała nie tylko na kompletnym braku wad, ale także i na tym, że to, co robiła i mówiła, zawsze było słuszne. Czasami aż przerażało mnie to i myślałam sobie: mam córkę świętą. I rzeczywiście można było tak myśleć, bo żeby być chodzącym ideałem i tak nadzwyczajnie się zachowywać, nie mając żadnego doświadczenia i będąc prawie dzieckiem, trzeba mieć w sobie coś ze świętości. Poza tym, że uczyła się w szkole u sióstr i pomagała mi w domu czy w sklepie, nigdy nic innego nie robiła, a zachowywała się tak, jak by wszystko robiła, na wszystkim się znała. Teraz jednak myślę, że ta jej doskonałość, która wydała

mi się prawie niewiarygodna, wypływała właśnie z niedoświadczenia i z wykształcenia, jakie dały jej zakonnice. Właśnie owo niedoświadczenie, pomieszane z religią, składało się na doskonałość, o której sądziłam, że mocna jest niczym twierdza, a tymczasem była krucha jak domek z kart. Nie zdawałam sobie sprawy, że prawdziwa świętość jest mądrością i doświadczeniem, a nie ignorancją i naiwnością, jak było właśnie w wypadku Rosetty. Ale czy to była moja wina? Wychowywałam ją z miłością; jak wszystkie matki na tym świecie dbałam o to, aby nic nie wiedziała o brzydkich stronach życia, ponieważ myślałam sobie, że kiedy wyjdzie za mąż i odejdzie z domu, zapozna się z nimi aż nazbyt prędko. Nie przewidziałam tego, że wojna zmusi nas, wbrew woli, do poznania tego wszystkiego, i to w sposób brutalny, okrutny. Jednego jestem pewna, że doskonałość Rosetty należała do tych, które wymagają spokojnego życia i dostatku, opieki troskliwej matki, zbierającej pieniądze na posag, a potem dobrego męża i gromadki dzieci; w tych warunkach tak jak była idealnym dzieckiem i idealną dziewczyną, byłaby tak samo idealną żoną. Lecz nie była to doskonałość na czasy wojenne, kiedy trzeba mieć inne zalety; jakie, nie wiem, ale na pewno nie te, którymi odznaczała się Rosetta.

Ale nie będę się dłużej nad tym rozwodzić. Wstałyśmy z klęczek i poszłyśmy po ciemku skrajem pola do naszej lepianki. Przeszłyśmy pod oknem Parida; nikt tam jeszcze nie spał, słyszałyśmy przytłumione głosy i szmery jak w kurniku, gdzie

ptactwo sadowi się na grzędach przed zaśnięciem. I oto na koniec nasza lepianka, przylegająca do domu Parida, z drzwiczkami z desek, z pochyłym, pokrytym dachówkami dachem, z okienkiem bez szyb. Pchnęłam drzwi i znalazłyśmy się w ciemnościach. Miałam zapalki, najpierw więc zapaliłam świecę, a potem skręciłam z kawałka płótna oddartego z chusteczki knot, który włożyłam do lampki oliwnej. Przy tym oświetleniu jasnym, ale smutnym, usiadłyśmy obydwie na łóżku i powiedziałam Rosetcie: — Zdejmujemy tylko spódnice i bluzki... mamy do przykrycia jedynie prześcieradło i ten płaszcz Parida, więc gdybyśmy się rozebrały do naga, byłoby nam w nocy za zimno. — Tak więc zrobiłyśmy i kolejno w halkach weszłyśmy do łóżka. Prześcieradła chłodne, ręcznie tkane z grubego lnu, były jedyną normalną rzeczą w tym łóżku, które nie było łóżkiem. Czułam przy najlżejszym ruchu wysuwające się spode mnie z chrzęstem liście kukurydzy, które rozsypały się na brzegi siennika, tak że leżałam na gołych deskach. Nawet jako dziecko nie spałam nigdy na podobnym pościeliu; mieliśmy w domu normalne łóżka z siatką i materacem. W pewnej chwili, kiedy przewracałam się na bok, rozsunały się podę mną już nie liście, a deski, i zapadłam się w dół, dotykając siedzeniem podłogi. Wstałam po ciemku, poprawiłam deski i siennik i położyłam się z powrotem do łóżka, przytulając się mocno do Rosetty, która leżała przy ścianie, odwrócona do mnie plecami.

Była to bardzo niespokojna noc. Sama nie wiem, o której godzinie, może po północy, obudził mnie nagle cichy pisk,

cichszy niż kwilenie ptaka. Dochodził spod łóżka, obudziłam więc Rosettę i zapytałam, czy i ona to słyszy. Odpowiedziała, że tak. Zapaliłam wtedy lampę i zajrzałam pod łóżko. Zorientowałam się od razu, że to coś piszczy w pudełku pełnym mięty i rumianku. Na oko wydawało się, że nie ma tam nic oprócz ziół, ale przy bliższych oględzinach odkryłyśmy okrągłe uwite ze słomy i mchu gniazdko, a w nim osiem świeżo narodzonych myszek, nie większych niż połowa mojego małego palca, czerwonych, nagich, prawie przezroczystych. Rosetta powiedziała od razu, że nie wolno nam zrobić im krzywdy, bo gdybyśmy je zabiły pierwszej nocy, którą tutaj spędzamy, przyniosłoby to nam nieszczęście. Tak więc weszłyśmy z powrotem do łóżka i udało nam się jakoś zasnąć. Ale nie minęło i pół godziny, gdy poczułam nagle na twarzy i na piersiach coś miękkiego i ciężkiego. Przerażliwie krzyknęłam ze strachu; Rosetta znowu się obudziła; zapaliłyśmy lampę i — patrzcie tylko, co za zbieg okoliczności — po myszach zobaczyłyśmy kota. Był to ładny czarny kot z zielonymi oczyma, chudy, ale młody, o lśniącej sierści. Siedział na łóżku wpatrując się w nas, gotów wyskoczyć w każdej chwili oknem, przez które wszedł do pokoju. Rosetta zawołała go po swojemu, przepadała za kotami i umiała się z nimi obchodzić; kot od razu nabrał zaufania i podszedł do niej. Niedługo potem leżał już pod prześcieradłem mrużąc z zadowolenia. Ten kot sypiał razem z nami przez cały czas naszego pobytu w Sant' Eufemia; nazywał się Gigi. Miał swoje nawyki, to znaczy przychodził każdej nocy około północy, wsuwał się pod prześcieradło pomiędzy nas dwie i leżał tam aż

do świtu. Był bardzo miłutki i przywiązany do Rosetty, ale kiedy sypiał z nami, nie daj Boże, żeby któraś z nas odważyła się poruszyć, bo wtedy miauczał od razu, jak gdyby chciał powiedzieć: „Cóż to, nawet wyspać się nie dadzą?”

Budziłam się jeszcze wiele razy tej nocy z uczuciem, że nie wiem, gdzie się właściwie znajduję. Raz usłyszałam samolot, który leciał nisko, bardzo wolno, z miarowym, głębokim łoskotem, jak gdyby jego motor pruł wodę, a nie powietrze, i ten odgłos podziałał na mnie uspokajająco. Potem wytłumaczono mi, że te samoloty nazywały się bociany; ich zadaniem było patrolowanie terenu i dlatego latały tak wolno. Tak się do nich z czasem przyzwyczaiłam, że budziłam się w nocy, aby je usłyszeć, a kiedy nie nadlatywały, doznawałam prawie rozczarowania. Te bociany to były angielskie samoloty, a ja wiedziałam, że gdy przyjdą wreszcie Anglicy, dadzą nam wolność i pozwolą wrócić do domu.

ROZDZIAŁ IV

Tak zaczęło się nasze życie w owej miejscowości, która się nazywała Sant' Eufemia. Zaczęło się tak, jak gdyby potrwać miało co najwyżej kilka tygodni, a tymczasem przeciągnęło się do dziewięciu miesięcy. Rano sypiałyśmy, jak tylko mogłyśmy najdłużej, bo i tak nie miałyśmy nic do roboty; przez pierwszy tydzień, wyczerpane ciężkimi przeżyciami w Rzymie, potrafiłyśmy spać jednym ciągiem po dwanaście, czternaście godzin. Kładłyśmy się do łóżka bardzo wcześnie, budziłyśmy się w nocy, znowu zasypiałyśmy i znowu budziłyśmy się o świcie, ale wystarczyło nam odwrócić się do ściany, tyłem do okienka, przez które wpadało światło, a znów ogarniała nas senność i spałyśmy do późnego ranka. Nigdy w życiu tyle nie sypiałam i ten sen był spokojny, głęboki, pachnący jak chleb upieczony w domu, bez niepokojów i koszmarnych przywidzeń, i tak nas wzmacniał, że z każdym dniem wracały nam siły, utracone w Rzymie i w czasie pobytu u Concetty. Ten sen tak głęboki i tak twardy naprawdę dobroczynnie na nas wpływał i po tygodniu byłyśmy obydwie jak odmienione. Nie miałyśmy już podkrążonych oczu, wypełniły się nam i zjędrniały policzki, wygładziła cera, ożywił się wzrok i rozjaśniły myśli. Wydawało mi się, że przez ten sen moja ziemia rodzinna, na tak długi czas przeze mnie opuszczona, przyjęła mnie z powrotem na swoje

łono, przekazując mi swoje soki żywotne, tak jak to bywa z roślinami, które po przesadzeniu na żyzną ziemię nabierają tęczy i wypuszczają nowe liście i kwiaty. O tak, jesteśmy roślinami, nie ludźmi, a raczej podobniejsi jesteśmy do roślin niż do ludzi, bo z ziemi, na której narodziliśmy się, płynie cała nasza siła i kiedy ją opuszczamy, nie jesteśmy już ani roślinami, ani ludźmi tylko strzępkami łachmanów, którymi wiatr może miotać na wszystkie strony, zależnie od okoliczności.

Sypiałyśmy tak dużo i tak smacznie, że pogodziłyśmy się łatwo z wszystkimi niewygodami życia w górskim osiedlu i traktowałyśmy je pobłażliwie, prawie ich nie dostrzegając, podobnie jak dobrze wypasiony muł, który ciągnie pod górę wóz nie ustając ani na chwilę, a kiedy jest już na szczycie, zaczyna biec truchcikiem, jak gdyby nigdy nic. A jednak życie było tu ciężkie i od razu zdałyśmy sobie z tego sprawę. Trudności rozpoczynały się już z samego rana: wstając z łóżka trzeba było uważać, żeby nie zabrudzić sobie nóg. W tym celu porozkładałam na ziemi płaskie kamienie, bo w dnie deszczowe klepisko w naszej lepiance wyglądało jak jezioro. Potem należało przynieść wodę ze studni znajdującej się tuż koło domu. W jesieni nie przedstawiało to żadnych trudności, ale zimą, ponieważ miejscowość ta znajdowała się na wysokości blisko tysiąca metrów, woda była lodowata, tak że gdy ciągnęłam ją ze studni, kostniały mi ręce, a gdy czasem chlusnęła na mnie, dech mi zapierało. Jestem wrażliwa na zimno, więc ograniczałam się do mycia twarzy i rąk, ale Rosetta wołała zimno od brudu:

rozbierała się do naga na środku pokoju i wylewała na siebie wiadro lodowatej wody. Taka była zdrowa i jędrna ta moja Rosetta, że woda spływała po niej, jak gdyby jej ciało było natłuszczone oliwą, i tylko kilka kropel zostawało jej na ramionach, na piersiach, na brzuchu i na pośladkach. Po zrobieniu toalety wychodziłyśmy i zaczynały się kłopoty z gotowaniem, które także, dopóki nie minęła jesień, szło jako tako, ale prawdziwe trudności zaczęły się w zimie. Musiałyśmy chodzić w deszcz w zarośla, żeby pościnać sierpem trochę trzciny i gałązek z krzaków, po czym szłyśmy do szałas. Rozpalenie ognia było istnym piekłem. Zielone gałęzie nie chciały się palić, z wilgotnej trzciny buchał gęsty i czarny dym, musiałyśmy przykłękać, prawie dotykając twarzą błota na klepisku, i dmuchać tak długo, dopóki nie udało się nam rozniecić ognia. Piekły nas powieki na załzawionych oczach, byłyśmy całe umazane ziemią; i pomyśleć tylko, że trzeba się tak było męczyć po to, żeby ugotować garstkę fasoli albo usmażyć na patelni jajko. Jadałyśmy to samo co tamtejsi chłopci, dwa razy dziennie, pierwszy lekki posiłek o jedenastej rano, a obiad o siódmej wieczór. Na śniadanie jadłyśmy przeważnie mamałygę polaną sosem z kiełbasy, czasem zadowalałyśmy się kawałkiem chleba, który zagryzałyśmy cebulą, albo żułyśmy chleb świętojański. Wieczorem jadłyśmy minestrinę, którą już opisywałam, i kawałek mięsa, najczęściej koziego, czasem z kozy, czasem z kozła, a czasem z capa. Po śniadaniu nie miałyśmy nic innego do roboty, jak oczekiwać na wieczorny posiłek. Jeśli była ładna pogoda, wychodziłyśmy na spacer: okrążyłyśmy dokoła górę

idąc zawsze po tym samym pólku i dochodziłyśmy do lasu. Tam wybierałyśmy sobie jakieś ładne miejsce ocienione drzewami i kładłyśmy się na trawie mając przed sobą całą panoramę gór. Spędzałyśmy tak całe popołudnie. Lecz kiedy nadeszły dni słoty, a zima była wyjątkowo dżdżysta tego roku, siedziałyśmy beczynnie w naszej izdebce, ja na łóżku, a Rosetta na krześle, podczas gdy Luisa tkła na warsztacie, z tym przeraźliwym hałasem, o którym już wspominałam. Póki żyję, nie zapomnę owych deszczowych dni spędzonych w lepiance. Deszcz nie przestawał padać ani na chwilę, gęsty i monotony; słyszałam, jak szemrze na dachówkach i zanim wpadnie do studni, spływa bulgocząc przez rynnę. Dla oszczędności oliwy, której nie miałyśmy za dużo, siadałyśmy w naszej izdebce prawie po ciemku, przy tej odrobinie zamglonego deszczem światła wpadającego przez maleńkie okienko; nie rozmawiałyśmy ze sobą, brakło nam już odwagi poruszać ciągle jeden i ten sam temat: głód i przyjście Anglików. Tak więc godziny wlokły się w nieskończoność; zatraciłam całkowicie poczucie czasu, nie wiedziałam już nawet, jaki to miesiąc, jaki dzień, i wydawało mi się, że zupełnie zgłupiałam, bo od chwili kiedy nie miałam o czym myśleć, moja głowa przestała pracować; przychodziły i takie momenty, że bliska byłam szaleństwa; gdyby nie było przy mnie Rosetty, której jako matka musiałam świecić przykładem, sama nie wiem, co bym zrobiła. Doszłabym może do tego, że z dzikim krzykiem wybiegłabym na dwór albo rzuciłabym się z pięściami na Luisę, która jak gdyby naumyślnie ogłuszała nas tym hukiem warsztatu i miała zawsze na twarzy jakiś tajemniczy

uśmiech, jak gdyby chciała nam powiedzieć: „My, chłopcy, zawsze pędzimy takie życie... teraz i wy, panie z Rzymu, żyjecie tak samo... No i co? Jak wam się tu podoba?”

Druga rzecz doprowadzająca mnie prawie do szału w czasie naszego tutaj pobytu, to ograniczona przestrzeń tego maleńkiego osiedla, zwłaszcza w porównaniu z szeroką panoramą Fondi, Z Sant' Eufemia widziałyśmy całą dolinę Fondi pokrytą ciemnymi gajami pomarańczowymi, między którymi widniały gdzieś tam białe domki. Na prawo od strony Sperlonga rozciągało się morze, gdzie, jak wiedziałyśmy, leży wyspa Ponza, tam, to wiedziałyśmy także, byli już Anglicy, czyli wolność. A tymczasem, pomimo tego otaczającego nas bezmiaru, musiałyśmy spędzać dni oczekiwania na maleńkim skrawku półki, które tak było wąskie, że robiąc cztery kroki naprzód, ryzykowało się upadek w dół, na drugie takie samo pole. Jednym słowem siedziałyśmy tam jak ptaki na gałęzi w czasie powodzi, które czekają na odpowiedni moment, żeby odfrunąć w bezpieczne okolice. Ale ten moment jakoś nie nadchodził.

Po owym pierwszym zaproszeniu, w dniu naszego przyjazdu, Festowie zapraszali nas jeszcze kilkakrotnie, ale coraz chłodniej, a na koniec w ogóle przestali nas zapraszać, ponieważ, jak mówił Filippo, mając do wyżywienia całą rodzinę, trzeba przede wszystkim o niej myśleć. Na szczęście w parę dni po naszym przyjeździe zjawił się Tommasino ciągnąc za uzdę swojego osiołka obciążonego właśnie jak przysłowiowy osioł — całym mnóstwem paczek i tobołków. Były to zapasy

żywności, które udało mu się wyszperać w dolinie Fondi. Ten, kto nie znajdował się nigdy w podobnych jak my warunkach, z pieniędzmi, które w praktyce nie miały żadnej wartości, obcy wśród obcych ludzi, na górskim szczycie, i nie doświadczył nigdy na sobie, co to jest brak żywności w okresie wojny, nigdy nie zrozumie radości, z jaką powitałyśmy Tommasina. Są to rzeczy trudne do wytłumaczenia; na ogół ludzie żyją w mieście, gdzie sklepy przepełnione są towarami, nikt więc nie myśli o robieniu zapasów, bo w każdej chwili może się zaopatrzyć we wszystko. Tak więc człowiek ulega złudzeniu, że pełny sklep jest czymś równie naturalnym jak zmiana pór roku, słońce i deszcz, dzień i noc. Bajki! Towarów może nagle zabraknąć, jak istotnie zabrakło tego roku, i wtedy nawet miliony nie wystarczą, żeby kupić bochenek chleba, a brak chleba równa się śmierci.

A więc Tommasino zjawił się zadyszany, ciągnąc za łeb osiołka, który, niewiele brakowało, a byłby wyciągnął kopyta ze zmęczenia. — Moja kumo — powiedział mi — macie tu żywności co najmniej na pół roku — i oddał mi wszystko, sprawdzając każdą rzecz na kartce, którą mu wypisałam. Pamiętam ten spis i przytaczam go tutaj, żeby pokazać, czym było życie ludzkie tej jesieni 1943 roku. A więc życie moje i Rosetty uzależnione było od pięćdziesięciokilowego worka pszennej mąki, od nieco mniejszego worka mąki kukurydzianej na mamałygę, od dwudziestokilowego worka fasoli, tej w najgorszym gatunku, w cętki, od paru kilogramów grochu i

soczewicy, pięćdziesięciu kilogramów pomarańcz, garnka ze smalcem o wadze dwu kilogramów i kilku kilogramów wędlin. Tommasino przywiózł nam oprócz tego woreczek suszonych fig, orzechów i migdałów oraz trochę chleba świętojańskiego, który zazwyczaj daje się koniom, ale teraz, jak już wspomniałam, był aż za dobry i dla nas. Ułożyłyśmy to wszystko w naszej izdebce, po większej części pod łóżkiem, a potem zrobiłam rachunki z Tommasinem, przy czym miałam okazję się przekonać, że przez ten tydzień ceny wzrosły o trzydzieści procent. Ktoś mógłby pomyśleć, że chciał mnie oszukać Tommasino, który dla pieniędzy, jak się to mówi, gotów by sprzedać rodzoną matkę; ale ja jestem sklepikarką i kiedy powiedział mi, że ceny podskoczyły, uwierzyłam mu od razu. Wiedziałam z własnego doświadczenia, że nie może być inaczej, i jeśli nadal będzie tak, jak było dotychczas, to znaczy jeżeli Anglicy nie ruszą naprzód z Garmigliano, a Niemcy będą rabować i straszyć ludzi, to ceny staną się zawrotne. Tak się dzieje w okresie klęski głodowej: co dzień zaczyna braknąć jakiegoś towaru, zmniejsza się ilość ludzi mających dostateczne środki na kupno i w końcu może dojść do tego, że nikt już nie sprzedaje i nikt nie kupuje, a ludzie, z pieniędzmi czy bez pieniędzy, umierają z głodu. Uwierzyłam więc w to, co mi powiedział Tommasino, i zapłaciłam mu bez zmrżenia oka, między innymi i dlatego, że tego rodzaju człowiek, w którym chciwość i chęć zysku przewyciężały lęk przed niebezpieczeństwami wojny, był prawdziwym skarbem i należało go sobie zjednać. Zapłaciłam i co więcej, pozwoliłam mu zerknąć do mojej kieszeni, w której trzymałam wszystkie

tysiąclirowe banknoty. Na widok pieniędzy wpił w nie wzrok niczym jastrząb w swoją ofiarę i powiedział od razu, że my dwoje dobraliśmy się w korcu maku. Obiecał, że kiedy tylko będę czegokolwiek potrzebowała, dostarczy mi wszystko na miejsce, zawsze po cenie rynkowej, nie żądając ani solda mniej, ani więcej. Przy tej okazji przekonałam się raz jeszcze, ile szacunku potrafią wzbudzić pieniądze, a w tym wypadku zapasy żywności. W ostatnich dniach Festowie widząc, że nasze zapasy nie nadchodzą i że jadamy u Parida, który wprawdzie niechętnie, ale pozwala nam zasiadać do swojego stołu — oczywiście za pieniądze — wyraźnie nas unikali, a kiedy przychodziła godzina posiłku, szli chyłkiem, prawie uciekając przed nami do domu. Lecz zaledwie pojawił się Tommasino ze swoim osiołkiem, trzeba było widzieć, jak zmieniło się ich zachowanie. Uśmiechy, powitania, czułości, rozmowy, a nawet — teraz, kiedy już nie potrzebowałyśmy tego — zaproszenia na obiad. Przyszli nawet obejrzyć nasze zapasy i wtedy własne Filippo szczerze i dobrodusznie powiedział mi, dlaczego czuje do mnie sympatię, wprawdzie nie aż taką, żeby dawać mi jeść, ale dość wielką, żeby się cieszyć, iż nie zbywa mi na niczym: — Ty i ja, Cesiro, jesteśmy tutaj jedynymi ludźmi, którzy bez obawy mogą patrzeć w przyszłość, bo tylko my mamy pieniądze. — Jego syn, Michele słysząc te słowa zrobił się jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj i wycedził przez zęby: — Jesteś tego pewien? — Ojciec wybuchnął śmiechem i poklepał go po ramieniu: — Pewien? To jedyna rzecz, której jestem pewien... nie wiesz, że pieniądze to najlepszy, najwierniejszy, najbardziej oddany

przyjaciel człowieka? — Przysłuchiwałam się temu, ale nie pisnęłam ani słowa. Ale pomyślałam sobie, że nie jest to bynajmniej takie pewne: nie dalej jak dzisiaj ten zaufany przyjaciel wypłatał mi takiego figla, że utracił trzydzieści procent siły kupna. I dzisiaj, kiedy sto lirów wystarcza za ledwie na bochenek chleba, podczas gdy przed wojną można było za nie przeżyć pół miesiąca, mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że w czasie wojny nie ma zaufanych przyjaciół, zawodzą i ludzie, i pieniądze — wszystko.

Od dnia kiedy nadeszły zapasy, zaczęło się nasze normalne życie w Sant' Eufemia. Spałyśmy, wstawałyśmy, zbierałyśmy gałęzie na opał, rozpałyśmy ogień w szałasie, potem wychodziłyśmy na spacer gawędząc o wszystkim i o niczym z innymi uchodźcami, jadłyśmy, znowu wychodziłyśmy na przechadzkę, gotowałyśmy i jadły po raz drugi, a potem, by zaoszczędzić oliwy, szłyśmy spać z kurami. Pogoda była piękna i ciepła, bez chmur i bez wiatru, prawdziwa, wspaniała jesień z drzewami nakrapianymi na żółto i czerwono. Wszyscy twierdzili, że to wymarzona pora do frontalnego ataku i że alianci bez trudu mogliby dotrzeć przynajmniej do Rzymu, dziwiono się więc, że nie wyruszają z Neapolu i okolicy. Było to zresztą stałym i jedynym tematem rozmów w Sant' Eufemia. Zawsze mówiło się o aliantach, kiedy przyjdą, czemu jeszcze ich nie ma, co, jak i dlaczego. Najwięcej rozwodzili się nad tym uchodźcy, bo pragnęli jak najprędzej wrócić do Fondi i rozpocząć normalne życie, chłopcy dużo mniej się tym intereso-

wali, bo w gruncie rzeczy wojna była dla nich źródłem dochodu: wynajmowali mieszkania i robili dobre interesy na uciekinierach. A poza tym tutejsi ludzie prowadzili taki sam tryb życia jak w pokojowych czasach i przyjście aliantów nie przyniosłoby im żadnych większych zmian.

Ileż ja się narozmawiałam o tych aliantach! I pod gołym niebem, spacerując po pólku, patrząc na panoramę Fondi oraz na dalekie błękitne morze, i w szałasie Parida, prawie po ciemku siedząc nad paleniskiem, z którego unosił się gryzący dym, i wieczorem przed zaśnięciem leżąc z Rosettą w łóżku. Tyle o nich mówiłam, że z czasem owi alianci stali się dla mnie czymś w rodzaju naszych świętych patronów, którzy czynią tyle łask sprowadzając to deszcz, to ładną pogodę; niektórzy ludzie modlą się do nich, inni im wymyślają i stale się od nich czegoś oczekuje. Wszyscy oczekiwali nadzwyczajnych rzeczy od aliantów, tak właśnie jak od świętych! i wszyscy byli pewni, że z chwilą ich przyjscia życie nie tylko się unormuje, ale że będzie jeszcze o wiele lepsze niż dawniej. Trzeba było słyszeć przede wszystkim Filippa. Wydaje mi się, że wyobrażał on sobie armię aliantów jako nie kończące się kolumny samochodów ciężarowych, pełnych wszelakiej obfitości darów bożych, które żołnierze będą po drodze rozdawać za darmo nam, Włochom, nam, którzy wypowiedzieliśmy im wojnę, mordowaliśmy ich dzieci i naraziliśmy ich na wydatki. Nie mieliśmy żadnych pewnych wiadomości na temat przyjscia tych przeklętych aliantów. Czasem zjawiał się w Sant' Eufemia Tommasino,

przychodząc z doliny, ale ponieważ interesował się tylko czarnym rynkiem i pieniędzmi, trudno było wyciągnąć od niego coś więcej ponad parę nieskładnych zdań; to znów pokazywał się jakiś chłop z dalszych okolic, ale jako chłop mówił rzeczy, które nie trzymały się kupy. Od czasu do czasu pojawiali się także młodzi ludzie z Pontecorvo, z plecakami, sprzedający sól i tytoń, które były bardzo pożądanymi artykułami na tym odludziu. Tytoń był w liściach, wilgotny i gorzki; uchodźcy siekali go i kręcili papierosy z papieru gazetowego; sól była w najgorszym gatunku, ta sama, którą dawniej trzymało się tylko dla bydła. Ci chłopcy także przynosili wiadomości, ale były to przeważnie wyssane z palca plotki, w które ten i ów wierzył początkowo, ale po chwili zastanowienia widział, że są jak ta ich sól, ważąca podwójnie z powodu zawartej w niej wody. Także ich wiadomości tak były zaprawione fantazją, że na pozór robiły wrażenie prawdziwych, lecz w świetle rozsądku owa fantazja szybko się ulatniała i nietrudno było się połapać, że nie ma w nich ani słowa prawdy. Mówili, że rozgrywa się wielka bitwa, ale żaden z nich nie wiedział dokładnie gdzie; słyszało się o okolicach Neapolu, Caserty, Cassino, a nawet i o Itri, które położone było tuż tuż. Wszystko bajki! W rzeczywistości tym żółtodziobom chodziło tylko o to, żeby sprzedać sól i tytoń, a co do wiadomości, to opowiadali rzeczy, które, ich zdaniem, mogły sprawić przyjemność tym, co ich o nie pytali.

Jedyne wydarzenie w ciągu tych pierwszych dni, które przypomniało nam o wojnie, to wybuchy dolatujące od strony

morza, czyli stamtąd, gdzie znajdowała się Sperlonga. Te wybuchy słycać było bardzo wyraźnie i później dowiedzieliśmy się od pewnej kobiety, która przyszła sprzedawać pomarańcze, że Niemcy wysadzili w powietrze tamy na bagnach i nawadniających kanałach, żeby zatrzymać maszerujących naprzód Anglików; tak więc wkrótce wszystko w tamtej okolicy znajdzie się pod wodą i ludzie, którzy spędzili całe życie na uprawianiu pól, będą zrujnowani, bo jak wiadomo woda niszczy zasiewy i trzeba całych lat, by z powrotem osuszyć i użyźnić grunty. Owe wybuchy następowały jeden po drugim, niczym wystrzały z muszkietów na uroczystościach wiejskich; doznawałam dziwnego uczucia, bo było w nich właśnie coś świątecznego, a tymczasem wiedziałam, że są zwiastunem nędzy i rozpaczki dla tych, którzy mieszkają na tej żyznej ziemi. Dzień był prześliczny, pogodny, spokojny; niebo bez jednej chmurki. Zielona, bogata dolina Fondi, ciągnąca się aż do lekko zamglonego brzegu morza, którego błękit zdawał się uśmiechać, widoczna była jak na dłoni. I raz jeszcze, patrząc na ten krajobraz i słysząc owe wybuchy, pomyślałam sobie, że nie ma harmonii pomiędzy człowiekiem a naturą, kiedy natura wyładowuje się podczas burzy piorunami, błyskawicami i deszczem, ludzie najczęściej przesiadują zadowoleni i spokojni po domach; natomiast gdy natura uśmiecha się i zdaje się obiecywać wieczną szczęśliwość, bywa i tak, że ludzie rozpaczają i pragną śmierci.

Tak więc minęło jeszcze kilka dni, a wiadomości o wojnie dalej były niepewne i ci, którzy przychodzili do Sant' Eufemia z

doliny, stale mówili jedno i to samo, że wielka armia angielska maszeruje w stronę Rzymu. Trzeba powiedzieć, że ta wielka armia posuwała się widać żółtym krokiem, bo gdyby nawet szła piechotą i zatrzymywała się stale dla odpoczynku po drodze, powinna się być już pokazać, a tymczasem nie było jej widać. Nie mając już siły dłużej mówić o Anglikach i o dobrobycie, jaki ze sobą przyniosą, postanowiłam zająć się czymś za wszelką cenę, choćby robotą na drutach. Kupiłam od Parida trochę wełny i zaczęłam robić sweter; nie wierzyłam już, byśmy szybko mogły stąd wyruszyć, mogło się zdarzyć i tak, że przyjdzie nam tu spędzić zimę, a nie miałyśmy żadnych ciepłych rzeczy. Wełna była tłusta i ciemna, pachniała stajnią, była to wełna z owiec, których Paride hodował kilka sztuk. Rokrocznie strzygli owce i przędli wełnę na kołowrotku; robili z niej na drutach swetry i pończochy. W tym osiedlu górskim wszystko produkowano w najprymitywniejszy sposób, jak za czasów króla Ćwiczka. Rodzina Parida posiadała wszystko, co niezbędne było do życia, a więc nie tylko żywność, ale i surowce na ubranie, to znaczy len, wełnę i skórę. Było to zresztą wielkie szczęście dla nich, bo, jak już wspomniałam, nie mieli pieniędzy i gdyby nie ten przemysł domowy, musieliby chyba chodzić nago. Uprawiali więc len i hodowali owce na wełnę, a kiedy zarzynali krowę, wyprawiali skórę na kurtki i chodaki. Len i wełnę po uprzedzeniu tkwały na zmianę na warsztacie w naszej izdebce Luisa i jej siostra oraz bratowa Parida, ale muszę powiedzieć, że wszystkie trzy nie znały się na tej robocie, źle przędły i źle tkwały. Zrobiony przez nie materiał, który farbowały na niebiesko

kiepskimi farbami, a potem kroili i szyły z niego spodnie i bluzy (nigdy w życiu nie widziałam gorzej skrojonych ubrań), już po tygodniu przecierał się na łokciach i na kolanach. Wtedy zaczynały przyszywać łąty i już w dwa tygodnie po włożeniu nowych rzeczy wszyscy członkowie rodziny wyglądali jak łąchmaniarze. Jednym słowem fabrykowali wszystko sami, nic nie kupując, ale każda rzecz była zrobiona byle jak i źle. Michele, syn Filippa, z którym podzieliłam się moimi obserwacjami, odpowiedział mi z powagą potrząsając głową: — A któż dzisiaj, po wynalezieniu maszyn, robi cokolwiek ręcznie? Tylko tacy nędzarze jak ci właśnie chłopci w biednym i zacofanym kraju, jakim są Włochy! — Ktoś mógłby pomyśleć, że tymi słowami Michele wyrażał pogardę dla chłopów, ale nie, on tylko taki miał już sposób mówienia, zwięzły, cierpki, sarkastyczny. Największe wrażenie robiło na mnie to, że wypowiadał te rzeczy nie podnosząc głosu, spokojnym tonem, jak gdyby mówił o czymś oczywistym, nie podlegającym dyskusji, o czymś, czym już od dawna przestał się przejmować; mówił to tak samo, jak gdyby stwierdzał, że pada deszcz czy też świeci słońce. Dziwny był człowiek z tego Michele, a że potem zaprzyjaźniliśmy się bardzo i przywiązałam się do niego jak do syna, pragnę go opisać, choćby dlatego, by raz jeszcze wskrzesić go w mojej pamięci. Nie był wysoki, raczej niski, ale szeroki w ramionach i jakby przygarbiony, głowę miał dużą i bardzo wysokie czoło. Był ogromnie zapalony do nauki, i, jak dowiedziałam się od jego ojca, właśnie w tym roku miał skończyć uniwersytet, ale nie pamiętam już, jaki wydział. Nosił okulary i

chodził zawsze z wypiętą naprzód piersią, ostentacyjnie i dumnie, z miną człowieka, który nie boi się nikogo i nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. Musiał mieć około dwudziestu pięciu lat, ale wrodzona powaga i okulary sprawiały, że wyglądał na trzydzieści. Przedziwny był przede wszystkim jego charakter, różniący się całkowicie od charakteru innych uchodźców i w ogóle wszystkich ludzi, jakich znałam dotychczas. Jak już wspomniałam, wyrażał się zawsze z wielką pewnością siebie, jak człowiek, który jest przekonany, że on jeden poznał prawdę i potrafi ją głosić. Z owego przekonania, moim zdaniem, wynikało to, co już podkreślałam, że nawet mówiąc rzeczy przykre, wstrząsające, nie tracił równowagi, ale wypowiadał je spokojnym, obojętnym tonem, jak gdyby szło o przestarzałe sprawy, dawno przez wszystkich uzgodnione. A tymczasem wcale tak nie było, przynajmniej jeśli idzie o mnie, bo gdy słyszałam go mówiącego o faszyzmie i faszystach, ogarniało mnie zdumienie. Od dwudziestu lat, to znaczy od czasu kiedy zaczęłam samodzielnie myśleć, słyszałam o rządzie same tylko dobre rzeczy; jeśli nawet narzekałam czasem na to czy owo, to tylko wówczas, kiedy nie podobały mi się jakieś zarządzenia wymierzone w mój sklep; polityką nie zajmowałam się nigdy i myślałam sobie, że skoro gazety stale wychwalają rząd, muszą mieć ku temu swoje racje i że nie do nas, biednych i ciemnych ludzi, należy osądzanie spraw, których nie rozumiemy i nie znamy. Michele natomiast przeczył wszystkiemu; tam gdzie gazety mówiły: biało, on powiadał: czarno; i wszystko, co działo się we Włoszech przez te dwadzieścia lat, było według niego złe.

Jednym słowem, zdaniem Michele-la, Mussolini, jego ministrowie, inne grube ryby i w ogóle ci wszyscy, którzy mieli jakiegokolwiek znaczenie, to byli bandyci, od pierwszego do ostatniego, bez wyjątku. Tak się właśnie wyraził: bandyci. Słuchałam z otwartymi ustami tych oświadczeń, wypowiadanych z pewnością siebie, nonszalancją i spokojem. Zawsze obijało mi się o uszy, że Mussolini jest co najmniej geniuszem, jego ministrowie co najmniej wielkimi ludźmi; sekretarze partii faszystowskiej, skromnie mówiąc, ludźmi z towarzystwa i obdarzonymi wyjątkową inteligencją; wszyscy niżsi funkcjonariusze przezacnymi istotami, którym można na ślepo zaufać! I oto Michele zburzył za jednym zamachem wszystkie moje przekonania, nazywając ich bandytami. Najpierw zaczęłam się zastanawiać, jak to się stało, że tak myślał; dlaczego, jak wielu innych, nie doszedł do tego wniosku dopiero wtedy, kiedy Włochy zaczęły przegrywać wojnę; jak już wspomniałam, odnosiło się takie wrażenie, jakby przyszedł na świat z tymi przekonaniem, w sposób tak naturalny, jak naturalne jest, że dzieci nazywają po swojemu rośliny, zwierzęta, ludzi. Miał w sobie jakąś wrodzoną, niezłomną nieufność do wszystkich i do wszystkiego, a to wydawało mi się tym dziwniejsze, że, jako chłopak dwudziestopięcioletni, nie znał nic innego poza faszyzmem; był wychowany i wykształcony przez faszystów, a więc rozumując logicznie i on powinien być faszystą, względnie jednym z tych wielu, którzy krytykują faszyzm, ale po kryjomu, bez przekonania. Natomiast Michele przy całym swoim faszystowskim wykształceniu był zaciekle wrogiem faszyzmu.

Przyszło mi więc na myśl, że w samym systemie kształcenia musiały być jakieś braki, bo w przeciwnym razie Michele nie wyrażałby się w ten sposób.

Ktoś mógłby pomyśleć, że Michele był taki, bo wiele przeszedł w życiu; jak wiadomo, człowiek, mający za sobą smutne doświadczenia (co zdarzyć się może i przy najlepszych rządach), nabiera skłonności do uogólnień i zaczyna widzieć wszystko w czarnych barwach, nic mu się nie podoba, z niczego nie jest zadowolony.

Nie, poznając lepiej Michela, powoli się przekonałam, że nie miał żadnych ciężkich przeżyć, nie zaznał niczego, co przerastałoby doświadczenia przeciętnego młodego człowieka z jego sfery. Wychował się w Fondi, przy rodzinie, tam chodził do szkoły i jak wszyscy jego rówieśnicy był najpierw w „balilli”, a potem awansował na „avanguardistę”. Następnie zapisał się na Uniwersytet w Rzymie i studiował tam przez kilka lat, mieszkając u stryja, który był sędzią. To było wszystko. Za granicę nigdy nie wyjeżdżał, we Włoszech poza Fondi i Rzymem znał jeszcze kilka większych miast. Jednym słowem nigdy nie przydarzyło mu się nic nadzwyczajnego, a jeśli nawet miał jakieś trudne przeżycia, to nie w rzeczywistości, tylko w wyobraźni. Na przykład, wydaje mi się, że jeśli idzie o kobiety, nie miał żadnych miłosnych doświadczeń, które — w braku innych — wielu młodym otwierają oczy na życie. Sam wspominał kilkakrotnie, że nie był zakochany ani zaręczony i nigdy nie zalecał się do żadnej kobiety. O ile można się było

domyślać, zetknął się co najwyżej z jakąś prostytutką, jak robią wszyscy młodzieńcy, nie mający ani znajomości, ani pieniędzy. Tak więc doszłam do wniosku, że Michele sam sobie wyrobił owe głęboko w nim zakorzenione przekonania, prawie podświadomie, na złość wszystkim. W ciągu dwudziestu lat faszyci zrywali sobie gardła, aby głosić, że Mussolini jest geniuszem, a jego ministrowie wielkimi ludźmi; tymczasem Michele od chwili kiedy zaczął myśleć samodzielnie, odruchowo jak roślina, która wypuszcza gałązki w tę stronę, gdzie jest słońce, buntował się przeciwko wszystkiemu, co było faszystowskie. Są to rzeczy niezrozumiałe, wiem o tym, ale jako prosta kobieta nie podejmuję się ich wytłumaczyć. Dawno już zauważyłam, że bardzo często dzieci lubią robić na przekór rodzicom, nie dlatego, by uważały, że rodzice nie mają racji, ale dlatego, że rodzice są rodzicami, a one dziećmi i chcą mieć swoje życie, urządzone po swojemu, a nie wzorowane na życiu rodziców. Przypuszczam, że właśnie taki był Michele. Był wychowywany przez faszystów na faszystę; a przez sam fakt, że żył i chciał mieć swoje życie, stał się anty faszystą. W owym pierwszym okresie Michele spędzał z nami prawie całe dni. Nie wiem, co go do nas ciągnęło, byłyśmy prostymi kobietami, niewiele różniącymi się w gruncie rzeczy od jego matki i siostry, a przy tym, do czego przejdę później, bynajmniej nie był zainteresowany Rosettą. Może wolał nas od swojej rodziny i reszty uchodźców, dlatego że pochodziłyśmy z Rzymu, nie mówiłyśmy dialektem i nie rozmawiałyśmy jak inni o sprawach Fondi, które nie tylko nie interesowały go, ale wyraźnie nudziły. Jednym słowem zja-

wiał się u nas z samego rana, ledwie zdążyliśmy się ubrać, i odchodził tylko w porze posiłków. Wydaje mi się, że widzę go jeszcze, jak zagląda do naszej izdebki, gdzie przesiadywałyśmy beczynnie, ja na łóżku, a Rosetta na krześle, i mówi wesołym głosem: — Co byście na to powiedziały, gdybyśmy się wybrali na piękny spacer? — Zgadzałyśmy się, choć te piękne spacery były zawsze te same: szło się albo polem, obchodząc dokoła górę, idąc przez cały czas po płaskim terenie, na wysokości połowy zbocza, i dochodząc do sąsiedniej doliny, podobnej kubek w kubek do Sant' Eufemia, albo schodziło się w tym czy w innym miejscu w dół, w dolinę. Prawie zawsze wybieraliśmy tę pierwszą drogę, żeby się za bardzo nie męczyć, i dochodziliśmy do miejsca, gdzie szczyt po lewej stronie wystrzelał ku górze nad doliną. Znajdował się tam las, zielony i pełen słońca, a ziemia pokryta była mięciutkim mchem, który zastępował nam poduszki. Siadaliśmy prawie na szczycie, nie opodal niebieskawej skały, skąd widać było rozciągającą się w dole całą panoramę Fondi, i spędzaliśmy tam kilka godzin. Cośmy robili? Naprawdę trudno by mi było na to odpowiedzieć. Czasami Rosetta chodziła razem z Michaelem po lesie zrywając cyklameny, które o tej porze roku rosły gęsto i bujnie, wychylając jaskrawoczerwone kielichy spośród ciemnozielonego listowia. Robiła duży bukiet i przynosiła mi go, a ja stawiałam potem te kwiaty na stole w naszej izdebce. Czasami znowu siedzieliśmy nic nie robiąc, patrząc na niebo, na morze, na dolinę, na góry. Prawdę mówiąc nic nie pozostało mi w pamięci z owych spacerów, bo nie działo się podczas nich nic szczególnego,

oprócz oczywiście rozmów z Michelelem. Te rozmowy pamiętam, tak jak pamiętam jego, ponieważ wszystko, co mówił, było dla mnie nowe. Nigdy w życiu nie spotkałam jeszcze takiego człowieka jak Michele. Obydwie byłyśmy prostymi kobietami, a on mężczyzną, który przeczytał wiele książek i dużo wiedział. Ala ja miałam doświadczenie życiowe, którego on nie posiadał. I myślę sobie teraz, że on przy całym odczytaniu, przy całej wiedzy, był w gruncie rzeczy naiwnym dzieckiem, które nic nie wie o życiu i stwarza sobie mylne poglądy na wiele rzeczy. Pamiętam na przykład dokładnie rozmowę, którą przeprowadziliśmy w pierwszych dniach naszej znajomości: — Ty, Cesiro (mówił „ty” do nas obydwóch i my również zwracaliśmy się do niego w tej formie), jesteś wprawdzie sklepikarką i myślisz tylko o swoim sklepie, ale na swoje szczęście nie jesteś zepsuta handlem, pozostałaś taka, jaka byłaś w dzieciństwie. — Jaka? — zapytałam. A on: — Pozostałaś chłopką. — Odrzekłam mu na to: — Nie powiem, żeby to był komplement... chłopów nie obchodzi nic poza ziemią, nic o niczym nie wiedzą, żyją jak zwierzęta. — Michele zaczął się śmiać i odpowiedział: — Dawno, bardzo dawno temu, to nie był komplement... ale dzisiaj, tak... dzisiaj ci, którzy umieją pisać i czytać i żyją w mieście, i prowadzą dostatnie życie, są prawdziwymi nieukami, prawdziwymi głupcami, prawdziwymi barbarzyńcami... ich już nic nie zmieni, ale z wami chłopkami, można zacząć wszystko od początku. — Nie zrozumiałam, co chciał przez to powiedzieć, i zapytałam: — Co to znaczy zacząć od początku? — A on: — Zrobić z nich nowych ludzi. — Zawołałam: — Od razu widać,

że nie znasz chłopów, mój drogi... z chłopami nic się nie da zrobić... Co ty sobie myślisz, co to są chłopci? Ludzie siedzący na roli z dziada pradziada, którzy byli chłopami, kiedy ludziom nie śniło się jeszcze o miastach. Są chłopami i na zawsze pozostaną chłopami... zrobisz z nich wszystko, tylko nie nowych ludzi. — Z żalem pokiwałam głową i nic nie odpowiedziałam. Odniosłam wrażenie, że widzi chłopów takimi, jakimi nie są i nigdy nie będą, tak jak chce ich widzieć, nie licząc się z rzeczywistością.

Wyrażał się dobrze tylko o chłopach i robotnikach, ale według mnie nie znał ani jednych, ani drugich. Powiedziałam mu pewnego dnia: — Michele, mówisz o robotnikach, ale nie znasz ich. — Zapytał:

— A ty ich znasz? — Oczywiście, że znam — odpowiedziałam — tylu ich przychodzi do mojego sklepu... mieszkają w sąsiedztwie. — Jacy to robotnicy? — No, drobni rzemieślnicy, blacharze, murarze, elektrotechnicy, stolarze, sami ciężko pracujący ludzie. — A jacy według ciebie są robotnicy? — zapytał mnie zaraz potem z kpiącym uśmiechem, jak gdyby był z góry przygotowany na to, że usłyszy jakąś głupią odpowiedź. Odrzekłam mu: — Mój drogi... nie wiem, jacy oni są... dla mnie te różnice nie istnieją... są ludźmi jak wszyscy inni... są między nimi dobrzy i źli... leniwi i pracowici. Niektórzy kochają swoje żony, inni uganiają się za ładacznicami... jedni piją, inni grają w karty. Jednym słowem są wśród nich wszystkie rodzaje ludzi, tak jak wszędzie, jak wśród panów, chłopów, urzędników i innych. — Michele odrzekł na to: —

Może ty właśnie masz rację... widzisz ich jako ludzi podobnych do innych i masz słuszość, że tak na nich patrzysz... gdyby wszyscy patrzyli na nich jak na równych sobie ludzi i tak ich traktowali, pewne rzeczy nie miałyby miejsca i może nawet nie siedzielibyśmy teraz tutaj, w Sant' Eufemia. — Zapytałam go: — A jak ich widzą inni? — A on: — Nie patrzą na nich jak na ludzi, ale jak na robotników. — A ty? — Ja także jak na robotników. — No więc — odparłam — ty także jesteś winien, że musieliśmy się tutaj schronić... Oczywiście powtarzam to, co sam powiedziałaś, choć tego nie rozumiem: ty także patrzysz na nich jak na robotników, nie jak na ludzi takich samych jak inni. — A on: — Oczywiście, ja też patrzę na nich jak na robotników, ale trzeba wiedzieć, dlaczego... niektórym jest wygodnie patrzeć na nich pod tym kątem, aby tym bardziej ich wyzyskiwać... a mnie, aby ich bronić. — A więc — odpaliłam z miejsca — jesteś agitatorzem. — Zmieszał się i zapytał: — Skąd ci to przyszło do głowy? — Odpowiedziałam mu: — Słyszałam, jak posterunkowy, który przychodził do mojego sklepu, mówił o tym, że agitatorzy buntują robotników. — Milczał przez chwilę, a potem rzekł: — No dobrze, przypuśćmy, że jestem agitatorzem. — A robiłaś kiedy agitację wśród robotników? — Wzruszył ramionami i burknął niechętnie, że nie. Wówczas powiedziałam: — A widzisz, że nie znasz robotników. — Tym razem nic nie odpowiedział.

Jednakże pomimo tych skomplikowanych rozmów, które nie zawsze były dla nas zrozumiałe, i ja, i Rosetta wolałyśmy

przebywać z Michele niż z kimkolwiek innym. Był najkulturalniejszy ze wszystkich, on jeden nie myślał o interesach i o pieniądzach i dzięki temu był mniej nudny od innych; pieniądze oczywiście są ważną rzeczą, ale słuchanie o nich od rana do wieczora jest czymś nie do zniesienia. Filippo oraz inni uchodźcy mówili jedynie o interesach, to znaczy, co sprzedać, co kupić, na czym zarobić, i o tym, jak było przed wojną i jak się wszystko ułoży po wojnie. Kiedy nie rozmawiali o interesach, grali w karty w domu Filippa siedząc po turecku na podłodze, oparci plecami o worki mąki czy fasoli, w kapeluszach na głowach, z cygarem w ustach; w izbie aż ciemno było od dymu, a oni całymi godzinami rzucali kartami, krzycząc przy tym tak głośno, jak gdyby chcieli się wzajem wymordować. Wokół czterech grających stało co najmniej czterech kibiców, jak to bywa w wiejskich gospodach. Nie znosiłam kart, było więc dla mnie niepojęte, jak mogą spędzać całe dni na grze, trzymając w ręku te stare, zatłuszczone karty, lepiące się od brudu, tak że nawet nie było na nich widać figur. Sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej, gdy kompania Filippa nie grała w karty i nie rozprawiała o interesach, tylko rozmawiała o wszystkim i o niczym. Jestem prostą kobietą, znam się tylko na sklepie i na uprawie ziemi, lecz doskonale zdawałam sobie sprawę, że kiedy ci brodaci, dorośli mężczyźni wychodzili poza krąg swoich interesów, opowiadali smalone duby. Odczuwałam to tym bardziej porównując ich z Michele, który nie był takim prostakiem jak oni, i to, co mówił — nawet jeśli czegoś nie rozumiałam — zawsze było słuszne. Ci ludzie rozumowali jak

skończeni głupcy, powiedziałabym jak bydlęta, gdyby bydlęta umiały samodzielnie myśleć; kiedy nie wygadywali tych głupstw, mówili rzeczy wstrząsająco okrutne i obraźliwe, brutalne. Przypominam sobie na przykład pewnego piekarza, Antonia, chuderlawego bruneta, ślepego na jedno oko, którym nieustannie mrugał, jak gdyby mu coś wpadło pod powiekę. Pewnego dnia kilku uchodźców, wśród których znajdował się Antonio, siedziało na murku podpierającym pole i rozmawiało o wojnie oraz o tym, co się dzieje podczas wojny; ja i Rosetta przysłuchiwałyśmy się w milczeniu. Ten Antonio był w Libii, kiedy miał dwadzieścia lat, i lubił opowiadać o tym, bo wojna abisyńska zaważyła na jego życiu i między innymi stracił na niej oko. Tak więc, sama nie wiem jak, dobiegły do nas w pewnej chwili następujące słowa: — Zamordowali trzech naszych... mało powiedzieć zamordowali... wyłupili im oczy, obcięli język, powyrywali paznokcie... wtedy postanowiliśmy zrobić odwet... z samego rana poszliśmy do jednej wioski, spaliliśmy wszystkie chaty i zabiliśmy wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci... dziewczynkom, tym skurwy córkom, wbijaliśmy bagnety między nogi i jedną po drugiej rzucaliśmy na kupę... tym sposobem raz na zawsze oduczylimy ich okrucieństwa. — W tym momencie ktoś lekko zakaszłał, bo my dwie byłyśmy tam obce, a Antonio mógł tego nie zauważyć, ponieważ stałyśmy za drzewem. Usłyszałam jeszcze, jak Antonio tłumaczy się mówiąc: — Na wojnie wszystko się zdarza, i to o wiele gorsze rzeczy — po czym pobiegłam za Rosettą, która szybko się oddaliła. Szła ze spuszczoną głową i kiedy zatrzymała się,

zobaczyłam, że jest blada jak papier i ma łzy w oczach. Zapytałam, co jej się stało, a ona: — Nie słyszałaś, co mówił Antonio? — Nie umiałam powiedzieć nic innego, jak powtórzyć słowa Antonia: — Niestety, córuchno, na wojnie dzieją się jeszcze i gorsze rzeczy. — Milczała przez chwilę, a potem powiedziała jakby do siebie samej: — Ja w każdym razie wolałabym znaleźć się wśród tych, którzy zostają zabici, niż wśród tych, którzy zabijają. — Od tej chwili zawsze trzymałyśmy się z daleka od grupki uchodźców, bo Rosetta za nic w świecie nie chciała zetknąć się z Antoniem ani z nim rozmawiać.

Zresztą i z Michele Rosetta zgadzała się tylko w pewnym stopniu, na punkcie religii miała całkiem odmienne poglądy. Czerwoną płachtą na Michela byli, jak już wspomniałam, faszyci, a zaraz potem księża; trudno by nawet powiedzieć, których bardziej nienawidził. Często żartował mówiąc, że faszyci i księża to jedno i to samo, a różnica polega tylko na tym, że księża noszą długie sutanny, a faszyci skrócili je sobie, robiąc z nich czarne koszule. Jego wystąpienia przeciwko religii, a raczej przeciwko księżom ani mnie grzały, ani ziębiły, zawsze byłam zdania, że w tych sprawach każdemu wolno mieć własne poglądy; jestem religijna, tak, lecz nikomu nie narzucam swoich przekonań. Poza tym zdawałam sobie sprawę, że Michele, pomimo pozornego sarkazmu, nie podchodzi do tych rzeczy złośliwie; chwilami prawie odnosiłam wrażenie, że mówi źle o księżach nie dlatego, że ich nienawidzi, ale dlatego, że cierpi nad

tym, iż nie są dobrymi księżmi i nie zawsze zachowują się jak księża. Jednym słowem, kto to może wiedzieć, może i on był wierzący, ale zawiedziony; często tak bywa, że ludzie tacy jak Michele, którzy byliby może nawet bardziej religijni od innych, na skutek doznanych rozczarowań najczęściej narzekają na księży. Ale Rosetta była zupełnie inna niż ja, była bardzo religijna i chciała, by wszyscy byli tacy jak ona; nie mogła ścierpieć żadnej krytyki w tej dziedzinie, nawet — jak w wypadku Michela — wypowiedanej w dobrej wierze, bez złośliwości. Tak więc od pierwszej chwili, kiedy usłyszała Michela wymyślającego na księży, zapowiedziała mu wyraźnie i jasno: — Jeśli chcesz się z nami widywać, musisz zaprzestać tych rozmów. — Myślałam, że Michele będzie upierał się przy swoim albo się rozłości, co zdarzało się często, kiedy ktoś mu przeczył. Tymczasem ku memu wielkiemu zdziwieniu nie oponował i zamilknął. Ograniczył się tylko do krótkiej uwagi, którą wypowiedział dopiero po chwili: — Kilka lat temu byłem taki jak ty... co więcej, poważnie myślałem o tym, żeby zostać księdzem... ale potem odeszła mi ochota. — Osłupiałam ze zdziwienia na tę tak nieoczekiwaną wiadomość: nigdy bym się nie domyśliła, że miał tego rodzaju zamiary. Zapytałam: — Naprawdę chciałeś zostać księdzem? — Odpowiedział: — Naprawdę, możesz zapytać mojego ojca, jeśli mi nie wierzysz. — A dlaczego się potem rozmyśliłeś? — Byłem jeszcze wtedy prawie dzieckiem, a potem uświadomiłem sobie, że nie mam powołania. A raczej — dorzucił z uśmiechem — że mam powołanie i właśnie dlatego nie powinienem być księdzem. —

Rosetta tym razem nic nie powiedziała i na tym skończyła się rozmowa.

A tymczasem sytuacja zaczynała się zmieniać i to nie na lepsze. Po wielu sprzecznych pogłoskach przyszły wreszcie prawdziwe wiadomości: dywizja niemiecka rozbiła namioty w dolinie Fondi, a linia frontu zatrzymała się na rzece Gargliano. Oznaczało to, że Anglicy już się nie posuwali naprzód, a Niemcy przygotowywali się do spędzenia zimy wśród nas. Ci, którzy przychodzili w góry, mówili, że w dolinie roi się od Niemców, którzy kryją się przeważnie w pomarańczowych gajach razem ze swoimi czołgami i nakrapianymi na niebiesko, zielono i żółto namiotami. Jednakże w Sant' Eufemia można było i to uważać tylko za pogłoski, bo nikt tu jeszcze nie widział na oczy Niemca. Potem nastąpiło wydarzenie, na skutek którego zetknęliśmy się z Niemcami i mieliśmy możliwość przekonać się na własnej skórze, co to za łajdaki. Opiszę to dlatego, że właśnie od tej chwili wszystko się zmieniło, w pewnym sensie wtedy właśnie wojna dotarła do nas w góry, by nie opuścić nas już więcej.

A więc między uchodźcami, grywającymi w karty u Filipa, znajdował się pewien krawiec, imieniem Severino; był on najmłodszy z całej tej kompanii, niski i chudy, z pożółkłą twarzą i czarnymi wąsikami. Stale przymykał jedno oko, jak gdyby mrugał porozumiewawczo; było to przyzwyczajenie, którego nabrał w krawieckim fachu, bo szyjąc zgarbiony na stołku w swoim warsztacie, przymrużał nad robotą jedno oko. Severino uciekł z Fondi, jak wszyscy inni, zaraz po pierwszych

bombardowaniach i zamieszkał w domu leżącym nie opodal naszego, wraz z córeczką i żoną, równie niepozorną i nieśmiałą jak on sam. Severino niepokoił się najbardziej ze wszystkich uchodźców w Sant' Eufemia, ponieważ ulokował wszystkie pieniądze w materiałach angielskich i włoskich, które ukrył w bezpiecznym miejscu. Widocznie jednak nie musiało być ono takie bezpieczne, bo drżał z niepokoju o los swojego skarbu. Niepokój jego przekształcał się w wielkie nadzieje, kiedy zapominając o teraźniejszości, Niemcach, faszystach, wojnie i bombardowaniach, zaczynał myśleć o przyszłości. Każdemu, kto tylko chciał go słuchać, Severino wykladał swój plan, który zaraz po zakończeniu wojny miał zrobić z niego bogatego człowieka. Ów plan polegał na wykorzystaniu pierwszego, może półrocznego, może rocznego okresu, zanim wszystko wróci do normy. W tym czasie nie będzie jeszcze zorganizowanego handlu i importu towarów, a więc Włochy, okupowane przez aliantów, odczują dotkliwy brak wszystkiego. Wtedy, w odpowiednim momencie, on, Severino, załaduje swoje materiały na ciężarówkę, pojedzie do Rzymu i tam, po niebotycznych cenach, odprzeda w detalu to, co kupił hurtowo. Był to plan nie pozbawiony rozsądku, jak się potem okazało, i ukazywał wyraźnie, że Severino był jedynym z naszej grupki uchodźców, który umiał przewidzieć stały wzrost cen, związany z brakiem towarów na rynku, i dewaluację pieniędzy, drukowanych bez opamiętania przez aliantów, Niemców i Włochów. Był to rozsądny plan, powtarzam, lecz niestety rozsądne plany rzadko

kiedy bywają uwieńczone pomyślnym rezultatem, zwłaszcza podczas wojny.

Jednym słowem pewnego ranka przybiegł z doliny, cały zdyszany, młodziutki czeladnik Severina; zanim jeszcze zdążył wbiec na półko, krzyknął z dołu do krawca, który w najwyższym stopniu zdenerwowany czekał na niego, oparty o murek: — Severino, wszystko ci ukradli!... znaleźli schowek i zabrali wszystkie materiały! — Stałam blisko Severina i zobaczyłam, że zachwiał się na te słowa, jak gdyby ktoś znienacka uderzył go pałką po głowie. Chłopak zdążył tymczasem przybiec na pole, a on chwycił go za ramiona, bełkocząc z wytrzeszczonymi oczyma: — To nie może być!... Co ty opowiadasz? Materiały? Moje materiały? Skradzione? To niemożliwe... Kto je skradł? — Nie wiem... skąd ja mogę wiedzieć? — odpowiedział chłopak. Zbiegli się wszyscy uchodźcy i otoczyli go zwartym kręgiem. Severino gestykulował jak szalony, oczy wychodziły mu z orbit, bił się pięściami po głowie, wyrywał sobie włosy. Filippo próbował go uspokoić mówiąc: — Nie przejmuj się tak... może to tylko plotki. — Jakie plotki — naiwnie zaprzeczył chłopak — widziałem na własne oczy rozbitą ścianę i opróżniony schowek! — Na to oświadczenie Severino rozpaczliwym gestem podniósł rękę do góry, jak gdyby wygrażał niebu, po czym popędził ścieżką przez pole i znikł nam z oczu. Byliśmy wszyscy pod wrażeniem tego wydarzenia: oznaczało ono, że wojna trwa, sytuacja pogarsza się nadal, że ludzie do reszty ztratili sumienie i jeśli teraz kradną, niedługo zaczną mordować. Filippo mówił

najwięcej ze wszystkich na temat owej kradzieży i potępiał Severina, że nie zachował dostatecznych ostrożności, na co zawołał któryś z uchodźców: — Tyś zamurował swoje rzeczy u twojego dzierżawcy... uważaj, żeby nie spotkało cię to samo! — Przypomniałam sobie rozmowy Vincenza z Concettą i pomyślałam, że ten człowiek ma rację. Lecz Filippo potrząsnął głową przecząco i powiedział z całym spokojem: — Jesteśmy kumami z moim dzierżawcą, trzymałem mu do chrztu syna, on trzymał do chrztu moją córkę... czy nie wiesz, że takie więzy nie pozwalają na oszustwo? — Po tych słowach Filippa pomyślałam sobie, że nawet najchytrzejsi ludzie w pewnych sprawach okazują się naiwni; liczyć na świętego Jana w wypadku Vincenza i Concetty było głupotą, być może nie pozbawioną wdzięku, ale tym niemniej głupotą. Nic jednak nie powiedziałam, żeby nie nasuwać mu jakichś podejrzeń, tym bardziej że próba ostrzeżenia go spaliła na panewce. Tego samego wieczora Severino powrócił z doliny zakurzony, smutny i roztrzęsiony do ostateczności. Powiedział, że był w mieście, widział przebitą ścianę i schowek doszczętnie opróżniony; powiedział, że zabrano mu wszystko, co posiadał, i że jest zrujnowany; powiedział, że mogli to równie dobrze zrobić Niemcy jak i Włosi, ale przypuszcza, że byli to raczej Włosi, a nawet, sądząc z tego, co dowiedział się w mieście, faszyci. Po udzieleniu tych informacji pogrążył się w milczeniu, siedząc ze spuszczoną głową na krześle przed domem Filippa. Jeszcze bardziej zżółkł i szerniał, i oparty o poręcz krzesła zerkał jednym okiem w stronę Fondi, gdzie go okradziono; drugim

okiem, jak zwykle, zdawał się mrugać porozumiewawczo i to wywierało najsmutniejsze wrażenie, bo ludzie mrugają zazwyczaj na znak dobrego humoru, on natomiast z rozpaczy bliski był samobójstwa. Od czasu do czasu kiwał głową i mówił po cichu: — Moje materiały... nie mam już nic... zabrali mi wszystko. — Na koniec powiedział: — Zestarzałem się w ciągu jednego dnia — i poszedł do siebie nie przyjmując zaproszenia na kolację do Filippa, który próbował pocieszyć go i uspokoić.

Nazajutrz widać było, że myśli dalej tylko o swoich materiałach i medytuje nad sposobem ich odzyskania. Był pewien, że ukradł mu je ktoś z okolicy; prawie pewien, że byli to faszyci, a raczej ci, których teraz nazywano faszystami, a przed upadkiem faszyzmu znani byli w całej dolinie jako złodzieje i włóczęgi. Skoro tylko wróciły faszystowskie czasy, owi hultaje spod ciemnej gwiazdy zaciągnęli się w szeregi milicji, tylko po to, żeby najeść się do syta i znęcać nad ludnością, która z powodu wojny i ucieczki władz całkowicie była zdana na ich łaskę i niełaskę. Severino powziął teraz decyzję, że musi odszukać swoje materiały, i codziennie schodził w dolinę; wracał wieczorem zmęczony, zakurzony, z pustymi rękami, ale coraz bardziej zawzięty. Gdy pytano go, co robi całymi dniami w Fondi, ucinał krótko: — Chodzę na polowanie — mając na myśli, że poluje na swoje materiały i na tych, którzy mu je skradli. Z rozmów, jakie odbywali Severino i Filippo, zrozumiałam, że ci faszyci, którzy jego zdaniem ukradli materiały, założyli sobie melinę w szopie, w miejscowości

zwanej Dell' Uomo Morto. Było ich dwunastu i zwozili do tej szopy ogromne zapasy żywności, które zarekwirowali okolicznym chłopom. Urządzali tam uczty i pijatyki, obsługiwani przez swoje dziewczki, które były przedtem kucharkami i robotnicami. Ci faszyci opuszczali w nocy ową spelunkę, jechali do miasta i tam przetrząsali jedno po drugim opuszczone domostwa, kradli, co tylko wpadło im pod rękę, waląc w ściany i podłogi karabinami w poszukiwaniu skrytek. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny, bomby i granaty, i buszowali najspokojniej po całej dolinie, bo, jak już wspomniałam, nie było już ani policji, która częściowo uciekła, a częściowo aresztowana została przez Niemców, ani żadnych władz. Owszem, pozostał jeden policjant, posterunkowy z gminy, ale był to biedny czełczyzna, obarczony liczną rodziną, który włóczył się od domu do domu, obdarty i zagłodzony, żebrząc u chłopów, żeby w imię miłosierdzia dali mu kawałek chleba albo jajko. Jednym słowem nie istniało już prawo; respektowali je jeszcze jedynie i wyłącznie żandarmi niemieccy, których można było odróżnić od innych niemieckich żołnierzy tylko po rzemieniu przepasującym pierś; ale oni szanowali swoje prawo, nie nasze włoskie, a dla nas owo prawo było tylko pustym frazesem; zdawało się istnieć tylko po to, żeby Niemcy mogli pozwalać sobie na wyłapywanie ludzi, na kradzieże i inne łajdactwa. Aby dać wyobrażenie o tym, co działo się w tych czasach, wystarczy powiedzieć, że pewnego pięknego poranka chłop z wioski, położonej niedaleko Sant' Eufemia, dźgnął nożem osiemnastoletniego chłopaka, swojego siostrzeńca. Nie

wiem, z jakich powodów, wiem tylko tyle, że potem zostawił go w winnicy i chłopiec umarł z upływu krwi. Stało się to o godzinie dziesiątej z rana. O piątej po południu tego samego dnia morderca poszedł do nielegalnej rzeźni, żeby kupić pół kilo mięsa. Zbrodnia stała się głośna, ale nikt nie śmiał pisnąć ani słowa: były to jego osobiste porachunki, a poza tym każdy lękał się o własną skórę. Tylko jedna kobieta odważyła się powiedzieć: — Masz chyba serce z kamienia... zabiłeś rodzonnego siostrzeńca i jak gdyby nigdy nic przychodzisz kupować mięso? — A tamten odpowiedział: — A co mi kto zrobi?... nikt mnie nie zaaresztuje, bo dziś nie ma żadnego prawa, każdy robi, co mu się podoba. — I miał rację: nie zaaresztowano go, pochował siostrzeńca pod figowcem i dalej bezkarnie chodził na wolności.

A więc Severino wbił sobie do głowy, że sam wymierzy sprawiedliwość, skoro sprawiedliwość publiczna nie istnieje. Nie wiem, co udało mu się zdziałać w czasie owych wycieczek do Fondi; lecz oto pewnego ranka zjawił się z wywieszonym językiem jakiś chłopina, zdyszany, prawie bez tchu, i krzyknął, że idzie Severino prowadząc ze sobą Niemców, których przekabacił na swoją stronę i którzy mają mu pomóc w odnalezieniu materiałów. Wszyscy uchodźcy powychodzili z domków, my dwie także, i stanęliśmy na półku obserwując ścieżkę, na której miał się zjawić Severino z Niemcami. Wszyscy naokoło mówili, że Severino to mądry przedsiębiorczy człowiek, bo dzisiaj mają władzę w rękach Niemcy, którzy nie są takimi

przestępcami i włóczykijami jak faszyci i którzy nie tylko pomogą mu odzyskać materiały, ale jeszcze ukarzą winnych. Filippo najbardziej wychwalał Niemców: — To są poważni ludzie, którzy do wszystkiego poważnie podchodzą, i do wojny, i do pokoju, i do handlu... Severino dobrze zrobił, że się do nich zwrócił... Niemcy umieją się wszystkiemu podporządkować, nie są taką zgrają anarchistów jak my, Włosi... przestrzegają dyscypliny, wiadomo, że kradzieże podczas wojny naruszają dyscyplinę. Jestem pewien, że oddadzą materiały Severinowi i odpowiednio ukarzą tych hultajów faszystów... można tylko podziwiać Severina, że umiał trafić w sedno. Kto dziś rządzi we Włoszech? Niemcy. A więc trzeba było zwrócić się do Niemców. — Filippo wypowiadał głośno swoje myśli i puszył się podkrecając wąsy. Było oczywiste, że myślał o swoich skarbach zamurowanych u dzierżawcy i że był zadowolony, iż Severino odzyska materiały. Cieszył się także, że kara spadnie na złodziei, ponieważ sam się bał, że zostanie okradziony.

Patrzyliśmy na ścieżkę i w końcu ukazał się Severino, ale zamiast uzbrojonego oddziału, jaki spodziewaliśmy się zobaczyć ukazał się tylko jeden Niemiec, i w dodatku zwykły żołnierz, nie żandarm. Skoro tylko doszli na półko, Severino przedstawił go nam, z dumą mówiąc, że nazywa się Hans, co znaczy po włosku Giovanni; wszyscy wyciągnęli dłonie na powitanie, ale Hans nie podał ręki nikomu, tylko zsalutował po wojskowemu, przykładając palce do czapki, jak gdyby chciał podkreślić dystans, dzielący go od uchodźców. Ten Hans był malutki,

włosy miał jasne, biodra rozłożyste jak kobieta i białą, nalaną twarz. Kilka blizn przecinało mu policzek, i gdy zapytano go, skąd się wzięły, odrzekł krótko: — Stalingrad. — Owe blizny na obwisłej i jak gdyby pogniecionej twarzy sprawiły, że wyglądał jak brzoskwinia czy gruszka, która spadła z drzewa i ściemniała, i popękała, a w środku na wpół zgniła, o czym się można przekonać po nadgryzieniu. Miał oczy niebieskie, ale nieładne, wyblakłe, bez wyrazu, za jasne jak gdyby szklane. A tymczasem Severino chwalił się przed nami, jak udało mu się zaprzyjaźnić z Hansem: dziwnym zrządzeniem losu Hans także był krawcem i jako koledzy po fachu od razu się dogadali. Mógł zrozumieć lepiej niż ktokolwiek inny zmartwienie Severina i przyrzekł przyjść mu z pomocą. Jednym słowem nie był to nikt z żandarmerii ani oddział niemiecki, tylko jeden Niemiec; wszyscy przypochlebiali mu się na wyścigi. Ktoś zapytał go, jak długo jeszcze potrwa wojna, ktoś inny był ciekaw, jak było w Rosji, inny jeszcze informował się, kto wypowie teraz decydującą bitwę: Anglicy czy Niemcy. Hans w miarę zadawanych mu pytań nabierał pewności siebie i nadymał się niczym balon. Powiedział, że wojna skończy się już niedługo, ponieważ Niemcy są w posiadaniu ukrytej broni, że Rosjanie dzielnie się biją, ale Niemcy jeszcze lepiej i że Niemcy pierwsi ruszą do ataku, spychając aliantów do morza. Jednym słowem wzbudzał ogólny szacunek, do tego stopnia, że Filippo zaprosił go do siebie na śniadanie razem z Severinem.

Asystowałam przy tej wizycie, bo chociaż już jadałam śniadanie, byłam ciekawa, jaki jest ten Niemiec, pierwszy, który dotarł do nas w góry. Kiedy tam poszłam, jedli już owoce na deser; przy stole siedziała rodzina Filippa, oprócz Michela, który nienawidził Niemców, i już przedtem, kiedy Hans opowiadał o bliskim zwycięstwie nad Anglikami, spoglądał na niego ponuro i groźnie, jak gdyby chciał wygrzmocić go pięściami. Teraz na skutek wypitego wina Niemiec spoufalił się i co chwila poklepywał po ramieniu Severina, powtarzając, że oni dwaj, jako krawcy, są przyjaciółmi od serca i że zrobi wszystko, żeby Severino odzyskał swoje materiały. Potem wyciągnął z kieszeni portfel, a z portfela fotografię tęgiej kobiety, dwa razy grubszej od niego, o dobrodusznej twarzy, i powiedział, że to jego żona. Potem znowu rozmowa zeszła na wojnę i Hans oświadczył łamaną włoszczyzną: — My robić ofensywę i rzucić w morze Anglików. — Filippo, który w dalszym ciągu robił wszystko, żeby mu się przypochlebić i zjednać go sobie, podchwycił od razu: — A jakżeby inaczej, pewnie, że tak... powrzucamy ich wszystkich do morza, tych zbrodniarzy. — Ale Niemiec: — Nie, nie zbrodniarze... dzielni żołnierze. — Filippo przytaknął mu i tym razem: — Dzielni żołnierze, oczywiście... wiadomo, że to dzielni żołnierze. — Ale Niemiec zaperzył się nagle: — Ty podziwiać angielskich żołnierzy... ty zdrajca. — Filippo wystraszył się: — A kto by ich tam podziwiał... przecież powiedziałem, że to zbrodniarze. — Lecz Niemca nie zadowolili i ta odpowiedź: — Zbrodniarze nie... dzielni żołnierze... ale zdrajcy, jak ty, co ich podziwiać, kaputt — i przejechał palcem

po gardle. Jednym słowem nikt nie potrafił mu dogodzić i wszyscy zaczęliśmy się bać w pewnej chwili. Potem zwrócił się do Severina: — Ty dlaczego nie być na froncie? My, Niemcy, walczyć, a wy, Włosi, siedzieć tutaj... ty na front. — Severino zląkł się także i odpowiedział: — Jestem zwolniony ze służby wojskowej... choruję na płuca. — Mówiąc to dotknął klatki piersiowej; rzeczywiście był chory i mówiono nawet, że ma tylko jedno płuco. Lecz rozsierdzony Niemiec chwycił go za ramię wołając: — Ty teraz iść ze mną, na front! — I rzeczywiście wstał pociągając go za sobą. Severino zbladł i usiłował się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało, zapanowała ogólna konsternacja, a ja tak się wystraszyłam, że serce zaczęło walić mi jak młotem. Niemiec ciągnął Severina za ramię, tamten próbował się opierać, czepiając się Filippa, który także wyglądał na wystraszonego. Aż tu nagle Niemiec wybuchnął śmiechem i zawołał: — Przyjaciele... przyjaciele... ja krawiec, ty krawiec... ty mieć materiały i być bogaty... ja iść na front i umrzeć. — I śmiejąc się w dalszym ciągu, znów zaczął poklepywać go po ramieniu. Ta scena zrobiła na mnie dziwne wrażenie, jak gdybym znalazła się nagle w obecności nie człowieka, ale dzikiego zwierza, który to pomrukuje z zadowolenia, to szczyrzy zęby i nie wiadomo, co robi ani jak go ugłaskać. Wydawało mi się, że Severino łądzi się tak właśnie jak ludzie, którzy powiadają: „Obłaskawiłem to zwierzę... mnie nie ugryzie nigdy” — i jak się potem okaże, miałam rację.

Po tej scenie Niemiec znowu stał się grzeczny, wypił jeszcze dużo wina i nieustannie poklepywał po ramieniu Severina, który już całkiem się uspokoił i w pewnej chwili, korzystając z nieuwagi Niemca, powiedział do Filippa: — Zobaczysz, że jeszcze dzisiaj będę miał swoje materiały. — Istotnie, niedługo potem Niemiec wstał od stołu, założył z powrotem pas, który zdjął, kiedy siadał do śniadania, i pokazał nam żartobliwie, że tak się najadł, iż musi go zapiąć o jedną dziurkę dalej. Po czym zwrócił się do Severina: — My iść na dół i ty wracać z materiałami. — Severino poderwał się z krzesła, Niemiec zsalutował, szurgając nogami i wypinając pierś naprzód, i poszedł z Severinem ścieżką, która poprzez pólka prowadziła do doliny. Filippo wraz z innymi przyglądał się, jak schodzili w dół, i na koniec głośno powiedział to, co wszyscy mieli na końcu języka: — Severino ma zaufanie do tego Niemca... aleja nie ufałbym mu, będąc na jego miejscu.

Czekaliśmy na Severina całe popołudnie i cały wieczór do późna w noc, ale na próżno. Następnego ranka poszliśmy do domku, w którym mieszkał wraz z rodziną, i zastaliśmy tam jego żonę, która płakała po ciemku, trzymając na kolanach córeczkę. Siedziała z nią stara chłopka; przedła na kołowrotku i skręcając nitkę, powtarzała od czasu do czasu: — Nie płacz, żono... mąż wróci i wszystko szczęśliwie załatwi. — Lecz żona Severina potrząsała głową i odpowiadała jej: — Czuję, że on już więcej nie wróci... poczułam to w tej samej godzinie, kiedy odszedł. — Próbowaliśmy ją pocieszyć, ale ona nie przestawała płakać

mówiąc, że to wszystko jej wina, bo Severino zrobił to, co zrobił, dla dobra jej i dziecka. Chciał im zapewnić dostatek na przyszłość, i jej obowiązkiem było zatrzymać go, a przedtem jeszcze zabronić kupna przeklętych materiałów. Trudno było jej coś powiedzieć na pocieszenie, bo niestety Severino nie wracał; taka była smutna rzeczywistość, a wobec rzeczywistości trudno znaleźć słowa pociechy. Spędziliśmy z nią cały dzień, mówiąc to i owo, robiąc najrozmaitsze przypuszczenia na temat zniknięcia Severina. Lecz ona płakała nadal i powtarzała, że mąż już nie wróci. Nazajutrz, na drugi dzień po odejściu Severina, poszliśmy znowu do niej do domu, ale nie zastaliśmy ani jej, ani dziecka. O świcie wzięła córeczkę na rękę i poszła do doliny, by się dowiedzieć, co się stało.

Potem przez kilka dni nie mieliśmy żadnych wiadomości o nich obojgu. W końcu Filippo, który był po swojemu przywiązany do Severina, kazał wezwać Nicolę, starego chłopca, który już nie pracował, tylko całe dni spacerował po polach z dziećmi. Powiedział staruszkowi, że chce, by poszedł dowiedzieć się czegoś o Severinie i żeby wstąpił także do miejscowości Uomo Morto, gdzie faszyci mieli skład kradzionych rzeczy. Nicola wzbraniał się początkowo, ale gdy Filippo obiecał mu trzysta lirów, poszedł po swego osiołka, bo za pieniądze gotów byłby nawet wskoczyć do rozpalonego pieca. Powiedział, że przenocuje u swoich krewnych na wsi i wróci dopiero nazajutrz, po czym włożył do torby bochenek chleba oraz trochę sera. Żegnaliśmy go wszyscy, kiedy odjeżdżał

siedząc prosto na siodle, w czarnym kapeluszu na głowie, z fajką w ustach; ścisnął mocno boki osła nogami, obutymi w chodaki i zawiniętymi w białe onuce. Filippo polecił mu, żeby zwrócił się do niejakiego Tonta, który był stosunkowo najprzyzwoitszy wśród faszystów. Stary przyrzekł, że to zrobi, po czym odjechał.

Minął cały dzień, minęła połowa następnego, i nareszcie pod wieczór ukazał się na krańcu pola osioł, prowadzony za uzdę przez staruszka, a na siodle siedział Tonto we własnej osobie. Kiedy zajechali do wioski, Tonto zeskoczył na ziemię; był to człowiek o śniadej, pociągłej twarzy, oczy miał głęboko zapadnięte, melancholijne spojrzenie i długi, zwisający nad górną wargą nos. Wszyscy cisnęli się wokół niego, a on wydawał się zmieszany i milczał. Stary Nicola wziął osła za uzdę i rzekł: — Niemiec zabrał dla siebie materiały, a Severina wysłał na roboty fortyfikacyjne na froncie. Oto, co się stało. — To powiedziawszy poszedł nakarmić osła.

Oniemieliśmy z przerażenia. Zaambarasowany Tonto odsunął się na bok, a Filippo zawołał do niego z gniewem: — A ty, co masz tutaj do roboty? — Tonto wysunął się narzód i powiedział pokornie: — Filippo, nie powinienes źle mnie sądzić... przyszedłem po to, żeby wytłumaczyć, jak się to stało, żebyście nie myśleli, że to nasza wina. — Wszyscy spoglądali na niego ze wstrętem, każdy jednak był ciekaw szczegółów i na koniec Filippo, aczkolwiek niechętnie, zaprosił go do siebie na wino. Tonto przyjął zaproszenie i poszedł w stronę domu Filippo, a my wszyscy szliśmy za nim jak w procesji. W izbie

usiadł na worku fasoli, a Filippo stanął obok niego i poczęstował go winem. Zgromadziliśmy się na progu. Tonto wychylił ze spokojem kieliszek, a potem powiedział: — Nie zaprzeczam, że materiały zabraliśmy... w takich czasach każdy sobie rzepkę skrobie... Severino myślał, że dobrze je ukrył, a tymczasem wiele osób o tym wiedziało... pomyśleliśmy sobie: nie weźmiemy ich my, to wezmą Niemcy... kryjówkę łatwo było wyśledzić, lepiej więc samemu skorzystać... A poza tym wiesz, jak się teraz żyje, Filippo — skrzyżował ręce i spojrzał na nas — każdy musi przede wszystkim myśleć o rodzinie, a dopiero potem o innych. Nie mówię, żeśmy dobrze zrobili, ale zrobiliśmy to z konieczności. Ty, Filippo, jesteś kupcem, Severino jest krawcem... a my musimy kombinować... ale Severino źle zrobił, że wmieszał w tę sprawę Niemców, którzy nie mieli z tym nic wspólnego. Do diabła, Filippo! Gdyby Severino nie doniósł o wszystkim, można było pójść na ugodę, sprzedać materiały i podzielić się zyskiem... albo dalibyśmy mu coś innego w zamian... dogadalibyśmy się jako krajanie. Ale on wolał zrobić donos i stało się to, co się stało. Przyszedł do nas z tym przeklętym Niemcem, nagadał nam, ile wlaźło, a potem Niemiec wyciągnął broń i powiedział, że musi zrobić rewizję. Podlegamy w pewnym sensie Niemcom i nie mogliśmy się sprzeciwić. Tak więc znaleźli materiały, Niemiec załadował je na ciężarówkę, którą przyjechali, a Severino krzyknął do nas na odjezdnym: — Jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie! — Tak, ładna sprawiedliwość! Wicie, co zrobił Niemiec? Kilka kilometrów dalej napotkali po drodze inną ciężarówkę, pełną

Włochów, których Niemcy wywozili na roboty fortyfikacyjne na front. Wtedy zatrzymał swoją ciężarówkę, przyłożył Severinowi karabin do piersi i kazał mu się przesiąść na tamten samochód. No i Severino, zamiast odzyskać materiały, pojechał na front. Ten Niemiec także jest krawcem, wyśle po trochu owe materiały do Niemiec i potem najspokojniej w świecie otworzy sobie zakład krawiecki. A teraz powiem ci coś, Filippo... po co było mieszać w to Niemców? Gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci korzysta. Tak to wszystko wygląda i przysięgam, że powiedziałem prawdę.

Po tych słowach zaległo głębokie milczenie, nikt z nas nie powiedział, między innymi i dlatego, że Tonto wspomniał o wywózkach na roboty; co prawda słyszeliśmy już o tym, ale nigdy z taką obojętnością i spokojem, jak o całkiem naturalnej rzeczy. Na koniec Filippo wziął na odwagę i zapytał, jak właściwie wyglądają te wywózki. Tonto odpowiedział flegmatycznie: — Niemcy jeżdżą ciężarówkami po całej okolicy i zabierają wszystkich zdolnych do pracy mężczyzn, potem wysyłają ich pod Cassino i pod Gaetę do robót przy umacnianiu linii frontu. — A jak się z nimi obchodzą? — Tonto wzruszył ramionami: — Dużo roboty, zakwaterowanie w barakach i mało jedzenia. Wiadomo, jak Niemcy traktują tych, którzy nie są Niemcami. — Znowu zapadło milczenie, lecz Filippo chciał wiedzieć coś więcej: — Ale zagarniają tylko ludzi z doliny... uchodźców w górach nie biorą, co? — I tym razem Tonto wzruszył ramionami. — Nie miejcie zaufania do Niemców, oni

robią tak jak z karczochami: zjadają listek za listkiem... teraz wyłapują ludzi z doliny, potem przyjdzie kolej na tych, którzy są w górach. — Nikt już nie myślał o Severine, wszystkich ogarnął lęk i każdy myślał tylko o sobie. Filippo zapytał: — A skąd ty wiesz o tym wszystkim? — Wiem — odrzekł Tonto — bo od rana do wieczora stykam się z Niemcami... posłuchajcie mojej rady: musicie albo zaciągnąć się do milicji, jak my, albo schowajcie się w mysią dziurę... w przeciwnym razie Niemcy wydziobią was jednego po drugim. — Dorzucił jeszcze kilka wyjaśnień: Niemcy w pierwszym rzędzie organizowali łapanki w dolinie, wywożąc ludzi zdolnych do pracy, a potem szli w góry. Robili to w następujący sposób: przed świtem, jeszcze po ciemku, kompania żołnierzy wchodziła na sam szczyt, a potem, w odpowiedniej chwili, przeważnie około południa, schodziła w dół, rozpraszając się po całym zboczu, tak że wszyscy mieszkający tam ludzie, jak na przykład my, wpadali w ich ręce niczym ryby do sieci. Tonto znowu stał się butny, odzyskał całą pewność siebie. Zaofiarował nawet swoje usługi Filippowi wiedząc, że nie brak mu pieniędzy. — Jeżeli się dogadamy, mogę porozmawiać na temat twojego syna z niemieckim kapitanem, którego dobrze znam. — Filippo, który był po prostu zdruzgotany, byłby się może i zgodził na tę propozycję, ale całkiem nieoczekiwanie wystąpił naprzód Michele i twardo powiedział do Tonta: — Na co jeszcze czekasz? Jazda stąd! — Wszyscy zamarli z przerażenia, bo Tonto był uzbrojony w karabin i granaty, a Michele całkowicie bezbronny. Lecz Tonto, nie wiadomo dlaczego, zląkł się tego ostrego tonu i odrzekł

niepewnie: — Jeśli tak, to radźcie sobie sami... ja już idę — po czym wstał i opuścił izbę. Wszyscy wyszli na dwór. Michele zawołał w ślad za nim, kiedy schodził na pole: — Zamiast się tutaj kręcić i proponować swoje usługi, pomyśl lepiej o sobie... pewnego pięknego dnia Niemcy odbiorą ci karabin i wyślą na roboty jak Severina. — Tonto odwrócił się i wyciągnął dwa palce przed siebie, dla odczynienia uroku. Nie zobaczyliśmy go nigdy więcej.

Gdy Tonto zniknął z oczu, poszliśmy razem z Michele do naszej izdebki. Rosetta i ja mówiłyśmy o tym wydarzeniu, litując się nad nieszczęsnym Severinem, który najpierw stracił materiały, a potem wolność. Michele, nachmurzony, milczał ze spuszczoną głową; potem nagle wzruszył ramionami i rzekł: — Dobrze mu tak! — Zaprotestowałam: — Jak możesz mówić coś podobnego, nie dość, że zrujnowali tego nieszczęśnika, ale może jeszcze przyjdzie mu życiem przypłacić za to wszystko. — Milczał przez chwilę, po czym krzyknął: — Dopóki wszystkiego nie stracą, nic nie rozumieją! Muszą stracić wszystko i cierpieć, płakać krwawymi łzami... dopiero wtedy dojrzeją. — Znowu się sprzeciwiłam: — Przecież Severino nie zrobił tego dla interesu, tylko dla swojej rodziny. — Wybuchnął urągliwym śmiechem: — Rodzina! Piękne usprawiedliwienie dla wszystkich łajdactw, jakie dzieją się w tym kraju. A więc tym gorzej dla rodziny.

Skoro już o tym mówię, muszę podkreślić, że Michele miał naprawdę dziwaczny charakter. Dwa dni po ostatecznym zniknięciu Severina, gawędząc o wszystkim i o niczym, za-

czeliśmy mówić o tym, że dni stają się coraz krótsze i nie wiadomo, co robić podczas długich wieczorów zimowych. Michele powiedział wtedy, że jeśli chcemy, może nam coś na głos poczytać. Z zadowoleniem zgodziłyśmy się na tę propozycję, chociaż, jak już chyba dosyć wyraźnie dałam do zrozumienia, nie miałyśmy wiele wspólnego z książkami. Jednakże w tej sytuacji nawet książka mogła stanowić rozrywkę. Co więcej, przypuszczając, że chce nam czytać jakąś powieść, pamiętam, że powiedziałam: — A co to będzie? Historia o miłości? — Odpowiedział z uśmiechem: — Brawo, zgadłaś! Właśnie historia o miłości. — Zostało więc zadecydowane, że Michele będzie nam czytywał po kolacji, którą zawsze jadałyśmy w szałasie, właśnie o tej porze, kiedy nie wiadomo było, co robić z czasem. Przypominam sobie doskonale tę scenę, która wyryła mi się w pamięci, sama nie wiem dlaczego; może dlatego, że przy tej okazji Michele ujawnił nie znaną mi dotychczas stronę swojego charakteru. Widzę nas dwie i całą rodzinę Parida, siedzącą na pieńkach i ławach wokół na wpół wygaszonego paleniska, prawie po ciemku, przy oliwnej lampce, zawieszanej za Michele, tak by jej światło padało na książkę. W szałasie było naprawdę bardzo ciemno; z suchych gałęzi na pułapie zwisały festony sadzy, poruszające się przy najlżejszym podmuchu powietrza; w głębi szałasu, prawie całkowicie pogrążona w mroku, siedziała matka Parida, która tak była stara i pomarszczona, że wyglądała jak czarownica z Benevento i jak tamta stale przedła na kołowrotku. Ja i Rosetta byłyśmy zadowolone z tej lektury, lecz Paride i jego rodzina nie bardzo.

Po całodzienniej pracy ledwie się trzymali na nogach ze zmęczenia i zazwyczaj od razu po kolacji kładli się spać, a dzieci już nawet spały przytulone do matek. Michele wyciągnął z kieszeni książeczkę i zanim zaczął czytać, powiedział: — Cesira dopominała się o historię miłości, będę więc czytał historię o miłości. — Jedna z kobiet, raczej przez grzeczność niż przez ciekawość, zapytała, czy to będzie historia prawdziwa, czy wymyślona. Michele odrzekł, że może i jest zmyślona, ale całkiem wygląda na prawdziwą. Otworzył tymczasem książeczkę i poprawił okulary na nosie; na koniec oznajmił, że przeczyta nam z Ewangelii kilka epizodów z życia Chrystusa. Byliśmy wszyscy nieco rozczarowani, ponieważ spodziewaliśmy się, że będzie nam czytał powieść. Poza tym wszystko, co dotyczy religii, wydaje się nudne, może dlatego, że czynności religijne spełniamy przeważnie nie dla przyjemności, ale z poczucia obowiązku. Paride wyraził opinię wszystkich mówiąc, że każdy przecież zna życie Chrystusa, więc ta lektura nie przyniesie nam nic nowego. Rosetta natomiast nic nie powiedziała, tylko później, kiedy byliśmy same w naszej lepiance, zrobiła uwagę: — Jeżeli on nie wierzy w Pana Jezusa, to dlaczego nie zostawi go w spokoju. — Powiedziała to z niechęcią, ale nie wrogo, bo lubiła Michela, choć nie rozumiała go, jak wszyscy w Sant' Eufemia.

A więc na słowa Parida Michele odpowiedział krótko i z uśmiechem: — Czy jesteś tego pewien? — po czym oznajmił, że przeczyta epizod z Łazarzem, i zapytał: — Czy pamiętacie to?

— Wszyscy słyszeliśmy o Łazarzu, lecz po zapytaniu Michela uświadomiliśmy sobie, że nie wiemy, kim był właściwie i co zrobił. Rosetta może i wiedziała, ale i tym razem nie odezwała się ani słowem. A widzicie — powiedział Michele spokojnym, triumfującym tonem — mówiliście, że znacie życie Chrystusa, a nie wiecie nawet, kim był Łazarz... a przecież ten epizod, jak wiele innych, odmalowany jest na Stacjach Męki Pańskiej, które znajdują się w kościołach... także i w kościele w dolinie Fondi.

— Paride, myśląc być może, że w tych słowach kryje się wymówka do niego skierowana, zawołał: — A czy wiesz, że na pójście do kościoła w dolinie trzeba stracić cały dzień? My musimy pracować i nie możemy marnować dnia nawet na pójście do kościoła. — Michele nic mu nie odpowiedział i zaczął czytać.

Ponieważ jestem pewna, że wszyscy, którzy czytają te moje wspomnienia, znają historię Łazarza, nie będę jej przytaczać, tym bardziej że Michele tylko ją odczytał, nie dodając nic od siebie; a jeśli nawet znaleźliby się tacy, którzy jej nie znają, to mogą ją sobie przeczytać w Ewangelii. Powiem tylko tyle, że w miarę czytania twarze chłopów wyrażały coraz większą obojętność i rozczarowanie, żeby nie powiedzieć nudę. Oczekiwali bowiem pięknej historii o miłości; Michele natomiast czytał im historię cudu, w który, jak mi się wydawało, nie wierzyli i w który zresztą nie wierzył także sam Michele. Lecz między nimi a nim istniała wielka różnica. Oni nudzili się do tego stopnia, że jedna z kobiet cały czas ziewała, a dwie inne

zaczęły rozmawiać ze sobą, śmiejąc się półgłosem; nawet Paride, który zdawał się słuchać z największą uwagą, miał wyraz twarzy roztargniony i obojętny. Tymczasem Michele im dalej czytał, tym bardziej przejmował się tym cudem, w który nie wierzył. Powiem więcej: gdy doszedł do zdania: — A Jezus powiedział: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot” — przerwał na chwilę i wszyscy widzieliśmy, że nie mógł czytać dalej, ponieważ płakał. Zrozumiałam, że płacze nad tym, co czyta i co wiąże w pewien sposób z naszą obecną sytuacją (zresztą, jak się potem okazało, miałam rację). Ale znudzeni słuchacze tak byli dalecy od myśli, że to historia Łazarza wycisnęła mu łzy z oczu, że jedna z kobiet zapytała: — Przeszkadza ci dym, Michele? Tu jest zawsze tyle dymu... wiadomo, jesteśmy w szałasie. — Aby w pełni zrozumieć to zdanie, należy pamiętać o tym, co, jak mi się zdaje, już mówiłam, że dym z paleniska nie wychodził przez komin, ale ulatniał się powoli szparami w dachu, który pokryty był wiązkami chrustu; przedtem jednak długo kłębił się w całym szałasie. Toteż często tak bywało, że wszyscy, którzy tam się znajdowali, płakali, a wraz z nimi płakały dwa psy i kotka z kociętami. Owa kobieta chciała po prostu usprawiedliwić się przed Michele przez zwykłą uprzejmość, lecz on otarł nagle łzy i całkiem niespodziewanie zaczął krzyczeć: — Jaki tam dym! Jaki szałas! Nie będę wam więcej czytał, bo nic nie rozumiecie... nie warto się wysilać, żeby wam to wytłumaczyć, bo nie rozumiecie nigdy! Ale zapamiętajcie sobie jedno: czytając wam historię Łazarza, mówiłem o was, o was wszystkich, o tobie, Paride, o tobie, Luiso, o tobie, Cesiro, o tobie, Rosetto, i także o

sobie samym, o moim ojcu, o tym łajdaku Tonto i o Severinie z jego materiałami, i o uchodźcach, którzy są w górach, i o Niemcach i faszystach, którzy są w dolinie... jednym słowem, o wszystkich... myśmy umarli, a zdaje się nam, że żyjemy... dopóki będziemy myśleć, że żyjemy, dlatego tylko że mamy nasze materiały, nasze troski, nasze interesy, nasze rodziny, nasze dzieci, dopóty będziemy umarli... dopiero tego dnia, kiedy zdamy sobie sprawę, że jesteśmy umarli, zgnili, że się rozkładamy, śmierdzimy trupem, dopiero wtedy po trochu, po trochu, zaczniemy żyć. Dobranoc. — Powiedziawszy te słowa wstał przewracając lampkę oliwną i wyszedł trzaskając drzwiami. Ośłupieliśmy ze zdziwienia i przez chwilę siedzieliśmy bez ruchu po ciemku. Na koniec Paride znalazł po omacku lampę i zapalił ją. Lecz nikt nie miał ochoty mówić na temat wybuchu gniewu Michela. Tylko Paride z przebiegłą miną wieśniaka, który chce pokazać, że wie, co w trawie piszczy, powiedział: — Łatwo mu mówić... on jest synem panów, a nie prostym chłopem, — Myślę, że i kobiety myślały to samo: to są pańskie fanaberie tych, którzy nie biorą motyki do ręki i nie muszą w pocie czoła zarabiać na chleb powszedni. Jednym słowem życzyliśmy sobie nawzajem dobrej nocy i poszliśmy spać. Następnego dnia Michele udawał, że nie pamięta o niczym, ale nie proponował nam już czytania na głos.

Przy tej okazji utwierdziłam się w przypuszczeniach, które mi się nasunęły wówczas, kiedy Michele oświadczył, iż jako młody chłopak poważnie myślał o tym, by zostać księdzem.

Istotnie, pomimo anty religijnych wypowiedzi Michele podobniejszy był do księży niż do zwykłych ludzi, jak Filippo czy inni uchodźcy. Na przykład ów wybuch gniewu podczas czytania historii o Łazarzu, kiedy uświadomił sobie, że chłopci się nudzą, nie rozumieją go i nie słuchają, mógł równie dobrze, ze zmianą kilku słów, wyjść podczas niedzielnego kazania z ust jakiegoś wiejskiego proboszcza, który wychylając się z ambony widzi, że parafianie nieodpowiednio się zachowują. Było to jednym słowem święte oburzenie kapłana, który, uważając wszystkich za grzeszników, chce ich nawracać i wprowadzać na drogę cnoty, a nie gniew mężczyzny, który ma się za takiego samego człowieka jak inni ludzie.

Na zakończenie moich obserwacji nad charakterem Michela pragnę jeszcze opisać pewne błahe wydarzenie, które potwierdza to, co mówiłam przedtem. Wspominałam już, że nie mówił on nigdy o kobietach ani o miłości i nie wyglądało na to, by miał jakiegokolwiek doświadczenie w tej dziedzinie. Jednakże, jak się zaraz okaże, nie z powodu braku okazji, ale dlatego, że różnił się pod tym względem od innych młodych ludzi, A więc owo wydarzenie wyglądało tak: Rosetta każdego ranka, zaledwie wstała z łóżka, miała zwyczaj myć się całkiem nago. Wychodziłam na dwór, nabierałam wodę ze studni i podawałam jej pełne wiadro; ona wylewała sobie połowę wody na głowę, mydliła całe ciało, a potem polewała się resztą wody. Rosetta była bardzo czysta i pierwszą rzeczą, jaką kazała mi kupić od chłopów, było mydło, które sami wyrabiali. Myła się w ten

sposób także i przez całą zimę, kiedy poranki w górach były bardzo chłodne, a woda ze studni po prostu lodowata. Kiedy kilkakrotnie próbowałam iść w ślady Rosetty, aż zamarłam z zimna i przez dobrą minutę stałam nieruchomo z otwartymi ustami, nie mogąc złapać tchu. Otóż pewnego ranka Rosetta wyszorowała się tak jak zwykle i stojąc przy łóżku na desce, by nie zabrudzić sobie nóg, mocno wycierała się ręcznikiem. Rosetta miała bujne kształty, czego trudno by się domyślić, widząc ją ubraną, tym bardziej że twarz jej była dziecinna, delikatna, o wielkich oczach, nieco za długim nosie i pełnych ustach, z dolną wargą wystającą nad podbródkiem, co czyniło ją podobną do owcy. Piersi miała nieduże, ale tak dobrze rozwinięte, jak gdyby była już matką, białe, pełne, z ciemnymi, sterczącymi do góry brodawkami, jak u kobiet karmiących niemowlęta. Za to brzuch miała dziewiczy, gładki, płaski, prawie wklęsły, tak że gęste, kręte włosy sterczące jej między mocnymi, strzelistymi udami przypominały poduszczkę do szpilek. Z tyłu była także ślicznie zbudowana, wyglądała niczym posąg z białego marmuru, jakie widuje się w rzymskich ogrodach. Ramiona miała pulchne, zaokrąglone, długie plecy, a tuż pod nimi głębokie wgłębienie jak u młodej klaczy, jej pośladki tak były jędrne, białe, muskularne, apetyczne, że miałoby się ochotę je całować, co zresztą robiłam zawsze, kiedy była jeszcze małym dzieckiem. Jednym słowem, zawsze wyobrażałam sobie, że gdyby jakiś mężczyzna zobaczył moją Rosettę nagą, gdy wycierała ręcznikiem biodra, a jej jędrne, wysokie piersi podrygiwały przy każdym ruchu, wówczas ten mężczyzna, powiadam, co najmniej

by się zmieszał, zbladłby czy zaczerwienił się, w zależności od temperamentu. Można bowiem mieć co innego w głowie, ale w chwili gdy kobieta pokazuje się nago, wszystkie inne myśli odlatują jak wróble z drzewa na odgłos strzału; pozostaje tylko zmieszanie samca wobec samicy. Otóż zdarzyło się pewnego ranka, że w chwili kiedy Rosetta wycierała się stojąc nago w kącie pokoju, przyszedł Michele i nie pukając uchylił drzwi. Siedziałam tuż przy progu i mogłam go była powstrzymać na czas, mówiąc: — Nie wchodź, Rosetta się myje. — A tymczasem, przyznaję się, wcale nie byłam z tego niezadowolona, że wpadł do nas tak nieoczekiwanie. A to dlatego, że każda matka dumna jest z córki, i w tym momencie próżność zwyciężyła we mnie. Pomyślałam sobie: „Zobaczy ją nago... nic strasznego, tym bardziej że nie robi tego umyślnie... przynajmniej będzie miał okazję się przekonać, jaka piękna jest moja Rosetta”. Przejęta tą myślą nic nie powiedziałam, a on otworzył drzwi na całą szerokość i stanął przed Rosettą, która próbowała na próżno zasłonić się ręcznikiem. Obserwowałam go; widziałam, że w pierwszej chwili nie wiedział, co robić, i był jak gdyby niezadowolony, że zastał Rosettę nagą; potem zwrócił się do mnie przeprasząc, że tak wcześnie przyszedł, ale chciał nas od razu zawiadomić o wielkiej nowinie, jaką właśnie przyniósł handlujący tytoniem chłopak z Pontecorvo: Rosjanie zrobili wielką ofensywę przeciwko Niemcom, którzy cofają się na całym froncie. Potem dorzucił, że później się zobaczymy, i wyszedł. Tego samego dnia, rozmawiając z nim w cztery oczy, zażartowałam: — Ty, Michele, nie jesteś podobny do innych

młodych mężczyzn. — Zachmurzył się i spytał: — Dlaczego? —
A ja: — Mając przed oczyma nagą dziewczynę i w dodatku tak
piękną jak Rosetta, myślałeś tylko o Rosjanach, o Niemcach i o
wojnie, a jej jak byś w ogóle nie dostrzegł. — Oburzył się, a
nawet rozgniewał: — Głupstwa pleciesz! Dziwię się, że ty, jako
matka, mówisz w ten sposób. — Odpowiedziałam mu na to: —
Nawet karaluch jest piękny dla swojej matki. Nie wiesz o tym,
Michele? A poza tym o co ci chodzi? Nikt cię nie prosił, żebyś
wchodził bez pukania. Ale skoroś już wszedł, może bym się
rozniewała, gdybyś zanadto natarczywie przyglądał się
Rosetce, jednakże jako matka nie byłabym z tego niezadowo-
lona. A tymczasem nic: najmniejszego zainteresowania! —
Uśmiechnął się, lecz z pewnym wysiłkiem, a potem rzekł: —
Dla mnie te rzeczy nie istnieją. — I to był pierwszy i ostatni raz,
kiedy rozmawiałam z nim o tych sprawach.

ROZDZIAŁ V

Po wizycie Tonta i jego ponurych przewidywaniach, dotyczących łapanek, zaczęło padać. Przez cały październik była śliczna pogoda, niebo pogodne, powietrze czyste, orzeźwiające i bez wiatru. Przy tej pogodzie dni nie wydawały się tak beznadziejnie długie, bo zawsze można iść na spacer albo po prostu siedząc na dworze oglądać panoramę Fondi. Lecz przed kilkoma dniami pewnego poranka pogoda nagle się zmieniła. Wstając z łóżka poczułyśmy, że jest wyjątkowo ciepło, a potem patrząc na morze zobaczyłyśmy, że kłębią się nad nim szare, gęste chmury. Nie minęło jeszcze południe, a owe chmury zasnuły całe niebo, pchane słabym, wilgotnym wiatrem, który wiał także od strony morza. Uchodźcy, którzy się na tym znali, bo pochodzili z tych stron, powiedzieli, że owe chmury wróżą deszcz, deszcz, który nie przestanie padać, dopóki po scirocco nie przyjdzie tramontana, wiejąca od gór. I tak było istotnie: po południu spadły pierwsze krople, schroniłyśmy się więc do lepianki czekając, kiedy się skończy deszcz. Próżne nadzieje! Padało przez cały dzień i przez całą noc, a następnego ranka morza wcale nie było już widać, w zachmurzonym niebie gubiły się wierzchołki gór, a nieco niżej, nad doliną, płynęły z wiatrem mniejsze, nabrzmiące deszczem obłoki. Po krótkiej przerwie

znowu zaczęło padać i padało, sama już nie wiem, jak długo, chyba przeszło miesiąc, i dniem, i nocą.

Kto mieszka w mieście, nic sobie nie robi z deszczu. Jeśli wychodzi na ulicę, idzie po trotuarze lub po asfalcie z parasolem w rękę. Jeśli jest w domu, chodzi po podłodze z drzewa albo z marmuru. Ale w górach, w Sant' Eufemia, deszcz był prawdziwą karą bożą. Przesiadaliśmy całymi dniami w tej ciemnej lepiance z pochyłym dachem, przy otwartych drzwiach, bo okien nie było, i patrzyliśmy na padający deszcz, który wyglądał jak wilgotna dymna zasłona. Ja siedziałam na łóżku, a Rosetta na krzeselku, które udało mi się wyprosić od Parida za dodatkową opłatą. Patrzyliśmy na ten deszcz jak ogłupiałe, nie odzywając się ani słowem; jeśli rozmawialiśmy, to tylko o deszczu i związanych z nim niewygodach. O wyjściu na dwór nie można było nawet marzyć, wychodziłyśmy tylko wtedy, kiedy to było konieczne, żeby nałapać trzasek na opał lub załatwić naturalne potrzeby. W tym miejscu, choć temat ten nie należy do przyjemnych, muszę zaznaczyć, że kto żyje w mieście, gdzie w każdym mieszkaniu znajduje się ubikacja, a nawet łazienka, nie może sobie wyobrazić, co to za udręka przebywać w miejscowości, w której nie ma klozetów. Co najmniej dwa albo trzy razy dziennie musiałyśmy obydwie wychodzić na pole i tam, za żywopłotem, zadzierać spódnice i kucać jak zwierzęta. Papieru higienicznego oczywiście nie było, brakło także i gazet; tak więc trzeba było zrywać liście z figowca, który rósł obok naszej lepianki. Oczywiście w dni deszczowe to wszystko było

jeszcze bardziej utrudnione i nieprzyjemne: iść na pole, brnąć po kostki w błocie, potem unosić spódnicę pod strugami zimnego deszczu, który siekł niemiłosiernie w gołe siedzenie, i na koniec podcierać się mokrym, śliskim, figowym liściem. Nikomu tego nie życzę, nawet najgorszemu wrogowi. Na domiar złego deszcz dawał nam się we znaki nie tylko na dworze, ale i w domu. Na klepisku zrobiło się takie błoto, że rano wychodząc z łóżka musiałyśmy jak żaby skakać po kamieniach, które położyłyśmy tam specjalnie, w przeciwnym razie bowiem miałybyśmy nogi czekoladowego koloru. Jednym słowem deszcz docierał wszędzie i wilgoć była nie do opisania; cokolwiek tylko robiłyśmy, przy najmniejszym poruszeniu okazywało się, że mamy pochłapane błotem ręce, nogi, spódnice, wszystko. Błoto na ziemi, deszcz na niebie; Paride i jego rodzina zdążyli się do tego przyzwyczaić; pocieszali się, że ten deszcz jest rzeczą całkiem normalną, jest potrzebny, pada rokrocznie i nie pozostaje nic innego, jak czekać, żeby się skończył. Ale dla nas obydwu to była po prostu katastrofa, gorsza od wszystkiego, czego doświadczyłyśmy dotychczas.

A co najgorsze, dowiedziałyśmy się, że z powodu tego deszczu Anglicy zatrzymali się w Garigliano i na razie mowy o tym być nie mogło, żeby ruszyli naprzód. Oczywiście gdy tylko Anglicy zrezygnowali z ofensywy, Niemcy nie tylko porzucili zamiar odwrotu, ale zaczęli umacniać swoje pozycje. Nie znam się wcale na wojnach i bitwach; wiem tyle tylko, że pewnego deszczowego ranka przybiegł zadyszany chłopina, który

przyniósł ze sobą zadrukowany papier: rozkaz niemiecki, który miał być rozwieszony we wszystkich miejscowościach. Michele przeczytał go i wytłumaczył nam wszystkim, co zawiera. Komenda niemiecka postanowiła wysiedlić całą ludność zamieszkałą na obszarze położonym między morzem a górami, łącznie z naszą wioską, która była wymieniona w spisie. Nikomu nie wolno było zabrać z sobą nic oprócz niewielkich zapasów żywności. Ludzie mieli więc opuścić domy, chaty, bydło, narzędzia i sprzęty domowe, i wszystko inne, co posiadali, wziąć dzieci na ręce, brnąć w deszczu po rozmokłych górskich drogach, po to, żeby potem iść dalej i dalej w kierunku Rzymu. Naturalnie Niemcy, te skurwysyny, jak zwykle nie zapomnieli wypisać czarno na białym, co grozi tym, którzy nie usłuchają rozkazu: areszt, konfiskata majątku, wywiezienie, rozstrzelanie. Nasza wieś należała do tych, które miały być opróżnione w ciągu dwu dni. A w cztery dni miała być opróżniona cała okolica, żeby Niemcy i Anglicy mieli więcej miejsca i mogli zabijać się do woli.

Filippo oraz inni uchodźcy, a także i chłopci przywykli uważać władze niemieckie za jedyne, jakie pozostały we Włoszech; tak że pierwszą ich reakcją nie był bunt, lecz rozpacz: władze niemieckie żądały rzeczy niemożliwej, ale były to władze, inne nie istniały w tej chwili. Należało więc usłuchać albo... otóż nikt nie wiedział, jak z tego wybrnąć inaczej. Uchodźcy, którzy opuścili swoje domy w Fondi i przekonali się już na własnej skórze, co to znaczy uciekać, wpadli w krańcową

rozpacz na myśl o dalszej tułaczce bez celu, bez przewodnika po górskich drogach, w zimnie, w deszczu, który padał od rana do nocy, w błocie, które nie pozwalało dobrnąć nie tylko do Rzymu, ale na krańce pola. Kobiety płakały, mężczyźni przeklinali na czym świat stoi. Chłopi, jak Paride oraz inne rodziny, ci wszyscy, którzy spędzili całe swoje życie na noszeniu ziemi na półka, na uprawianiu ich, na stawianiu domków i szałasów, byli raczej zdumieni, niż zrozpaczeni, nie mogli w to uwierzyć. Któryś z nich powtarzał: — A dokąd mamy iść? — Ktoś inny prosił, żeby jeszcze raz, słowo po słowie, przeczytać mu owo zarządzenie; inny jeszcze po powtórnym przeczytaniu powiadał, że to niemożliwe. Biedacy nie rozumieli, że dla Niemców nie ma niemożliwych rzeczy, tym bardziej że zarządzenie dotyczyło innych, nie ich samych. Bratowa Parida, Anita, która miała męża na rosyjskim froncie i troje małych dzieci, dała wyraz temu, co myśleli wszyscy, mówiąc nagle z wielkim spokojem, bez cienia egzaltacji:

— Gdybym się miała stąd ruszyć, wolałabym zabić moje dzieci, a potem odebrać sobie życie. — Zrozumiałam, że nie powiedziała tego z rozpacz, ale dlatego, że zdawała sobie sprawę, iż tułaczka po górskich drogach, w zimie, z trójką maleńkich dzieci, równała się śmierci, wobec czego należało uprzedzić wypadki: skończyć z dziećmi od razu.

Jeden tylko Michele nie stracił głowy; przypuszczam, że było tak dlatego, iż nigdy nie uznawał władzy Niemców, uważając ich za bandytów, zbirów, kryminalistów, którzy

przejściowo byli silniejsi, bo posiadali broń i używali jej przy każdej okazji. Po przeczytaniu obwieszczenia roześmiał się sarkastycznie i rzekł: — Niech wystąpi naprzód ten, kto mówił, że Niemcy i Anglicy to jedno i to samo. — Nikt się nie odezwał, a co dopiero mówić o Filippie, do którego były skierowane te wyzwania. Siedzieliśmy jak zawsze wieczorem w szałasie wokół paleniska, Paride powiedział do Michela: — Tobie łatwo stroić sobie żarty, ale dla nas to oznacza śmierć... tutaj mamy domy, tu bydło, tutaj cały dobytek... jeśli stąd odejdziemy, co się z tym wszystkim stanie? — Michele, jak już chyba dostatecznie dałam do zrozumienia, był dziwnym typem człowieka, był dobry, ale twardy zarazem, wspaniałomyślny nawet, ale przy tym okrutny. Znowu zaczął się śmiać i powiedział: — No to wszystko stracie, a potem może nawet umrzecie... Cóż w tym nadzwyczajnego? Czyż nie stracili wszystkiego i nie powymierali Polacy, Czesi, Francuzi, jednym słowem ci wszyscy, którzy znaleźli się pod okupacją niemiecką? Teraz przyszła kolej na nas, Włochów. Dopóki spotykało to innych, nikt nie miał nic do powiedzenia. Teraz kolej na nas, dzisiaj na mnie, jutro na ciebie. — Te słowa wzbudziły ogólną konsternację, a Filippo, który prawie trząśł się ze strachu, powiedział: — Ty zawsze tylko żartujesz, ale to nie jest odpowiednia chwila na żarty. — A Michele: — A co ciebie to może obchodzić? Czy nie mówiłeś, że Niemcy i Anglicy to jedno i to samo? — Filippo zapytał: — Ale co mamy robić? — Po raz pierwszy miałam okazję stwierdzić, że cała jego mądrość, oparta na „tu nie ma głupich”, była figułą warta, nie tylko dla nas, lecz i dla niego samego.

Michele wzruszył ramionami: — Niemcy są tu panami. Idźcie do Niemców i zapytajcie ich, co macie robić. Tylko że oni wam powiedzą tak: macie zrobić to, co jest napisane na tym papierku. — Paride powiedział wtedy podobnie, jak powiedziała o swoich dzieciach Anita: — Wezmę strzelbę i strzelę w łeb pierwszemu Niemcowi, jakiego zobaczę... Potem i mnie wpakują kulę w łeb, ale niech tam... w każdym razie nie pójdę sam na tamten świat. — Michele roześmiał się: — Brawo, nareszcie zaczynasz myśleć rozsądnie.

Michele śmiał się, a inni siedzieli w milczeniu, wpatrując się w dogasający ogień. Na koniec Michele spoważniał i nagle powiedział tak: — Chcecie wiedzieć, co macie robić? — wszyscy spojrzeli na niego pełnym nadziei wzrokiem, a on ciągnął dalej. — Nie macie nic zrobić i tyle. Zachowujcie się tak, jak gdybyście w ogóle nie widzieli tego zarządzenia. Zostańcie na miejscu, żyjcie sobie jak dawniej, gwiżdżąc na Niemców, ich rozkazy i groźby. Jeśli chcą naprawdę wysiedlić całą ludność z tych okolic, muszą to zrobić nie za pomocą świstków papieru, ale siłą. Anglicy także mają siłę, ale z powodu niepogody nie mogą jej użyć i musieli się chwilowo zatrzymać. Tak samo jest z Niemcami. Jeśli nie ruszycie się z miejsca, dobrze się będą zastanawiać, zanim zdecydują się wysłać tutaj swoich żołnierzy, którzy ugrzęźliby na górskich drogach. A gdyby nawet przyszli, musieliby zabrać was stąd siłą. Jednym słowem, udawajcie głuchych. A potem zobaczymy. Nie wiecie o tym, że Niemcy i faszyci zawsze grożą karą śmierci tym, którzy

ich nie usłuchają? Ja sam byłem pod bronią 25 lipca i potem zdezerterowałem, a oni ogłosili, że każdy, kto nie powróci do swojej jednostki, zostanie rozstrzelany. Zamiast wracać do mojej jednostki, przyszedłem tutaj. Zróbcie więc tak jak ja, nie ruszajcie się stąd.

Było to najprostsze i najśluszniesze wyjście z tej sytuacji. Lecz nikomu przedtem nie przyszło do głowy, bo jak powiedziałam, wszyscy uważali Niemców za jedyną władzę, a władzy należy się podporządkować. A poza tym ludziom się wydaje, że jeśli coś jest wydrukowane na papierze, nie wolno się temu sprzeciwiać. Jednym słowem wszyscy położyli się do łóżek tego wieczoru całkiem uspokojeni, może nawet spokojniejsi niż poprzedniego dnia. A nazajutrz — wprost trudno w to uwierzyć — nikt nie mówił już o Niemcach ani o rozkazie wysiedlenia, jak gdyby wszyscy sprzysięgli się, by nie wspominać o tym ani słowem. Minęło kilka dni i okazało się, że Michele miał rację, nikt bowiem nie ruszył się ani z Sant' Eufemia, ani, jak dowiedzieliśmy się później, z okolicznych wiosek. Należało przypuszczać, że Niemcy rozmyślili się, zrezygnowali ze swoich zamiarów, bo nie słyszało się więcej o tym obwieszczeniu.

Jak długo padało? Co najmniej przez czterdzieści dni, jak przed biblijnym Potopem. Obecnie nie tylko padał deszcz, lecz zrobiło się zimno, bo już nastąpiła zima; wiatr niosący wilgotną mgłę od morza był mroźny, deszcz padający w górach pomieszany ze śniegiem i lodem kłuł w twarz niczym szpilki.

Do ogrzania się w naszej izdebce miałyśmy tylko garnek z rozżarzonymi węglami, który stawiałyśmy w nogach. Przeważnie leżałyśmy w łóżku, przytulone jedna do drugiej lub siedziałyśmy po ciemku w szałasie przy palenisku, na którym stale teraz palił się ogień. Padało zazwyczaj przez całe rano, potem w południe niebo przecierało się, ale tylko trochę; postrzępione chmury nieruchomo wisiały na niebie, jak gdyby chciały wytchnąć na chwilę, nad morzem snuła się ciemna mgła, gęściejsza nawet niż przedtem; po południu znowu zaczynał się deszcz i padał do wieczora, a potem przez całą noc. Prawie cały czas spędzałyśmy razem z Michele, on mówił, a my słuchałyśmy go. O czym mówił? O wszystkim po trosze, lubił mówić i przybierał ton profesora czy księdza, tak że często powiadałam mu: — Naprawdę, Michele, to wielka szkoda, żeś nie został księdzem... miałbyś co niedziela piękne kazania. — Nie chcę przez to powiedzieć, że był gadułą; to, co mówił, zawsze było ciekawe, a gadulstwo nudzi i w pewnej chwili w ogóle przestaje się słuchać; jego natomiast zawsześmy słuchały, a nawet zdarzało mi się czasami, że przestawałam robić na drutach, tak pochłaniały mnie jego słowa. Gdy mówił, wszystko przestawało dla niego istnieć, nie zauważał, że czas mija, że lampa przygasa, że my z Rosettą chciałybyśmy już zostać same z tego czy innego powodu. Snuł swoje opowiadania z przejęciem, monotennie, pełen jak najlepszych chęci, a kiedy przerywałam mu, przypominając, że czas na kolację albo że trzeba iść spać, był niezadowolony, zirytowany. Miał wtedy zawsze rozgoryczony wyraz twarzy, jak gdyby chciał powie-

dzieć: — Nie warto mówić do tych bezmyślnych, głupich kobiet, próżny wysiłek.

W owym czterdziestodniowym okresie deszczu nie zaszło nic szczególnego prócz wydarzenia dotyczącego Filippa i jego dzierżawcy Vincenza, które pragnę opowiedzieć. Pewnego ranka, kiedy mżyło jak zwykle, a niebo było jednym kłębowiskiem chmur, które nieustannie ciągnęły od morza, ja i Rosetta byłyśmy obecne przy zabijaniu kozy, którą Filippo kupił od Parida; część mięsa chciał wziąć dla siebie, a resztę odprzedać. Biało-czarna koza przywiązana była do pala, a uchodźcy, w braku lepszego zajęcia, oglądali ją wyliczając, ile z niej będzie mięsa, kiedy zostanie już obdarta ze skóry i oczyszczona. Gdy stałyśmy tam na deszczu i błocie, Rosetta powiedziała do mnie półgłosem: — Mamo, żal mi tej biednej kozy... teraz żyje, a za chwilę ją zabiją... nie pozwoliłabym jej zabić, gdyby to ode mnie zależało. — Odpowiedziałam na to: — A co byś wtedy jadła? — A Rosetta: — Chleb i warzywa. Po co właściwie jeść mięso? Ja też jestem z mięsa, które wcale się tak bardzo nie różni od mięsa tej kozy. Co ona temu winna, że jest zwierzęciem i nie może ani myśleć, ani się bronić? — Przytaczam w całości te słowa Rosetty, przede wszystkim dlatego, żeby pokazać, w jaki sposób rozumowała i myślała jeszcze podczas wojny, w okresie klęski głodowej. Może się to wydawać naiwne, nawet głupie, lecz świadczy o jej doskonałości, o której już wspominałam, o tym, że naprawdę nie miała wad i podobna była do świętej, co być może wynikało z braku

doświadczenia, niemniej było szczere i płynęło prosto z serca. Potem, o czym także wspominałam, przekonałam się, że owa doskonałość była krucha i jakby sztuczna, niczym kwiat wyhodowany w cieplarni, który więdnie i ginie na zimnie. Ale wówczas nie mogły mnie nie wzruszyć jej słowa i pomyślałam sobie, że mam doprawdy za dobrą i za szlachetną córkę i że niczym nie zasłużyłam sobie na to.

A tymczasem rzeźnik, niejaki Ignazio, który całkiem nie wyglądał na rzeźnika, bo usposobienie miał melancholijne, gęstą, falującą nad czołem czuprynę, bokobrody oraz rozmarzone niebieskie oczy, zdjął marynarkę, pozostając tylko w kamizelce. Na stole, obok słupa, do którego przywiązana była koza, leżało kilka noży i stała miednica zupełnie jak w szpitalu przed operacją. Ignazio wziął jeden z tych noży, wypróbował ostrze na dłoni, po czym podszedł do kozy i chwytając ją za rogi zadarł jej głowę do góry. Koza ze strachu przewracała oczami, które zdawały się wychodzić jej z orbit; widać było, że przeczuwa, co ją czeka, bo beczała tak żałośnie, jak by chciała powiedzieć: „Nie zabijajcie mnie! Litości”. Lecz Ignazio przygryzł dolną wargę i za jednym zamachem wbił jej nóż w gardło aż po rękojeść, trzymając ją przez cały czas za rogi. Filippo, który mu pomagał, szybko podstawiał pod gardło kozy miednicę; krew jak fontanna trysnęła z rany, czarna, gęsta, ciepła, parując w powietrzu. Koza zadrzała, potem do połowy przymknęła oczy, które zaczęły zachodzić jej mgłą, jak gdyby w miarę upływu krwi uchodziło z niej życie, a razem z życiem i

wzrok. Na koniec ugięła kolana i upadła, można by powiedzieć jeszcze pełna ufności, na ręce swojego oprawcy. Rosetta oddaliła się już przedtem i znikła mi z oczu w potokach deszczu; najchętniej byłabym za nią poszła, ale musiałam pilnować, żeby starczyło dla mnie mięsa, którego było niewiele; poza tym Filippo obiecał mi dać flaki, a flaki pieczone na wolnym ogniu to smakołyk nie do pogardzenia. A tymczasem Ignazio uchwycił kozę za tylne nogi i, ciągnąc ją za sobą, poszedł powiesić ją głową na dół na dwóch stojących nie opodal palach. Wszyscy ustawiliśmy się dokoła, by przyjrzeć się pracy Ignazia.

Zaczął od tego, że wziął kozę za nóżkę i obciął jej kopyto, jak gdyby obcinał komuś dłoń w przegubie. Potem wybrał cienki, ale twardy patyk i wepchnął go pod skórę na nodze. Skóra kozy przyczepiona jest do mięśni bardzo cienkimi włóknami i tak łatwo ją zedrzeć jak źle przyklejony papier. Po wbiciu patyka kręcił nim przez chwilę, by zrobić dziurę, po czym wyciągnął go, włożył kozią nóżkę do ust jak fujarkę i zaczął w nią dmuchać z całej siły, z takim natężeniem, że poczerwieniał na twarzy i żyły nabrzmiały mu na szyi. W miarę dmuchania koza zaczęła pęcznieć, wdmuchiwane przez Ignazia powietrze wypełniło na koniec całą przestrzeń między mięśniami a skórą i wisząca na palach koza była teraz dwa razy większa niż przedtem. Wtedy rzeźnik wypuścił kozią nóżkę z zakrwawionych ust, otarł je rękawem i po przerznięciu skóry na brzuchu, od szyi do pachwiny, zabrał się do jej ściągania. Aż dziw brał patrzeć, jak łatwo mu to szło: ściągał tę skórę niczym

rękawiczkę z dłoni, odrywając tylko czasem krótkim cięciem jakieś włókno. Potem rzucił skórę na ziemię; była porośnięta futrem, okrwawiona, wyglądała jak zużyty łachman; koza była teraz, że się tak wyrażę, naga, cała czerwona i miała gdzieniegdzie białawe i niebieskawe plamy. Deszcz padał przez cały czas, lecz nikt nie wracał do domu; Ignazio wziął teraz nóż, rozpruł brzuch kozy, włożył weń ręce i krzyknął w moją stronę: — Trzymaj, Cesiro. — Podbiegłam, a on wyciągnął ze środka flaki zwijając je w pasma, jak gdyby to była włóczka. Od czasu do czasu odcinał je i wieszał mi na ręku jeszcze ciepłe; śmierdziały sama nie wiem czym i wylewająca się z nich ciecz upaskudziła mi całe ręce. Ignazio mruczał pod nosem: — To królewska potrawa... królewska... oczyśćcie je i upieczcie na wolnym ogniu. — W tej samej chwili dało się słyszeć wołanie: — Filippo! Filippo!

Obejrzelismy się wszyscy i oto od strony półka ukazała się najpierw głowa, potem ramiona i na koniec postać Vincenza, dzierzawcy Filippa, u którego mieszkaliśmy, zanim znalazłyśmy się w Sant' Eufemia. Vincenzo z tym haczykowatym nosem, głęboko osadzonymi oczami, przemoknięty do nitki, zabłocony, przypominał bardziej niż kiedykolwiek oskubane ptaszysko; nie zdążył jeszcze wbiec na górę, a już krzyczał z daleka: — Filippo! Filippo! Stało się nieszczęście... stało się nieszczęście! — Filippo, który wraz z innymi przyglądał się pracy Ignazia, wybiegł na jego spotkanie, z oczyma wychodzącymi z orbit! — Co się stało? Mów, co się stało? — lecz tamten, bestia kuta na

cztery nogi, udawał, że tak się zmęczył, iż tchu złapać nie może. Przykładał rękę do piersi bełkocząc grobowym głosem: — Straszne nieszczęście. — Nikt już nie myślał o Ignaziu i jego kozie, wszyscy otoczyli Filippa i dzierżawcę; w domu Filippa, który stał nieco wyżej, otworzyło się tymczasem okno i wyjrzały przez nie dwie kobiety, żona i córka Filippa. Vincenzo wykrztusił na koniec: — Stało się to, że przyszli Niemcy, opukali ściany, znaleźli skrytkę i rozwalili mur. — Filippo przerwał mu z krzykiem: — I ukradli moje rzeczy! — Oczywiście — odrzekł tamten, wyraźnie nabierając otuchy, być może dlatego, że wszystko już powiedział — skradli wszystko, nic nie zostawili, nic a nic. — Powiedział to głośno, tak że żona i córka Filippa słyszały każde słowo. Od razu zaczęły płakać i lamentować, i wychylając się z okna, machały rękami. Lecz Filippo nie tracił czasu na dalsze indagacje: — To nieprawda, nieprawda! — ryknął. — To ty ukradłeś, ty jesteś złodziejem, Niemcem, faszystą w jednej osobie... ty i ta jędza, twoja żona, i ci kryminaliści, twoi synalkowie! Znam was... jesteście bandą przestępców, nie uszanowaliście nawet św. Jana. — Wrzeszczał jak opętany; nagle schwycił ze stołu jeden z noży Ignazia, złapał za kark Vincenza i zamierzył się na niego. Na szczęście uchodźcy stali dostatecznie blisko, by w porę go powstrzymać. Czterech mężczyzn trzymało go za ręce, podczas gdy on wrywał się im, z pianą na ustach krzycząc: — Puśćcie mnie, zabiję go! Puśćcie mnie, chcę go zamordować! — Tymczasem kobiety w oknie miotają się i darły wniebogłosy: — Jesteśmy

zrujnowane, zrujnowane! — a deszcz kapał nam wszystkim na głowy.

Michele, który obserwował tę całą scenę, powiedziałabym — z pewną satysfakcją, jak gdyby sprawiło mu to przyjemność, że siostra straciła posag, a matka wszystko, co miała w domu najcenniejszego, podszedł nagle do Vincenza. Ten w dalszym ciągu wypierał się w żywe oczy, powtarzając: — To nie ja ukradłem, to Niemcy, to faszyci, my nie mamy z tym nic wspólnego! — Michele wsunął mu rękę do kieszeni, jak gdyby już wiedział, co tam znajdzie, i wyciągnął z niej pudełeczko, mówiąc spokojnie: — Już wiemy, kto ukradł... Ty jesteś złodziejem... ten pierścionek jest własnością mojej siostry.

Otworzył pudełko i rzeczywiście pokazał pierścionek z brylantem, który, jak się później dowiedziałam, Filippo podarował córce na urodziny. Na widok tego pierścionka Filippo krzyknął, wyrwał się trzymającym go uchodźcom i z podniesionym nożem rzucił się na Vincenza. Lecz dzierżawca był szybszy od niego i dał nura między otaczających go ludzi i zeskakując na półko, rzucił się do ucieczki. Filippo chciał go ścigać, ale zorientował się od razu, że go nie dogoni. Był niski i gruby, a dzierżawca miał nogi jak struś. Podniósł więc kamień z ziemi i rzucił go za Vincenzem wołając: — Złodziej, złodziej! — Filippo nie ruszył się z miejsca, pobiegli natomiast za zbiegiem inni uchodźcy, nie dlatego, by leżała im na sercu krzywda Filippa, ale dlatego, że podochoceni tą awanturą mieli ochotę wziąć się do bitki. Widziałam, jak kilku z nich zbiega za

Vincenzem, który także gnał niczym zając. Dogonili go w końcu, złapali za ręce i zmusili do powrotu na górę. Filippo, który rzucał przez cały czas kamieniami, tak wielkimi, że każdy z nich mógłby zabić człowieka, stanął teraz zadyszany i spocony w pozycji wyczekującej; trzymał w ręku nóż Ignazia, cały jeszcze za-plamiony krwią kozy. Wówczas Michele podszedł do ojca i powiedział mu:

— Radzę ci wrócić teraz do domu.

— Zabiję go!

— Wracaj do domu.

— Nie, zabiję go! Muszę go zabić!

— Oddaj mi nóż i idź do domu.

Ku memu wielkiemu zdumieniu, na widok spokoju syna Filippo także się uspokoił; położył nóż na stole i poszedł w stronę domu, z którego jak z czyścica dobiegały krzyki, lamenty i jęki. Tak więc na polu, w strumieniach deszczu, który nie przestawał padać, pozostała tylko nieszczęsna, obdarta ze skóry koza wisząca na dwóch palach.

A tymczasem Vincenzo i młodzi uchodźcy, którzy go złapali, byli już na polu. Miejscowi chłopcy oraz pozostali uciekinierzy od razu otoczyli ich zwartym kręgiem wypytujac, jak się to wszystko stało, powodowani, jak zauważyłam, nie tyle chęcią wymierzenia kary winnemu, ile ciekawością. Vincenzo

nie dał się długo prosić: — Nie chciałem tego zrobić — powiedział tym swoim głosem ludożercy — kto chciałby coś podobnego zrobić, do diabła... Święty Jan... trzymałem mu do chrztu córkę, on trzymał mi do chrztu mojego syna... przecież krew nie woda. Wolałbym, przysięgam wam, obciąć sobie rękę, niż ukraść... niech mnie piorun zabije, tu, w tej chwili, jeśli to nieprawda!

— Wierzymy ci, Vincenzo, wierzymy ci... jak to się stało wobec tego, żeś potem ukraść?

— Głos... słyszałem w sobie całymi dniami głos, który powtarzał stale jedno i to samo: „Weź młotek i rozbij mur... weź młotek i rozbij mur”. Ten głos nie opuszczał mnie ani we dnie, ani w nocy.

— Tak więc, Vincenzo, w końcu wzięłeś młotek i rozwalisz mur? Czy tak było?

— Właśnie tak.

Wszyscy uchodźcy i chłopcy wybuchnęli głośnym śmiechem i po zadaniu jeszcze kilku pytań zostawili Vincenza, wracając do Ignazia i jego kozy. Vincenzo jednakże nie od razu odszedł. Zaczął krążyć po całej wiosce od domku do domku, od szałasów do szałasów; wszędzie prosił, żeby dali mu coś do picia, a potem powtarzał swoją historię, która wszystkich pobudzała do śmiechu; on się nie śmiał, siedział skulony i nastroszony, jak złe ptaszysko, i zdawał się dziwić, dlaczego wzbudza ogólną

wesołość. Na koniec, pod wieczór, odszedł przygarbiony i zgnębiony, jak gdyby to on został okradziony, nie Filippo.

Michele przyszedł tego samego wieczoru do szafasu, gdzie wraz z Paridem i jego rodziną piekłam kozie flaki, i powiedział: — Mój ojciec nie jest złym człowiekiem... ale dla kilku prześcieradeł i odrobiny złota chciał zamordować człowieka... natomiast dla idei nikt z nas nie zdobyłby się nawet na zabicie kurczaka.

Paride zaczął mówić powoli i z namysłem, wpatrując się w ogień: — Czy nie wiesz, Michele, że dla ludzi więcej znaczy majątek niż idee? Weź dla przykładu choćby księdza: jeśli mówisz na spowiedzi, żeś ukradł, powiada ci najspokojniej w świecie, żebyś odmówił kilka pacierzy do świętego Józefa, i daje ci rozgrzeszenie. Ale spróbuj iść na plebanię i jemu coś ukraść, ot, choćby trochę sreber, a zobaczysz, jak będzie wrzeszczał... i zamiast dać ci rozgrzeszenie, pośle od razu po policję i każe cię aresztować. Skoro ksiądz zachowuje się w ten sposób, to co dopiero mówić o nas, zwykłych śmiertelnikach.

Było to jedyne godne opisu wydarzenie w okresie pory deszczowej. Poza tym życie upływało jak i przedtem na rozmowach o wojnie i o pogodzie, oraz na temat, co będziemy robili po przyjsciu Anglików; a przede wszystkim na spaniu po dwanaście, czternaście godzin. Gdy budziłyśmy się, słyszałyśmy plusk deszczu, który stukał o nasz dach, i bulgotał w rynnie; i znowu zasypiałyśmy, snem jeszcze twardszym niż przedtem,

przitulone do siebie na tym łóżku z siennikiem, wypełnionym liśćmi kukurydzy, ułożonym na deskach, które często rozsuwały się pod nami, tak że nagle spadałyśmy na ziemię. Głównym zajęciem Filippa i wszystkich uchodźców było jedzenie. Można powiedzieć, że nie robili nic innego, tylko ucztowali od rana do nocy, opływając we wszystko niczym pączki w maśle. Powiadali, że trzeba jeść, bo to jedyny sposób, by odpędzić wszelkie smutki: powiadali, że lepiej zużyć zapasy, bowiem po przyjsciu Anglików żywności będzie w bród, ceny spadną na łeb na szyję, i nikt nawet nie spojrzy na starą mąkę i zjełczałe tłuszcze. Ale ja myślałam sobie tak: strzeżonego Pan Bóg strzeże. Ja także byłam przekonana, że nadejdą Anglicy, ale kiedy? Wystarczyło, by z jakiegokolwiek powodu zjawili się miesiąc później, a ci wszyscy ludzie umarliby z głodu. Tak więc podczas gdy inni napychali sobie brzuchy, ja zaczęłam ograniczać się w jedzeniu. Jadałyśmy tylko raz dziennie, około siódmej wieczorem: pełną miskę fasoli z mięsem, przeważnie kozim, kromkę chleba, zawsze tej samej grubości, i trochę suszonych fig. Czasami gotowałam mamałygę, czasami zamiast fasoli przyrządzałam groch, a zamiast koziny wołowinę. Rano natomiast kroiłam dla siebie i Rosetty po skibce chleba i po kilka plasterków surowej cebuli. A czasem nie jadłyśmy nawet chleba, tylko wysysałyśmy laseczki chleba świętojańskiego, którym zazwyczaj karmi się konie, ale w czasie wojny dobry jest i dla ludzi. Rosetta często się skarżyła, że jest głodna, wiadomo, młodość, wtedy zachęcałam ją do spania, bo sen zastępuje pożywienie, organizm trawi wolniej i nabiera sił. Jednym słowem postępowałam tak

samo jak chłopci, którzy byli przezorni, a nawet skąpi i odważali każdy gram żywności. Oni co prawda przywykli do głodowania i wyczuwali instynktownie, że zarówno przy Niemcach jak i przy Anglikach nigdy nie będą syści, nie mając ani pieniędzy, ani wystarczających urodzajów, by przetrzymać przednówek. Tak więc w pewnym sensie czułam się bardziej chłopką niż uciekinierką z miasta; i nie mogłam nie odczuwać antypatii do uchodźców, przeważnie sklepikarzy, którzy dorobili się cudzym kosztem i liczyli na to, że gdy tylko pokażą się Anglicy, dalej będą robili to samo. Ktoś mógłby powiedzieć, że i ja byłam właścicielką sklepu; lecz ja urodziłam się na wsi i przy zetknięciu z chłopami i ziemią znowu poczułam się chłopką, tak jak w czasach przed moim zamążpójściem.

Dostatecznie już się rozpisałam na ten temat; deszcz padał jeszcze przez czterdzieści dni. Pewnego ranka pod koniec grudnia zauważyliśmy od razu, że wiatr zmienił kierunek w ciągu nocy. Niebo było jaskrawobłękitne, jasne, lekko zaróżowione jutrzenką, ostatnie deszczowe obłoczki szarawoczerwonego koloru odpływały w dal. Na dole, od strony Ponza, po raz pierwszy od dłuższego czasu widać było połyskującą tafłę morza, granatową, prawie czarną. Dolina Fondi, raczej szara niż zielona w zimowej szacie, pogrążona była w porannej mgle, zapowiadającej piękny, słoneczny dzień. Od gór wiał wiatr tramontana, zimny, suchy, porywisty, szeleszcząc w nagich gałęziach drzewa, rosnącego obok naszej lepianki. Błoto na dworze przemarzło, stwardniało, chrzęściło pod nogami i

błyszczało miejscami, jak gdyby było pokryte odpryskami szkła, widomy znak, że w nocy temperatura spadła poniżej zera. Owa zmiana pogody napełniła otuchą uchodźców, wylegli tłumnie przed domki w ten mroźny ranek i ściskając się, składali sobie nawzajem życzenia: teraz, przy dobrej pogodzie, Anglicy przystąpią do wielkiej ofensywy i wszystko nareszcie się skończy.

Anglicy przybyli istotnie, i to bardzo szybko, lecz w inny sposób, niż się tego spodziewali uchodźcy. Około jedenastej godziny tego pierwszego pięknego ranka wylegliśmy wszyscy na pólko, by wygrzać się na słońcu jak jaszczurki, gdy nagle usłyszeliśmy daleki huk, który narastał z każdą chwilą, stawał się coraz to bardziej donośny i majestatyczny, w końcu zdawał się wypełniać całe niebo. Po chwili niepewności wszyscy uchodźcy zorientowali się, o co chodzi; zrozumiałam i ja, słyszałam bowiem wielokrotnie ten huk w Rzymie, i za dnia, i w nocy: Anglicy! Samoloty! Nadlatują angielskie samoloty. Za chwilę rzeczywiście na jasnym i czystym niebie ukazały się wylatujące spoza góry pierwsze cztery samoloty, a potem dalsze, razem było ich dwanaście. Leciały prościuteńko, jak gdyby po niewidzialnej nitce, i warkot był coraz to głośniejszy; przyznam się, że ten warkot i mnie wprowadził w radosne podniecenie, mimo iż przypominał mi ciężkie chwile przeżyte w Rzymie; wydało mi się nagle, że, choć pełen grozy, niesie dobre nowiny dla nas Włochów, przepędzi bowiem faszystów i Niemców, gdzie pieprz rośnie. Tak więc z sercem pełnym nadziei wpatrywałam się w

samoloty lecące w stronę Fondi, które leżało w dolinie pełne białych domów i ciemnozielonych pomarańczowych gajów. W pewnej chwili niebo wokół samolotów zaroilo się od białych obłoczków i dały się słyszeć suche serie wystrzałów niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Te działa musiały być rozstawione w całej dolinie, strzelały bowiem ze wszystkich stron. Trzeba było słyszeć uchodźców. — Patrzcie ich, strzelają biedactwa... ale w próżnię. Jutro już nie będzie komu strzelać. Strzelajcie sobie, strzelajcie, zrobicie im tyle co nic. — Istotnie ta kanonada zdawała się nie dosięgać samolotów, które dalej płynęły po niebie. Potem usłyszeliśmy głośny wybuch i zobaczyliśmy chmurę białego dymu już nie na niebie, lecz na ziemi, między domami i ogrodami Fondi. Samoloty zaczęły zrzucać bomby.

Póki żyję, nie zapomnę tego, co zaszło po owym pierwszym wybuchu, choćby dlatego, że radość uchodźców zmieniła się nagle w rozpacz. Bomby padały teraz gęsto, jedna przy drugiej, na miasto, pokrywając je w mgnienia oka całym mnóstwem białych obłoczków. Ci sami ludzie, przed chwilą tacy szczęśliwi, zaczęli biegać po polu krzycząc, płacząc i lamentując, niczym żona i córka Filippa, gdy dowiedziały się, że Vincenzo ukradł całą wyprawę. Wrzeszczeli wniebogłosy, wymachując rękami, jak gdyby chcieli powstrzymać samoloty: — Mój dom, mój dom! Zbrodniarze! Burzą nam domy, och, biedni my, nasze domy, nasze domy! — a bomby sypały się nadal niczym dojrzałe owoce strząsane z drzewa. Artyleria lotnicza strzelała w dalszym ciągu gęsto i zaciekle, i huk wypełniał nie tylko niebo,

lecz zdawało się, że trzęsie się i ziemia. Samoloty poleciały w głąb doliny, po czym skrzyły w miejscu, gdzie błyszczało morze, i tam znowu wypuściły grad bomb. Uchodźcy, którzy umilkli na chwilę, myśląc, że lotnicy zmieniają kierunek po to, by szykować się do odlotu, zaczęli krzyczeć i lamentować jeszcze głośniejsze niż przedtem. Lecz w momencie gdy zwarta i nie tknięta eskadra rzeczywiście zaczęła odlatywać w stronę skąd przybyła, drugi samolot z ostatniej grupy zapalił się nagle czerwonym płomieniem, który wyglądał jak jaskrawa wstęga powiewająca na niebieskim niebie. Został trafiony przez artylerię przeciwlotniczą; leciał teraz wolniej i z białego kadłuba wydobywały się języki ognia i kłęby dymu. Trzeba było słyszeć uchodźców: — Brawo, Niemcy! Pokażcie im, tym zbrodniarzom! Zestrzelcie ich wszystkich co do jednego! — Rosetta nagle zawołała:— Mamo, patrz, patrz, spadochroniarze! — Istotnie, podczas gdy płonący samolot leciał ku morzu, zobaczyłam otwierające się na niebie, jeden za drugim, białe parasole, spadochrony, które kołysały się z wiatrem i z każdego z nich zwisał czarny punkcik: lotnik. Było ich siedem czy osiem i powoli spływały w dół; artyleria już nie strzelała; trafiony samolot koziołkując opadł na ziemię i zniknął za jednym z pogórków; zaraz potem dała się słyszeć głośniejsza eksplozja, a potem już nic. Znowu zapanowała cisza, tylko od strony, gdzie odleciała eskadra, dolatywało chwilami z daleka metaliczne brzęczenie; słyszeć było tylko płacz i krzyki uchodźców miotających się po polu; a srebrne spadochrony w dalszym ciągu

spadały coraz to niżej; cała dolina Fondi pokryta była dymną, szarą zasłoną, zaczerwienioną gdzieś ogniem pożarów.

Tak więc Anglicy przyszli, ale tylko po to, żeby zburzyć domy uchodźców. Także przy tej okazji ujawniła się dziwna oschłość Michela, i to w sposób całkiem dla mnie nieoczekiwany. Tego samego wieczoru, gdy rozmawialiśmy w szafasie o bombardowaniu, powiedział w pewnej chwili: — Czy wiecie, co mówili ci sami uchodźcy, którzy teraz wylewają łzy nad swoimi domami, kiedy gazety pisały, że Włosi bombardują miasta nieprzyjacielskie? Mówili, a słyszałem ich na własne uszy: jeśli ich bombardują, to widać na to zasłużyli. — Zapytałam go: — Nie żal ci tych biedaków, którzy stracili swoje domy, a teraz nadzy i bezdomni będą musieli iść na włóczęgę jak Cyganie? A on: — Żal mi ich, ale nie więcej niż innych, którzy przedtem wszystko stracili. Wierz mi, Cesiro, że jest tak, dzisiaj kolej na mnie, jutro na ciebie. Oni przyklaskiwali, kiedy bombardowano domy Anglików, Francuzów, Rosjan; a teraz ich bombardują. Czy to nie jest słuszne? Ty, Rosetto, która wierzysz w Boga, czy nie uważasz, że to palec Boży? — Rosetta nic nie odpowiedziała, jak zazwyczaj, gdy była mowa o religii, i na tym skończyła się rozmowa.

Jednym słowem, po tym pierwszym bombardowaniu wszyscy uchodźcy zeszli w dolinę, żeby zobaczyć, co się stało z ich domami; prawie wszyscy wrócili z dobrymi nowinami: domy w większości ocalały i okazało się, że miasto nie jest tak zrujnowane, jak przypuszczali w pierwszej chwili. Było co

prawda kilka ofiar w ludziach; zginął stary żebrak, mieszkający w zburzonym już przedtem domu na peryferiach miasta, oraz — o dziwo, ten faszysta, którego przezywano Małpiszonem i który groził nam karabinem, gdy mieszkałyśmy u Concetty. Koniec Małpiszona był taki sam jak jego życie; korzystając z ładnej pogody wybrał się do Fondi, gdzie wyważył żaluzję w galanteryjnym sklepie. Bomba spadła na ten właśnie dom, który runął rozsypując się w gruzy. Małpiszona znaleziono potem wewnątrz wśród stosów tasiemek i guzików; trzymał zaciśnięte w rękach skradzione przedmioty. Powiedziałam Rosecie: — Można błogosławić wojnę, kiedy umierają tacy ludzie. — Zdziwiłam się, że ma łzy w oczach. — Nie mów tak, mamó — odrzekła — i on był nieszczęśliwym człowiekiem. — Wieczorem odmówiła modlitwę także i za jego duszę, czarniejszą od czarnej koszuli, którą miał na sobie, w chwili gdy zabiła go bomba.

Zapomniałam powiedzieć, że w ciągu tych dni umarł jeszcze ktoś: Tommasino. Wiem dokładnie, jak się to stało, byłam bowiem obecna przy wypadku, który stał się przyczyną jego śmierci. Tommasino, nie zrażony deszczem i błotem, handlował w dalszym ciągu. Kupował towary od chłopów, faszystów i Niemców, i odprzedawał je uchodźcom. Żywności było coraz mniej, więc wziął się do handlu solą i tytoniem, a poza tym dostarczał jaj i pomarańcz. Podniósł oczywiście ceny i miałam wrażenie, że dużo zarabiał. Przez cały dzień chodził po dolinie, nie bacząc na niebezpieczeństwo, nie dlatego, że był

odważny, tylko że więcej zależało mu na pieniądzach niż na własnej skórze. Wyglądał jak Żyd Wieczny Tułacz, z tą długą brodą, podwiniętymi, podartymi spodniami i zabłoconymi butami. Rodzinę ulokował już od dawna w domku położonym jeszcze wyżej od domu Parida. Każdemu, kto zapytywał go, czemu nie chce połączyć się z rodziną, odpowiadał: — Tutaj mam sklep i chcę handlować do ostatniej chwili. — Przez ostatnią chwilę rozumiał koniec wojny; nie wiedział, że będzie handlował do ostatniej chwili swojego życia.

Pewnego dnia włożyłam do koszyka osiem jajek i zesłam na dół z Rosettą, żeby je wymieniać na wojskowy chleb u Niemców, którzy biwakowali w pomarańczowym gaju u podnóża góry. Tak się złożyło, że Vincenzo przybył właśnie z towarem do Sant' Eufemia i ofiarował się nam towarzyszyć. Zeszliśmy razem w dolinę; był to piąty pogodny dzień od czasu bombardowania Fondi. Tommasino szedł przed nami, wymijając dziury i kamienie, milczący, zamyślony, pogrążony w swoich obliczeniach; my także nie odzywałyśmy się ani słowem. Droga biegła zygzakami zboczem górskim aż do występu skalnego; tam przecinała niewielką płaszczyznę docierając do położonej po prawej stronie góry i dalej szła na dół. Owa płaszczyzna wyglądała dziwacznie, pokryta była cała sterczącymi prostopadle nagimi skałami w kształcie głów cukru, w kolorze skóry słonia, w których widniały pełne zakamarków groty; między tymi skałami rosły indyjskie figi z najeżonymi kolcami na mięsistych, zielonych liściach. Ścieżka wiła się między

krzewami fig i skałami, wzdłuż strumyka, od którego nie można było oderwać oczu, taki był śliczny: po zielonym łożysku z mchu płynęła przejrzysta jak kryształ woda. Gdy dochodziłyśmy do tej płaszczyzny — Tommasino szedł jakieś trzydzieści metrów przed nami — usłyszałyśmy warkot eskadry samolotów. Nie zwróciłyśmy na to uwagi, przywykłyśmy już bowiem uważać owe przeloty za coś zupełnie normalnego; samoloty leciały przeważnie na front i nigdy nie zrzucały bomb w górach, ponieważ byłoby to bezcelowe i zbyt kosztowne. Powiedziałam więc obojętnie do Rosetty: — Patrz, samoloty. — Na błękitnym niebie połyskiwała srebrzyście biała eskadra, lecąca w trzech rzędach z jednym samolotem na czele, który zdawał się wskazywać drogę. W pewnej chwili zobaczyłam wylatującą z tego pierwszego samolotu czerwoną wstęgę i wówczas, sama nie wiem skąd, przypomniałam sobie, co mówił Michele: był to sygnał do zrzucenia bomb. Zaledwie zdążyłam pomyśleć o tym, a już bomby posypały się jak grad, lecz nie widziałyśmy ich, bo zbyt szybko spadały, tylko usłyszałyśmy tuż tuż straszliwy wybuch i wszystko dokoła zachybotowało, jak gdyby nastąpiło trzęsienie ziemi. Ze wszystkich stron posypały się kamienie i odłamki, które, jak zobaczyłam potem, były ostre, pokrzywione, ze stali, na palec długie; gdyby trafił w nas choć jeden z nich, byłoby po nas. Gryzący, dławiący w gardle dym otoczył mnie dokoła; przestałam widzieć cokolwiek i, ogarnięta straszliwą trwogą, nawoływałam Rosettę. Dym zaczął rzednieć powoli; ziemia pokryta była odłamkami i nieskończoną ilością posiekanych, zgniecionych na miazgę liści fig indyjskich. Usłyszałam

nagle głos Rosetty: — Jestem tutaj, mamó. — Nigdy nie wierzyłam w cudy, ale gdy tuliłam do siebie Rosettę zdrową i całą, patrząc na te stalowe odłamki, które tańczyły nam nad głowami w chwili wybuchu, pomyślałam sobie, że nasze ocalenie należy zaliczyć do cudów. Całowałam ją, ścisnęłam, macałam rękami po twarzy i całym ciele, nie wierząc jeszcze, że naprawdę żyje, po czym zaczęłam szukać Tommasina, który, jak wspomniałam, szedł o jakieś trzydzieści kroków przed nami. Rozglądałam się dokoła, lecz nigdzie nie było go widać; nagle usłyszałam jego płaczliwy głos: — O Boże, mój Boże! O Madonno! — Pomyślałam, że musi być ranny, i poczułam wyrzuty sumienia, że ciesząc się ocaleniem Rosetty, całkiem zapomniałam o nim. Nigdy nie był mi sympatyczny, ale przecież i on był człowiekiem i, chociaż nie bezinteresownie, pomógł nam w ciężkiej chwili. Tak więc poszłam w kierunku, skąd dochodził jego głos, spodziewając się zastać go leżącego w kałuży krwi. Weszłam do niewielkiej groty, utworzonej przez zagłębienie w skale, gdzie Tommasino siedział skulony niczym ślimak w skorupie, trzymając się rękami za głowę i głośno zawodząc. Mimo to zorientowałam się od razu, że nie jest nawet draśnięty, tylko dostał szoku ze strachu. — Tommasino — zawołałam — co tu robisz w tej dziurze? Już wszystko minęło i Bogu dzięki wyszliśmy cało z tej opresji. — Nic mi nie odpowiedział i jęczał dalej. — O mój Boże, o Madonno Święta! — Powiedziałam z pewnym zdziwieniem: — Tommasino, rusz się... musimy już iść, robi się późno. A on: — Nie ruszę się stąd. — Zapytałam: — Chcesz tu zostać? — A on na to: — Nie zejdem

w dolinę. Wdrapię się na najwyższy szczyt i schowam się w jakieś grocie... dla mnie skończyło się wszystko. — A sklep, Tommasino? — Niech diabli wezmą sklep! — Słyszając, że machnął ręką na handel, dla którego narażał się do tej chwili na tyle niebezpieczeństw, zrozumiałam, że mówi poważnie i nie ma sensu dalej nalegać. Pomimo to powiedziałam: — Ale odprowadź nas choćby do doliny... dzisiaj nie masz się czego obawiać, samoloty już nie wrócą. — Idźcie same — odrzekł na to — ja się stąd nie ruszę — i znowu zaczął się trząść i polecać Madonnie. Pożegnałam go więc i ruszyłam w stronę doliny.

Zeszliśmy na dół i na skraju gaju pomarańczowego napotkaliśmy niemiecki czołg, przykryty pomarańczowymi gałęziami, oraz namiot w kolorze ochronnym, to znaczy pomalowany w niebieskie, zielone i brązowe plamy. Kręciło się tam kilku Niemców, którzy gotowali obiad. Jeden z nich siedział pod drzewem i grał na harmonii. Wszyscy byli młodzi, mieli ogolone głowy i wymizerowane, pokryte bliznami twarze; zanim znaleźli się w Fondi, byli w Rosji, gdzie, jak mówili, wojna była tysiąckrotnie gorsza niż we Włoszech. Znałam ich, bo już handlowałam z nimi, biorąc chleb i dając w zamian jajka. Już z daleka pokazywałam im koszyk podnosząc go do góry. Ten od harmonii od razu przestał grać, poszedł do namiotu i wyniósł stamtąd kilogramowy bochenek wojskowego chleba. Podeszliśmy bliżej, żołnierz nie patrząc na nas i trzymając chleb z tyłu, jak gdyby się obawiał, żebyśmy mu go nie wyrwały, odsunął liście, którymi przykryte były jajka, i zaczął je liczyć po

niemiecku od jednego do ośmiu. Nie wystarczyło mu to, bo wziął do ręki jedno jajko i potrząsając nim przyłożył je do ucha, by się przekonać, czy jest świeże. Powiedziałam mu wtedy: — Bądź spokojny, są świeże, ryzykowaaliśmy życie, żeby je tutaj przynieść, dzisiaj powinienes dać nam za nie dwa bochenki zamiast jednego. — Nie rozumiał i spojrzał na nas pytającym wzrokiem, wówczas wskazałam palcem niebo, zrobiłam gest mający oznaczać spadające bomby i zawołałam: — Bum, bum — co miało imitować wybuch. Pojął na koniec, o co chodzi, i powiedział jakieś zdanie ze słowem kaputt, którego oni stale używają i które, jak wytłumaczył mi Michele, znaczy po niemiecku tyle co „kipnąć”. Domyśliłam się, że mówi o zestrzelonym samolocie, i odrzekłam: — Za ten jeden zestrzelony przyleci sto innych. Na waszym miejscu skończyłabym nareszcie z tą wojną i wróciłabym do Niemiec. Byłoby to najlepsze wyjście dla wszystkich, i dla nas, i dla was. — Tym razem nic nie odpowiedział, bo nic nie zrozumiał; podał mi chleb, wziął jajka i wykonał taki ruch ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: Wróc, to znowu zrobimy wymianę. — Tak więc pożegnaliśmy się z nim i wróciliśmy tą samą drogą do Sant’ Eufemia.

Tommasino jeszcze tego samego dnia uciekł do rodziny, która mieszkała nieco powyżej Sant’ Eufemia. Następnego dnia posłał chłopca z dwoma mułami do swego domku w dolinie, by przywiózł mu stamtąd wszystkie rzeczy, łącznie z siatkami do łóżek i materacami. Lecz domek, w którym mieszkał z rodziną,

nie wydawał mu się dostatecznie bezpieczny; tak więc kilka dni później przeniósł się wraz z żoną i dziećmi do groty, znajdującej się na szczycie góry. Była to grota obszerna i głęboka, z wejściem obrośniętym drzewami i krzakami, całkiem niewidocznym na zewnątrz. Ponad tą grota wyrastała ogromna szara skała w kształcie głowy cukru, widoczna nawet z bardzo daleka, tak że sufit owej groty stanowiło kilkadziesiąt metrów masywnego kamienia. Tommasino wprowadził się z całą rodziną do tej pieczary, która niegdyś służyła jako schronienie dla bandytów, i pomyślicie zapewne, że czuł się tam jak u Pana Boga za piecem. Nic podobnego, bał się tak, że strach, można powiedzieć, wszedł mu w krew, niczym gorączka, i pomimo że zaszył się w grocie pod skalistą opoką, trząsł się od rana do nocy, skulony w jakimś kącie, okutany kocem. Powtarzał nieustannie jedno i to samo: — Jestem chory, jestem chory — głosem żalnym i słabym. Nie spał, nie jadł i po prostu ginał w oczach, spalając się jak świeca. Odwiedziłam go któregoś dnia; siedział u wejścia do groty cały drżący, otulony kocem, tak wycieńczony i zgnębiony, że litość brała patrzeć. Nie zdając sobie sprawy, że był naprawdę chory, zaczęłam żartować mówiąc: — Ależ Tommasino, czego ty właściwie się boisz? Ta grota jest jak forteca. Czego się boisz? Może myślisz, że bomby to węże, które pełzając po lesie, mogą wślizgnąć się tutaj i wejść do twojego łóżka? — Spoglądał na mnie, jak gdyby mnie nie rozumiał, i powtarzał co chwila: — Jestem chory... jestem chory. — Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że umarł. Umarł ze strachu, nie był bowiem ani ranny, ani chory, dostał szoku po tym bombardowaniu. Nie poszłam na

pogrzeb, ponieważ uroczystości żałobne działają na mnie przygnębiająco, a i bez tego dość miałam zmartwień. Na pogrzebie obecna była rodzina zmarłego i Filippo ze swoją rodziną. Nie włożono Tommasina do trumny, bo nie miał jej kto zrobić, lecz przywiązano go do dwóch gałęzi; grabarz, jasnowłosy dryblas, także jeden z uchodźców, który trudnił się teraz handlem, jeżdżąc po górach na swoim karym koniu, przywiązał Tommasina do siodła i stępa po górskiej drodze zawiózł go na cmentarz, do doliny. Mówiono mi potem, że nie udało się znaleźć żadnego księdza, ponieważ wszyscy uciekli, tak że nieboszczyk musiał się zadowolić modlitwami krewniaków; że pogrzeb przerwały trzy razy alarmy lotnicze, że na grobie w braku prawdziwego krzyża postawiono krzyż z desek, wyrwanych ze skrzynki z amunicją. Później jeszcze dowiedziałam się także, że Tommasino zostawił żonie dużą sumę pieniędzy, ale żadnych zapasów żywności. Handlując nieustannie, sprzedał wszystko, do ostatniego kilograma mąki, do ostatniego grama soli. Tak więc wdowa została z pieniędzmi, lecz bez żywności, i by nie umrzeć z głodu, musiała kupować po dwukrotnie wyższych cenach to wszystko, co mąż sprzedawał przedtem za pół ceny. Przypuszczam, że pod koniec wojny nie pozostało jej prawie nic z owych pieniędzy, także i na skutek dewaluacji. Chcecie wiedzieć, co powiedział Michele o śmierci stryja? — Zmartwiłem się, bo to był dobry człowiek. Lecz umarł tak, jak umrze jutro wielu ludzi jemu podobnych, którzy uganiają się za pieniędzmi i wyobrażają sobie, że poza pieniędzmi nie istnieje nic na świecie; a potem przychodzi dzień, kiedy krew

ścina im się w żyłach ze strachu na widok tego, co kryje się poza
pieniędzmi.

ROZDZIAŁ VI

Wraz z ładną pogodą przysła prócz bombardowań jeszcze inna klęska: łapanki. Tonto zapowiadał je, lecz nikt właściwie w to nie wierzył, teraz natomiast chłopci uciekający w góry opowiadali nam, że Niemcy otoczyli całą dolinę wyłapując wszystkich zdolnych do pracy mężczyzn, załadowali ich na ciężarówki i wysłali w nieznanym kierunku. Jedni powiadali, że na roboty fortyfikacyjne na front, inni, że do Niemiec. Potem przysła inna zła wiadomość: w nocy Niemcy weszli na szczyt góry i potem, schodząc rozproszeni po całym zboczu, spenetrowali wszystkie osiedla po drodze, chwytając ludzi jak ryby w sieci i wywożąc ich ciężarówkami. Strach padł na uchodźców, bo znajdowało się między nimi co najmniej kilku młodych ludzi, którzy w momencie upadku faszyzmu znajdowali się pod bronią, a potem zdezerterowali. Tych właśnie chłopców szukali Niemcy, ponieważ mając ich za zdrajców chcieli, by za to zapłacili niewolniczą pracą. Bóg wie gdzie i w jakich warunkach. Najbardziej zatrwożeni byli ich rodzice, między innymi Filippo, który drżał o swojego syna; Michele wprowadzie stale mu we wszystkim przeczył, ale był dumą jego życia. Jednym słowem w domku Filippa odbyło się zebranie, na którym zdecydowano, że ci wszyscy młodzi ludzie wychodzić będą skoro świt na szczyt góry i wracać dopiero o zmierzchu.

Choćby Niemcy dotarli nawet na sam szczyt, były tam ścieżki, prowadzące do innych dolin, i zawsze istniała możliwość ucieczki; poza tym Niemcy także byli ludźmi i musieliby się dobrze namyślić, zanim zdecydowaliby się na pogoń całymi kilometrami po górskich drogach dla złapania jednego lub dwóch zbiegów. Michele nie miał ochoty uciekać wraz z innymi, nie tyle przez brawurę, ile dlatego, że chciał zawsze robić wszystko inaczej. Matka ubłagała go jednak, żeby to zrobił dla niej, i zgodził się w końcu.

Rosetta i ja postanowiłyśmy wybrać się razem z nimi, nie dlatego, byśmy bały się o siebie, bo kobiet nie wywożono, lecz dla rozrywki, ponieważ umierałyśmy z nudów w osiedlu. Poza tym chciałyśmy być razem z Michele, jedynym człowiekiem w Sant' Eufemia, do którego przywiązałyśmy się. I tak zaczęło się dziwne życie, które pamiętać będę do śmierci. Paride, który wstawał zawsze przed świtem, stukał jeszcze po ciemku do drzwi naszej izdebki i ubierałyśmy się szybko przy oliwnej lampce. Gdy wychodziłyśmy z domu, było zimno i mroczno, czarne cienie snuły się nad polami, a w domkach jedne po drugich zaczynały zapalać się światła. Michele z kijem w rękę, niski, okutany niezliczoną ilością swetrów, wyglądał jak karzeł z baśni, który żyje w pieczarze pilnując ukrytych skarbów. Wspinaliśmy się za nim pod górę w milczeniu.

Najpierw szłyśmy jeszcze w zupełnych ciemnościach przez gęste krzaki sięgające nam do piersi, wąską ścieżynką pokrytą lodową powłoką. Było ciemno, że oko wykol, lecz Michele miał

przy sobie ręczną latarkę i od czasu do czasu o-świetlał dróżkę; posuwaliśmy się naprzód bez słowa. Wznosiliśmy się coraz wyżej, a tymczasem niebo zaczynało blednąć za górami, nabierając brudnoszarego koloru, a gwiazdy świeciły jeszcze ostatnim światłem przed nadejściem dnia. Szczyty gór odcinały się czarnymi plamami od jaśniejszego tła nieba upstrzonego gwiazdami; potem gdy rozwidniało się także na zboczach, ukazała się zieleń lasów. Gwiazdy znikły, niebo zbieleło; w tym świetle pierwszego poranka widać już było wyraźnie otaczające nas krzaki, nagie, zmarznięte, jak gdyby uśpione. Niebo błękitniało nad naszymi głowami, nad górami natomiast zaczynało nabierać różowego odblasku, a gdy pojawił się pierwszy promień słońca, wszystko dokoła nabrało barwy: poczerwieniały jagody na krzewach, zazielenił się mech, zaślniły brunatne gałązki, puszyste kity trzciny stały się mlecznobiałe. Weszliśmy teraz do dębowego lasu, który ciągnął się aż po sam szczyt. Dęby były dość wysokie, rosły na poboczu w dość dużej odległości jeden od drugiego, tak że ich korony nie stykały się ze sobą. Rozłożyste konary przypominały szeroko otwarte ramiona, jak gdyby te drzewa chciały podać sobie ręce podtrzymując się wzajemnie, by nie przewrócić się na owej stromej pochyłości na wietrze. Pokrzywione i nieliczne, tworzyły las tak rzadki, że można było sięgnąć okiem po sam szczyt skalny, którego kontury rysowały się na niebie. Ścieżka biegła prościuteńko przez ten las między białymi kamieniami; słońce zbudziło ptaki, które ćwierkały i podfruwały między gałęziami drzew, lecz nie było ich widać. Michele szedł przed nami i zdawał się

uszcęśliwiony, nie wiadomo z jakiego powodu; szybko kroczył przed siebie, wywijając w powietrzu kijem, który służył mu jako laska, i pogwizdując skoczną melodyjkę, zapewne jakiś marsz wojskowy. Szliśmy jeszcze przez dłuższy czas między dębami, które im wyżej wzniosły się, tym stawały się rzadsze, tym bardziej karłowate i pokręcone. W końcu nie było już i dębów, tylko ścieżka biegnąca w poprzek zbocza między oślepiająco białymi kamieniami. Nieco powyżej znajdował się szczyt góry, a raczej przełęcz między dwoma szczytami, która była celem naszej wędrówki. Ścieżka ukrywała się na płaszczyźnie pokrytej miękką, zieloną trawą, co było prawdziwą niespodzianką, przedtem bowiem widziałyśmy wszędzie tylko kamienie i kamienie. Sterczały tam tylko gdzieniegdzie białawe, okrągłe skałki. Pośrodku owej szmaragdowej łąki stała stara, obmurowana płaskimi gałęziami studnia. Widok rozciągający się z tej płaszczyzny był rzeczywiście bajeczny i nawet ja, obojętna na piękno krajobrazu, być może dlatego, że urodziłam się w górach i znałam je aż za dobrze, otworzyłam usta z podziwu. Z jednej strony rozciągało się przed oczyma majestatyczne zbocze, całe pokryte półkami schodzącymi tarasami aż do doliny, w głębi której lśniła błękitna wstęga morza. Z drugiej strony widać było góry, góry Ciociarii, niektóre z białymi wierzchołkami, inne całe pokryte śniegiem, inne jeszcze nagie i szare. Na górze było zimno, lecz chłód nam nie dokuczał, bo słońce mocno przypiekało i nie wiał wiatr, przynajmniej w ciągu tych dwóch tygodni, kiedyśmy tam chodzili.

Trzeba było spędzić na szczycie cały dzień, rozciągaliśmy więc koc na trawie i kładliśmy się na nim. Odpoczywaliśmy jakiś czas, a potem brała nas ochota, żeby się trochę poruszać. Michele i Rosetta spacerowali zrywając kwiaty lub po prostu gawędząc, a raczej on mówił, a ona słuchała. Na ogół nie towarzyszyłam im i zostawałam na łączce. Lubię samotność i o ile w Rzymie mogłam cieszyć się nią do woli, o tyle w Sant' Eufemia nigdy nie byłam sama: w nocy spałam z Rosettą, a we dnie stale przychodzili do nas uchodźcy. Samotność dawała mi złudzenie, że życie zatrzymuje się i daje mi możliwość spokojnego rozejrzenia się dokoła; w rzeczywistości czas mijał, lecz nie zdawałam sobie z tego sprawy. Wielka cisza panowała dokoła; z leżącej poniżej kotliny dolatywał od czasu do czasu dźwięk dzwonek pasącego się stada, lecz był to jedyny odgłos, który nie tylko nie mącił ciszy, lecz zdawał się jeszcze ją pogłębiać. Lubiłam czasem podchodzić do tej studni, opierać się o cembrowinę i patrzeć w dół. Studnia była bardzo głęboka, a przynajmniej takie odnosiło się wrażenie, obmurowana aż do samego dołu, gdzie migotała ledwie dostrzegalna tafla wody. Capelvenere, ta śliczna roślina z czarnymi jak heban gałązkami i delikatnymi, zielonymi Usteczkami przypominającymi piórka, rosła bujnie pośród kamieni przeglądając się w ciemnej wodzie na dnie studni. Spoglądałam w dół, wspominając, że robiłam to samo jako mała dziewczynka. Wówczas przeglądanie się w studni pociągało mnie nieodparcie, a zarazem napawało lękiem; wyobrażałam sobie, że studnie połączone są z podziemnym światem, zamieszkanym przez krasnoludki i wróżki, i prawie

miałam ochotę rzucić się w dół i przenieść się zawsze do owego zaczarowanego świata. Czasem znowu zaglądałam do studni tylko po to, by przeglądać się w niej, po czym brałam kamyk i rzucałam go w sam środek odbicia mojej twarzy; koła powstające na wodzie rozбивały tę twarz na maleńkie, drżące cząsteczki. Lubiłam też chodzić między okrągłymi, białymi skałkami o dziwacznym kształcie, wyrastającymi tu i ówdzie na pokrytej trawą płaszczyźnie. Wtedy także wydawało mi się, że znowu jestem dzieckiem: ogarniała mnie nagle nadzieja, że znajdę w trawie jakiś klejnot, może dlatego, że ta szmaragdowa trawa miała w sobie coś bajkowego, i przypominała miejsca, o których krążą legendy, że zakopano tam skarb. Lecz nigdzie nie było widać nic oprócz trawy, która nadawała się jedynie na paszę dla bydła; raz jeden tylko znalazłam czterolistną koniczynę, którą podarowałam Michelowi; schował ją do portfela, by mi zrobić przyjemność, nie dlatego, by wierzył, że przyniesie mu szczęście. Czas mijał bardzo powoli; słońce wznosiło się coraz wyżej i coraz silniej dopiekało, tak że czasami rozpinalam bluzkę i opalałam się jak na plaży, leżąc na kocu. Gdy nadchodziła pora śniadania, Michele i Rosetta wracali ze spaceru i siedząc na trawie zajadaliśmy chleb z serem. Nieraz jadałam w życiu różne dobre rzeczy, lecz gdy wspominam dzisiaj ten czarny chleb z chrupiącą skórką, upieczony z razowej mąki z domieszką kukurydzy, i owczy ser, tak twardy, że trzeba było rozбивać go młotkiem, przekładałam je nad najwykwintniejsze smakołyki. Być może dodawał im smaku apetyt, jaki budził w nas długi marsz oraz powietrze górskie, a może poczucie

niebezpieczeństwa, które jest pikantną przyprawą, dość na tym, że jadłam z wyjątkową przyjemnością, jak gdybym po raz pierwszy w życiu zdawała sobie sprawę, co to znaczy jeść, odżywiać się i nabierać sił przez jedzenie i odżywianie, czując, że pokarm jest rzeczą smaczną i potrzebną. Chciałabym zaznaczyć w tym miejscu, że w Sant' Eufemia po raz pierwszy uświadomiłam sobie wiele rzeczy i, co dziwniejsze, że były to rzeczy jak najprostsze, codzienne. Na przykład, jak dobroczynny wpływ ma sen, który niczym zaspokojony apetyt daje przyjemność i krzepi; jakim luksusem jest czystość, którą tak trudno zachować w prymitywnych warunkach; jednym słowem, moje spostrzeżenia dotyczyły spraw czysto fizycznych, którym w mieście poświęca się mało czasu i które przechodzą prawie niezauważone. Przypuszczam, że gdybym tam, w górach, spotkała mężczyznę, który by mi się spodobał i którego bym pokochała, także i miłość nabrałaby nowego posmaku, głębszego i silniejszego. Było to mniej więcej tak, jak gdybym stała się zwierzęciem, wydaje mi się bowiem, że zwierzęta myślą tylko o swoim ciele, a więc doznają podobnych uczuć jak ja wówczas; okoliczności zmusiły mnie do tego, że dbałam tylko o moje ciało dostarczając mu snu, pokarmu, starając się utrzymać je w jak najlepszej kondycji fizycznej.

Słońce zataczało powolutku krąg na niebie, opadając w dół od strony morza. Gdy jego powierzchnia zaczynała ciemnieć i pokrywać się różowymi blaskami zachodu, wracaliśmy do osiedla, już nie drogą, lecz biegnąc prosto w dół, na przełaj,

ślizgając się po trawie i po kamieniach, przedzierając się przez zarośla. Tak więc ta sama droga, która rankiem zabierała nam około dwóch godzin, skracala się wieczorem do pół godziny. Przybywałyśmy do domu w porze kolacji, zakurzone, z całym mnóstwem liści i kolców uczepionych na ubraniu, i od razu szłyśmy do szafasu na wieczerzę. Kładłyśmy się wcześniej spać i o świcie znowu byłyśmy na nogach.

Lecz tam, na szczycie, nie zawsze panował ów spokój, który pozwalał zapomnieć o wojnie. Nie mam na myśli samolotów, przelatujących nad naszymi głowami, pojedynczo czy eskadrami, ani dalekich eksplozji dobiegających z doliny i świadczących o tym, że ci przekłęci Niemcy nadal wysadzali w powietrze tamy rzucając żyzne okolice na pastwę powodzi i malarii; wojnę odczuwało się tam poprzez spotkania z ludźmi. Działo się tak dlatego, że to głucho pustkowie leżało na szlaku wędrówki tych wszystkich, którzy uciekali przed Niemcami z Rzymu, a nawet i z północnych Włoch, zdążając na południe, zajęte przez Anglików. Byli to przeważnie dezercerzy lub uchodźcy, którzy wracali w swoje rodzinne strony, skąd ewakuowano ich z powodu działań wojennych, czy też więźniowie, którym udało się wykraść z obozów koncentracyjnych. Jedno z owych spotkań na zawsze utkwilo mi w pamięci. Jedliśmy jak zazwyczaj chleb z serem, gdy nagle spoza skały wyszło dwóch ludzi uzbrojonych w drągi; wyglądali jak bandyci. Byli w łachmanach, lecz nie to mnie wystraszyło, bo w górach był to codzienny widok; przeraziły mnie ich

niewiarygodnie szerokie bary oraz twarze całkiem odmienne od włoskich, tak że gdy zbliżali się do nas, aż zamarłam i siedziałam jak sparaliżowana ze strachu, trzymając w nieruchomo wyciągniętej ręce chleb z serem. Michele, który nie bał się niczego ani nikogo, nie z nadmiaru odwagi, tylko dlatego, że wszystkim darzył zaufaniem, wyszedł na ich spotkanie i zaczął z nimi rozmawiać na migi. Nabraliśmy odwagi i zbliżyliśmy się do nich. Mieli twarze żółte i płaskie, bez zarostu, z bruzdami podłużnie przecinającymi policzki, czarne, gęste włosy, oczy wąskie i skośne, nosy spłaszczone; sine wargi odślaniały ich ciemne, wyszczerbione zęby. Michele powiedział nam, że są to jeńcy rosyjscy mongolskiej rasy i że, jego zdaniem, uciekli zapewne z jakiegoś niemieckiego obozu koncentracyjnego. Ich szerokie bary przykuwały mój wzrok i pomyślałam sobie, że popełniliśmy wielką nieostrożność nie próbując się gdzieś ukryć czy uciec: to byli tacy mocarze, że gdyby rzucili się na mnie i na Rosettę, byłoby po nas. Lecz wbrew temu, co przyszło mi do głowy, ci dwaj Mongołowie zachowywali się bardzo przyzwoicie; przesiedzieli z nami blisko godzinę, by nieco wypocząć, i przez cały czas porozumiewali się na migi z Michele. Ten poczęstował ich chlebem i serem; jedli, ale wcale nie zachłannie, i wydaje mi się, że nawet podziękowali za poczęstunek. Ciągłe się śmieli, biedacy, może dlatego, by dać do zrozumienia, że nie mają wobec nas żadnych złych zamiarów. Michele objaśnił im gestykując, którędy mają iść dalej, i oddalili się wreszcie ścieżką pomiędzy skałami; wyglądali z

daleka jak dwa wielkie niedźwiedzie maszerujące na tylnych łapach; podpierali się na kijach ułamanych z jakiegoś drzewa.

Innym razem przechodził tamtędy włoski robotnik, który pracował przy budowie fortyfikacji na froncie, nie pamiętam już gdzie. Uciekł, bo nie dawano im nic do jedzenia, traktowano jak psy i obarczano niewolniczą pracą. Ledwie trzymał się na nogach z wycieńczenia; był to przystojny, dobrze ułożony chłopak o delikatnej, smagłej twarzy, chudy jak szkielet; miał wystające kości policzkowe i zapadnięte, smutne oczy. Mówił, że jego rodzina mieszka w Pugli i że on ma nadzieję dotrzeć tam górami. Wędrował już tydzień i wyczerpany był do ostateczności; buty miał dziurawe, ubranie w strzępach. Mówił mało, z osłabienia z trudem dobywał z siebie głos. Powiedział tylko tyle, że w Rzymie wybuchły rozruchy, zabito kilku Niemców, w odpowiedzi na co Niemcy zaczęli rozstrzeliwać Włochów; nie umiał jednak podać żadnych szczegółów. Potem, w dalszym ciągu mówiąc o Niemcach, rzekł: — To są straceńcy. Dobrze wiedzą, że już przegrali wojnę, ale ponieważ lubią się bić i nic im nie brak, bo żyją naszym kosztem, będą walczyć do ostatka, do ostatniego żołnierza. Tak więc jeśli wojna nie skończy się w porę, wymordują i zamorzą głodem nas wszystkich. Albo skończy się wojna, albo my się skończymy. — Przyjął od Michela chleb i ser, a także trochę tytoniu; po pół godzinie ruszył w dalszą drogę, powłócząc nogami; wyglądał tak, jak gdyby lada chwila miał upaść i nigdy się już nie podnieść.

Pewnego ranka opalaliśmy się na słońcu, gdy nagle usłyszeliśmy gwizd. Schowaliśmy się natychmiast za jedną z białych skałek, by obserwować stamtąd, co się stało. Trzeba było mieć się na baczności, bo w każdej chwili mogli zjawić się Niemcy, a stale dręczyła nas obawa, by nie dostać się w ich ręce. Michele wychylił po chwili głowę spoza skały i zobaczył naprzeciw inną głowę, szybko chowającą się za sąsiedni występ skalny. Przez dłuższą chwilę i my, i oni szpiegowaliśmy się wzajemnie i kiedy na koniec przekonaliśmy się, że to nie są Niemcy, a i oni zobaczyli, że jesteśmy Włochami, wyszli ze swojej kryjówki. Było to dwóch oficerów z południowych Włoch, porucznik i podporucznik, jak nam powiedzieli, bo ubrani byli po cywilnemu. Oni także, jak wielu innych, uciekali górami na południe, do swoich rodzinnych domów. Jeden z nich był to wysoki brunet o ciemnej skórze, okrągłej twarzy, czarnych jak węgiel oczach, białych zębach i prawie fioletowych wargach; drugi miał jasne włosy, pociągłą twarz, niebieskie oczy i spiczasty nos. Brunet miał na imię Carmelo, blondyn Luigi. Ze wszystkich spotkań w górach to należało chyba do najmniej przyjemnych, bo ci dwaj byli naprawdę antypatyczni; gdybym zetknęła się z nimi w pokojowych czasach, w ich rodzinnych stronach, być może nie miałabym w stosunku do nich żadnych zastrzeżeń; jednakże, jak się zaraz okaże, wojna wywarła na nich zgubny wpływ, ukazując cechy ich charakteru, które na pewno w normalnych czasach pozostałyby nie ujawnione. Pragnę dodać w tym miejscu, że wojna wystawia wszystkich na próbę i że ludzi trzeba widzieć w czasie wojny, nie w czasie pokoju; nie wtedy gdy istnieje prawo,

szacunek dla człowieka i bojaźń przed Bogiem, lecz wtedy gdy tego wszystkiego zabraknie i każdy postępuje, jak mu się podoba, bezwzględnie i bez żadnych hamulców.

Tak więc ci dwaj w chwili zawieszenia broni znajdowali się w pułku stacjonującym w Rzymie i zdezerterowali, uciekając z Rzymu z zamiarem powrotu w rodzinne strony. Blisko przez miesiąc mieszkali u chłopca na zboczu góry delie Fate i od razu doznałam niemiłego wrażenia słysząc, w jaki sposób wyrażają się o tym człowieku, który bądź co bądź gościł ich w swoim domu; mówili, że to nędzarz i głupiec, który nawet nie umie czytać i gnieździ się w lepiance przypominającej norę. Co więcej, jeden z nich dorzucił ze śmiechem: — Trudno, w okresie głodu trzeba się było zadowolić i chlebem z wyki. — Potem mówili, że musieli opuścić Monte delie Fate, ponieważ ten chłopca dał im do zrozumienia, że nie może ich dłużej trzymać u siebie, bo nie ma ich czym karmić, przy czym brunet podkreślił, że to nieprawda, bo gdyby tylko wyciągnęli pieniądze, jedzenie od razu by się znalazło. Jego zdaniem wszyscy chłopcy byli chciwi i interesowni. Na zakończenie oznajmili, że chcą dotrzeć na południe kraju, mając nadzieję, że uda im się przedrzeć przez front.

Była już pora śniadania i Michele, aczkolwiek niechętnie, zaproponował im, by podzielili się z nami chlebem i serem. Brunet odrzekł na to, że chleb przyjmą z przyjemnością, ale sera mają pod dostatkiem, bo w ostatniej chwili ukradli temu skąpemu chłopcu całą formę tak sprytnie, że wcale tego nie

zauważył. Mówiąc to wyciągnął ser z plecaka i ze śmiechem podrzucił go do góry. Ta otwarta wypowiedź zrobiła na mnie przykre wrażenie, nie tyle przez sam fakt kradzieży, tak pospolity w tym okresie, że złodziejstwo nie było już uważane za złodziejstwo, lecz dlatego, że owa beztroska wydała mi się czymś wręcz nieprzyzwoitym u człowieka mającego szarżę porucznika i wyglądającego po pańsku. Poza tym pomyślałam sobie, że zapłacili za gościnę temu biedakowi, uszczuplając jego i tak skromny dobytek. Jednakże nie powiedziałam nic; tak więc usiedliśmy na trawie i zabraliśmy się do jedzenia. Jedząc rozmawialiśmy, a raczej słuchaliśmy, co mówi brunet, któremu usta nie zamykały się ani na chwilę i który opowiadał tylko o sobie, to jako o właścicielu ziemskim, to znów jako oficerze na froncie; widać było, że wysoko ceni swoją osobę. Blondyn słuchał go przymrużając oczy w słońcu i od czasu do czasu przeczył mu z pewną ironią. Ale tamten, nie zbity z tropu, nie przestawał się chwalić. Mówił na przykład tak: — W moich stronach mam posiadłość ziemską. — A blondyn: — No, powiedzmy, kilka pól, nie większych od chustki do nosa. — Nie, dużą posiadłość, żeby ją całą objechać, trzeba dosiąść konia. — Daj-że spokój, wystarczy zrobić kilka kroków, by ją zwiedzić. — Albo: — Wziąłem pluton i poszedłem do lasu, obozowało tam co najmniej stu nieprzyjacielskich żołnierzy. — Nie przesadzaj, było ich czterech albo pięciu. — Mówię ci, że było ich ze stu... kiedy wyszli spoza krzaków, za którymi się schowali, nie liczyłem ich wprawdzie, bo w takiej chwili ma się co innego do roboty niż liczenie wrogów, ale było ich stu, o ile

nie więcej. — Nie przesadzaj, spuść z tonu, było ich pięciu albo sześciu. — I tak dalej. Brunet pewnym siebie tonem sypał jak z rękawa przechwałkami szytymi coraz to grubszymi nićmi, a blondyn co chwila wtrącał swoje trzy grosze. Wreszcie brunet zaczął opowiadać, co robił w dniu, kiedy ogłoszono zawieszenie broni i wojsko włoskie się rozproszyło. — Byłem w intendencji w moich stronach i miałem pieczę nad magazynem pełnym wszelkich darów bożych. Gdy tylko dowiedziałem się, że wojna skończona, nie wahałem się ani chwili; kazałem załadować na wóz, co się tylko dało, puszki, konserwy, sery, mąkę, jednym słowem zapasy żywności, i jazda, posłałem wszystko prosto do domu mojej matki. — Śmiał się zadowolony ze swojej przebiegłości ukazując białe, nieskazitelne zęby; wówczas Michele, który dotychczas słuchał go nie odzywając się ani słowem, powiedział sucho: — Jednym słowem, ukradł pan. — Co to znaczy? — To znaczy, że chwilę przedtem był pan oficerem włoskim, a chwilę potem złodziejem. — Drogi panie, nie wiem, kim pan jest ani jak się pan nazywa, lecz mógłbym... — Co by pan mógł? — Jednym słowem, kto panu powiedział, że ukradł? Zrobiłem to, co robili wszyscy, gdybym ja nie wziął tych zapasów, zabrałby je kto inny. — Być może, lecz to nie zmienia faktu, że pan ukradł. — Proszę się liczyć ze słowami, nie zawahałbym się... — No, proszę, proszę mówić, przed czym by się pan nie zawahał? — Blondyn zwrócił się do bruneta chichocząc: — Przykro mi to stwierdzić, Carmelo, ale muszę przyznać, że ten pan jest górą, leżysz na obie łopatki. — Brunet wzruszył ramionami i powiedział do Michela: — Żal mi pana i nie będę

tracił czasu na dyskusję z takim jak pan człowiekiem. — I dobrze pan robi — bez wahania odrzekł Michele — i nawet wyjaśnię, dlaczego zachował się pan jak złodziej... bo nie wystarcza panu, że pan ukradł, w dodatku się pan teraz tym chwali... ma się pan za wielkiego spryciarza... gdyby pan to zrobił i wstydził się tego, można by pomyśleć, że był pan w potrzebie... lub poszedł bezmyślnie za przykładem rozbestwionej tłuszczy... ale pan się tym chwali, okazując wyraźnie, że nie zdaje pan sobie sprawy, czego się pan dopuścił, i byłby gotów po raz drugi zrobić to samo. — Brunet rozwścieczony tym tonem zerwał się na równe nogi, chwycił do ręki kij i zamierzając się nim na Michela, zawołał: — Albo pan zamilknie, albo... — Lecz Michele nie miał czasu zareagować na tę pogroźkę, ponieważ blondyn z miejsca zawołał do kolegi, z tym swoim złośliwym rechotem: — Po raz drugi położył cię na obie łopatki, co? — Wtedy brunet zwrócił całą swoją złość przeciwko niemu: — Milcz, bo i ty brałeś w tym udział, byliśmy wtedy razem, może zaprzeczysz? — Nie pytałeś o moją zgodę, musiałem cię słuchać... byłeś moim zwierzchnikiem... ha, ha, ha, leżysz! — Jednym słowem, śniadanie zakończyło się w milczeniu, brunet aż zsiniał ze złości, a blondyn chichotał.

Po zjedzeniu śniadania jeszcze przez dłuższy czas panowało milczenie, lecz brunet najwyraźniej nie mógł strawić, że nazwano go złodziejem, i w pewnej chwili wyzywającym tonem powiedział do Michela: — Czy mógłby mi pan powiedzieć, kim pan właściwie jest, pan, który bez zastanowienia ubliża ludziom,

mającym bez porównania większą wartość od pana. Bo ja mogę powiedzieć, kim jestem: jestem Carmelo Ali, oficer, ziemianin, magister prawa, odznaczony krzyżem zasłużonych, Kawaler Korony Włoskiej. — Blondyn krztusząc się od śmiechu zrobił uwagę: — Zapomniałeś dodać, że jesteś także sekretarzem partii faszystowskiej w naszym mieście. Dlaczego o tym nie wspominasz? — Carmelo zirytowany odpowiedział: — Faszyzm się skończył i tylko dlatego nie wspomniałem o tym... ale ty wiesz najlepiej, że także jako sekretarzowi partii nikt nie mógł mi nigdy nic zarzucić. — Blondyn sprostował chichocząc: — Tyle tylko, że wykorzystując swoje stanowisko, wybierałeś sobie najładniejsze chłopki, które zwracały się do ciebie z jakąś prośbą... Wszystkim wiadomo, żeś słynął jako Don Juan. — Carmelowi pochlebiła najwidoczniej ta nazwa, bo lekko się uśmiechnął i nie protestował, po czym znowu zwrócił się do Michela mówiąc dobitnie: — A więc, drogi panie, proszę się pochwalić jakimś tytułem rodowym czy naukowym, jakimś odznaczeniem, orderem, jednym słowem czymś, co upoważniałoby pana do krytykowania innych. — Michele spojrzał na niego przenikliwie spoza grubych szkieł krótkowidza i zapytał: — A co to pana może obchodzić, kim jestem? — Ale czy pan ma wyższe wykształcenie? — Tak, mam, ale gdybym go nie miał, nic by się nie zmieniło. — Co pan przez to rozumie? — To, że obydwaj jesteśmy ludźmi, a o tym, czym jesteśmy, świadczą nasze czyny, nie tytuły i odznaczenia... to, co pan zrobił, określa pana w najlepszym razie jako człowieka lekko podchodzącego do życia, o elastycznym sumieniu... to wszystko.

— Leżysz! — zaśmiał się znowu blondyn. Brunet postanowił tym razem zlekceważyć odpowiedź Michela. Wstał i powiedział: — Byłem na tyle głupi, że poniżyłem się do dyskusji z panem... chodźmy, Luigi, robi się późno, a mamy przed sobą spory szmat drogi... dziękuję za chleb i może pan być pewien, że jeśli zjawi się pan w moich stronach, oddam go panu z nadwyżką. — Michele odpowiedział z właściwym mu sarkazmem, lecz bardzo spokojnie: — Dobrze, byle tylko ten chleb nie był upieczony z mąki, którą ukradł pan armii włoskiej. — Carmelo, który już odchodził, wruszył tylko ramionami, mówiąc: — Idź pan do diabła razem z całą armią włoską. — Usłyszeliśmy, że blondyn zaśmiał się znowu i powiedział: — Leżysz. — Potem skręcili za występ skalny i znikli nam z oczu.

Innym razem jeszcze widzieliśmy na ścieżce wijącej się po zboczu sporą grupkę ludzi idących gęsiego. Było ich około trzydziestu, mężczyźni ubrani odświętnie, przeważnie na czarno, kobiety w strojach ludowych, długich spódnicach, serdakach i szalach. Kobiety niosły na głowach tobołki i kosze, na rękach trzymały niemowlęta; starsze dzieci prowadzili za rękę mężczyźni. Owi biedacy, jak sami nam powiedzieli, byli mieszkańcami wioski, która znalazła się na linii frontu. Pewnego ranka Niemcy zbudzili ich o świcie, dając im pół godziny czasu na spakowanie niezbędnych rzeczy. Potem załadowali ich na ciężarówkę i zawieźli do obozu koncentracyjnego w pobliżu Frosinone. Jednakże po kilku dniach udało się im uciec z obozu i teraz próbowali wrócić górami do rodzinnej wsi, do swoich

domów, i zacząć normalne życie. Michele zagadnął kierownika grupy, starszego, przystojnego mężczyznę z długimi, siwymi wąsami, jak sobie wyobrażają ten powrót, na co tamten odpowiedział naiwnie: — Wracamy choćby dlatego, że idzie nam o trzodę. Kto się nią zajmie w czasie naszej nieobecności? Może Niemcy? — Michele nie miał odwagi powiedzieć, że kiedy wrócą do wsi, nie zastaną tam już ani bydła, ani domów, ani nic innego. Wieśniacy po chwili odpoczynku ruszyli w drogę. Poczułam gorącą sympatię dla tych biedaków, tak spokojnych, ufnych, także i dlatego, że byli trochę podobni do mnie i do Rosetty. Ich także wojna wygnała z domu, oni także uciekali górami bezdomni i biedni jak Cyganie. Po kilku dniach dowiedziałam się, że Niemcy złapali ich i z powrotem zawieźli do obozu w Frosinone. Potem nie słyszałam już o nich więcej.

Chodziłyśmy w góry, wstając o świcie i wracając o zmierzchu, blisko przez dwa tygodnie; potem, gdy stało się oczywiste, że Niemcy zrezygnowali z łapanek, przynajmniej w tej części gór, powróciłyśmy do naszych codziennych zajęć. Jednakże pozostała mi w sercu tęsknota do tych dni, tak pięknych, spędzanych na szczycie za pan brat z samotnością i przyrodą. Tam w górze nie było uchodźców i chłopów, zawracających mi głowę wojną, Anglikami, Niemcami i głodem; nie było codziennej udręki z gotowaniem tej odrobiny strawy, z rozpalaniem mokrych gałęzi w ciemnym szałasie; jednym słowem, nie było nic, co przypominałoby nam naszą smutną sytuację, nic prócz tych kilku spotkań, które opisałam powyżej.

Mogłam była sobie myśleć, że odbywam codziennie piesze wycieczki z Rosettą i Michelelem, to wszystko. A ta zielona łączka, na której zimowe słońce dopiekało tak silnie, jak by to było w maju, z widokiem na góry Ciociarii o śnieżnych wierzchołkach, a z drugiej strony na morze błyszczące w głębi doliny Fondi, wydawała mi się zaczarowanym miejscem, w którym naprawdę mogłyby być zakopane skarby, o jakich opowiadano mi w dzieciństwie. Lecz wiedziałam, że nie było tam skarbów pod ziemią, natomiast znalazłam je w sobie, co stanowiło taką samą niespodziankę, jak gdybym wykopała je własnymi rękami. Tym skarbem był głęboki spokój, zanik lęku, kompletna beztroska, zaufanie do siebie samej i do świata; te uczucia narodziły się we mnie w czasie owych samotnych przechadzek i narastały z biegiem dni. Były to może najszcześniejsze dni w całym moim życiu i co najdziwniejsze, że działo się to w tym okresie, kiedy byłam biedna jak mysz kościelna, wyzuta ze wszystkiego, kiedy chleb i ser były moim jedynym pożywieniem, a pośłaniem trawa, kiedy nie miałam dachu nad głową i podobniejsza byłam do dzikiego zwierzęcia niż do ludzkiej istoty.

Był już koniec grudnia i właśnie w dniu Bożego Narodzenia zjawili się Anglicy. Oczywiście nie Anglicy z armii stojącej pod Garigliano, ale dwaj Anglicy, którzy jak inni zbiegowie schronili się w góry i trafili do Sant' Eufemia 25 grudnia, z samego rana. Pogoda była w dalszym ciągu śliczna i słoneczna, powietrze chłodne, przejrzyste; wstałam raniutko i wyglądając na dwór

zobaczyłam tłum ludzi na pólku. Podeszłam bliżej, chłopci i uchodźcy otaczali zwartym kręgiem dwóch młodych ludzi wyglądających na cudzoziemców. Jeden z nich był niski, miał jasne włosy, niebieskie oczy, prosty, mały nos, czerwone usta i krótką spiczastą bródkę; drugi był wysoki i szczupły, o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Blondyn mówił łamanym włoskim językiem i powiedział nam, że obydwaj się Anglikami, on oficerem marynarki, a tamten zwykłym marynarzem; zeszedli na ląd w okolicach Ostii, żeby wysadzić dynamitem w powietrze jakieś nasze obiekty — nasze, włoskie, my biedacy na każdym kroku ponosimy straty! Po skończonej akcji wrócili na plażę, lecz statek, którym przyплыnęli, nie wrócił, by ich zabrać, musieli więc uciec i ukrywać się jak wielu innych. Porę deszczową spędzili w chłopskim domu w okolicach Sermonety, ale teraz, kiedy się wypogodziło, chcieli próbować przejść przez front i dojść do Neapolu, gdzie znajdowało się ich dowództwo. Po tym wyjaśnieniu nastąpiły niezliczone pytania i odpowiedzi; chłopci oraz uchodźcy chcieli się dowiedzieć, co się dzieje na froncie i kiedy skończy się wojna. Lecz ci dwaj wiedzieli tyle co i my, od miesięcy przebywali w górach stykając się tylko z chłopami analfabetami, którzy nic nie wiedzieli o wojnie. Tak więc, gdy chłopci zorientowali się, że marynarze nic nie wiedzą, a w dodatku potrzebują pomocy, ulotnili się wszyscy, jeden po drugim, mówiąc między sobą, że niebezpiecznie jest zadawać się z Anglikami, bo ktoś może donieść o tym Niemcom i nieszczęście gotowe. Jednym słowem, wkrótce dwaj Anglicy

zostali sami na polu zalanym słońcem, niepewnie rozglądając się dokoła; mieli długie brody, ubrani byli w łachmany.

Przyznaję szczerze, że i ja bałam się z nimi zostać, nie tyle ze względu na siebie, ile na Rosettę; lecz właśnie Rosetta zawstydziła mnie mówiąc: — Mamo, oni tak bezradnie wyglądają, biedacy... i przecież dzisiaj jest dzień Bożego Narodzenia, a oni nie mają nic do jedzenia i chcieliby być ze swoimi rodzinami, a nie mogą... Dlaczego nie miałybyśmy ich zaprosić, żeby zjedli coś razem z nami? — Powtarzam, że zrobiło mi się wstyd; pomyślałam sobie, że Rosetta ma rację i że nie mam prawa pogardzać uchodźcami, skoro postępuję tak samo jak oni. Tak więc dałyśmy do zrozumienia Anglikom, żeby poszli z nami i że zjemy razem świąteczny obiad, a oni, uszczęśliwieni, od razu przyjęli zaproszenie.

Zrobiłam nie lada wysiłek na ten dzień Bożego Narodzenia, bo szło mi przede wszystkim o Rosettę, która co roku, odkąd przyszła na świat, obchodziła ten dzień niczym wielkopańskie dziecko. Kupiłam od Parida kurę i upiekłam ją w piecu, z kartoflami. Zagniotłam trochę ciasta, nie dużo wprawdzie, bo zostało mi już niewiele mąki, i zrobiłam pierożki z mięsem. Miałam jeszcze dwa kawałki kiełbasy, które pokroiłam w cienkie plasterki, a obok na półmisku położyłam kilka jajek ugotowanych na twardo. Zrobiłam nawet deser: w braku czegoś lepszego utarłam chleb świętojański, pomieszałam go z pszenną mąką, dodałam żółtka, orzeszki i cukier i upiekłam ciasto nie wyrośnięte, twarde, ale smaczne. Udało mi się także kupić

butelkę marsali od jednego z uchodźców; wino dał mi Paride. Owoców było pod dostatkiem, drzewa w Fondi uginały się od pomarańcz, które były wyjątkowo tanie; kilka dni przedtem kupiłam pięćdziesiąt kilo i jadłyśmy pomarańcze od rana do wieczora. Przyszedł mi do głowy dobry pomysł, by zaprosić także Michela, i zawołałam go widząc, że idzie w stronę domu ojca. Zgodził się od razu i wydaje mi się, że przyjął moje zaproszenie przede wszystkim ze względu na to, że nie lubił swojej rodziny. Jednakże nie omieszkał dodać: — Kochana Cesiro, zrobiłaś dzisiaj bardzo dobry uczynek... gdybyś nie zaprosiła tych dwóch biedaków, przestałbym cię darzyć moim szacunkiem.

Zawołał ojca, który wychylił się przez okno, i powiedział mu, że idzie do nas na obiad, bo został zaproszony. Filippo po cichu, ponieważ bał się, by nie usłyszeli go Anglicy, zaczął go zaklinać, żeby tego nie robił. — Nie idź, ci dwaj to zbiegli jeńcy, jeśli Niemcy się o tym dowiedzą, ładnie będziemy wyglądali. — Ale Michele wzruszył ramionami i nie czekając nawet, aż ojciec skończy mówić, skierował się w stronę naszego domu.

Nakryłam stół świątecznym grubym obrusem, pożyczonym od chłopów. Rosetta ułożyła wokół talerzy gałązki zerwane w lesie, zielone z czerwonymi jagodami, całkiem przypominające te, które widzi się wszędzie w okresie świąt w Rzymie. Na jednym półmisku leżała kura, trochę za mała jak na pięć osób, na innych kiełbasa, jajka, ser, pomarańcze i placek. Chleb, który upiekłam specjalnie na ten dzień, był jeszcze ciepły, wyjęty

prosto z pieca; pokroiłam bochenek na pięć części, po jednej dla każdego. Jedliśmy przy otwartych drzwiach, bo w lepiance było tylko jedno małe okienko i gdybym zamknęła drzwi, siedzielibyśmy po ciemku. Za drzwiami świeciło słońce i rozciągała się panorama Fondi, śliczna, rozstłoneczniona, ukazując w dali silnie połyskujące morze. Po zjedzeniu pierożków Michele poruszył z Anglikami sprawy wojenne. Mówił dobitnie i wyraźnie, traktując ich za pan brat; oni wydawali się nieco zdziwieni, bo nie oczekiwali tego rodzaju rozmowy w tej nędznej lepiance z łachmaniarzem, na jakiego wyglądał Michele. Michele więc powiedział im, że popełnili błąd lądując na Sycylii, a nie w pobliżu Rzymu, bo tym sposobem mogli byli zająć bez walki Rzym, i całe południowe Włochy. Natomiast posuwając się krok za krokiem na północ, niszczyli nasz kraj i stawiali w rozpaczliwej sytuacji ludność, która znalazła się między nimi i Niemcami jak między młotem i kowadłem. Anglicy oświadczyli, że nie mogą wypowiadać się na ten temat: są żołnierzami i obowiązkiem ich jest słuchać. Wówczas Michele zaatakował ich z innej strony: po co w ogóle walczyli, w jakim celu? Anglicy odpowiedzieli, że walczą dlatego, by się bronić przed Niemcami, którzy chcieliby podporządkować sobie wszystkich, z Anglią włącznie. Michele odrzekł, że to nie jest wystarczający argument i że powinni sobie zdawać sprawę, iż ludzie oczekują od nich po wojnie stworzenia nowego świata, lepszego od starego, w którym panowałaby wolność i sprawiedliwość. Gdyby Anglikom nie udało się stworzyć tego świata, przegraliby wojnę, choćby nawet w rzeczywistości ją wygrali.

Jasnowłosy oficer słuchał Michela z pewną nieufnością, odpowiadając rzadko i zwięźle, ale marynarz zdawał się mieć te same zapatrywania co Michele, choć nie śmiał ich wypowiedzieć w obecności przełożonego. Wreszcie oficer uciął krótko dyskusję mówiąc, że sprawą zasadniczą w obecnej chwili jest wygranie wojny, a resztę pozostawia swojemu rządowi, który na pewno planuje stworzenie takiego nowego świata, o jakim wspomniał Michele. Zrozumieliśmy wszyscy, że nie chce się on wdawać w kłopotliwą dla niego dyskusję, i Michele także, choć poirytowany, zrozumiał to, proponując ze swej strony wypicie toastu za powstanie owego nowego świata, mającego być owocem tej wojny. Napełniliśmy więc kieliszki winem marsała i wypiliśmy za zdrowie świata przyszłości. Michele był wyraźnie wzruszony i miał łzy w oczach; po tym pierwszym toaście chciał wypić za zdrowie wszystkich sprzymierzonych, łącznie z Rosjanami, którzy, jak chodziły słuchy, odnieśli w ostatnich dniach wielkie zwycięstwo nad Niemcami. Tak więc wszyscy byli zadowoleni, właśnie tak, jak powinno być w dniu Bożego Narodzenia; i przez chwilę przynajmniej zdawało się, że nie ma już różnic języka czy wykształcenia, że wszyscy naprawdę jesteśmy braćmi, że ten dzień, który przed wiekami widział narodzenie Jezusa w stajence, ujrzał i dzisiaj narodzenie czegoś podobnego do Jezusa, czegoś szlachetnego, nowego, co uczyni ludzi lepszymi. Przy końcu obiadu wypiliśmy ostatni toast za pomyślność Anglików i uściskaliśmy się wszyscy; uściskałam Michela, Rosettę oraz obydwu Anglików, a oni kolejno wyściskali nas i życzyliśmy sobie nawzajem: „Wesołych Świąt i

szczęśliwego Nowego Roku”. Odkąd znalazłam się w Sant’ Eufemia, po raz pierwszy poczułam się naprawdę szczęśliwa. Michele jednakże zrobił po chwili uwagę, że wszystko bardzo pięknie, ale nawet altruizm i poświęcenie muszą mieć pewne granice; wyjaśnił Anglikom, że my dwie możemy dać im gościnę co najwyżej na tę noc, lecz potem powinni ruszyć w dalszą drogę, bo ich przedłużający się pobyt byłby niebezpieczny i dla nich, i dla nas. Niemcy mogli się dowiedzieć i wówczas nikt by nie ocalał przed ich zemstą. Anglicy oświadczyli, że doskonale zdają sobie sprawę z sytuacji i że wyruszą w drogę nazajutrz z samego rana.

Cały ten dzień spędziliśmy z nimi. Rozmawiali po trosze o wszystkim z Michele, który, jak się okazało, wiedział o ich kraju bardzo wiele, nieomal więcej od nich samych, podczas gdy oni nie wiedzieli prawie nic o Włoszech, gdzie przecież walczyli i przebywali od dłuższego czasu. Oficer na przykład powiedział, że skończył uniwersytet, był więc wykształcony. A tymczasem Michele przyłapał go na tym, że nie wie, kim był Dante. Ja nie posiadam wykształcenia i nie czytałam nigdy dzieł Dantego, lecz znałam jego nazwisko; Rosetta mówiła mi, że w szkole u zakonnic nie tylko uczono ją, kim był Dante, ale czytano coś z tego, co napisał. To, że tamten nic o nim nie wiedział, Michele oznajmił mi szeptem i po cichu dodał, że to tłumaczy wiele rzeczy, na przykład bombardowania, które zniszczyły tyle miast włoskich. Ci lotnicy, zrzucający bomby, nie wiedzieli nic o nas ani o pomnikach naszej kultury; ich nieświadomość sprawiła, że

byli spokojni i bezlitośni; i nieświadomość, dorzucił Michele, była może przyczyną wszystkich klęsk naszych i cudzych, bo okrucieństwo nie jest niczym innym jak jedną z form nieświadomości; człowiek, który wie, co robi, nie może popełnić czegoś naprawdę złego.

Dwaj Anglicy przespali tę noc na sienniku, a wczesnym rankiem, nie żegnając się nawet z nami, odeszli. Byłyśmy zmęczone po ich wizycie, bo rozmawialiśmy do późnego wieczora, a przywykłyśmy chodzić spać z kurami. Tak więc spałyśmy twardo aż do południa. Obudziło nas gwałtowne dobijanie się do drzwi i tubalny głos, który wykrzykiwał coś w niezrozumiałym dla mnie języku. — O Boże, mamó! — zawołała Rosetta, kurczowo tuląc się do mnie — co się dzieje? — Siedziałam przez chwilę nieruchomo i znowu usłyszałam uderzenie w drzwi i ten niezrozumiały krzyk. Powiedziałam więc Rosetcie, że pójdę zobaczyć, co to takiego; wyskoczyłam z łóżka i boso, rozczochrana, w halce, otworzyłam drzwi; stało przed nami dwóch niemieckich żołnierzy, jeden sierżant, a drugi prosty żołnierz. Sierżant był młody, miał krótko przystrzyżone jasne włosy, twarz białą jak papier, wyblakłe niebieskie oczy bez rzęs, bez wyrazu, mętne; jego garbaty nos dotykał prawie górnej wargi, dwie blade, ostro zarysowane blizny przecinające mu w poprzek policzek wyglądały jak przedłużenie linii ust i dochodziły aż do szyi. Drugi Niemiec był krępy mężczyzną w średnim wieku, o ciemnych włosach, bardzo wysokim czole, smutnych, niebieskich, głęboko osadzonych oczach i wystającej

szczęce buldoga. Muszę się przyznać, że się wystraszyłam, i to przede wszystkim oczu sierżanta, zimnych, obojętnych i tak paskudnie wyblakłych, że wyglądały raczej na oczy zwierzęcia niż człowieka/ Jednakże nie okazałam lęku i jak tylko mogłam najgłośniej krzyknęłam mu prosto w twarz: — Co cię napadło, zbereźniku jeden... chcesz wyważyć drzwi?! Nie widzisz, że śpią tutaj dwie samotne kobiety? Może już nawet spać nie wolno, co?! — Sierżant o wyblakłych oczach wykonał nieokreślony gest ręką i powiedział łamaną włoszczyzną: — Dobra, dobra — po czym kiwnął na kolegę i wszedł do lepianki. Rosetta leżała jeszcze w łóżku i patrzyła na nich wytrzeszczonymi oczyma, podciągając kołdrę pod brodę. Dwaj Niemcy przeszukali wszystko, zajrzeli nawet pod łóżko, a sierżant z nadmiaru gorliwości odchylił prześcieradło Rosetty, jakby to, czego poszukiwali, mogło się znajdować na jej pościeli. W końcu wyszli; przed naszą lepianką zdążył się już zebrać tłum uchodźców. Gdy wracam teraz myślą do tej chwili, muszę stwierdzić, iż był to prawdziwy cud, że ci dwaj nie zapytali nikogo o Anglików, bo któryś z uchodźców, po prostu przez głupotę, byłby im wszystko wyśpiewał, a wówczas przyszłoby nam pożegnać się z życiem. A zresztą sam fakt, że Niemcy zjawili się u nas w dzień po przybyciu Anglików, dawał mi wiele do myślenia: ktoś musiał albo zrobić donos, albo wygadać się niechcący. Na szczęście Niemcy nie zamierzali dłużej zaprzętać sobie tym głowy i po zrobieniu pobieżnej rewizji odeszli nie wszczynając żadnego dochodzenia.

Lecz uchodźcy, którzy rzadko kiedy stykali się z Niemcami, koniecznie chcieli się dowiedzieć, co słyhać na froncie, i jeden z nich sprowadził Michela, który znał język niemiecki. W momencie gdy Niemcy zbierali się do odejścia, wypchnięto Michela naprzód i wszyscy prosili, by zapytał, kiedy skończy się wojna.

Było oczywiste, że Michele nie ma ochoty wdawać się w pogawędki z Niemcami, przemógł się jednak i coś do nich powiedział. Opiszę teraz po włosku to, o czym oni mówili po niemiecku. Michele tłumaczył naprędce urywki tej rozmowy uchodźcom, a po odejściu Niemców powtórzył mi wszystko słowo w słowo. Michele zapytał więc Niemców, kiedy się skończy wojna, na co sierżant odrzekł, że skończy się wkrótce zwycięstwem Hitlera. Wyjaśnił, że Niemcy są w posiadaniu nowej, nie znanej dotychczas broni, która pozwoli im zepchnąć do morza Anglików najdalej w kwietniu. Powiedział także coś, co zrobiło wielkie wrażenie na uchodźcach: — Zrobimy ofensywę i zepchniemy Anglików do morza. Wtedy pociągi będą zajęte wyłącznie transportem amunicji, żywność będziemy rekwirować Włochom, którzy są zdrajcami, więc niech sobie umierają z głodu. — Powiedział to z przekonaniem, spokojnie i bezlitośnie, jak gdyby nie mówił o Włochach, czyli o ludziach, tylko o muchach albo karaluchach. Wszyscy uchodźcy zamilkli na te słowa, bo nie spodziewali się czegoś podobnego, nie wiadomo, czemu zdawało im się, że Niemcy darzą ich sympatią. Michele, który najwyraźniej rozsmakował się w tej rozmowie,

zapytał Niemców, kim są i skąd pochodzą. Sierżant odrzekł, że jest z Berlina, gdzie w czasach pokoju miał niewielką fabryczkę pudełek kartonowych, która teraz została zburzona; tak więc nie pozostawało mu nic innego jak walczyć, i to z jak największym zapałem. Szeregowiec zawahał się, zanim odpowiedział, po czym spuścił oczy i z miną zbitego psa oświadczył, że on także pochodzi z Berlina i że jemu także nie pozostało nic innego jak walczyć, bo w czasie bombardowania zginęła jego żona i jedyna córka. Obydwaj dali kubek w kubek taką samą odpowiedź, że utraciwszy wszystko, myśleli tylko o tym, aby bić się na wojnie. Tyle tylko, że jasne było jak słońce, iż sierżant wykonywał swoje zadanie z niezłomnym przekonaniem, z zapałem, a nawet z pewnym sadyzmem; szeregowiec natomiast, niepozorny człeczyna o wysokim czole, na którym zdawał malować się smutek, walczył po prostu z rozpaczą, wiedząc, że już nikt nie oczekuje go w domu. Pomyślałam sobie, że ten żołnierz na pewno nie jest zły z natury, lecz mógł się stać zły z powodu utraty żony i córki; i gdyby, Boże broń, ci Niemcy aresztowali nas obydwie, może nie zawahałby się przed zabiciem Rosetty, pamiętając o tym, że i jemu zabito córkę w tym samym wieku.

Podczas gdy myślałam o tym wszystkim, sierżant, który zdawał się niechętnie usposobiony do Włochów, zapytał, dlaczego wszyscy Niemcy są na froncie, a tutaj tyle młodych ludzi gnije w beczynności. Michele odrzekł na to uroczyście i głośno, krzycząc prawie, że i on, i wszyscy inni walczyli dla Niemiec i Hitlera w Grecji, w Afryce i w Albanii, i że gotowi są

walczyć dalej do ostatniej kropli krwi; że Włosi nie mogą się już doczekać tej chwili, kiedy wielki i zwycięski Hitler wygra wojnę i zetrze w proch tych skurwysynów Anglików i Amerykanów. Sierżant wyraźnie zdumiony tą wypowiedzią obrzucił Michela podejrzliwym spojrzeniem od stóp do głów i widać było, że trudno mu dać wiarę temu, co usłyszał. Lecz choć te słowa brzmiały niewiarygodnie, nie można było im nic zarzucić. Tak więc Niemcy, zaglądając jeszcze po drodze do kilku dalszych domów, zeszedli wreszcie w dolinę, a my odetchnęliśmy pełną piersią.

Muszę przyznać, że niemile mnie zaskoczyło zachowanie Michela. Nie twierdzę, że powinien był arogancko odpowiadać Niemcom, niemniej jednak te bezczelne pochlebstwa wprawiały mnie w zdumienie. Otwarcie mu to powiedziałam, a on odrzekł wzruszając ramionami: — Wobec nazistów wszystkie chwytły są dozwolone... trzeba ich oszukiwać, zdradzać i w miarę możliwości mordować. Co byś zrobiła mając do czynienia z jadowitym gadem, tygrysem czy wściekłym wilkiem? Na pewno próbowałabyś obezwładnić go siłą lub podstępem. Na pewno nie zadawałabyś sobie trudu, by ugłaskać go i udobruchać, wiedząc z góry, że to daremny wysiłek. Tak samo z hitlerowcami, którzy okazali, że nie są ludźmi; to dzikie bestie i dlatego, gdy o nich idzie, wolno nam nie przebierać w środkach. Ty, tak jak i ten oficer angielski z wyższym wykształceniem, nie czytałaś Dantego. Gdybyś go czytała, wiedziałabyś, że Dante powiedział: „E cortesia fu in lui esser villano”.

Zapytałam, co znaczy to zdanie, i Michele wyjaśnił mi wówczas, że sens jego jest mniej więcej taki, iż w stosunku do ludzi takich, jak właśnie naziści, nawet kłamstwo i zdrada są zbytkiem uprzejmości. Odrzekłam na to Michelowi, że zwykłą kolejną rzeczą nawet między nazistami znaleźć się mogą na pewno porządni ludzie, skąd może więc wiedzieć, że ci dwaj na pewno są źli? Zaczął się śmiać: — To nie o to idzie. Być może, że są dobrzy dla swoich żon i dzieci, tak jak dla swoich samic i potomstwa dobre są węże i wilki. Ale dla wszystkich innych ludzi, dla ciebie, dla mnie, dla Rosetty, dla tych uchodźców i tych chłopów, Niemcy mogą być tylko źli, i to się właśnie liczy, a nie uczucia dla rodziny. — A dlaczego tak jest? — spytałam. — Dlatego — odrzekł po chwili namysłu — że są przekonani, że to, co my nazywamy złym, jest dobre... i robiąc źle, są przekonani, że robią dobrze, czyli że spełniają swój obowiązek. — Nie przekonało mnie to, wydawało mi się, że źle zrozumiałam. Lecz Michele nie słuchał mnie już i dorzucił na zakończenie, jak by mówiąc do siebie samego: — Tak, pomieszanie zła z poczuciem obowiązku, oto czym jest nazizm.

Dziwne było, że ten dobry i szlachetny Michele był zarazem taki twardy i nieubłagany. Przypominam sobie jeszcze jedno spotkanie z Niemcami, które nastąpiło przy innej okazji. Miałam już niewielki zapas mąki, tak że piekłam chleb z domieszką mąki razowej, pełnej łusek. Postanowiłyśmy więc pewnego dnia zejść w dolinę i wymienić jajka na trochę mąki pszennej. Kupiłam jajka od Parida; miałam ich szesnaście i

chciałam dostać za nie, z pewną dopłatą, kilka kilogramów pszennej mąki. Nie byliśmy w dolinie od dnia owego bombardowania, które tak przestraszyło Tommasina, i prawdę mówiąc właśnie z tego powodu szłam tam teraz bardzo niechętnie. Sama nie wiem, jak do tego doszło, że wspomniałam o tym Michelowi, i on ofiarował się nam towarzyszyć. Bardzo się ucieszyłam, bo przy nim czułam się pewniejsza; on jeden ze wszystkich mieszkańców Sant' Eufemia wzbudził moje zaufanie i potrafił dodać mi otuchy. Włożyłam więc jaja do koszyka i wczesnym rankiem ruszyliśmy w drogę. Były to pierwsze dni stycznia, znajdowaliśmy się w pełni zimy, a także, jak wyczuwałam, choć nie umiałabym tego wytłumaczyć, w pełni wojny, to znaczy w okresie największego napięcia rozpacz, tej rozpacz trwającej już od kilku lat. Kiedy byłam ostatni raz w dolinie, jak już wspomniałam, razem z Tommasinem, drzewa pokrywały żółtą liście; na łąkach zieleniła się trawa, bujnie rosnąca w okresie deszczów; gdzieś na zboczach i łąkach widniały nawet ostatnie jesienne kwiaty, cyklameny oraz dzikie fiołki. Lecz teraz, schodząc coraz to niżej, zobaczyliśmy, że wszystko dokoła jest suche, szare i nagie w tym chłodnym powietrzu, pod chmurnym, szarawym niebem. Wyruszyliśmy w drogę w dobrych humorach, ale już po chwili straciliśmy ochotę do rozmowy; dzień był cichy, jak ciche są właśnie dni w pełni zimy, i ta cisza mroziła nas, nie mieliśmy odwagi jej naruszać. Schodziliśmy najpierw zboczem po prawej stronie kotliny, potem przecięliśmy ukośnie płaszczyznę, pełną skałek i fig indyjskich, gdzie wówczas, gdy szliśmy z Tommasinem, upadła

zrzuciona z samolotu bomba, później przeszliśmy na lewą stronę. Maszerowaliśmy bez słowa jeszcze przez blisko pół godziny i wreszcie dotarliśmy do wylotu doliny, gdzie znajdowało się skrzyżowanie dróg, mostek oraz domek, w którym mieszkał Tommasino do dnia owego fatalnego w skutkach bombardowania. To miejsce pozostało mi w pamięci jako wesołe, piękne, rozległe i muszę się przyznać, że byłam zdumiona widząc je teraz tak smutne, szare, nagie i niepozorne. Czy widzieliście kiedyś kobietę bez włosów? Ja tak; pewną dziewczynę w naszej wsi, której po tyfusie tak zaczęły wypadać włosy, że ogolono ją na zero. Wyglądała jak inna osoba, miała nawet zmieniony wyraz twarzy, jej głowa przypominała wielkie brzydkie jajo, a nie okolona włosami twarz była spłaszczona, jak gdyby rzucono na nią zbyt jaskrawe światło. Tak samo bez gęstych, zielonych liści trzech platanów, ocieniających domek Tommasina, bez zieleni pokrywającej kamienisty brzeg potoka, bez roślin po obydwu stronach drogi, których wówczas nie zauważyłam, lecz które musiały tam rosnąć, skoro teraz odczułam ich brak, to miejsce straciło cały swój urok, właśnie jak kobieta, której obcięto włosy. I widząc je teraz tak odmienione, sama nie wiem czemu, serce mi się ścisnęło; wydało mi się prawie, że jest ono nieco podobne do naszego obecnego życia, odartego ze wszystkich złudzeń podczas tej wojny, której końca nie było widać.

A więc wyszliśmy na szosę, gdzie po krótkim czasie spotkaliśmy mężczyznę prowadzącego za uzdę dwa konie ciemnej

maści, doskonale utrzymane i rzeczywiście wyjątkowo ładne. Były to niemieckie konie, ale idący przy nich mężczyzna miał na sobie mundur, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam; gdy tylko nas ujrzał, zaczął się nam przyglądać, potem powiedział dzień dobry, a ponieważ szliśmy w tę samą stronę, wdał się z nami w rozmowę; mówił łamanym włoskim językiem. Był to mężczyzna młody, dwudziestokilkuletni, jeden z najprzystojniejszych, jakich widziałam w życiu; wysokiego wzrostu, z szerokimi ramionami, talią tak wąską jak u eleganckiej damy, z długimi nogami, których smukłą linię uwydatniały żółte buty z cholewami. Włosy miał jak roztopione złoto, oczy koloru niebieskawozielonego, podłużne jak migdały, dziwne i jakby rozmarzone, nos prosty, nieduży, usta czerwone, wydatnie zarysowane; kiedy się uśmiechał, pokazywał przepiękne zęby, tak białe i regularne, że przyjemnie było na nie patrzeć. Powiedział nam, że nie jest Niemcem, lecz Rosjaninem, że pochodzi z dalekiej krainy, której nazwy dziś już nie pamiętam. Powiedział spokojnie, że zdradził Rosjan dla Niemców, bo nie podobali mu się jego ziomkowie, choć nie lubił Niemców. Powiedział jednym słowem, że wraz z innymi Rosjanami, którzy także dopuścili się zdrady, został przydzielony na służbę do Niemców. Oświadczył także, że jest pewien, iż Niemcy przegrali już wojnę, bo dopiekli wszystkim do żywego swoim okrucieństwem i cały świat zwrócił się przeciwko nim. Stwierdził, że definitywna klęska Niemiec jest kwestią kilku miesięcy, a wtedy i na niego przyjdzie kreska; mówiąc to, przejechał ręką po szyi, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że Rosjanie poderzną mu

gardło, i ten gest zmroził mi krew w żyłach. Powiedział to bardzo spokojnie, jak gdyby jego własny los był mu całkiem obojętny, i uśmiechał się nawet, nie tylko ustami, ale i tymi dziwnymi szafirowymi oczami, wyglądającymi jak dwa skrawki morskiej głębinie. Można było się domyślić, że nienawidzi Niemców, nienawidzi Rosjan, nienawidzi nawet samego siebie i nic go to nie obchodzi, że musi zginąć. Szedł równym, spokojnym krokiem, trzymając konie za uzdę, i wydawało się niemożliwe, by ten piękny mężczyzna był już właściwie skazany na śmierć i musiał umrzeć wkrótce, może jeszcze przed końcem tego roku. Gdy pożegnaliśmy go na rozstajnych drogach, powiedział jeszcze, głaszcząc grzywę jednego z koni: — Te konie to wszystko, co mi zostało w życiu, i nawet nie są moje — po czym odszedł w stronę miasta. Obserwowaliśmy go jeszcze przez chwilę, gdy się oddalał, a ja nie mogłam powstrzymać się od myśli, że i on także był ofiarą wojny: gdyby nie wojna, ten śliczny chłopak pozostałby w swoim kraju, ożeniłby się, pracował i byłby dzielnym, przyzwoitym człowiekiem jak wielu innych. Wojna wygnała go z ojczyzny, doprowadziła do zdrady, i teraz miała go zabić, a jego rezygnacja w obliczu śmierci była może najstraszniejsza z całej jego strasznej historii, bo najbardziej przeciwna naturze i najmniej zrozumiała.

Skręciliśmy w lewo, w boczną drogę prowadzącą w stronę pomarańczowych gajów, mając nadzieję, że wymienimy jajka na chleb u czołgistów niemieckich, którzy, jak przypuszczaliśmy, obozowali w dalszym ciągu między pomarańczowymi

drzewami. Lecz nie zastaliśmy tam nikogo; czołgiści odeszli, pozostawiając po sobie wydeptaną, gołą ziemię w miejscach, gdzie stały ich namioty, oraz trochę połamanych gałęzi, to wszystko. Zaproponowałam więc, by iść jeszcze kawałek tą samą drogą, czołgiści bowiem mogli przenieść obozowisko trochę dalej. Szliśmy przed siebie jeszcze blisko kwadrans, nadal w milczeniu, i po przejściu mniej więcej jednego kilometra spotkaliśmy jasnowłosą dziewczynę, była całkiem sama i robiła takie wrażenie, jak gdyby wybrała się na spacer dla przyjemności. Szła powoli, rozglądając się ze szczególnym zainteresowaniem po nagich, szarych polach; trzymała w ręku chleb, który pogryzała od czasu do czasu. Podeszłam do niej i zapytałam: — Powiedz mi, czy idąc dalej tą drogą napotkamy Niemców... są tu w pobliżu jacyś Niemcy? — Zatrzymała się i spojrzała na mnie. Miała chustkę zawiązaną pod brodą; była ładną, zdrowo wyglądającą dziewczyną, o jędrnej, szerokiej twarzy i dużych brunatnych oczach. Odpowiedziała szybko: — Niemcy... pewnie, że są... jak to, czy są Niemcy? — Zapytałam: — Ale gdzie są? — Patrzyła na mnie i wyglądała teraz na bardzo wystraszoną; w pewnej chwili chciała odejść nie odpowiadając na moje pytanie. Chwyciłam ją więc za ramię i po raz drugi zapytałam o to samo. Dziewczyna szepnęła: — A jeśli ci powiem, nie zdradzisz im, gdzie trzymam zapasy żywności? — Otworzyłam usta na te słowa całkiem bezsensowne i nie mające żadnego związku z moim zapytaniem. — Co ty mówisz? — zawołałam. — Co mają z tym wspólnego zapasy? — A ona odrzekła potrząsając głową: — Przychodzą i zabierają...

przychodzą i zabierają... wiadomo, to Niemcy... a wiesz, co im powiedziałam, jak przyszli ostatnim razem? Nie mam nic, powiedziałam, nie mam mąki, nie mam fasoli, nie mam smalcu, nic nie mam... mam tylko mleko dla mojego dziecka... jak chcecie, to je sobie weźcie. — I wpatrując się we mnie wytrzeszczonymi oczyma, zaczęła odpinać stanik. Byłam całkowicie zaskoczona jej zachowaniem, jak zresztą Michele i Rosetta. A ona spoglądała na nas poruszając wargami, jak gdyby mówiła do siebie samej, i zdążyła już odpiąć cały stanik aż do pasa. Potem wyjęła pierś i ujmując ją dwoma palcami, tak jak to robią matki podając sutkę dziecku, mówiła zamyślona: — Nie mam nic oprócz tego... weźcie. — Miała ładną pierś, krągłą i napęczniałą, o mleczno białej, jakby przezroczystej skórze, jakie miewają zazwyczaj karmiące kobiety. Spojrzała na nas i odeszła nagle, podśpiewując z roztargnieniem i nie zapinając stanika. Doznałam dziwnego wrażenia widząc ją oddalającą się z tą wystawioną na chłód zimowy piersią, która była jedyną rzeczą żywą, niepokalanie białą i ciepłą w tym dniu pochmurnym, bezbarwnym, nagim i zimnym. — Ona jest obłąkana — wykrztusiła w końcu Rosetta. Michele przytaknął sucho: — Tak. — W milczeniu poszliśmy dalej.

Ponieważ nigdzie nie widać było Niemców, Michele zaproponował, by pójść odwiedzić jego znajomych, którzy, jak słyszał, schronili się do baraku w gaju pomarańczowym. Powiedział, że to mili ludzie, a poza tym mogą udzielić nam informacji, gdzie znajdziemy Niemców, którzy wymieniliby

nam jaja na chleb. Tak więc skręciliśmy na ścieżkę biegnącą między drzewkami. Michele powiedział nam, że te wszystkie rosnące dokoła pomarańcze są własnością jego znajomego, do którego właśnie idziemy, że jest to pewien adwokat, stary kawaler, mieszkający razem z matką. Szliśmy około dziesięciu minut i wreszcie znaleźliśmy się na małej polanie przed skromnym barakiem, którego ściany były z cegły, a dach z falistej blachy. Barak miał tylko dwa okna i drzwi. Michele podszedł do jednego z okien, zajrzał do wnętrza, oznajmił nam, że gospodarze są w domu, i dwa razy zastukał w szybę. Czekaliśmy dłuższą chwilę, po czym drzwi otworzyły się powoli i jakby niechętnie, a na progu ukazał się adwokat. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, otyły, łysy; jego żółte, błyszczące czoło przypominało kość słoniową; oczy miał jasne i trochę wyłupiaste, nos haczykowaty, usta mięsiste, wywinięte nad tłustym podbródkiem. Był ubrany w płaszcz, jaki w mieście nosi się wieczorem: granatowy, wełniany, z czarnym aksamitnym kołnierzem; lecz pod tym eleganckim płaszczem miał stare spodnie z wytartymi nogawkami, a nogi obute w podbite gwoździami wojskowe buty z cielecej skóry. Nasza wizyta — zauważyłam to od razu — sprawiła mu niemiłą niespodziankę; jednakże opanował się natychmiast i zarzucił Michelowi ręce na szyję z przesadną serdecznością. — Michelino... jak to miło z twojej strony... jakież to dobry wiatr cię tutaj przyniósł? — Michele przedstawił nas obydwie; gospodarz skłonił się nam z daleka, sztywno i raczej chłodno. Dalej staliśmy przy drzwiach, a on jakoś nie zapraszał nas do wejścia. Wówczas Michele

powiedział: — Przechodziliśmy tędy i przyszło nam na myśl, żeby złożyć panu wizytę. — Adwokat odpowiedział, jak by otrząsając się z zamyślenia: — Bardzo ładnie z waszej strony... właśnie siadaliśmy do stołu... zjecie razem z nami... — wahał się przez chwilę, po czym dodał: — Michele, chcę cię o czymś uprzedzić, bo znam twoje przekonania, które nie różnią się zresztą od moich... zaprosiłem do siebie porucznika niemieckiego, dowódcę baterii przeciwlotniczej znajdującej się w najbliższej okolicy... musiałem to zrobić... niestety, w dzisiejszych czasach... — Tłumacząc się i wzdychając wprowadził nas do baraku.

Okragły, nakryty stół stojący pod oknem był jedynym czystym i utrzymanym w porządku miejscem w tym pokoju, bo poza tym walały się tam wszędzie stosy łachmanów, sterty książek, walizki, drewniane zabite paki oraz rozmaite stare graty. Przy stole siedziała już matka adwokata, drobna starsza pani, ubrana na czarno, o twarzy pomarszczonej i tak wylęknionej, że przypominała wystraszoną małpeczkę, oraz niemiecki porucznik, chudy, płaski jak deska w swoim obcisłym mundurze; jego nogi w kawaleryjskich spodniach i butach z cholewami zdawały się nie mieć końca i szeroko rozstawione wystawały po drugiej stronie stołu; porucznik nie kępował się najwidoczniej i nie dbał o dobre maniery: rozpierał się niczym basza. Podobny był do psa: nos miał olbrzymi, oczy żółte, osadzone blisko siebie, bez brwi i rzęs, i duże, cofnięte do tyłu usta. Wstał grzecznie i przywitał nas, głośno salutując obcasem

o obcas, ale nikomu nie podał ręki i zaraz usiadł z powrotem, jak gdyby chciał powiedzieć: — Nie zadaję sobie tego trudu dla was, tylko dlatego, że jestem dobrze wychowany. — A tymczasem adwokat wyjaśniał, że porucznik jest dowódcą baterii przeciwlotniczej, czego zdążyliśmy się już przed chwilą dowiedzieć, i zaprosił go na obiad w dowód dobrych sąsiedzkich stosunków. — Miejmy nadzieję — rzekł na zakończenie adwokat — że wojna szybko się skończy i porucznik będzie mógł nas zaprosić do swego domu w Niemczech. — Porucznik nic nie odpowiedział, nie uśmiechnął się nawet; pomyślałam więc sobie, że nie zna naszego języka i że nic nie rozumiał. Ale po chwili powiedział najpoprawniejszą włoszczyzną: — Dziękuję, nie pijam nigdy aperitifów — do matki adwokata, która płaczącym głosem częstowała go wermutem. Zrozumiałam wówczas, że nie reaguje na słowa adwokata dlatego, że ma do niego jakieś pretensje. Potem, gdy zasiedliśmy do stołu, Michele wspomniał o naszym spotkaniu z obłąkaną dziewczyną, na co adwokat powiedział obojętnie: — Ach wiem, to Lena. Ona zawsze była trochę pomyłona. Zeszłego roku w czasie przemarszu wojsk jakiś żołnierz spotkał ją włóczącą się samotnie po polach i zrobił jej dziecko.

— A co się teraz dzieje z tym dzieckiem? — Wzięła je na wychowanie jej rodzina i opiekuje się nim bardzo troskliwie. Ale ona, jak to bywa z wariatami, ubzdurzyła sobie, że dziecko zabrano jej dlatego, że nie ma pokarmu. A co najciekawsze, że karmi je regularnie, to znaczy w określonych godzinach matka

przynosi jej niemowlę i Lena spełnia swą matczyną powinność. Pomimo to ma manię prześladowczą, że dziecko jest głodne, ponieważ dostaje za mało mleka. — Adwokat opowiadał historię Leny takim tonem, jak gdyby mówił o czymś naturalnym. Na mnie natomiast zrobiła ona tak wstrząsające wrażenie, że nie zapomnę jej do końca życia, jak gdyby ta naga pierś, którą podawała każdemu na drodze, była najprawdziwszym symbolem sytuacji wszystkich Włochów tej zimy 1944 roku: wyzutych ze wszystkiego, jak zwierzęta, którym nie pozostało nic innego prócz mleka dla swoich małych.

A tymczasem matka adwokata drżąca, przerażona, przejęta, kręciła się nieustannie między kuchnią a pokojem, wnosząc półmiski z takim namaszczeniem, jak gdyby to były relikwie. Postawiła na stole wędliny, kiełbasę i szynkę, wojskowy chleb niemiecki, taki właśnie, jakiego poszukiwałyśmy, potem prawdziwy, gotowany na mięsie rosół z łazankami i dużą duszoną kurę, przystrojoną marynatami. Przyniosła także butelkę czerwonego wina w dobrym gatunku. Widać było, że i adwokat, i jego matka wysilają się jak mogą, by dogodzić temu niemieckiemu szczeniakowi, który sąsiedował z nimi w tej chwili, więc należało go sobie zjednać. Lecz porucznik miał naprawdę paskudny charakter, pierwszą bowiem rzeczą, która wzbudziła jego zainteresowanie, był wojskowy chleb; wskazał go palcem i zapytał: — Czy mógłbym wiedzieć, panie mecenasie, skąd się wziął u pana ten chleb? — Adwokat, który siedział okutany w płaszcz, jak by miał wysoką gorączkę,

odpowiedział głosem zarazem żartobliwym i wahającym: — To prezent... podarował nam go pewien żołnierz, a my w zamian podarowaliśmy mu coś innego... Wiadomo, jak to bywa w okresie wojny. — Wymiana — odrzekł tamten bezlitośnie — jest zakazana... a kto to był ten żołnierz? — No, no, panie poruczniku, można mówić o grzechach, ale nie o grzesznikach... proszę lepiej spróbować tej szynki, to nasza szynka, nie niemiecka. — Porucznik nie raczył odpowiedzieć ani słowa i zaczął jeść szynkę. Po chwili zwrócił z kolei uwagę na Michela. Zapytał go zniecierpliwionym, jaki jest jego zawód, a Michele odrzekł bez chwili namysłu, że jest nauczycielem. — Nauczycielem czego?

— Literatury włoskiej. — Porucznik odpowiedział wtedy spokojnie, ku wielkiemu zdziwieniu adwokata: — Znam waszą literaturę... przetłumaczyłem nawet na niemiecki jedną powieść włoską. — Jaką? — Porucznik wymienił tytuł i nazwisko autora, ale dzisiaj nie pamiętam już ani jednego, ani drugiego. Zauważyłam, że Michele, który dotychczas nie wykazywał żadnego zainteresowania porucznikiem, jest wyraźnie zaintrygowany. Adwokat widząc, iż porucznik rozmawia z Michele jak z kimś równym sobie, także zmienił swoje zachowanie; wydawał się zadowolony, że gości Michela przy swoim stole, i nawet powiedział do porucznika: — Ba, nasz Festa to literat... i to nie byle jaki literat — poklepując go przy tym po ramieniu. Jednakże porucznik najwyraźniej uwziął się, by nie zwracać uwagi na adwokata, choć ten był przecież gospodarzem domu i

zaprosił go do siebie w gościnę. W dalszym ciągu mówił do Michela: — Mieszkałem dwa lata w Rzymie i uczyłem się waszego języka... ja osobiście zajmuję się filozofią. — Adwokat znowu próbował wtrącać się do rozmowy mówiąc żartobliwie: — Wobec tego zrozumie pan, dlaczego my, Włosi, patrzymy filozoficznie na wszystko, co spotkało nas w ostatnich czasach... tak, tak, filozoficznie. — Lecz i tym razem porucznik nie raczył obdarzyć go nawet spojrzeniem. Prowadził teraz ożywioną dyskusję z Michele sypiąc jak z rękawa tytułami książek i nazwiskami pisarzy; widać było, że zna doskonale literaturę włoską, i widziałam, że Michele bezwiednie jest tym porwany i zaczyna nabierać dla porucznika jeśli nie szacunku, to w każdym razie pewnego zainteresowania. Dyskusja literacka przeciągnęła się dosyć długo, a potem, sama nie wiem, jak się to stało, że zaczęła się rozmowa o wojnie i o tym, czym jest wojna dla literata czy filozofa; porucznik nadmieniając, że jest to doświadczenie wielkiej wagi, co więcej, konieczne, wypowiedział następujące zdanie: — Ale uczucia zupełnie nowego i przy tym najbardziej estetycznego — przytaczam owo określenie „estetycznego”, choć w pierwszej chwili nie zrozumiałam go, bo całe to zdanie uderzyło mnie jak obuchem — doznałem w czasie kampanii bałkańskiej, i wie pan, przy jakiej okazji, panie profesoro? Oczyszczając pieczarę pełną nieprzyjacielskich żołnierzy za pomocą miotacza ognia. — Na te słowa zamarliśmy wszyscy czworo, Rosetta, ja, adwokat i jego matka. Potem pomyślałam sobie, że może to są tylko przechwałki, i pomimo wszystko nie wierzyłam jeszcze, że on to zrobił, że tak było

naprawdę, mógł być pijany, wypił sporo wina, twarz mu poczerwieniała, oczy lśniły niezdrowym blaskiem. Jednakże stopniowo rozwiały się moje złudzenia i czułam, że krew krzepnie mi w żyłach. Popatrzyłam na innych. Rosetta miała spuszczone oczy; matka adwokata ze zdenerwowania wygładzała drżącymi rękami zmięty w jednym miejscu obrus; adwokat zachował się jak żółw: wsunął głowę w kołnierz płaszcza. Tylko Michele patrzył na porucznika szeroko otwartymi oczyma, po czym powiedział: — Ciekawe... nie ma co mówić, bardzo ciekawe... a przypuszczam, że jeszcze bardziej nowe i estetyczne musi być uczucie lotnika, który zrzuca bomby na jakąś wioskę, z której po jego przelocie zostaje tylko obłok kurzu. — Porucznik jednak nie był na tyle głupi, żeby nie wyczuć ironii w słowach Michela. Po chwili powiedział tak: — Wojna jest niezastąpionym doświadczeniem, bez którego mężczyzna nie może być nazwany mężczyzną... a propos, panie profesorze, jak to się stało, że znajduje się pan tutaj, a nie na froncie? — Michele z miejsca odpowiedział pytaniem na pytanie: — Na jakim froncie? — i co najdziwniejsze, porucznik nic na to nie odrzekł, tylko obrzucił go niechętnym spojrzeniem, po czym zabrał się do jedzenia.

Lecz widać było od razu, że jest rozdrażniony i zdaje sobie doskonale sprawę, iż ma wokół siebie ludzi, jeśli nie wrogo, to w każdym razie nieprzychylnie nastawionych. Tak więc nagle przestał atakować Michela, który wydawał mu się może nie dość tchórzliwy, i znowu zabrał się do adwokata. — Drogi panie

mecenasie — powiedział ni stąd, ni zowąd, wskazując na stół — opływa pan w dostatki jak pączek w maśle, podczas gdy inni zdychają z głodu... gdzie pan zdobył te wszystkie frykasy? — Adwokat i jego matka wymienili między sobą znaczące spojrzenie; wzrok starej kobiety wyrażał nieopisany lęk, adwokat natomiast najwyraźniej starał się dodać jej otuchy, po czym powiedział: — Zapewniam pana, że nie jadamy tak codziennie, ten obiad wydaliśmy na pańską cześć. — Porucznik milczał przez chwilę i w końcu zapytał: — Pan jest właścicielem tej doliny, czy tak? — W pewnym sensie, tak. — W pewnym sensie? Mówiono mi, że w pańskim posiadaniu jest przeszło połowa gruntów. — O nie, drogi panie poruczniku, ten, kto panu to mówił, musiał być albo kłamcą, albo człowiekiem zawistnym... jestem posiadaczem kilku ogrodów... my nazywamy te gaje pomarańczowe ogrodami. — Słyszałem jednak, że te tak zwane ogrody dają olbrzymi dochód... pan jest bogatym człowiekiem. — Nie przesadzajmy, panie poruczniku, bogaty nie jestem, ot, żyję na swoim. — A wie pan, jak żyją chłopci tu w okolicy? — Adwokat, który zdążył już zrozumieć, na jakie tory schodzi rozmowa, odrzekł z godnością: — Dobrze żyją... Tutejsi chłopci należą do tych, którym powodzi się najlepiej. — Porucznik, który w tym momencie odkrawał sobie kawałek kury, powiedział bez cienia uśmiechu wskazując nożem w kierunku adwokata: — Jeśli ci żyją dobrze, no to mogę wyobrazić sobie, jak żyją ci, którym się źle powodzi. Widziałem, jak żyją pańscy chłopci. Żyją jak bydło, w domach, które przypominają stajnie, jedzą jak zwierzęta i chodzą w łachma-

nach. Żaden chłop nie żyje tak w Niemczech. My, Niemcy, wstydzilibyśmy się pozwolić żyć chłopom w takich warunkach. — Adwokat, przede wszystkim ze względu na matkę, która obrzucała go błagalnymi spojrzeniami, jak gdyby chciała powiedzieć: — Nie daj się sprowokować! Siedź cicho! — wzruszył tylko ramionami i milczał. Porucznik jednakże nie dał za wygraną: — Co pan na to powie, drogi mecenasie... chciałbym usłyszeć pańską odpowiedź. — Tym razem adwokat odpowiedział: — Oni sami chcą żyć w ten sposób, zapewniam pana... pan ich nie zna. — Lecz porucznik odpalił z miejsca: — Nie, to wy, posiadacze wielkiej własności, chcecie, żeby chłopcy żyli w ten sposób. Wszystko zależy od tego — tu dotknął głowy — od głowy. Wy jesteście głową Włoch i jeśli chłopcy żyją jak bydło, to tylko wasza wina. — Adwokat wyglądał teraz na bardzo wystraszonego i jadł z wyraźnym wysiłkiem, poruszając grdyką przy połykaniu każdego kęsa jak kurczak, który je w pośpiechu. Matka była ledwie żywa ze strachu i zobaczyłam, że ukradkiem składa ręce pod obrusem: modliła się i polecała Bogu. Porucznik ciągnął dalej: — Dawniej znałem tylko niektóre miasta we Włoszech, te najładniejsze, a w tych miastach zwiedzałem tylko zabytki kultury. Ale teraz, dzięki wojnie, poznałem na wylot wasz kraj, przemierzyłem go wzdłuż i wszerz. I wie pan, szanowny panie mecenasie, co panu powiem? Że u was klasowe różnice to skandal, wołający o pomstę do nieba. — Adwokat milczał i poruszył tylko ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: — A co ja na to mogę poradzić? — Porucznik zauważył to i na całego poszedł do ataku: — Nie,

drogi panie, ta sprawa dotyczy pana tak samo jak i innych takich jak pan ludzi: adwokatów, inżynierów, lekarzy, naukowców, intelektualistów. My, Niemcy, na przykład, oburzeni byliśmy do głębi przepaścią, jaka istnieje w waszym wojsku między oficerem a żołnierzem włoskim: oficerowie aż kapią od galonów, mają mundury szyte z najlepszych materiałów, specjalną kuchnię, są uprzywilejowani na każdym kroku. Żołnierze chodzą w łachmanach, jedzą jak bydło i są traktowani jak bydło. Co ma pan do powiedzenia na ten temat, drogi mecenasie? — Tym razem adwokat udzielił mu odpowiedzi: — Mogę powiedzieć tylko tyle, że to prawda i że ja pierwszy nad tym boleję. Ale sam nic na to nie poradzę. — Porucznik nie ustępował: — Nie, drogi panie, nie wolno tak stawiać sprawy, która bezpośrednio pana dotyczy, i gdyby pan i panu podobni naprawdę tego chcieli, sytuacja na pewno uległaby zmianie. Wie pan, dlaczego Włochy przegrały wojnę i teraz my, Niemcy, musimy wyrzucać bezcenne dla nas pieniądze na włoski front? Właśnie z powodu tej przepaści istniejącej między żołnierzami i oficerami, między ludem a wami, panami z rządzącej kasty. Żołnierz włoski nie chce walczyć, bo uważa, że ta wojna nie jest jego wojną, ale waszą. I właśnie nie chcąc walczyć okazuje wam swą wrogość. Cóż pan powie na to wszystko, wielce szanowny mecenasie? — Adwokat zdołał przezwyciężyć lęk, być może z tej prostej przyczyny, że słowa porucznika dopiekły mu do żywego, i zawołał: — To prawda, prości ludzie nie chcieli tej wojny, ale i ja jej nie chciałem. Rząd faszystowski nie jest moim rządem, tego może pan być pewien. — Porucznik także podniósł

głos: — Nie, drogi panie, to byłoby za wygodnie. Ten rząd jest pańskim rządem. — Moim rządem? Pan chyba żartuje, panie poruczniku. — W tym momencie wtrąciła się do rozmowy matka: — Francesco, na litość boską... błagam cię na wszystkie świętości... — Porucznik dalej obstawał przy swoim: — Tak, to pański rząd... chce pan dowodów? — Jakich znowu dowodów? — Wiem wszystko o panu, mój drogi panie. Jest pan liberałem, antyfaszystą. A jednak tu, w tej dolinie, nie zadaje się pan ani z chłopami, ani z robotnikami, tylko z sekretarzem partii faszystowskiej... no i co pan na to? — Adwokat znowu wzruszył ramionami: — Przede wszystkim nie jestem ani antyfaszystą, ani liberałem. Nie zajmuję się polityką, tylko swoimi sprawami. A poza tym, co ma piernik do wiatraka... Z sekretarzem partii chodziłem do szkoły, jesteśmy nawet spowinowaceni, bo moja siostra wyszła za mąż za jego kuzyna... wy, Niemcy, nie możecie zrozumieć pewnych rzeczy... nie znacie aż tak dobrze naszego kraju. — Nie, drogi panie, to jest dowód, i to nie byle jaki... wy wszyscy, faszyści i antyfaszyści, jesteście ze sobą za pan brat, bo wywodzicie się z jednej klasy... i ten rząd jest rządem was wszystkich, zarówno faszystów jak i antyfaszystów, bo to rząd waszej klasy. Co tam, panie, fakty mówią za siebie, a reszta to czcza gadanina. — Pot perlił się teraz na czole adwokata, choć w baraku było bardzo zimno; matka nie wiedząc, co robić, wstała nagle jak ogłupiała, mówiąc drżącym głosem: — Pójdę wam teraz zaparzyć dobrej kawy — i wyszła do kuchni. A porucznik mówił dalej: — Ja nie jestem taki jak większość moich ziomków, którzy jak głupcy zachowują się w

stosunku do Włochów. Oni lubią Włochy, bo jest tu tyle cennych zabytków kultury i pejzaże włoskie są najpiękniejsze na świecie. Albo spotykają Włocha mówiącego po niemiecku i wzruszają się słysząc swój język ojczysty... albo ktoś zaprasza ich na dobry obiadek, jak pan mnie dzisiaj, i zawierają przyjaźń przy kieliszku. Nie jestem taki jak ci Niemcy, głupi i naiwni. Ja widzę rzeczywistość taką, jaka jest, i mówię to panu prosto w oczy, mój drogi panie. — Wtedy sama nie wiem czemu, może dlatego, że ten nieszczęsny adwokat wzbudził we mnie współczucie, powiedziałam bez chwili namysłu: — A wie pan, dlaczego mecenas zaprosił pana na ten obiad? — Dlaczego? — Bo wy, Niemcy, umiecie wszystkim napędzić strachu i wszyscy się was boją, więc on chciał pana udobruchać, tak jak można udobruchać dzikie zwierzę, rzucając mu smakowity kąsek. — I co najdziwniejsze, na twarzy Niemca odmalowała się przez chwilę połączona ze smutkiem gorycz; nikomu, nawet Niemcowi, nie jest przyjemnie usłyszeć, że wzbudza ogólny postrach i że ludzie są dla niego uprzejmi tylko ze strachu. Adwokat struchlał i próbował ratować sytuację mówiąc: — Niech pan jej nie słucha, panie poruczniku... to prosta kobieta, nie rozumie pewnych rzeczy. — Ale porucznik dał mu znak, by zamilknął, i zapytał: — Ale dlaczego my, Niemcy, wzbudzamy taki postrach? Czy nie jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni? — Tak się rozpędziłam, że już chciałam mu odpowiedzieć: — Nie, człowiek, który jest człowiekiem, nie znajduje przyjemności w oczyszczaniu, jak wyraził się pan przed chwilą, pieczary pełnej żyjących ludzi za pomocą miotacza ognia! — ale na szczęście,

bo nie wiem, co by się potem stało, nie miałam na to czasu, bo nagle z doliny dały się słyszeć suche wystrzały artylerii przeciwlotniczej, pomieszane z hukiem spadających bomb. Jednocześnie dobiegł nas daleki, głuchy szum, narastający z każdą chwilą. Porucznik skoczył na równe nogi, wołając: — Samoloty! Muszę biec do mojej baterii — i przewracając po drodze krzesła wybiegł z baraku. Po ucieczce porucznika pierwszy oprzytomniał adwokat: — Prędzej, prędzej! Chodźmy do schronu. — Wstał i wyprowadził nas na placyk przed barakiem; kilka kroków dalej znajdował się otwór w ziemi, obstawiony dokoła workami z piaskiem. Adwokat podszedł do tego otworu i pierwszy zaczął schodzić w dół po drabinie, wołając: — Prędzej! Lada chwila będą nad naszymi głowami. — Istotnie huk samolotów zagłuszał teraz nawet wystrzały artylerii i zdawał się dobiegać tuż spoza drzew otaczających polanę, co doprawdy mogło przyprawić człowieka o szaleństwo. Potem wszystko ucichło i znaleźliśmy się w ciemności, w maleńkiej piwniczce, która była wykopana dość płytko pod ziemią. Adwokat powiedział: — Oczywiście ten schron nie uratowałby nas przed bombą, ale broni przed kulkami. Mamy nad sobą blisko metr ziemi i worki z piaskiem. — Spędziliśmy w schronie sama nie wiem ile czasu, na stojąco, po ciemku, w zupełnym milczeniu. Raz po raz słyhać było przygłuszone wystrzały artylerii przeciwlotniczej, nic poza tym. W końcu adwokat uchylił drzwiczki, stwierdził, że dokoła panuje kompletna cisza, i wyszliśmy ze schronu. Adwokat pokazał nam kilka przedziurawionych i podartych worków z piaskiem i znalazł

nawet jedną mosiężną łuskę naboju, na palec długą. — Gdyby to w nas trafiło — powiedział — byłoby już po nas. — Potem wznosił oczy do nieba: — Błogosławione samoloty, oby przylatywały jak najczęściej. Miejmy nadzieję, że uwolniły nas od tego porucznika, od tego bydlaka! — Matka upomniała go: — Nie mów tak, Francesco. To także człowiek, nie wolno pragnąć niczyjej śmierci. — Ale adwokat odpowiedział: — Człowiek? Niech będzie przeklęty, i on, i jego bateria, i dzień, kiedy się tutaj zjawił. Kiedy stąd nareszcie odejdzie, wydam obiad tysiąc razy lepszy od dzisiejszego. Pamiętajcie, że wszyscy jesteście zaproszeni. — Jednym słowem, nie przestawał przeklinać porucznika niemieckiego i robił to z zacieklą nienawiścią. Wróciliśmy w końcu do baraku, wypiliśmy kawę, a potem matka adwokata wzięła od nas jajka i dała nam w zamian trochę mąki i fasoli. Potem pożegnaliśmy się i ruszyliśmy w drogę powrotną.

Było dość późno, a ponieważ wymieniliśmy już jajka, chciałam dostać się jak najprędzej do Sant' Eufemia. Wszystkie dzisiejsze spotkania w dolinie były nad wyraz przykre. Najpierw Rosjanin z parą koni, potem obłąkana dziewczyna i wreszcie ten niemiecki porucznik. Gdy szliśmy pod górę, Michele powiedział: — Jedno przede wszystkim wściekało mnie, kiedy on mówił. — Co takiego? — To, że miał rację, pomimo że jest nazistą. — Dlaczego? — odrzekłam na to — przecież i naziści mogą czasami mieć rację. — A on szepnął ze zwieszoną głową: — Nigdy. — Miałam ochotę go zapytać, jak tłumaczy sobie ten

fakt, że ów okrutny hitlerowiec, który znajdował specjalną przyjemność w paleniu ludzi miotaczem ognia, zdaje sobie sprawę z niesprawiedliwości społecznej istniejącej we Włoszech. Michele twierdził zawsze, że ci, którzy mają poczucie krzywdy, są porządnymi ludźmi, lepszymi od innych, jedynymi, którzy są godni szacunku. A tymczasem ten porucznik, będący w dodatku filozofem, odczuwał krzywdę ludu włoskiego, a zarazem znajdował przyjemność w zabijaniu ludzi. Ale nie miałam odwagi podzielić się z Michele moimi myślami między innymi dlatego, że widziałam jego upokorzenie i smutek. Tak więc przeszliśmy dalszą drogę w milczeniu i o zmroku znaleźliśmy się w Sant' Eufemia.

ROZDZIAŁ VII

Pewnego styczniowego ranka, podczas gdy w dalszym ciągu wiał tramontana, a niebo było przejrzyste i błyszczące jak kryształ, zbudził nas obydwie daleki, regularnie powtarzający się huk, dobiegający od strony morza. Pierwszy głuchy odgłos zabrzmiał tak, jak gdyby odbił się o niebo, drugi, silniejszy i bardziej wyrazisty, wydawał się echem pierwszego. Brum, brum, brum — słyhać było bez końca; ten głuchy, groźny dźwięk sprawiał, że przez kontrast z nim dzień wydawał się jeszcze piękniejszy, słońce jeszcze jaśniejsze i jeszcze błękitniejsze niebo. Minęły dwa dni, a huk nie ustawał ni dniem, ni nocą, po czym pewnego ranka przybiegł z lasu pastuszek, który przyniósł znalezioną pod krzakiem zadrukowaną kartkę papieru. Była to ulotka wydrukowana przez Anglików, ale dla Niemców, w niemieckim języku; w Sant' Eufemia tylko Michele znał niemiecki, więc zanesiono do niego ten druczek. Po przeczytaniu wyjaśnił nam, że Anglicy wylądowali w okolicy Anzio, pod Rzymem, i że toczy się tam teraz wielka bitwa przy użyciu okrętów, armat, czołgów i armii lądowej; Anglicy posuwali się w stronę Rzymu i wyglądało na to, że są już pod Velletri. Na tę wiadomość uchodźcy zaczęli padać sobie w ramiona i całować się z radości. Tego wieczoru nikt nie położył się wcześniej spać, jak to bywało zazwyczaj, wszyscy chodzili od

domu do domu odwiedzając się wzajemnie, komentując lądowanie i ciesząc się z tego wydarzenia.

Następne dni natomiast nie przyniosły nic nowego; głuchy łoskot wystrzałów armatnich rozlegał się wprawdzie w dalszym ciągu od strony Terraciny, ale, jak dowiedzieliśmy się, Niemcy twardo stali na swoich pozycjach. Minęło jeszcze kilka dni i wtedy dopiero zaczęły nadchodzić pierwsze wiadomości; Anglicy wylądowali, lecz Niemcy byli na to przygotowani i wypuścili całe mnóstwo dywizji, by ich zatrzymać, co po ciężkich walkach udało im się zrobić. W obecnej chwili Anglicy obwarowali się na wybrzeżu morskim, na dość niewielkiej przestrzeni, a Niemcy bombardowali ich tam z armat; cel mieli jak na dłoni, mogli więc z łatwością zmusić Anglików do powrotu na okręty, które zakotwiczone były w pobliżu, na wypadek gdyby lądowanie się nie udało. Po tych wiadomościach w Sant' Eufemia napotykało się same przygnębione twarze i uchodźcy nie przestawali powtarzać, że Anglicy nie umieją wojować na lądzie, bo to naród marynarzy, Niemcy natomiast mają wojaczkę lądową we krwi; Anglicy nie dadzą sobie z nimi rady i na pewno przegrają wojnę. Michele nie wdawał się w dyskusje z uchodźcami, ponieważ, jak nam powiedział, działali mu na nerwy. Nas jednak zapewniał z całym spokojem, że zwycięstwo Niemiec jest niemożliwe, a gdy zapytałam go raz, dlaczego tak myśli, odrzekł z prostotą: — Niemcy już z góry przegrali wojnę.

Chcę tu przytoczyć pewną historyjkę, aby pokazać, jak nieliczne docierały do nas wiadomości i jak tutejsi chłopi, którzy prawie wszyscy byli analfabetami, potrafili przekręcić nawet tę garstkę nowin. Ponieważ nie nadchodziły żadne dalsze wiadomości o desancie w Anzio, Filippo oraz jeszcze jeden z uchodźców, także kupiec, postanowili hojnie wynagrodzić Parida, byle tylko poszedł do pewnej miejscowości znajdującej się w sporej odległości poza Ciociarią, do której można było dojść górami i gdzie mieszkał pewien lekarz, mający radio. Paride był wprawdzie analfabetą, nie umiał ani czytać, ani pisać, jednakże miał uszy i mógł posłuchać radia jak każdy inny lub poprosić doktora o wyjaśnienia. Filippo dał poza tym Paridowi dodatkową sumę pieniędzy, by w miarę możliwości kupił po drodze trochę zapasów, mąki, fasoli, tłuszczu, jednym słowem, co tylko będzie mógł dostać. Paride osiodłał osła i wyjechał pewnego ranka o świcie.

Wrócił po trzech dniach, pod wieczór. Skoro tylko zobaczono go z daleka, jak wspinał się po zboczu ciągnąc osła za uzdę, wszyscy uchodźcy wybiegli na jego spotkanie, z Filippem i jego przyjacielem kupcem na czele. Paride, gdy tylko znalazł się na półku, oświadczył z miejsca, że nie przywiózł żadnych zapasów, ponieważ wszędzie panuje głód taki sam jak w Sant' Eufemia, a nawet jeszcze gorszy. Potem udał się do swego domu, za nim cała procesja ludzi. W izbie usiadł na ławie, obok niego usadowiła się jego rodzina, Michele i Filippo oraz kilku

uchodźców, a inni, którzy już nie zmieścili się wewnątrz, stanęli przy drzwiach na dworze, chcąc usłyszeć, co powie Paride.

Paride powiedział, że słuchał radia, które o desancie mówiło bardzo niewiele, mówiło natomiast, że Anglicy i Niemcy stoją na swoich pozycjach i nie ruszają z miejsca. Rozmawiał jednak z lekarzem i innymi, którzy stale słuchali radia, i od nich dowiedział się, że desant się nie udał. Filippo zapytał go wówczas, dlaczego tak się stało, na co Paride odrzekł z prostotą, że była to wina pewnej kobiety. Na tę wiadomość wszyscy otworzyli usta ze zdumienia. Paride ciągnął dalej mówiąc, iż admirał dowodzący desantem był Amerykaninem, ale w istocie był Niemcem, choć nikt o tym nie wiedział. Ten admirał miał córkę, przepiękną dziewczynę, która była zaręczona z synem generała, głównodowodzącego wojsk amerykańskich, stacjonujących w Europie. Jednakże ten syn zrobił admirałowi afront, zerwał zaręczyny, zwrócił pierścionek oraz inne podarunki i ożenił się z inną dziewczyną. Wówczas ojciec porzuconej dziewczyny, admirał, postanowił się zemścić i w tajemnicy dał znać Niemcom o desancie, tak że kiedy Anglicy znaleźli się w Anzio, zastali Niemców przygotowanych, czekających tam na nich ze swoimi armatami. Teraz jednak wszystko wyszło na jaw, stwierdzono, że ten admirał był naprawdę Niemcem, chociaż udawał Amerykanina; aresztowano go, niedługo miał się odbyć proces i przypuszczano ogólnie, że go rozstrzelają. Po usłyszeniu tej wiadomości słuchacze Parida podzielili się na dwie grupy. Najbardziej naiwni i prości powtarzali kiwając głową: wiadomo,

zawsze do wszystkiego musi się wmieszać baba... gdzie byś nie zajrzał, zawsze znajdziesz spódnicę. — Lecz inni protestowali, mówiąc, że to niemożliwe, by radio podawało takie bzdury. Jeśli idzie o Michela, ten ograniczył się do zadania Paridowi pytania: — Czy jesteś pewien, że ta wiadomość była podawana przez radio? — Paride oświadczył, że i lekarz, i wielu innych zapewniało go, że to wszystko podawał Londyn. A Michele na to: — Przyznaj się, czy tej historyjki nie opowiadał ci czasem jakiś bazarz siedzący w oberży? — Jaki znowu bazarz? — Tak sobie powiedziałem... jednym słowem mamy nową historię Gana di Maganza... bardzo ciekawe, nie ma co mówić. — Paride, który nie zrozumiał ironii, powtórzył raz jeszcze, że były to pewne, radiowe wiadomości. Zapytałam potem Michela, kto to był Gano di Maganza, a on wyjaśnił mi, że był to pewien wojownik, który przed paru setkami lat zdradził swojego cesarza w wojnie z Turkami. Powiedziałam wtedy: — No więc sam wiesz, że tego rodzaju rzeczy mogą się zdarzyć... nie mówię, że Paride ma rację, ale to nie jest niemożliwe. — On zaczął się śmiać i powiedział: — Oby dzisiaj sprawy układały się w ten sposób!

Dość że z tego czy innego powodu desant się nie udał i znowu skazani byliśmy na oczekiwanie. Czekaliśmy cały styczeń i cały luty i owo oczekiwanie w tej miejscowości, zabitej deskami od świata, równało się prawie powolnej śmierci. Dni były monotonne, wszystkie podobne do siebie jak dwie krople wody. Codziennie trzeba było wstawać, zbierać drzewo,

rozpalać ogień w szałasie, gotować, jeść, a potem kręcić się po półku dla zabicia czasu aż do kolacji. Co dzień także przelatywały samoloty zrzucające bomby. Codziennie od rana do nocy słyhać było te przeklęte armaty pod Anzio, które nie przestawały strzelać ani na chwilę, ale widocznie nie trafiały do celu, bo i Anglicy, i Niemcy twardo stali na miejscu. Jednym słowem Jak już wspomniałam, jeden dzień podobny był do drugiego, ale każdy następny stawał się coraz trudniejszy do zniesienia, bo na skutek raz obudzonych nadziei narastało zniecierpliwienie, zniechęcenie, rozdrażnienie i smutek. Godziny, które na początku naszego pobytu w Sant' Eufemia tak szybko mijały, teraz wlokły się bez końca i ogarniała nas po prostu rozpacz.

A najprzykrzejsze chyba w tym monotonnym życiu było to, że wszyscy ciągle mówili o jedzeniu; mówiło się na ten temat coraz więcej, bo coraz mniej było żywności. Nie szło już o to, kto je gorzej, kto lepiej, po prostu groził głód. Wszyscy jadali teraz tylko raz dziennie, nikt już nikogo nie zapraszał, a Filippo powiadał bez ogródek: — Kochajmy się jak przyjaciele, ale jedzmy osobno. — Jak zwykle jeszcze stosunkowo najlepiej było tym, którzy mieli pieniądze, a więc mnie i Rosetcie, Filippowi oraz jednemu z uchodźców, który nazywał się Geremia; lecz i my czuliśmy, że już niedługo i gotówka na nic się nie przyda. I rzeczywiście chłopci, którzy byli początkowo tacy chciwi na pieniądze, ponieważ nie widywali ich nigdy w pokojowych czasach, poszli po rozum do głowy i połapali się, że

więcej znaczy towar niż gotówka. Mówili ponuro, prawie wyzywającym tonem: — Teraz nastały nasze czasy, przyszła kolej na nas, chłopów... my rządymy, bo mamy zapasy żywności... pieniędzmi nikt się nie naje, zapasami tak. — Ale ja wiedziałam, że są to raczej przechwałki, bo i oni nie mieli dużych zapasów; byli to biedni chłopi z gór, którzy zawsze głodowali na przednówku i sami musieli w tym okresie sprzedawać to i owo, by dokupić trochę żywności w dolinie i przetrwać do lipca.

Co jadłyśmy? Jadłyśmy raz na dzień trochę gotowanej fasoli z odrobiną omasty i przecieru pomidorowego, kawałeczek koziego mięsa oraz suszone figi. Rano, jak już wspomniałam, chleb świętojański, cebulę i cieniutką kromkę chleba. Ciężko było zwłaszcza o sól, której brak dotkliwie dawał się nam we znaki, bo doprawdy trudno jest przełknąć strawę bez soli; każdy kęs włożony do ust ma smak mdły, słodkawy, jak gdyby zjełczały, tak że nieomal zbiera się na wymioty. Oliwy nie miałam już ani kropelki, a smalcu została mi tylko resztką na dnie glinianego garnka. Od czasu do czasu zdarzały się okazje; raz udało mi się kupić dwa kilo kartofli, innym razem blisko półkilogramowy owczy ser, twardy jak kamień, ale smaczny i pikantny. Lecz były to rzadkie wypadki, na które nie można było liczyć.

Przyszedł marzec, a z nim pierwsze oznaki wiosny. Pewnego ranka, wychodząc na półko, zobaczyłyśmy na zboczu pierwsze białe kwiaty na migdałowym drzewie: rozkwitły

wszystkie tej nocy i zdawały się drzeć z zimna, białe jak duchy w szarej mgle. Wszyscy uchodźcy uważali owo kwiecie za dobrą wróżbę: nadchodziła wiosna, a więc drogi wyschną niebawem, Anglicy pójdą naprzód. Lecz chłopci ponuro potrząsali głowami: wiosna oznacza głód. Wiedzieli z własnego doświadczenia, że nie wystarczy żywności do nowych zbiorów; ograniczali się w jedzeniu, jak tylko mogli, i gdzie mogli szukali pożywienia, byle tylko nie naruszać zapasów. Paride na przykład zastawiał w lesie sidła z trzciny na gile i skowronki, lecz te ptaszki były tak mikroskopijne, że na jeden kęs trzeba by ich mieć ze cztery. Robił także pułapki na lisy, które w tych okolicach są nieduże i czerwone jak ogień; potem ściągał z nich skórę, moczył mięso przez kilka dni w wodzie, aby zmiękło, i przyrządzał je ze słodkim, pieprzonym sosem, który zabijał zapach dziczyzny. Najłatwiej jednakże było zaopatrzyć się w endywię; nie była to ta sama endywia, którą jada się w Rzymie, ale wszelkiego rodzaju jadalna zielenina. Ja także uciekałam się coraz częściej do tego dostępnego dla wszystkich źródła pożywienia i co rano zbierałam ją na polu z Michelelem i Rosettą. Wstawaliśmy bardzo wcześnie, każde z nas brało do ręki nóż i koszyk i chodziliśmy po całym zboczach zbierając zieleninę. Trudno sobie wyobrazić, jak wiele roślin jest jadalnych, można powiedzieć, że prawie każda. Nie było to dla mnie nowością, zbierałam je bowiem jako dziecko, tylko nie wiedziałam, do jakiego gatunku należą i jak się nazywają. Luisa, żona Parida, poszła ze mną za pierwszym razem, żeby mnie o wszystkim pouczyć, tak więc w niedługim czasie dawałam sobie radę równie dobrze jak tutejsi chłopci i

potrafiłam rozpoznać i nazwać każdą odmianę endywii. Teraz pamiętam tylko niektóre z nich — crispigno, który w mieście nazywa się crescione, o ciemnozielonych, delikatnych słodkawych w smaku liściach i łodygach; caccialepre, rosnąca między kamieniami, mająca liście długie i mięsiste, prawie niebieskie w kolorze; guaiozza, której żółtozielone, włochate, płaskie liście w liczbie czterech lub pięciu rosną tuż przy ziemi; prawdziwa endywia, o długich łodygach i postrzępionych spiczasto zakończonych listkach; rughetta — mięta; nepitella i wiele, wiele innych. Chodziliśmy, jak już mówiłam, po całym zboczach i nie byliśmy odosobnieni, bo wszyscy zbierali endywię; był to dziwny widok — owo zbocze rojące się od ludzi poruszających się wolno, ze schyloną głową, niczym czyścicowe dusze. Zdawało się, że wszyscy szukają jakiejś zguby, a tymczasem to głód kazał im szukać tego, czego nie zgubili, lecz mimo to spodziewali się znaleźć. Zbiór endywii trwał długo, dwie do trzech godzin, bo żeby mieć z niej choć jeden głęboki talerz, należało uzbierać pełen fartuch; poza tym nie rosło jej aż tyle, by wystarczyć mogło dla wszystkich zbierających, i z czasem coraz dalej trzeba było chodzić na jej poszukiwanie i coraz trudniej ją było znaleźć. Nie miało się wielkiego pożytku z tej całej mitręgi; z trzech pełnych endywii fartuchów zostawały po ugotowaniu zaledwie trzy garście wielkości pomarańczy, które przyprawiałam na patelni odrobiną tłuszczu; nie była to sytna potrawa, ale w każdym razie napełniała żołądek, co pomagało nam oszukać głód. Jednakże po zbieraniu endywii byliśmy śmiertelnie zmęczone przez cały dzień. W nocy natomiast, kiedy kładłam się

obok Rosetty na niewygodnym sienniku wypchanym liśćmi kukurydzy i zamykałam oczy, widziałam tańczące mi przed oczyma wszystkie możliwe odmiany endywii. Długo walczyłam z bezsennością z powodu tej wirującej dokoła mnie zieleni, która powoli, powoli zaczynała się rozplýwać, a ja zapadałam się w nią i wtedy w końcu zasypiałam.

Ale, jak już wspomniałam, najbardziej męczące w tym okresie było to, że głód zmuszał uchodźców do rozmawiania przez cały boży dzień tylko o jedzeniu. Ja także lubię jeść; przyznaję, że jedzenie jest bardzo ważną rzeczą: kto nie je, nie ma siły na nic, nawet na poszukiwanie pożywienia. Jednakże, jak powtarzał zawsze Michele, są na świecie ciekawsze tematy do rozmowy; poza tym mówienie o jedzeniu przy pustym żołądku to podwójna tortura, bo myśli się zarazem i o głodzie, i o sytości. Zwłaszcza Filippo zahaczał stale o tematy kulinarne. Spacerując po pólku, kilkakrotnie widywałam Filippa siedzącego na kamieniu i przemawiającego do stojących wokół niego uchodźców; kiedy podeszłam bliżej, usłyszałam: — Pamiętacie? Telefonowało się do Neapolu i zamawiało miejsce w restauracji. Potem w dobrej kompanii smakoszków wsiadał człowiek do samochodu i jechał. Siadaliśmy do stołu o pierwszej, a wstawaliśmy o piątej. Co się jadło? Spaghetti w rybnym sosie, sałatkę z ryb, kraby, raki, ostrygi; solki smażone albo gotowane z majonezem; karpia z groszkiem, tuńczyka z rusztu. Jednym słowem wszystkie gatunki ryb, we wszystkich możliwych sosach, przez dwie albo trzy godziny. Zasiadaliśmy do stołu

eleganccy, zapięci na ostatni guzik. Wstawaliśmy w poodpinanych kamizelkach, popuszczając paski od spodni, a odbijało nam się tak, że szyby w oknach drżały; każdy z nas ważył o dwa, trzy kilo więcej. Zapijaliśmy rybki dobrym winkiem, szło co najmniej po litrze na głowę. Kiedy się jeszcze tak będzie jadło? — Wtedy ktoś wtrącał: — Kiedy przyjdą Anglicy, wróci dobrobyt, Filippo. — Pewnego dnia, kiedy jak zwykle tematem rozmowy było jedzenie, byłem świadkiem kłótni Michela z Filippem. Filippo mówił: — Chciałbym mieć w tej chwili ładnego wieprzka, zarznąć go i od razu usmażyć tłuste, grube na palec kotlety, takie żeby ważyły przynajmniej pół kilo każdy... wiecie... pół kilo wieprzowiny to rzecz nie do pogardzenia, od razu innym okiem spojrzalbym na świat. — Michele, który znalazł się tam przypadkiem, powiedział: — To byłby doprawdy przypadek kanibalizmu. — Dlaczego? — No, bo wieprz zjadłby wieprza. — Na te słowa Filippo poczerwieniał cały i krzyknął ze złością: — Nie masz szacunku dla swoich rodziców! — A Michele: — Nie tylko nie mam szacunku, ale się ich wstydzę. — Zdetonowany tym twardym, stanowczym tonem Filippo odpowiedział nieco spokojniej: — Gdybyś nie miał ojca, który płacił za twoje studia, nie mógłbyś się teraz nas wstydzić... mea culpa. — Michele milczał przez chwilę, a potem rzekł: — Masz rację... źle zrobiłem, że słuchałem waszej rozmowy. Od dzisiaj będę się trzymał z daleka, a wy rozprawiajcie sobie o jedzeniu, ile wam się podoba. — Filippo był najwyraźniej wzruszony, bo po raz pierwszy w czasie pobytu w Sant' Eufemia syn przyznawał mu rację, i powiedział ugodowo: — Jeśli chcesz, mo-

zemy mówić o czym innym... masz rację, po co ciągle mówić o jedzeniu... mówmy o czym innym. — Lecz Michele uniósł się wtedy gniewem, skoczył do ojca i krzyknął: — Dobrze, a o czym będziemy mówić? O tym, co będzie, jak przyjdą Anglicy? O sklepie? O dobrobycie? O rzeczach, które ukradł dzierżawca? O czym będziemy mówić, o czym? — Tym razem Filippo nie odrzekł ani słowa, rzeczywiście syn wymienił wszystkie tematy, o jakich mógł z nim mówić. Powiedziawszy te słowa, Michele odszedł. Gdy tylko Filippo był pewien, że syn go nie widzi, machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: To dziwak, trzeba być wyrozumiałym dla niego. Wszyscy uchodźcy chcieli go pocieszyć, przyznając mu rację: — Filippo, masz syna, który dużo wie... pieniądze, które wydałeś na jego studia, nie poszły na marne... to jest ważne, reszta się nie liczy.

Tego samego dnia Michele powiedział do nas przygnębionym: — Mój ojciec ma słuszość... nie powinienem go obrażać. Ale nie umiem się opanować... kiedy mówi o jedzeniu, po prostu tracę głowę. — Zapytałam go, dlaczego to właśnie tak go drażni. Zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział: — Gdybyś wiedziała, że jutro umrzesz, rozmawiałabyś o jedzeniu? — Nie. — No widzisz. A my jesteśmy właśnie w tej sytuacji, jutro albo za kilka lat, wszystko jedno, umrzemy. I w oczekiwaniu śmierci mamy zajmować się głupstwami? — Nie rozumiałam go dobrze i pytałam dalej: — No więc o czym powinniśmy rozmawiać? — Znowu się namyślał i odpowiedział tak: — Na przykład w sytuacji, w jakiej się teraz znajdujemy, powinniśmy rozmawiać o

przyczynach, które do tego doprowadziły. — A jakie to są przyczyny? — Roześmiał się i rzekł: — Każdy musi szukać ich w sobie. — Wtedy powiedziałam: — Może, ale twój ojciec dlatego mówi o jedzeniu, że mu go brak... wiadomo, głodnemu chleb na myśli. — A on na to: — Tak, ale całe nieszczęście polega na tym, że mój ojciec mówi o jedzeniu także i wtedy, gdy go nie brak i wszyscy mają go pod dostatkiem.

Na razie jednak brakowało żywności i każdy oszczędzał jak mógł resztki, które mu jeszcze zostały, a rozmawiając z innymi udawał, że nic już nie ma. Filippo na przykład w rozmowie z uchodźcami stokroć biedniejszymi od niego powtarzał: — Mąki i fasoli mam jeszcze na tydzień, a potem będzie, co Bóg da. — Mówił nieprawdę, wszyscy wiedzieli, że ma jeszcze w domu duży worek mąki i nieco mniejszy fasoli; jednakże ze strachu, by mu ich nie ukradli, nikogo już nie zapraszał do siebie, zamykał w dzień dom na cztery spusty i spacerował po polach z kluczem w kieszeni. Chłopi, biedacy, naprawdę już prawie nic nie mieli, przyszedł bowiem okres, w którym zwykli byli schodzić do Terraciny i tam zaopatrywać się w żywność. Teraz jednak wszędzie panował głód i mogło się okazać, że w Terracinie sytuacja żywnościowa jest jeszcze gorsza niż w Sant' Eufemia. Poza tym w całej okolicy grasowali Niemcy, którzy brali, co się dało i ile się dało, tylko dlatego że prowadzili wojnę, a jak wiadomo, każdy żołnierz na wojnie kradnie. Na przykład pewnego dnia zjawił się u nas niemiecki żołnierz, nie miał przy sobie broni, był całkiem sam i wyglądał tak, jak gdyby wyszedł

na spacer. Miał ciemne włosy, niebieskie oczy, okrągłą, poczciwą twarz i smutne, niespokojne spojrzenie; przechadzał się po całym osiedlu, rozmawiając z uchodźcami i chłopami. Widać było, że nie ma żadnych złych zamiarów, wprost przeciwnie, że czuje sympatię do tych biedaków. Powiedział, że przed wojną był kowalem, pracował we własnej kuźni, i dorzucił także, że doskonale gra na harmonii. Wtedy jeden z uchodźców przyniósł harmonię, a Niemiec usiadł na kamieniu i zaczął grać, otoczony zwartym kręgiem dzieci, które słuchały go z otwartymi ustami. Grał naprawdę bardzo ładnie i między innymi zagrał piosenkę śpiewaną w tym czasie przez wszystkich niemieckich żołnierzy: „Liii Marlen”. Była to smutna piosenka, prawie żałosna; słuchając jej pomyślałam sobie, że ci Niemcy, których Michele nienawidzi do tego stopnia, że nie uważa ich za ludzi, pomimo wszystko są ludźmi, którzy zostawili w domu żony i dzieci; oni także nienawidzili wojny, która rozdzieliła ich z rodzinami. Po „Liii Marlen” grał jeszcze inne pieśni, także smutne i wzruszające; niektóre z nich były skomplikowane jak muzyka koncertowa. A on, z głową pochyloną nad harmonią, wpatrzony w klawiaturę, po której wprawnie przejeżdżał palcami, robił wrażenie poważnego człowieka, który umie ocenić piękno, nie czuje nienawiści do nikogo i chętnie zaprzestałby walki. Ten sympatyczny żołnierz grał nam blisko godzinę, przed odejściem nie omieszkał pogłaskać po główkach dzieci i serdecznie nas pożegnać mówiąc w swoim łamanym włoskim języku: — Odwagi, wojna niedługo się kończyć. — Ścieżka, którą schodził, przebiegała tuż obok jednego z domków, gdzie

za oknem suszyła się piękna koszula w czerwoną kratę, własność mieszkającego tam uchodźcy. Niemiec przechodząc obok zatrzymał się, dotknął koszuli, jak gdyby chciał sprawdzić gatunek materiału, a potem potrząsnął głową i poszedł dalej. Jednakże po upływie pół godziny zjawił się z powrotem, zadyszany, bo najwidoczniej musiał biec pod górę. Poszedł prosto do tego domku, chwycił koszulę, wsadził ją pod pachę i co sił w nogach pognął w stronę doliny. Zrozumieliście? Grał nam na harmonii, pieścił dzieci, zrobił na nas wrażenie porządnego człowieka i miał zamiar jak najspokojniej odejść. Ale od chwili gdy zobaczył koszulę, która mu się spodobała, myślał o niej cały czas w drodze powrotnej i w końcu pokusa zwyciężyła, zawrócił i wziął koszulę. Dopóki grał na harmonii, był człowiekiem, który w pokojowych czasach pracował w swojej kuźni; kiedy zabrał koszulę, był żołnierzem, który nie rozróżnia, co moje, a co twoje, i nie ma szacunku dla niczego i nikogo. Tak, na wojnie wolno nie tylko zabijać, ale i kraść; i ten, kto w pokojowych czasach nie zabiłby nikogo i nie tknął cudzej własności za żadne skarby świata, podczas wojny odnajduje w sobie zbrodnicze i złodziejskie instynkty, jakie tkwią w każdym człowieku; odnajduje je, bo zachęcają go do ich odnalezienia; co więcej, wmawiają mu od rana do nocy, że to są dobre instynkty, którymi musi się kierować, aby być prawdziwym żołnierzem. A więc żołnierz myśli sobie tak: — Jestem na wojnie... będę znów taki jak dawniej, kiedy wróci pokój... a na razie pofolguję sobie. — Niestety jednak nikt, kto kradł i zabijał, choćby nawet tylko na wojnie, nie może się spodziewać, że będzie taki jak dawniej,

przynajmniej moim zdaniem. To zupełnie tak samo, jak gdyby kobieta, która utraciła dziewictwo, łudziła się, że je odzyska jakimś cudem, co, jak wiadomo, nigdy jeszcze się nie zdarzyło. Powtarzam więc, że kto raz był złodziejem i mordercą, choćby w mundurze, z piersią pokrytą orderami, zostanie już na zawsze złodziejem i mordercą.

Chłopi dobrze o tym wiedzieli, że Niemcy mają długie ręce, zorganizowali więc coś w rodzaju służby alarmowej, rozstawiając dzieci na całej długości zbocza. Gdy tylko na górskiej drodze pojawiał się Niemiec, od razu stojące na dole dziecko wrzeszczało na całe gardło: — Malaria! — To samo krzyczało następne i znowu następne, aż podawany z ust do ust okrzyk docierał do osiedla. Na słowo „malaria” w Sant' Eufemia powstawał nieopisany zamęt: ten chwycił woreczek fasoli, tamten mąki, ktoś inny garnek ze smalcem, jeszcze ktoś inny kiełbasę i wszyscy biegli ukryć te skarby w krzakach lub w pieczarach. Czasami rzeczywiście jakiś Niemiec przychodził na górę nie wiadomo po co i krążył między domami, a wszyscy szli za nim jak w procesji; niektórzy uchodźcy odgrywali komedię, pokazując na usta, na znak, że są głodni. Często jednakże alarm był fałszywy i kiedy po dłuższym oczekiwaniu Niemiec nie pokazywał się, wszyscy oddychali z ulgą i wyciągali z kryjówek swoje zapasy.

Ponieważ coraz trudniej było o żywność, a już i moje zapasy były na wyczerpaniu, postanowiłam zdobyć coś więcej za wszelką cenę. Miałam pieniądze i mogło się zdarzyć, że uda mi

się zrobić zakupy w jakiejś zapadłej wiosce. Tak więc pewnego pięknego poranka, o wczesnej godzinie, wyruszyliśmy z domu z Michele i Rosettą udając się do Sassonero, miejscowości górskiej znajdującej się w odległości czterech godzin marszu od Sant' Eufemia. Liczyliśmy, że dojdziemy do Sassonero około południa, kupimy tam coś niecoś, o ile tylko to będzie możliwe, i wrócimy przed zapadnięciem zmroku.

Gdy wychodziliśmy, było już widno, lecz słońce nie wychyliło się jeszcze spoza gór. Wiał lodowaty wiatr szczypiąc nas w nos i w uszy; na polanie gdzieniegdzie leżały płaty śniegu, topniejące na szmaragdowej trawie. Wreszcie pokazało się słońce i zrobiło się nieco cieplej. Widok gór Ciociarii ze śnieżnymi szczytami iskrzącymi się w słońcu był tak wspaniały, że zatrzymaliśmy się na chwilę, by mu się lepiej przyjrzeć. Pamiętam, że Michele patrząc na owe góry powiedział z westchnieniem i jakby niechętnie: — Piękne są Włochy. — Śmiejąc się odrzekłam: — Michele, mówisz to takim tonem, jak gdybyś był z tego niezadowolony. — A on: — Tak, jestem trochę niezadowolony, bo piękno to pokusa.

Z polany skręciliśmy na biegnącą między skałami ścieżkę, która na pierwszym odcinku była gęsto porośnięta trawą, ale im dalej się posuwaliśmy, tym stawała się wyraźniejsza; szła po grani, a po jej obydwu stronach otwierały się przepaście, z których bardziej stroma ciągnęła się nieprzerwanie aż do Fondi, a druga, łagodniejsza, kończyła się w porośniętej gęstym lasem, niewielkiej dolinie. Dróżka przez dłuższy czas biegła granią

wijąc się jak wąż, po czym skręcała w dół przecinając zbocze i kierując się ku dzikiej, zalesionej dolince. Gdy znaleźliśmy się na samym dole, w lesie, szliśmy spory kawałek drogi wzdłuż strumyka, na wpół ukrytego między krzewami, który płynął po kamieniach z delikatnym bulgotem, miłym dla ucha w panującej dokoła głębokiej ciszy. Za lasem ścieżka znowu zaczęła piąć się w górę po zboczu, potem opadała nieco w dół, doprowadzając nas do podnóża innej góry i wiodąc dalej stromo na jej szczyt. Szczyt ten był nagi, kamienisty i nie wiadomo czemu stał tam czarny drewniany krzyż. Stamtąd szliśmy znowu granią, aż dotarliśmy do dziwnie wyglądającego miejsca, na które zesliśmy dopiero po dokładnym obejrzeniu go z góry. Była to równa jak dłoń płaszczyna położona pod olbrzymią czerwoną skałą w kształcie świętecznej babki, pokryta rzadko rosnącymi dębami i skałkami. Dęby były stare, wysokie, o nagich, rozcapierzonych szarych gałęziach, przypominających włosy czarownicy; wszystkie skałki — i mniejsze, i większe — wyglądały jak głowy cukru, tyle tylko, że były czarne i tak lśniące, jak gdyby je oszlifowano na szlifierce. Między dębami i skałkami stały szałasy, pokryte szerniałymi strzechami. Przed nimi kręciły się kobiety gotujące strawę na dworze lub rozwieszające bieliznę na sznurach. Dzieci bawiły się w błocie. Mężczyzn nie było widać, bo mieszkali tam sami pasterze, którzy o tej porze paśli owce w górach. Schodząc do osiedla, zauważyliśmy czarny otwór pieczary u stóp tej czerwonej skały w kształcie babki, o której już wspominałam; jedna z kobiet powiedziała nam, że mieszkają tam uchodźcy. Zapytałam tej

kobiety, czy nie ma czegoś do sprzedania, lecz ona potrząsnęła głową przecząco, po czym dorzuciła wymijającym tonem, że może uchodźcy będą mogli mi coś sprzedać. Wydało mi się to dziwne, bo uchodźcy nie sprzedają, tylko kupują.

Pomimo to poszliśmy do tej pieczary, choćby dlatego, by zasięgnąć języka od uchodźców, bo od milczących i nieufnych żon pasterzy nie sposób było nic wyciągnąć. W miarę zbliżania się do grotty napotykaliliśmy coraz więcej leżących na ziemi mniejszych i większych kości, pozostałych zapewne po kozach i owcach zjedzonych przez uchodźców. Jednakże prócz tych kości było tam także całe mnóstwo śmieci, to znaczy zardzewiałych puszek, łachmanów, starych butów, papierów. Miałam wrażenie, że nagle znalazłam się w Rzymie, na jednym z placów czekających na zabudowę, na który wyrzuca się na razie wszystkie odpadki z okolicznych domów. Wejście do pieczary było dość duże, brudne, szerniałe, zadymione. Na gwoździach wbitych w kamienne ściany wisiały rondle, warząchwie, łachmany, a nawet i ćwiartka dopiero co zabitej kozy, z której kapłała krew. Muszę przyznać, że gdy zajrzeliśmy do pieczary, zaskoczył mnie jej wygląd. Była wysoka, ciemna i tak głęboka, że zdawała się nie mieć końca. Wyglądała jak olbrzymia sypialnia, bo jedno przy drugim stały w niej łóżka i leżały sienniki jak w koszarach lub na ogólnej sali w szpitalu. Panował tam smród niczym w przytułku dla nędzarzy, łóżka były rozgrzebane, z poprzewracaną pościelą i brudne do obrzydliwości. Wszędzie aż się roiło od uchodźców, jedni siedzieli na

łóżkach, inni spacerowali po pieczarze, inni jeszcze leżeli otuleni w kołdry po czubek nosa; niektórzy stali nieruchomo pod ścianami. Grupka uchodźców, siedzących na dwóch łóżkach, grała w karty, tak samo jak u nas w Sant' Eufemia, w płaszczach i kapeluszach. Nieco dalej na wprost naga kobieta karmiła niemowlę, obok niej na sienniku leżało nieruchomo kilkoro przytulonych do siebie dzieci, które zapewne spały. Jak już wspomniałam, w głębi groty panował mrok, można było jednak dostrzec ustawione tam jakieś skrzynie i paki, stanowiące prawdopodobnie jedyny dobytek, jaki zdołali ze sobą unieść ci biedacy.

Przy samym wejściu zobaczyłam coś niezwykłego: ołtarz zrobiony z drewnianych skrzynek, przykryty pięknym haftowanym obrusem. Stał na nim krucyfiks i dwa srebrne wazony, w które zamiast kwiatów wetknięte były zielone gałązki dębowe. A co najdziwniejsze, pod krucyfiksem zamiast figurek świętych lub innych dewocjonałów leżał chyba z tuzin zegarków, równiuteńko obok siebie ułożonych. Były to wszystko zegarki staromodne, kieszonkowe, przeważnie stalowe, lecz kilka z nich wyglądało na złote. Obok ołtarza siedział na stołku ksiądz. Mówię: ksiądz, bo rozpoznałam go po tonsurze, ale poza tym nic nie wskazywało na to, że jest to osoba duchowna. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, o ciemnej, wychudzonej, poważnej twarzy. Nie miał na sobie sutanny, cały ubrany był na biało, w białą koszulę i białe spodnie, a raczej kalesony; na nogach miał czarne skarpetki i czarne trzewiki. Jednym słowem,

nie wiadomo czemu zdjął sutannę i był tylko w bieliźnie. Siedział nieruchomo, ze spuszczoną głową, złożonymi rękami i szybko poruszał wargami, jak gdyby się modlił. Gdy zbliżyłam się do ołtarza, podniósł na mnie oczy i zobaczyłam wtedy, że te oczy mają w sobie coś opętanego, a zarazem są jakby niewidzące.

Powiedziałam półgłosem do Rosetty: — Ależ to wariat — ale bez zdziwienia, nie dziwiłam się bowiem już niczemu. On tymczasem wpatrywał się we mnie i powoli wzrok jego łagodniał, jak gdyby rozpoznawał we mnie jakąś znajomą osobę. Nagle wstał i chwycił mnie za ramię: — To doskonale, żeś nareszcie przyszła... no, prędko, nakręć mi zaraz te zegarki.

Obejrzałam się w stronę pieczary nieco wystraszona, ponieważ jego ręka wpijała się w moje ramię ze straszliwą siłą, tak jak wpijają się w zdobycz sępy czy jastrzębie. Jeden z grających w karty uciekinierów, który najwidoczniej musiał obserwować spod oka tę całą scenę, zawołał nie oglądając się za siebie: — Zrób to, o co cię prosi, nakręć mu zegarki... biedaczysko, zburzyli mu kościół i plebanię, a on uciekł ze swoimi zegarkami i stracił rozum, ale jest zupełnie nieszkodliwy. Nie bój się, nic ci nie zrobi.

Trochę uspokojone, wzięłyśmy obydwie z Rosettą po kilka zegarków i udawałyśmy, że je nakręcamy, bo były już nakręcone i wszystkie szły doskonale. On patrzył na nas tak, jak patrzy księża, marszcząc brwi i pochylając głowę, i stojąc nieruchomo

ze złożonymi na piersi rękami. Kiedy skończyłyśmy, powiedział głębokim głosem: — Skoro zegarki są już nakręcone, mogę nareszcie odprawić mszę... jak to dobrze, żeście w końcu przyszły. — W tej samej chwili, na szczęście, podeszła jedna z mieszkanek groty, młoda zakonnica, której widok uspokoił mnie od razu. Miała bladziutką twarz o ślicznym owalu, czarne zrosnięte nad nosem brwi, które tworzyły czarną linię nad czarnymi, spokojnymi, błyszczącymi niczym gwiazdy oczyma. Jednakże co zrobiło na mnie największe wrażenie i po prostu mnie uderzyło, to niepokalana biel jej sztywnego kołnierza i mankietów. Bóg jeden wie, jak mogła utrzymywać je w tym stanie, prać i krochmalić w tej lepkiej od brudu pieczarze. Delikatnie zwróciła się do księdza mówiąc łagodnym głosem: — Don Matteo, teraz zje ksiądz coś z nami. Ale przedtem trzeba się ubrać... nie można jeść w kalesonach. — Don Matteo słuchał jej stojąc nieruchomo, z otwartymi ustami i błędnym wyrazem oczu. Wreszcie wyjąkał: — A zegarki? Kto się zajmie zegarkami? — Siostra odrzekła swoim spokojnym głosem: — Już są nakręcone, wszystkie idą doskonale, niech ksiądz tylko popatrzy, wszystkie wskazują tę samą godzinę, a to jest właśnie godzina obiadu. — Zdjęła z gwoździa sutannę księdza i pomogła mu ją włożyć, spokojnie i wyrozumiale jak pielęgniarka w szpitalu dla wariatów. Don Matteo pozwolił się ubrać w zakurzoną i wystrzępioną sutannę, potem, przyglądając dłonią potargane włosy, poszedł z podtrzymującą go pod ramię siostrą w głąb groty, gdzie dymił duży kociołek stojący na trójnogu.

Siostra odwróciła się w naszą stronę mówiąc: — Chodźcie i wy... i dla was wystarczy.

Jednym słowem my także podeszliśmy do mosiężnego kociołka, wokół którego zgromadziło się wielu uchodźców. Rzucił mi się w oczy zwłaszcza jeden z nich, który głośno narzekał i zachowywał się nachalnie. Był to niski, otyły mężczyzna, potargany, z długą brodą, niechlujny, ubrany w łachmany. Na spodniach, na samym siedzeniu miał ogromną dziurę, z której wystawał rąbek białej koszuli. Podsuwając swój talerz lamentował: — Dlaczego ja zawsze dostaję mniej od innych, siostrzo Tereso, dlaczego mnie siostra daje mniej? — Siostra Teresa nie odpowiedziała mu, zajęta była rozlewaniem zupy do misek wydzielając dla każdego po dwie warząchwie rosółu i po kawałku mięsa; lecz jeden z uchodźców, człowiek w średnim wieku z czarnymi wąsami i czerwoną twarzą, powiedział ironicznie: — Dlaczego nie każesz zapłacić siostrze karnego mandatu, Tico,.. jesteś przecież policjantem... wypisz jej mandat za to, że daje ci mniej zupy niż innym. — A potem, śmiejąc się zwrócił się do Michela: — Nieźleśmy się tutaj urządzili, nie ma co mówić: ksiądz jest wariatem, wszystkich policjantów wywieźli do Niemiec, oprócz jednego, któremu koszula wystaje z portek, a burmistrz, czyli ja, głoduje gorzej od innych. Nie ma już żadnej władzy, cud prawdziwy, żeśmy się jeszcze nie powyrzynali co do nogi. — Siostra odpowiedziała nie podnosząc oczu znad kotła: — Nie cud, tylko wola Boga, który chce, żeby ludzie wzajem sobie pomagali. — A tymczasem Tico utyskiwał:

— Was, don Luigi, zawsze trzymają się żarty... czy nie wiecie, że policjant bez munduru jest takim samym biedakiem jak każdy inny? Dajcie mi mundur, a znowu będę mógł utrzymywać porządek. — Pomyślałam sobie, że on w gruncie rzeczy ma rację, ponieważ w pewnych wypadkach mundur jest wszystkim. I że nawet ta dobra siostra, przy całej swojej dobroci i religijności, nie cieszyłaby się takim szacunkiem, gdyby zamiast habitu miała na sobie takie łachy jak ja i Rosetta.

Zjadłyśmy więc tej zupy, która była za tłusta, gotowana na kozim mięsie, i tak zalatywała capem, że pomimo głodu z trudem przeszła nam przez gardło; jedząc słuchaliśmy aż za dobrze znanych nam rozmów: o głodzie, przyjsciu Anglików, bombardowaniach, łapankach i wojnie. W końcu, gdy wydało mi się, że przyszedł odpowiedni moment, zapytałam, czy ktoś nie mógłby mi sprzedać jakich produktów żywnościowych. Jak było do przewidzenia, moje zapytanie wzbudziło ogólne zdziwienie; oni także, tak samo jak my, żywili się zapasami zabranymi z domu, które były już na wyczerpaniu, dokupując coś niecoś od stałych mieszkańców osiedla. Poradzili mi, żebym zwróciła się do pasterzy mieszkających w szałasach tuż obok. — My także od nich kupujemy — mówili — zawsze mają jakieś sery i koźlaki, idźcie zobaczyć, czy nie zechcą wam czegoś sprzedać. — Powiedziałam wówczas, że jedna z tych kobiet właśnie przysłała mnie do nich twierdząc, że pasterze nie mają nic do sprzedania. Burmistrz wrzucił ramionami: — Mówią tak, bo nie mają zaufania do obcych i chcą utrzymać jak najwyższe

ceny... ale tylko u nich można coś jeszcze dostać w tych stronach, bo mają stada owiec.

Podziękowałyśmy siostrze i uchodźcom za zupę, przeszłyśmy obok ołtarza pełnego zegarków obłąkanego księdza i znalazłyśmy się na dworze. W tej samej chwili między skałami i szałasami przechodziło niewielkie stado owiec i kóz, prowadzone przez rosnącego mężczyznę w białych chodakach, w czarnej kurtce, czarnym kapeluszu i czarnych spodniach przepasanych szerokim pasem. Jedna ze stojących obok kobiet, która słyszała naszą rozmowę, wskazała na niego mówiąc: — To jeden z ewangelików... ten ci sprzeda sera, jeśli mu słono zapłacisz. — Pobiegnęłam więc za tym mężczyzną i zawołałam: — Czy nie masz sera na sprzedaż? — Nie odpowiedział mi, nie obejrzał się nawet, idąc dalej przed siebie, jak gdyby był głuchy. Zawołałam raz jeszcze: — Panie Ewangeliku, sprzeda mi pan sera? — wtedy odpowiedział: — Nie nazywam się Ewangelik, nazywam się De Santis. — A ja: — Powiedzieli mi, że twoje nazwisko jest Ewangelik. — Nie, jesteśmy wyznania ewangelickiego, to wszystko.

W końcu zgodził się nam sprzedać trochę sera, poszłyśmy więc z nim razem do jego szałasu. Najpierw wpuścił owce do stojącej obok lepianki, kolejno wołając je po imieniu: — Bianchina, Paciocca, Matta, Celeste — i tak dalej, po czym zamknął drzwi na skobel i wprowadził nas do swego domu. Był to taki sam szałas jak Parida, tylko większy; pomimo to, nie wiem czemu, wydał mi się nędzniejszy niż tamten, zimniejszy,

mniej przytulny; być może owo wrażenie wynikało z niezbyt gościnnego przyjęcia samego gospodarza. Wokół ognia na ławach i pieńkach siedziało wiele kobiet i dzieci. My usiadłyśmy także, a on z miejsca zaczął się modlić składając ręce; wszyscy łącznie z dziećmi poszli w jego ślady. Na ten widok zamieniłam się w słup soli, bo chłopci — a przynajmniej w moich stronach — modlą się rzadko i tylko w kościele; lecz przypomniałam sobie, co mówił ten chłop, że oni są ewangelikami, i zrozumiałam, że dla nich religia jest czym innym niż dla nas. Michele, którego to wszystko zaciekało, zapytał, jak to się stało, że zostali ewangelikami; odniosłam wrażenie, że on wie, co znaczy to dziwne słowo. Rosły mężczyzna odpowiedział mu, że on i jego dwaj bracia byli w Ameryce i tam spotkali pastora protestanckiego, którego nauki trafiły im do przekonania, przeszli więc na protestantyzm. Michele spytał, jakie wrażenie zrobiła na nim Ameryka, a on odrzekł: — Wsiedliśmy na statek w Neapolu i wysiedliśmy w małym mieście na wybrzeżu Pacyfiku, a potem pociągiem dojechaliśmy do lasów, bo zatrudniono nas jako drwali. Z tego, co widziałem, mogę powiedzieć, że to kraj pełen lasów. — A miast nie widzieliście? — Nie, tylko to, w którym wysiedliśmy na ląd, ale to było małe miasto... pracowaliśmy przez dwa lata w tych lasach, a potem tą samą drogą wróciliśmy do Włoch. — Michele był zdziwiony i ubawiony zarazem, ponieważ, jak mi potem powiedział, Ameryka słynie z olbrzymich miast, a oni widzieli tylko drzewa i byli przekonani, że Ameryka jest jedną wielką puszczą. Rozmawiali dalej na ten temat, ale ja uważając, że robi się późno, przerwałam im w

pewnej chwili i zapytałam o ser; wtedy gospodarz pogrzebał po ciemku w słomie i wyciągnął dwa żółte owcze serki mówiąc, że może nam je odstąpić po takiej i takiej cenie. Podskoczyliśmy do góry, bowiem to, czego żądał, było wręcz niewiarygodne, nawet biorąc pod uwagę klęskę głodu. — Czy te twoje sery nie są przypadkiem ze złota? — zawołałam. Odpowiedział z powagą: — To więcej niż złoto, to ser... złota nie ugryziesz, ser tak. — Michele powiedział ironicznie: — Czy to Ewangelia uczy was żądać takich cen? — Nic na to nie odrzekłam, a ja powiedziałam z naciskiem: — Właśnie przed chwilą siostra Teresa mówiła w grocie, że Bóg chce, by ludzie wzajemnie sobie pomagali. Piękny jest zaiste wasz sposób pomagania bliźnim. — A on z iście kamiennym wyrazem twarzy odpowiedział spokojnie: — Siostra Teresa jest innego wyznania. My nie jesteśmy katolikami. — A co według ciebie oznacza być ewangelikiem? — wtrącił się znowu Michele. — Brać dwukrotnie wyższe ceny od katolików? — Pasterz odpowiedział mu z niezmaconą powagą: — Być ewangelikiem, mój bracie, to znaczy stosować się do zasad Ewangelii. My stosujemy się do nich. — Jednym słowem miał zawsze gotową odpowiedź i trudno było cokolwiek wskórać, bo twardo stał przy swoim. W pewnej chwili powiedział: — Jeśli chcecie, mogę wam sprzedać jagnię... ładne, tłuste, w sam raz na Wielkanoc... niektóre sztuki dochodzą do sześciu kilo... tanio wam sprzedam. — Pomyślałam sobie, że mamy Wielkanoc za pasem i jagnię rzeczywiście by się przydało; zapytałam, ile ma kosztować, i znowu podskoczyłam: za tę cenę mogłabym nieomal kupić nie tylko jagnię, ale i owcę,

która je urodziła. Michele powiedział: — Wiesz, czym jesteście wy, ewangelicy? Wyzyskiwaczami i tyle. — A on: — Spokojnie, mój bracie, Ewangelia głosi, że ludzie powinni wzajem się miłować. — Zrozpaczona, powiedziałam mu, że kupię jeden ser pod warunkiem, że obniży cenę. Wiecie, co mi odpowiedział? — Obniżyć cenę? Powiedziałem ci już najniższą cenę. Ale najlepiej będzie, siostró, jeśli nie weźmiesz tego sera, bo jeżeli zapłacisz mi tyle, ile żądam, będziesz miała do mnie urazę, a jeśli zapłacisz mi mniej, ja będę miał urazę do ciebie. A tymczasem, Ewangelia głosi, że ludzie powinni wzajem się miłować. Nie wdawajmy się w interesy, a w dalszym ciągu będziemy się kochali. — Jego rada nie trafiła mi do przekonania i w dalszym ciągu targowałam się zawzięcie, lecz on był nieugięty i moje wszystkie argumenty rozbijały się jak o skałę; powiedziałam mu w oczy, że jest złodziejem, ale cóż z tego, kiedy odpierał każdy atak cytatem z Ewangelii. — Nie unosz się gniewem, siostró, gniew jest ciężkim grzechem. — Zapłaciłam w końcu tę zawrotną sumę, uzyskując tylko tyle, że dodał mi trochę twarogu, który jadłyśmy potem wraz z chlebem. Choć rozstaliśmy się z nim chłodno, gdy odchodziliśmy, zawołał jeszcze od progu: — Bóg z wami, bracia i siostry. — Na te słowa prawie bezwiednie pomyślałam sobie w duchu: — A was niech diabli wezmą i zaciągną do piekła!

Jedynym owocem tej wyprawy był owczy serek i pomyśleć tylko, że przeszliśmy po to tyle kilometrów górami, zdzierając doszczętnie chodaki! Lecz po kilku dniach Opatrzność

wynagrodziła nas za ten zawód: w Sant' Eufemia zjawił się na swoim karym koniu grabarz, który jeździł po górach skupując żywność, i odsprzedał nam bardzo niedrogo trochę pstrokatej fasoli. Kupił ją od uchodźców jugosłowiańskich z wyspy Ponza, którzy podczas zawieszenia broni schronili się w pobliskiej dolinie, a teraz w obawie przed Niemcami uciekli dalej i nie mogli unieść wszystkich zapasów. Grabarz, który był jasnowłosym chłopakiem, wścibskim i sprytnym, przyniósł nam także trochę nowin wojennych, które usłyszał właśnie od tych Jugosłowian. Powiedział, że w mieście Stalingrad, w Rosji, Niemcy dostali w skórę i że Rosjanie wzięli do niewoli całą armię, z wszystkimi generałami włącznie, na skutek czego Hitler nakazał odwrót. Powiedział także, że wojna skończy się lada dzień, najdalej za kilka tygodni. Te wiadomości uradowały uchodźców, ale chłopów nie. Większa część tutejszych ludzi, powołanych pod broń, znajdowała się właśnie pod Stalingradem, i pisywali nawet stamtąd, podając nazwę tego miasta. Kobiety więc bały się teraz o życie swoich mężów i braci i nie myliło ich przeczucie, bo, jak się potem okazało, prawie żaden z nich nie powrócił.

Dni stawały się coraz to dłuższe, góry zaczynały się zielenić, pocieplało; przez cały marzec słychać było bombardowanie Anzio z jednej strony, a z drugiej Cassino. Znajdowaliśmy się mniej więcej w połowie drogi między Anzio a Cassino, i dniem, i nocą dobiegał do nas odgłos wystrzałów armatnich, nieprzerwanie, jak gdyby owe armaty strzelały na

wyścigi. Tum, tum — odzywała się armata z Anzio, najpierw hukiem wystrzału, a potem eksplozji, tum, tum — odpowiadała jej z przeciwnej strony armata spod Cassino. Niebo było jak bęben, w który głucho i ponuro waliły armaty. Owe groźne pomruki wywierały tym większe wrażenie, że dni były wyjątkowo piękne; mimo woli nasuwała się myśl, że wojna stała się już częścią natury, że ten huk związany jest i pomieszany ze słońcem, że wiosna poszkodowana została przez wojnę w równym stopniu jak ludzie. Jednym słowem owo dudnienie dział stało się naszym codziennym chlebem, tak samo jak codziennym chlebem były łachmany, głód, niebezpieczeństwa; tak przywykłyśmy do niego, że gdyby ustało pewnego dnia, byłybyśmy prawie zdziwione. Chcę przez to powiedzieć, że do wszystkiego można się przyzwyczaić i że wojna jest właśnie przyzwyczajeniem, bo to, co wywołuje w nas takie zmiany, to nie są jakieś nadzwyczajne wydarzenia, przytrafiające się od czasu do czasu, tylko owo przyzwyczajenie, które potwierdza, że godzimy się ze swoim losem i przestajemy się buntować.

Teraz, w pierwszych dniach kwietnia, całe góry pokryły się zielenią i kwiatami i było już tak ciepło, że z przyjemnością spędzało się cały dzień na dworze. Lecz pod tymi wszystkimi kwiatami, które radowały wzrok, krył się głód dla nas, uchodźców, roślina bowiem zakwita, gdy osiąga pełnię rozwoju, robi się wtedy twarda i włóknista, i nie nadaje się już do jedzenia. Jednym słowem, owe piękne kwiaty były widomą oznaką, że wyschło ostatnie nasze źródło — endywia, i że teraz

uratować nas może tylko szybkie przybycie Anglików. Kwitły także i drzewa: brzoskwinie, migdały, jabłonie, grusze, rosnące tu i ówdzie na pochyłości zbocza; wyglądały one jak białe i różowe obłoczki nieruchomo zawieszzone w powietrzu. Gdy patrzyłyśmy na te drzewa, przychodziło nam na myśl, że ich kwiaty zmieniają się w owoce i że te owoce, którymi moglibyśmy się pożywić, dojrzeją dopiero za kilka miesięcy. Widok zboża, które ledwie zaczynało kiełkować i miało króciutkie, delikatne, zielone łodyżki, także napełniał mnie melancholią: dużo wody upłynie, zanim zboże będzie wysokie i żółte, zdatne do kośby i młocki, zanim ziarno zmielone na mąkę posłuży do pieczenia chleba. Co tu dużo mówić, piękno można ocenić tylko przy pełnym żołądku, ale przy pustym wszystkie myśli biegną jednym torem, a piękno wydaje się ułudą, gorzej nawet, szyderstwem.

Wracając do tego kiełkującego zboża, przypominam sobie pewien obrazek, który w całej pełni dał mi wyobrażenie panujących wszędzie braków i niedostatków. Któregoś popołudnia zeszłam do Fondi, w nadziei, że uda mi się kupić trochę chleba; gdy znalazłyśmy się w dolinie, przystanęłyśmy ze zdumienia na widok trzech niemieckich koni pasących się najspokojniej na polu zasianym zbożem. Pilnował ich żołnierz, nie mający żadnych odznak pułkowych, być może taki sam rosyjski zdrajca jak tamten, którego spotkałyśmy na szosie; siedział on beczynn timer na drewnianej barierce, bezmyślnie gryząc źdźbło trawy. Przyznaję szczerze, że nigdy jeszcze nie zrozumiałam tak dobrze jak w tej chwili, co to jest wojna, i tego,

że w czasie wojny serce nie jest już sercem, nie myśli się o bliźnich i wszystko jest możliwe. Był to jeden z tych pięknych, rozśłonecznionych, pełnych kwiatów dni, a my staliśmy wszyscy troje przy barierze i patrzyliśmy z otwartymi ustami na te trzy dorodne, wypasione konie, które nie zdając sobie sprawy z tego, co robią, szczypały delikatnie zboże, z którego, gdy dojrzeje, robi się chleb dla ludzi. Pamiętam, że w dzieciństwie rodzice mówili mi zawsze, iż chleb jest rzeczą świętą, że świętokradztwem jest rzucać go na ziemię i marnować; a teraz widziałam, że dano ten chleb na paszę dla koni, podczas gdy tylu ludzi w dolinie i w górach przymierało głodem. Michele odezwał się wreszcie, wyrażając właśnie to, co czułam: — Gdybym był wierzący, powiedziałbym, że przyszła apokalipsa, skoro konie pasą na polu zasianym zbożem. Ponieważ nie jestem wierzący, ograniczę się do powiedzenia, że przyszli naziści; a może zresztą to jedno i to samo.

Tego samego dnia, nieco później, mieliśmy jeszcze jedno potwierdzenie tego, czym są Niemcy, ci dziwni ludzie tak inni od Włochów, odznaczający się nawet pewnymi zaletami, ale których pomimo to trudno było nazwać ludźmi: brakowało im człowieczeństwa. Wstąpiliśmy na chwilę do domku adwokata, gdzie poprzednim razem spotkaliśmy tego obrzydliwego porucznika, który znajdował przyjemność w oczyszczaniu grot za pomocą miotacza ognia. Tym razem także zastaliśmy tam Niemca, pewnego kapitana, lecz adwokat powiedział od razu: — Ten nie jest taki jak inni, to naprawdę kulturalny człowiek, mówi

po francusku, mieszkał długie lata w Paryżu, a o wojnie myśli to samo co my. — Weszliśmy do baraku i kapitan, zwyczajem oficerów niemieckich, wstał i podał nam rękę, szurgając obcasami. Był to naprawdę dobrze wychowany człowiek, prawdziwy pan, łysawy, z szarymi oczyma, cienkim, arystokratycznym nosem; miał coś wyniosłego w wyrazie ust, był przystojny i można by wziąć go za Włocha, gdyby nie bijący od niego chłód i powściągliwość, czego nie mają w sobie Włosi. Mówił dobrze po włosku i zachwycił się Italią; oświadczył, że to jego druga ojczyzna, dokąd rokrocznie przyjeżdżał nad morze, na Capri, a wojna przynajmniej na to się przydała, że pozwoliła mu zwiedzić wiele innych miejscowości, których dotychczas nie znał. Poczęstował nas papierosami, dowiadywał się, kim jesteśmy ja i Rosetta, potem opowiadał nam o swojej rodzinie i pokazał nawet fotografię żony, ślicznej blondynki, oraz trojga dzieci, które wyglądały jak złotowłose aniołki. Chowając fotografię powiedział: — Teraz te dzieciaki są szczęśliwe. — Zapytaliśmy, dlaczego, a on odrzekł, że zawsze marzyły o tym, by mieć osiołka, i że on właśnie w tych dniach kupił w Fondi osiołka i posłał im go do Niemiec. Rozentuzjasmowany zaczął opowiadać szczegóły: znalazł właśnie takiego osiołka, jakiego szukał, sardyńskiej rasy, a ponieważ ssał on jeszcze pokarm matki, wysłał go do Niemiec wojskowym konwojem z żołnierzem, który miał go przez całą drogę poić mlekiem: w konwoju znajdowała się także krowa. Śmiał się, zadowolony, a potem dodał, że w tej chwili jego dzieci na pewno jeżdżą na osiołku i właśnie dlatego powiedział, że są szczęśliwe. My

wszyscy, łącznie z adwokatem i jego matką, nie wierzyliśmy własnym uszom: panowała klęska głodu, nie było nic do jedzenia, a ten wysłał do Niemiec osła każąc go karmić mlekiem, którego dzieci włoskie prawie nie widywały. Gdzie była ta jego miłość do Włoch i Włochów, jeśli nie zdawał sobie sprawy z tak prostej rzeczy? Pomyślałam sobie jednak, że nie zrobił tego w złej wierze; był to z pewnością najlepszy Niemiec, jakiego spotkałam dotychczas, i postąpił tak dlatego, że był Niemcem, a Niemcy, jak już wspomniałam, to dziwni ludzie, którzy mają tylko jednostronne zalety; można by porównać ich do drzew, które, rosnąc tuż przy murze, wypuszczają gałęzie tylko w jednym kierunku.

A tymczasem sytuacja żywnościowa stawała się coraz cięższa; Michele starał się nam dopomóc na wszystkie sposoby, czasem otwarcie przynosząc część swego śniadania czy kolacji, pod pełnym wyrzutu okiem rodziny, a czasem po kryjomu, podkradając zapasy ojcu. Gdy przyszedł do nas pewnego dnia i pokazałam mu nasz ostatni tycki bocheneczek chleba razowego, oświadczył, że od dzisiaj będzie nam po trochu dostarczał pieczywa, które jego matka trzyma w skrzyni. Tak też zrobił. Codziennie przynosił kilka kromek chleba, który był upieczony z czysto pszennej, bielutkiej mąki. W chwili obecnej jeden tylko jeszcze Filippo piekł ten luksusowy chleb, co nie przeszkadzało mu narzekać na nędzę i wmawiać wszystkim dokoła, że jego rodzina cierpi głód. Zdarzyło się pewnego dnia, że Michele przyniósł nam nie parę kromek, lecz kilka bochenków świeżo

wyjętych z pieca, w nadziei, że nikt się nie spostrzeże. Stało się inaczej, w domu zauważono od razu brak chleba i Filippo wrzeszczał wniebogłosy, iż skradziono mu zapasy, lecz nie przyznał się, że szło o chleb, bo stale trąbił wszystkim dokoła, że już nie ma mąki. Przeprowadził śledztwo fachowo niczym policjant; zmierzył szerokość i wysokość okna spiżarni; oglądał trawę badając, czy jest przydeptana, sprawdzał, czy ze ściany nie obsunęło się trochę wapna. W końcu, biorąc pod uwagę mały wymiar okna, doszedł do wniosku, że kradzieży dopuściło się dziecko, któremu jednak pomagać musiała dorosła osoba, samo bowiem nie wdrapałoby się tak wysoko. Jednym słowem, po zakończeniu śledztwa podejrzenie jego padło na Mariolina, synka jednego z uchodźców, i uznał, że chłopczyk musiał działać ręką w rękę ze swoim ojcem. Oczywiście Filippo nie był tego całkiem pewien, lecz jego żona i córka uwierzyły święcie, że złodziejem był Mariolino. Najpierw przestały się kłaniać jego ojcu i matce, nie widząc ich, jak gdyby byli powietrzem; potem zaczęły pozwalać sobie także na aluzje: — Smakował wam dzisiaj chlebek? — Albo: — Uważajcie na Mariolina... może sobie skręcić kark wdrapując się na cudze okna. — Aż pewnego dnia powiedziały bez ogródek: — Jesteście złodziejską rodziną, oto czym jesteście! — Powstała nieopisana awantura, wrzask słychać było w całym osiedlu. Żona uchodźcy, potargana, obdarta, drobna i schorowana kobiecina, krzyczała na całe gardło jedno i to samo: — No, dalej, dalej! — Nie wiem, co chciała przez to powiedzieć. Żona Filippa ze swej strony, przyskakując do tamtej, wołała: — Jesteś złodziejką! — Każda

powtarzała swoje i otoczone kręgiem uchodźców stały tak dłuższy czas naprzeciw siebie jak zaperzone kury. My tymczasem, akurat w tej samej chwili, nie bez pewnych wyrzutów, zajadałyśmy po ciemku chleb Filippa i każdemu naszemu kęsowi towarzyszył krzyk kłócących się kobiet. Nie mogę zaprzeczyć, że ten kradziony chleb wyjątkowo mi smakował, właśnie dlatego, że był kradziony i że jadłyśmy go po kryjomu. W każdym razie od tej chwili Michele stał się ostrożniejszy, podkradając od czasu do czasu tylko po kilka kromek chleba, co pozostało niezauważone, i nie było już więcej scen.

Minął pełen kwiatów kwiecień, w czasie którego na dobre zaczęliśmy zaciskać pasa, przyszedł maj, a z nim prócz głodu i rozpacz, klęska much i os. W naszej lepiance tyle było much, że przez cały dzień musiałyśmy je wypędzać; w nocy, gdy kładłyśmy się do łóżka, one spały także na sznurach, na których rozwieszałyśmy nasze sukienki, i tak gęsto je oblepiały, że były zupełnie czarne. Osy natomiast miały swoje gniazda pod dachem lepianki, wlatywały i wylatywały całymi rojami i nie można było ich tknąć, bo od razu cięły. Od rana do wieczora byłyśmy zlane potem, zapewne także i z osłabienia; gdy przyszły upały, może z tej prostej przyczyny, że nie mogłyśmy się myć do woli ani też nie miałyśmy się w co przebrać, zdałyśmy sobie nagle sprawę, że wyglądamy jak dwie żebraczki, te najędzniejsze, które nie mają już ani wieku, ani płci i żebrzą u wrót klasztornych. Nasze nieliczne sukienki były podarte i śmierdzące; nasze chodaki (już

od dłuższego czasu nie miałyśmy butów) przedstawiały godny politowania widok, połatane przez Parida strzępkami starego obicia samochodowego; a ta lepianka, która była schronieniem w zimie, teraz, w upały, przy tej inwazji much i os, w ogóle nie nadawała się na mieszkanie i była gorsza od więzienia. Rosetta, pomimo wrodzonej cierpliwości i łagodności charakteru, cierpiała w tych warunkach jeszcze dotkliwiej ode mnie, ponieważ ja urodziłam się i wyrosłam na wsi, a ona w mieście. Powiedziała mi pewnego dnia: — Ty, mamó, martwisz się ciągle o jedzenie... ale ja zgodziłabym się jeszcze przez rok cierpieć głód, bylebym tylko miała czystą sukienkę i mogła żyć w czystym domu. — Obecnie brakowało bowiem także i wody, ponieważ deszcz nie padał od kilku miesięcy; Rosetta nie mogła już wylewać sobie co rano na głowę kubła zimnej wody, choć teraz bardziej niż przedtem było jej to potrzebne.

W maju dowiedziałam się o czymś, co może dać pojęcie o rozpaczach, do jakiej doszli uchodźcy. W domu Filippa odbyło się zebranie, w którym wzięli udział sami tylko mężczyźni; podczas owego zebrania postanowiono, że jeśli w ciągu maja nie nadejdą Anglicy, uchodźcy, którzy wszyscy mieli broń, jedni rewolwery, inni myśliwskie dubeltówki, jeszcze inni po prostu noże, zmuszą chłopów dobrocią czy siłą, by oddali swoje zapasy do wspólnej puli. Michele także brał udział w zebraniu i, jak nam powiedział, z miejsca zaprotestował oświadczając, że w razie czego on stanie po stronie chłopów. Wówczas jeden z uchodźców odpowiedział mu: — Dobrze, wobec tego my potraktujemy cię jak chłopca i w

razie sprzeciwu będziemy cię uważali za jednego z nich. — Jednym słowem owo zebranie nie miało może większego znaczenia, uchodźcy bowiem w gruncie rzeczy nie byli złymi ludźmi, i wątpię, żeby potrafili zrobić użytek z broni; lecz fakt ten świadczy o tym, do czego doprowadziła ich rozpacz. Niektórzy z nich, jak się dowiedziałam, zamierzali opuścić Sant' Eufemia, teraz, kiedy zrobiło się już ciepło, i albo przedrzeć się przez front na południe kraju, albo iść na północ, gdzie nie brakowało żywności. Inni jeszcze myśleli o tym, by piechotą udać się do Rzymu, twierdzili bowiem, że na wsi można umrzeć z głodu, natomiast w mieście władze muszą ludziom pomóc w obawie przed rewolucją. Jednym słowem pod tym majowym słońcem wszystko wrzało, wszystko się rozpadało i każdy myślał tylko o sobie, tylko o własnej skórze. Wielu było takich, którzy woleli ryzykować życie niż gnić dalej na tym pustkowiu, w tym oczekiwaniu, które nie miało końca.

Nagle któregoś dnia przyszła wielka nowina: Anglicy zrobili wielką ofensywę i ruszyli naprzód. Nie umiem opisać radości uchodźców, którzy nie mogąc ani zjeść, ani wypić dla uczczenia tego wydarzenia, ściskali się, całowali i wyrzucali w powietrze kapelusze. Biedacy nie wiedzieli o tym, że zbliżanie się Anglików przyniesie nam nowe nieszczęścia. Prawdziwe trudności dopiero się miały zacząć.

ROZDZIAŁ VIII

Pamiętam, z czasów mego dzieciństwa, sklepikarza z naszej wsi, który posiadał kolekcję wszystkich numerów „Niedzieli Ilustrowanej”, z okresu tamtej wojny; przeglądaliśmy je często wraz z dziećmi sklepikarza. Było tam dużo kolorowych obrazków przedstawiających bitwy z 1915 roku. Być może właśnie dlatego wyobrażałam sobie bitwę tak, jak na tych rycinach: strzelają armaty, kurz, dym i ogień; żołnierze, biegnący do ataku z bagnetami w rękę i sztandarem powiewającym na czele oddziału; stosy trupów, padający na ziemię ranni, inni biegnący dalej naprzód. Muszę się przyznać, że podobały mi się te ilustracje, i wydawało mi się, że pomimo wszystko wojna nie jest znowu taka straszna. A raczej, że i owszem, jest straszna, ale jeśli ktoś chce wykazać odwagę, inicjatywę i pogardę śmierci, wojna stwarza mu ku temu najlepszą okazję. I myślałam także, że nie należy wierzyć, iż wszyscy miłują pokój. Jest wielu takich, którzy na wojnie czują się jak ryby w wodzie, choćby dlatego, że mogą pofolgować swoim gwałtownym i krwiożerczym instynktom. Tak rozumowałam, dopóki nie zobaczyłam na własne oczy prawdziwej wojny.

Pewnego dnia Michele przyszedł mi powiedzieć, że prze-
rwanie frontu przez Anglików jest już rzeczą dokonaną; lecz
mnie nie bardzo chciało się w to wierzyć, bo jak daleko oko
sięgało, nie widać było ani cienia bitwy. Dzień był piękny,
pogodny, po niebie przesuwano się tylko kilka różowych
obłoczków, zahaczających o szczyty gór, poza którymi
znajdowało się Itri, Garigliano, jednym słowem front. Na prawo
zieleniły się góry, majestatyczne w złotym blasku słońca; na
lewo, w głębi doliny, połyskiwało morze Jasnym, wesołym,
wiosennym błękitem. Gdzie toczyła się owa bitwa? Michele
odpowiedział mi, że walka toczy się od dwóch dni za górami
Itri. Nie chciałam w to wierzyć, ponieważ, jak już wspomniałam,
wyobrażałam sobie bitwę całkiem inaczej, i powiedziałam mu
to. Zaczął się śmiać i wyjaśnił, że nie ma już takich bitew, jakie
podziwiałam na okładkach „Niedzieli Ilustrowanej”. Daleko-
siężne działa i samoloty oczyszczały teren z nieprzyjacielskich
żołnierzy nawet w dużych odległościach od samego frontu.
Jednym słowem w dzisiejszych czasach bitwa przypominała
tępienie much za pomocą flitu i rozpylacza. W obecnej wojnie
ataki na bagnety i walka wręcz stały się rzeczą zbędną, męstwo
nie ma już znaczenia, wygrywa ta strona, która ma liczniejsze i
bardziej dalekonośne armaty, oraz szybsze i zwrotniejsze
samoloty. — Wojna została zmechanizowana — powiedział na
zakończenie Michele — a żołnierz spełnia właściwie tylko
funkcje dobrego mechanika.

A więc owa bitwa, której nie było widać, trwała może dzień albo dwa. Po czym, pewnego ranka, nagle zagrały armaty; wydawało się, że niebo rozpęknie się na dwoje, i musiały one strzelać z bardzo bliska, bo aż trzęsły się ściany naszej lepianki. Przerazona zerwałam się z łóżka i pobiegłam do drzwi, prawie przekonana, że zobaczę na dworze owe stosy trupów, o których wspominałam. Nic podobnego; dzień był jak wszystkie inne, pogodny i słoneczny. Jedyna różnica polegała na tym, że na horyzoncie, w głębi doliny, poza otaczającymi ją górami, wystrzelały w niebo czerwone niteczki, przypominające cienkie smużki krwi, które potem rozplływały się w błękicie. Jak mi tłumaczono, były to kule armatnie, których lot, ze względu na specjalne warunki atmosferyczne, widoczny był gołym okiem. Te czerwone ślady wyglądały jak cięcia brzytwą na niebie, które na moment nabiegają krwią i zaraz potem bledną. Najpierw widać było owo krwawe cięcie, zaraz potem dolatywał odgłos wystrzału, a następnie słyszeliśmy nad naszymi głowami wściekły gwizd i szum; prawie w tej samej chwili spoza góry dobiegał huk eksplozji, tak silny, że wszędzie dokoła rozbrzmiewało głucho echo. Strzelali nad nami, do kogoś czy czegoś, co znajdowało się po drugiej stronie. Jak wyjaśnił nam Michele, oznaczało to, że bitwa przesuwana się na północ i że dolina Fondi jest już uwolniona. Zapytałam, dokąd poszli Niemcy, a on odrzekł, że z całą pewnością uciekli w kierunku Rzymu. Jego zdaniem Anglicy szli już naprzód, a ich armaty bombardowały odwrót Niemców. Jednym słowem, choć znaj-

dowaliśmy się w centrum bitwy, nie widziałam ani rannych, ani stosów trupów, ani ataków na bagnety.

Tej nocy zobaczyliśmy nad Itri łunę, która chwilami stawała się szkarłatna, jak gdyby przeleciał po niej płomień; w dalszym ciągu widać było czerwone smugi pocisków armatnich, które na tle czarnego, rozgwieźdzonego nieba przypominały ognie bengalskie, tylko że w przeciwieństwie do tamtych nie rozpryskiwały się w kwiaty i korony; poza tym i huk był inny, donośniejszy, groźniejszy, nie taki wesoły jak przy fajerwerkach. Patrzyliśmy przez dłuższy czas na niebo, aż w końcu, śmiertelnie zmęczone, położyliśmy się do łóżka; zasnąłam późno, bo było bardzo gorąco, a przy tym Rosetcie usta się nie zamykały. Wczesnym rankiem zbudził nas straszliwy i bardzo bliski wybuch. Wskoczyliśmy z łóżka i zobaczyliśmy, że tym razem strzelano do nas. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że armaty są bez porównania groźniejsze od samolotów; samoloty przynajmniej widać, wie się, w którą stronę lecą, i zawsze można się na czas gdzieś schronić; lecz armaty są niewidoczne, stoją gdzieś poza linią horyzontu; ty ich nie widzisz, lecz one, że tak powiem, szukają cię i nie wiesz, gdzie uciekać, bo armata idzie za tobą ślad w ślad, nieomal wytyka cię palcem. Ten wybuch nastąpił tuż tuż, i za chwilę dowiedzieliśmy się, że pocisk padł koło domu Filippa. Przybiegł Michele wołając, że nasze wyzwolenie jest już kwestią godzin, lecz ja odrzekłam mu na to, że śmierć może być kwestią sekund. Wzruszył ramionami i oświadczył, że w tej chwili mamy już prawo uważać się za

nieśmiertelnych. Jak gdyby w odpowiedzi na jego słowa, dał się słyszeć w tej samej chwili ogłuszający huk. Zatrzęsła się ziemia i ściany, z pułapu posypały się odpryski wapna i kurz; zrobiło się tak ciemno, że przypuszczaliśmy przez moment, iż pocisk trafił w nasz dom. Wybiegliśmy na dwór i zobaczyliśmy wtedy, że pocisk padł nie opodal, na półko, tworząc olbrzymi lej i obsuwając ziemię dokoła. Wówczas Michele, nie powiem, że się przestraszył, lecz zrozumiał, iż miałam rację i naprawdę możemy zginąć lada sekunda. Kazał nam iść za sobą, mówiąc, że wie, dokąd nas zaprowadzić; trzeba, jak powiedział, schronić się na „martwym polu”. Pobiegliśmy na sam koniec półka i zatrzymaliśmy się dopiero koło zbudowanego z gałęzi szałas, który służył jako stajenka dla owiec i stał pod ścianą wystającej skały. — To jest „martwe pole” — powiedział Michele, zadowolony, że ma okazję zademonstrować swoją znajomość sztuki wojskowej — możemy tu sobie spokojnie usiąść na trawie... żaden pocisk nas tutaj nie dosięgnie. — Ładne mi martwe pole! Ledwie skończył mówić, znowu nastąpił potworny wybuch, otoczył nas dym i kurz, poprzez który zobaczyliśmy, jak szałas przechylił się na bok i pozostaje już w takiej pozycji; przechylony, wyglądał on w tej chwili jak te domki z kart stawiane przez dzieci. Tym razem Michele nie upierał się przy swoim „martwym polu”. Kazał nam paść na ziemię i nie podnosząc się zawołał: — Za mną do groty! Schowamy się w grocie, ale nie wstawajcie, czołgajcie się tak jak ja. — Posłuchałyśmy go i pełznąć wśliznęłyśmy się do groty. Owa grota znajdowała się tuż za szałasem, była ciasna i miała niskie

wejście; chłopci zrobili tutaj kurnik. Wystraszone kury gdacząc cisnęły się pod ścianą. Grota była za niska, by w niej stanąć, położyliśmy się więc wszyscy, jedno przy drugim, brudząc sobie ubrania kurzem łajnem, którym upstrzone było całe dno pieczary; a tymczasem kury zdążyły się oswoić z naszym towarzystwem i bezceremonialnie spacerowały po naszych rękach i głowach, dziobiąc nas we włosy. W dalszym ciągu słyhać było eksplozje wokół groty, a ja powiedziałam do Michela: — Całe szczęście, że koło martwego pola znalazła się ta pieczara. — Potem wybuchy stały się rzadsze i wreszcie umilkły; słyhać było tylko daleki huk dział, bombardujących teren poza Sant' Eufemia. Michele rzekł wówczas, że te pociski, które upadły obok szałas, musiały być wystrzelone nie przez Anglików, ale przez Niemców z moździerzy górskich o stromym torze. Powiedział też, że wobec tego, iż Niemcy przestali strzelać, możemy bezpiecznie wyjść z kryjówki, bo Anglicy nie w nas celują. Tak też zrobiliśmy; wyczołgaliśmy się z groty i wróciliśmy do domu.

Była już pierwsza godzina, pomyśleliśmy więc, że należy coś zjeść, choćby kawałek chleba z serem. Ledwie zdążyliśmy napocząć nasze kromki, wpadł zadyszany synek Parida mówiąc, że przyszli Niemcy. Z początku nie uświadomiliśmy sobie, o co chodzi, bo, rozumując logicznie, po tych wszystkich bombardowaniach powinni byli nadejść raczej Anglicy; przypuszczając, że dzieciakowi coś się pomyliło, zawołałam: — Chciałeś powiedzieć: Anglicy? — Nie, Niemcy. — Przecież Niemcy

uciekli. — A ja ci mówię, że przyszli. — W tej samej chwili zjawiał się Paride i wyjaśnił nam owo niezrozumiałe wydarzenie: istotnie nadeszła grupa uciekających Niemców, siedzą teraz na słomie, w cieniu szopy, i nie można zrozumieć, o co im chodzi. Powiedziałam do Michela: — Co nas obchodzą Niemcy? Czekamy teraz na Anglików, nie na Niemców... niech ich szlag trafi. — Lecz Michele nie usłuchał mnie, niestety; na słowa Parida zaświeciły mu się oczy; należy przypuszczać, że Niemcy prócz nienawiści wzbudzali w nim także zaciekawienie: myśl o tym, że zobaczy ich upokorzonych w ucieczce, podczas gdy dotąd widywał ich tylko zwycięskich i pysznych, podniecała go i cieszyła. Powiedział do Parida: — Chodźmy zobaczyć tych Niemców — i wyszedł. Rosetta i ja poszliśmy za nim.

Zgodnie z informacją Parida, zastaliśmy Niemców odpoczywających w cieniu szopy. Było ich pięciu i jeszcze nigdy w życiu nie widziałam ludzi tak wycieńczonych i tak obdartych jak oni. Leżeli wyciągnięci nieruchomo na słomie jak trupy. Trzech spało, a w każdym razie miało zamknięte oczy; czwarty szklanym wzrokiem wpatrywał się w niebo, a piąty zrobił sobie ze słomy oparcie pod głowę i patrzył prosto przed siebie. Zwróciłam uwagę zwłaszcza na tego ostatniego: był to typowy albinos, cerę miał różową i przejrzystą, oczy niebieskie, otoczone białymi rzęsami, włosy platynowe, gładkie i delikatne. Policzki miał szare od kurzu, a na nich wyżłobiony ślad jak by od łez, które spłynęły i potem zaschły; jego nozdrza były czarne, ubrudzone ziemią, usta spękane, oczy otoczone czerwoną

obwódka i podbite sinymi podkowami. Jak wiadomo, Niemcy mają zawsze mundury w porządku, czyste i wyprasowane, jak gdyby dopiero wyjęte z naftaliny. Ale mundury tych pięciu były wygniecione i porozpinane; zmieniły nawet kolor, pokrywała je bowiem gruba warstwa kurzu. Chłopi i uchodźcy otoczyli ich zwartym kręgiem, patrząc na nich w milczeniu tak, jak gdyby oglądali jakieś dziwaczne widowisko. Niemcy nie odzywali się ani słowa i leżeli bez ruchu. Michele podszedł więc do nich i zapytał, skąd przyszli. Powiedział to po niemiecku, lecz albinos nie poruszając głową, jak by jego szyja była przygwożdżona do oparcia ze słomy, odpowiedział cicho: — Możesz mówić po włosku... znam włoski. — Michele powtórzył więc pytanie po włosku i tamten odpowiedział, że idą prosto z frontu. Michele zapytał, co się stało. Albinos, leżąc dalej jak sparaliżowany, odrzekł ponuro, powoli skandując słowo za słowem, że są artylerzystami; że przez dwa dni i dwie noce bombardowały ich samoloty; że wyleciały w powietrze nie tylko ich armaty, ale cały teren, na którym się znajdowali; że zginęli prawie wszyscy ich towarzysze broni, a im nie pozostało nic innego jak ucieczka. — Front — rzekł na zakończenie — przesunął się na północ od Garigliano i my także musimy tam dotrzeć... jeszcze dalej na północ są góry i na tej linii będziemy mogli się utrzymać. — Tak więc, choć wyczerpani do ostatka, myśleli jeszcze o tym, by walczyć i odeprzeć atak wroga.

Michele zapytał wówczas, kto przerwał front, Anglicy czy Amerykanie; było to nieostrożne pytanie, bo albinos zaśmiał się

sucho i odrzekł: — A cóż to pana może obchodzić? Drogi panie, niech się pan zadowoli wiadomością, że pańscy przyjaciele nadejdą tu wkrótce, to wszystko. — Michele udał, że nie zauważa kryjącej się w tych słowach ironii i groźby, i spytał, w czym może im dopomóc. Albinos powiedział: — Dajcie nam coś do jedzenia.

Teraz nasze zapasy były już naprawdę na wyczerpaniu i przypuszczam, że wszyscy razem, z wyjątkiem Filippa, nie mieliśmy nawet całego bochenka chleba. Spoglądaliśmy na siebie skonsternowani, a ja zawołałam wyrażając głośno to, co każdy myślał sobie w duchu: — Do jedzenia? A kto wam może dać coś do jedzenia? Jeżeli Anglicy nie przyjdą natychmiast, wszyscy umrzemy z głodu. Poczekajcie i wy na Anglików, to wam dadzą jeść!

Zobaczyłam, że Michele machnął niecierpliwie ręką, jak gdyby chciał powiedzieć „głupia”, i zrozumiałam, że powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić. Niemiec patrzył na mnie tak przenikliwie, jak by chciał raz na zawsze zapamiętać sobie rysy mojej twarzy, i wycedził powoli: — Znakomita rada... czekać na Anglików. — Leżał jeszcze przez chwilę nieruchomo, po czym leniwie podniósł rękę i zaczął czegoś szukać pod marynarką. — Powiedziałem, że chcemy dostać coś do zjedzenia. — Trzymał teraz w dłoni wielki czarny rewolwer i celował w nas, w dalszym ciągu niedbale rozwalony na słomie.

Ogarnął mnie straszliwy lęk i bałam się nie tyle rewolweru, ile wzroku albinosa, który przypominał wzrok schwytanego w pułapkę dzikiego zwierza. Michele natomiast pozostał niewzruszony i spokojnie powiedział do Rosetty: — Biegnij do mego ojca i powiedz mu, żeby ci dał chleba dla niemieckich żołnierzy, którzy są głodni. — Wypowiedział te słowa z naciskiem, jakby chciał dać do zrozumienia Rosetcie, że ma powtórzyć Filippowi, iż Niemcy żądają chleba pod groźbą rewolweru. Rosetta pobiegła do domu Filippa.

Czekając na chleb, staliśmy nieruchomo, nie poruszając się z miejsca. Albinos po chwili zaczął mówić dalej: — Potrzebujemy nie tylko chleba... potrzebny jest nam ktoś, kto pójdzie z nami i wskaże drogę na północ, żebyśmy mogli połączyć się z naszą armią. — Michele odrzekł: — Trzeba iść tędy — wskazując na drogę biegnącą w góry. A albinos na to: — I ja widzę tę drogę. Ale my nie znamy gór, potrzebujemy przewodnika. Możemy wziąć na przykład tę dziewczynę. — Jaką dziewczynę? — Tę, która poszła po chleb. — Krew zakrzepła mi w żyłach na te słowa: gdyby zabrali Rosettę teraz, w szczytowym okresie wojennej zawieruchy, kto wie, kiedy bym ją znowu zobaczyła. Lecz Michele odpowiedział z miejsca, nie tracąc spokoju: — Ta dziewczyna nie jest z tych stron, zna góry tyle co i wy. — Wobec tego — rzekł Albinos — pan pójdzie z nami, drogi panie. Pan chyba pochodzi z tych stron. — Chciałam krzyknąć do Michela: — Powiedz, że jesteś nietutejszy! — ale nie zdążyłam. Zbyt prawy, by kłamać, odpowiedział: —

Pochodzę z tych stron, ale także ich nie znam. Zawsze mieszkałem w mieście. — Słyszając to albinos prawie się roześmiał i zawołał: — Gdyby wierzyć temu, co pan mówi, nikt z was nie zna tych gór. Pójdzie pan z nami. Zobaczy pan, że okaże się nagle, iż zna je pan jak własną kieszeń. — Michele nic na to nie odpowiedział, poruszył tylko lekko brwiami ponad okularami. A tymczasem wróciła Rosetta, zadyszana, z dwoma małymi bochenkami chleba, które położyła na słomie, po czym cofnęła rękę, tak jak się robi dając pożywienie dzikiemu zwierzęciu, do którego nie ma się zaufania. Niemiec zauważył ten gest i powiedział z nutą zniechęcenia w głosie: — Podaj mi chleb do ręki, nie jestem wściekłym psem, nie ugryzę cię. — Rosetta podniosła chleb i podała mu go. Niemiec schował rewolwer, wziął chleb i usiadł.

Usiedli teraz także jego towarzysze, którzy, jak się okazało, nie spali i słyszeli wszystko, co się dokoła dzieje. Albinos wyciągnął z kieszeni nóż, pokroił obydwie bochenki na pięć równych części i obdzielił nimi kolegów. Jedli bardzo powoli, a my przyglądaliśmy się im w milczeniu. Gdy skończyli się posilać, a trwało to dość długo, bo jedli ten chleb po okruszynie, jedna z chłopek podała im wodę w miedzianym naczyniu. Każdy z nich wypił po kilka warząchw, musieli po prostu umierać z głodu i pragnienia. Potem albinos znowu wyciągnął rewolwer.

— A teraz — powiedział — trzeba już iść, robi się późno. — Zwrócił się z tymi słowami do swoich towarzyszy, którzy

zaczęli powoli wstawać. Następnie powiedział do Michela: — Pan pójdzie z nami, by wskazać nam drogę.

Zamarliśmy wszyscy, myśleliśmy bowiem, że Niemiec chciał tylko napędzić Michelowi strachu, mówiąc przed chwilą, że weźmie go za przewodnika. A tymczasem okazało się, że mówił na serio. Był wśród nas także Filippo, który przybiegł razem z Rosettą i w milczeniu przyglądał się jedzącym Niemcom. Lecz teraz, gdy zobaczył, że albinos mierzy w Michela z rewolweru, jęknął głośno i z odwagą, o jaką nikt by go nie podejrzewał, zasłonił syna swoim ciałem:

— To mój syn! Rozumiecie? To mój syn!

Albinos nic nie powiedział, tylko zrobił rewolwerem taki gest, jak gdyby chciał odpędzić muchę. Oznaczało to, że Filippo ma się odsunąć. Ale Filippo krzyknął: — Mój syn nie zna gór, przysięgam na Ewangelię! On czyta, pisze, studiuje, skąd miałby znać góry?

Albinos rzekł twardo: — Pójdzie z nami i kwita. — Wstał teraz i nie opuszczając rewolweru, poprawiał sobie drugą ręką pas.

Filippo spojrział na niego takim wzrokiem, jak gdyby nie rozumiał, o co chodzi. Zobaczyłam, że przełyka ślinę i oblizuje wargi, widocznie miał uczucie, że się dusi; sama nie wiem czemu, przypomniałam sobie właśnie wtedy zdanie, które tak lubił powtarzać: — Tu nie ma głupich. — Biedaczysko, nie był

w tej chwili ani chytry, ani głupi, był ojcem i tyle. Wyglądał przez chwilę jak nieprzytomny, po czym ryknął: — Weźcie mnie! Weźcie mnie na miejsce mojego syna. Ja znam góry. Zanim zostałem kupcem, byłem handlarzem wędrownym. Chodziłem po tych górach setki razy. Zaprowadzę was za rękę do waszego dowództwa. Znam wszystkie najwygodniejsze ścieżki, wszystkie ukryte przejścia. Zaprowadzę was, przysięgam. — Potem zwrócił się do żony mówiąc: — Ja pójdę. Nie martwcie się o mnie. Wrócę jutro przed zapadnięciem nocy. — Chcąc okazać swoją gotowość nie tylko w słowach, podciągnął nogawki od spodni, podszedł do Niemca i kładąc mu rękę na ramieniu rzekł ze sztuczną swobodą: — No, to chodźmy już, mamy przed sobą ładny szmat drogi.

Ale Niemiec był innego zdania i powiedział spokojnie: — Pan jest za stary. Pójdzie pański syn, to jego obowiązek — i odsuwając Filippa lufą rewolweru, podszedł do Michela dając mu znak, by ruszył naprzód. Ktoś krzyknął: — Michele, uciekaj! — Trzeba wam było widzieć Niemca! Pomimo krańcowego osłabienia, odwrócił się błyskawicznie w stronę, skąd dobiegł krzyk, i strzelił. Na szczęście trafił tylko w kamień leżący nie opodal na półku, lecz i tak osiągnął zamierzony cel, bo sterroryzował wszystkich tym wystrzałem. Wystraszeni ludzie rozpierchli się w różne strony, po czym jednak zgromadzili się znowu, tylko nieco dalej, patrząc w milczeniu na Niemca, który popychał przed sobą Michela, stukając go lufą rewolweru między łopatki. Odeszli, a mnie ta cena tak wryła się w

pamięci, że widzę ją, jak by to było dzisiaj: Niemiec z wyciągniętym rewolwerem w ręku, idący przed nim Michele, i przypominam sobie nawet, że jedna nogawka od spodni, dłuższa, zakrywała mu obcas, druga natomiast odsłaniała kostkę. Szli wolno, Michele miał może jeszcze nadzieję, że obronimy go, że rzucimy się na Niemców, dając mu możliwość ucieczki; biedaczysko tak powłóczył nogami, jak gdyby był skuty w kajdany. Orszak czterech Niemców, z Michele i albinosem na czele, przedelfilował przed nami prowadzącą do doliny drogą, po czym znikł za drzewami. Filippo, który tak samo jak inni uciekł na odgłos wystrzału, a potem zatrzymał się nie opodal, teraz, widząc, że Michele znika mu z oczu, wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk i rzucił się gwałtownie do przodu. Chłopi i uchodźcy dogonili go w mgnieniu oka i chwycili za ręce, a on ryczał jak dziki zwierz, powtarzając imię syna i zachłystując się od płaczu; łzy wielkie jak groch spływały mu po policzkach. Nadbiegły także matka i siostra Michela, które do tej chwili jeszcze nie mogły uświadomić sobie tego, co się stało; gdy w końcu uwierzyły w straszną rzeczywistość, i one zaczęły szlochać wzywając po imieniu Michela. Siostra płakała głośno zawodząc: — Właśnie teraz, kiedy kończy się wojna... właśnie teraz. — Nie wiedzieliśmy, jak ich pocieszać, bo wobec prawdziwego cierpienia i prawdziwego nieszczęścia, na które nie ma ratunku, zbędne są wszelkie słowa. Wreszcie Filippo zdołał się opanować, objął żonę ramieniem i prowadząc ją w stronę domu, powiedział: — Zobaczysz, że on wróci... na pewno... nie może nie wrócić... pokaże im drogę i wróci. —

Córka płacząc przytakiwała ojcu: — Zobaczysz, mamó, że wróci jeszcze przed wieczorem. — Lecz matka powiedziała to, co w takich wypadkach często mówią matki i co, niestety, przeważnie się sprawdza, bo przeczucie matczyne nie myli: — Nie, nie, wiem, że on nie wróci, czuję, że nigdy go już nie zobaczę.

A teraz muszę wyznać, że w tym ogólnym zamięcie, wywołanym bombardowaniem, klęską Niemców, przerwaniem frontu, i perspektywą opuszczenia Sant' Eufemia, nie przejęłam się tym uprowadzeniem Michela tak, jak by należało. My także wierzyłyśmy, a raczej chciałyśmy wierzyć, że on na pewno wróci; być może dlatego, że czułyśmy, że gdybyśmy nie wierzyły w jego powrót, nie potrafiłybyśmy w całej pełni podzielać bólu Festów: nasze myśli i nasze serca były gdzie indziej. Obydwe myślałyśmy tylko o tym, na co czekałyśmy od tak dawna, o wyzwoleniu; nie zdawałyśmy sobie sprawy, że dla nas strata Michela była czymś ważniejszym nawet od wyzwolenia, a przynajmniej powinna była zaprawić je smutkiem i goryczą. Ale tak już jest: egoizm drzemał, dopóki istniało niebezpieczeństwo, lecz gdy tylko minęło, zaraz dał znać o sobie. Wracając do domu po zniknięciu Michela, pomyślałam sobie, jakie to szczęście, że Niemcy zabrali jego, a nie Rosettę i że ta sprawa dotyczy właściwie tylko rodziny Michela, bo my i tak lada dzień rozstałybyśmy się z nim na zawsze. Miałyśmy przecież wrócić do Rzymu, rozpocząć normalne życie i pewnie tylko od czasu do czasu wspominałybyśmy nasz pobyt w górach, mówiąc może jedna do drugiej: — Pamiętasz Michela? Bóg wie,

co się z nim stało... A pamiętasz Filippa, jego żonę i córkę? Ciekawa jestem, co teraz porabiają.

Tej nocy pomimo upału spałyśmy mocno przytulone do siebie, zapewne dlatego, że nie ustawał huk dział, pociski padały niedaleko i wydawało nam się, że gdyby jeden z nich w nas trafił, to przynajmniej zginęłybyśmy razem. A zresztą drzemaliśmy raczej, niż spały, bo ilekroć zabrzmiał silniejszy wybuch, siadałyśmy wystraszone na łóżku lub też budziłyśmy się bez żadnej przyczyny, po prostu ze zdenerwowania. Rosetta niepokoiła się o Michela; i teraz rozumiem, że ona, w przeciwieństwie do mnie, zdawała sobie sprawę, że jego zniknięcie nie jest błahym wydarzeniem, jak starałam się w nią wmówić. Co chwila pytała mnie po ciemku: — Mamo, co oni zrobią z Michelelem? — albo: — Mamo, czy ty naprawdę myślisz, że on wróci? — albo jeszcze: — Mamo, co się stanie z tym biednym Michelelem? — Odpowiadałam jej raz to, raz owo, byle tylko ją uspokoić. Wreszcie zniecierpliwiona powiedziałam: — A teraz śpij, niewiele mu pomożesz tym, że nie śpisz. Zresztą jestem pewna, że oni nie zrobią mu nic złego. Na pewno teraz już wraca do Sant' Eufemia. — Rosetta powiedziała jeszcze na wpół śpiąc: — Biedny Michele — po czym naprawdę zasnęła.

Rano, gdy się obudziłam, zobaczyłam, że nie ma przy mnie Rosetty. Wybiegłam z domu, było dość późno, słońce stało wysoko na niebie; armaty już nie strzelały, a w Sant' Eufemia panował nieopisany ruch. Uchodźcy kręcili się po całym osiedlu, żegnając się z chłopami i dźwigając swoje rzeczy; niektórzy z

nich schodzili już drogą prowadzącą do Fondi. Ogarnęło mnie nagle straszliwe przerażenie, że z jakiegoś niewiadomego powodu Rosetta zniknęła tak samo jak Michele, i zaczęłam biegać na wszystkie strony, głośno ją nawołując. Nikt mnie nie słuchał, nikt nie zwracał na mnie uwagi i uświadomiłam sobie w pewnej chwili, że moja obojętność dla Michela obróciła się przeciwko mnie: Rosetty nie było, a inni, zajęci swoimi sprawami, nawet nie chcieli mnie wysłuchać. Kiedy zaczynałam już popadać w czarną rozpacz, Luisa, żona Parida, wyjrzała z szafasu wołając: — Czego chcesz od Rosetty? Siedzi u nas przy stole i zajada polentę. — Odetchnęłam i także poszłam do szafasu; usiadłam wraz z innymi przy stole, na którym stała waza z polentą. Jak zazwyczaj wszyscy milczeli, ja także nie powiedziałam ani słowa. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się Paride: — Tak więc wracacie do miasta i znowu będziecie żyły po pańsku... a my zostajemy i dalej będziemy klepać biedę. — Wytarł usta, nabrał warzachwią wody, napił się i wyszedł jak zwykle bez pożegnania. Powiedziałam rodzinie Parida, że idziemy się teraz pakować i wrócimy jeszcze pożegnać się z nimi, po czym wyszłam razem z Rosettą.

Miałam teraz jedno tylko wielkie pragnienie, niecierpliwe i radosne: jak najprędzej się stąd wydostać. Pomimo to powiedziałam, sama nie wiem dlaczego: — Trzeba będzie wstąpić do Festów i dowiedzieć się, co u nich słychać. — Powiedziałam to z niechęcią, było bowiem całkiem prawdopodobne, że Michele nie wrócił, i rozpacz ich mogła zakłócić moją radość. Lecz

Rosetta odpowiedziała spokojnie: — Nie ma już Festów. Wyszli dziś rano o świcie. Michele nie wrócił. Mają nadzieję, że odnajdą go w mieście. — Na te słowa poczułam ogromną ulgę, niemniej egoistyczną od doznanej przed chwilą niechęci, i zawołałam: — No więc nie pozostaje nam nic innego, jak pakować manatki i ruszać w drogę.

— Wtedy Rosetta dodała: — Wstałam raniutko, tyś jeszcze spała, i poszłam do Festów. Zastałam ich w rozpacz. Ten piękny dzisiejszy dzień dla nich jest dniem żałoby, bo Michele nie wrócił. — Zamilkłam na chwilę, ponieważ zawstydziłam się nagle i pomyślałam sobie, o ile lepsza ode mnie jest Rosetta: zerwała się o świcie, by iść do Festów, i nie obawiała się jak ja, że ich smutek zatruje jej radość. Uścisnęłam ją mówiąc: — Córeczko złota moja, jesteś lepsza od swojej matki... zrobiłaś to, czego ja nie miałam odwagi zrobić. Ja jestem taka szczęśliwa, że skończył się ten koszmar, że prawie się bałam iść do Festów. — Odpowiedziała mi tak: — Nie zrobiłam tego z poczucia obowiązku, tylko dlatego, że kochałam Michela. Nie mogłabym do nich nie iść. Przez całą noc nie zmrużyłam oka, bo ciągle o nim myślałam. Niestety jego matka miała rację: nie wrócił.

Należało teraz jak najszybciej wyruszyć w drogę. Gdy znalazłyśmy się w naszej izdebce, wyciągnęłyśmy spod łóżka dwie fibrowe walizki, przywiezione z Rzymu, i włożyłyśmy do nich nędzne i nieliczne łaszki: parę spódnic, swetry, które same zrobiłyśmy szydełkiem z chłopskiej wełny, kilka par pończoch, chustki do nosa. Zapakowałam też resztę naszych zapasów, to

znaczy owczy ser, kupiony od ewangelików, kilogram pstrokatej fasoli i mały bochenek chleba, upieczony z razowej mąki z domieszką kukurydzy. Wahałam się, czy mam zabrać kilka talerzy i szklanek, kupionych od chłopów, w końcu postanowiłam, że je im zostawię, porządnie ustawiłam je na parapecie naszego okna. To było wszystko; po zamknięciu walizek usiadłam na chwilę obok Rosetty na łóżku, rozglądając się po izdebce, która już robiła wrażenie pustej i opuszczonej. Nie czułam już w tej chwili owego radosnego zniecierpliwienia, wprost przeciwnie, ogarnął mnie smutek. Myślałam sobie, że te brudne ściany, to zabłocone klepisko związane są nierozzerwalnie z najbardziej gorzkimi i najstraszniejszymi dniami mojego życia, i cierpiałam, że się z nimi rozstaję, choć tego pragnęłam. Te dziewięć miesięcy, które spędziłam w tej izbie, przeżywałam dzień po dniu, godzina po godzinie, minuta po minucie, w nateżeniu nadziei i rozpacz, lęku i odwagi, to chcąc żyć, to znów pragnąc śmierci. A przede wszystkim czekałam na wyzwolenie, na które czekały też miliony innych ludzi. I wtedy zrozumiałam nagle, że ten, kto czeka na coś takiego, żyje mocniej i prawdziwiej od człowieka, który nie czeka na nic. I uogólniając to spostrzeżenie, pomyślałam też, że to samo można powiedzieć o wszystkich ludziach czekających na wydarzenia wielkiej wagi, jak powrót Chrystusa na ziemię czy zwycięstwo sprawiedliwości na całym świecie. Powiem prawdę, że gdy wyszłam z tej izdebki, by nigdy więcej tu nie wrócić, wydało mi się, że opuszczam jakieś prawie święte miejsce, ponieważ tyle tu

przecierpiałam, czekałam i wierzyłam nie tylko dla siebie, ale i dla innych.

Położyłyśmy sobie walizki na głowie i ruszyłyśmy w stronę szałasów, by pożegnać rodzinę Parida. W tej samej chwili ludzie, znajdujący się na pólku, zaczęli uciekać na wszystkie strony. Tym razem jednak nie były to armaty, które huczały z bardzo daleka jak grzmoty przed nadchodzącą burzą, tylko regularny terkot, wściekły i suchy, który zdawał się dobiegać z lasu, znajdującego się na szczycie góry. Jeden z uchodźców przystanął na moment, krzyknął: — Karabiny maszynowe! — i uciekł. Wszyscy zdążyli się już pochować w grotach i innych zakamarkach, tylko my dwie stałyśmy na polu, a terkot nie umilkł, wprost przeciwnie, stawał się coraz donośniejszy. Pomyślałam w pierwszej chwili, że powinnyśmy się także gdzieś ukryć, lecz zaraz potem ogarnął mnie bunt: nie, teraz, kiedy nareszcie miałyśmy zejść do Fondi, nie będę zaczynała znowu tego pełnego lęku życia, jakie prowadziłam przez dziewięć miesięcy. Wściekła, powiedziałam Rosecie: — Wiesz, co ci powiem? Gwiżdżę sobie na karabiny maszynowe. Idziemy! — Rosetta nie sprzeciwiła się, na skutek nudy i otepienia ona także nabrała odwagi. Zrezygnowałyśmy więc z pożegnania chłopów, którzy gościli nas przez tyle czasu, a teraz Bóg wie, gdzie się skryli, i nie zwracając uwagi na karabiny maszynowe skręciłyśmy na drogę prowadzącą do doliny.

Schodziłyśmy coraz niżej, pólko po pólku, i w miarę oddalania się od Sant' Eufemia nabierałam coraz większej

pewności, że dobrze zrobiliśmy nie szukając żadnej kryjówki, terkot bowiem ustał i wszystko dokoła wyglądało normalnie. Był piękny dzień majowy, podobny do wszystkich innych; słońce silnie przygrzewało, żywopłoty pachniały dzikimi różyczkami i kurzem, brzęczały w nich pszczoły, jednym słowem, nic nie przypominało wojny.

Ale wojna była i bardzo szybko dała znać o sobie. Przede wszystkim spotkałyśmy dwóch żołnierzy i od razu pomyślałam sobie, że to muszą być Amerykanie, orientując się raczej po ich języku niż po mundurach, które widziałam po raz pierwszy. Byli to dwaj młodzi chłopcy, drobni i ciemni, prawie wpadli na nas, wychodząc z lasu. Jeden z nich zawołał: — Hello — czy coś w tym rodzaju, drugi także powiedział kilka słów po angielsku, których nie zrozumiałam. Minęli nas, zeszli z drogi i zaczęli wspinać się pod górę lasem, pochyleni do przodu, z karabinami w rękę, spoglądając w stronę szczytu, skąd dochodził przedtem terkot karabinów maszynowych. Byli to pierwsi Amerykanie, z jakimi zetknęłyśmy się, a spotkałyśmy ich przypadkiem: kiedy teraz o tym myślę, uważam, że cała wojna jest jednym wielkim przypadkiem. Niczego nie można przewidzieć, obliczyć; robisz krok w lewo — giniesz, krok w prawo — jesteś ocalony. Powiedziałam do Rosetty: — Widziałaś? To Amerykanie. — A Rosetta: — Ja myślałam, że oni są wysocy i mają jasne włosy, a ci dwaj byli niscy bruneci. — Nie wiedziałam, co jej na to odpowiedzieć; dopiero później dowiedziałam się, że w wojsku amerykańskim służą żołnierze wszystkich ras i wszystkich

kolorów, biali i czarni, blondyni i bruneci, wysocy i niscy. Ci dwaj byli zapewne Amerykanami włoskiego pochodzenia, bo wielu takich spotykałam potem w tych stronach.

Schodząc niżej, zobaczyłyśmy także punkt sanitarny nie opodal drogi. W cieniu ogromnego dębu stał namiot i szafka z lekarstwami; kręciło się tam kilku żołnierzy, a dwóch niosło właśnie na noszach rannego towarzysza. Przystanęłyśmy, by się im przyjrzeć. Skręcili właśnie z drogi do namiotu, ostrożnie niosąc nosze. Ranny żołnierz miał zamknięte oczy, robił wrażenie nieżywego. Lecz musiał jeszcze żyć, bo koledzy, którzy go nieśli, perswadowali mu, żeby był cierpliwy, bo już dochodzą na miejsce. Wtedy ranny leciutko poruszył głową, jak gdyby dawał im znać, że zrozumiał i żeby się o niego nie martwili. Powiedziałam Rosecie: — Musiały go zranić te karabiny maszynowe... mogło się nam to samo przydarzyć. — Myślę, że powiedziałam to dlatego, by się upewnić, że owe karabiny maszynowe naprawdę istniały. Lecz mimo to nie byłam jeszcze o tym całkiem przekonana. A więc, półko po półku, zeszłyśmy na sam dół do skrzyżowania dróg, gdzie stał domek, w którym mieszkał niegdyś biedny Tommasino. Gdy byłyśmy tu ostatnim razem, zastałyśmy kompletną pustkę, jak zresztą we wszystkich miejscach opanowanych przez Niemców, przed którymi ludność uciekała jak przed zarazą. Teraz roiło się tu od ludzi, chłopów i uchodźców, którzy tak samo jak my schodzili z gór wracając do swoich domów. Jedni szli pieszo, inni jechali na osłach lub na mułach. Wmieszałyśmy się w tłum. Wszyscy byli

weseli, ożywieni i rozmawiali z sobą tak, jak gdyby się od dawna znali. Wszyscy mówili: — Skończyła się wojna, skończyły się wszystkie nieszczęścia, przyszli Anglicy, wróci dobrobyt. — Wszyscy zdawali się już nie pamiętać, ile przez ten rok przecierpieli. Doszliśmy wraz z tym tłumem do rozstajnych dróg, gdzie szosa główna krzyżowała się z boczną, prowadzącą w góry, i tutaj spotkaliśmy pierwszy oddział amerykańskich żołnierzy. Szli gęsiego i tym razem byłam pewna, że to naprawdę Amerykanie, bo wyglądali zupełnie inaczej niż Niemcy czy Włosi. Szli przed siebie jak gdyby niechętnie, miękkim, rozlazłym krokiem; każdy miał inaczej nałożony hełm, który u jednych nasunięty był na oczy, a u innych prawie zwisał na szyi; wielu miało zawinięte po łokcie rękawy koszuli, a wszyscy żuli gumę. Odniosłam wrażenie, że wojują niechętnie, ale zarazem z odwagą, że to są ludzie, którzy urodzili się nie po to, by walczyć na wojnie, jak na przykład Niemcy. Najwyraźniej robili to tylko z musu. Nie patrzyli na nas; było jasne jak słońce, że od czasu, gdy wylądowali we Włoszech, zdążyli się już dość napatrzyć na te górskie drogi, na tłumy bezdomnych ludzi wlokących się z tobołkami, i że, jak się to mówi, guzik ich to obchodziło. Szli bez końca, w kierunku gór, wolno, jednostajnie, ciągle tym samym krokiem. Na ostatku maszerowało kilku maruderów i ci wyglądali na najbardziej zmęczonych i markotnych. Minęli nas wreszcie i mogłyśmy skrócić na główną szosę.

Szosa ta prowadziła do Monte San Biagio, miasteczka położonego w górach, zamykających od północy dolinę Fondi, lecz my doszliśmy tylko do tego miejsca, gdzie owa szosa łączyła się z Via Appia. Gdyśmy się tam znalazły, otworzyliśmy usta ze zdumienia na widok maszerującej przed nami armii amerykańskiej. Cała droga zawałona była po prostu wszelkimi możliwymi pojazdami mechanicznymi, które były wszystkie pomalowane na zielono i miały białą pięcioramienną gwiazdę amerykańską. Ta gwiazda wygląda całkiem inaczej niż włoska, która podobno przynosi szczęście, ale tylko szczęście; tamta natomiast robiła wrażenie potężnej, napawającej otuchą tych, których wiodła naprzód. Na szosie panował taki ścisk, że owe pojazdy prawie stały w miejscu. Były tam małe otwarte samochody, całe z żelaza, pełne żołnierzy, którzy siedzieli trzymając karabiny między nogami; olbrzymie opancerzone czołgi, których sterczące do góry lufy armatnie dotykały gałęzi rosnących przy drodze platanów; ciężarówki mniejsze i większe, jedne odkryte, inne przykryte plandekami; małe czołgi, przypominające zabawki, ale także opancerzone w wycelowane do góry lufy; a nawet całe wagony, ogromne, z karabinami, w których było widać tablice pełne guzików, przełączników i kabli elektrycznych. Nie skłamię, jeśli powiem, że kto nie widział jadącego drogą wojska amerykańskiego, nie może mieć pojęcia o tym, co to jest wojsko. Ta rzeka pojazdów mechanicznych, ozdobionych białymi gwiazdami, bardzo wolno posuwała się naprzód, zatrzymując się co chwila, jak samochody na Corso w Rzymie w godzinach największego ruchu. I wszędzie było pełno

żołnierzy oblepiających czołgi, ciężarówki, samochody; niektórzy z nich siedzieli, inni stali, ale wszyscy mieli taki sam wyraz twarzy, spokojny, obojętny, prawie znudzony i wszyscy żuli gumę, nawet ci, którzy czytali gazetki obrazkowe. Między samochodami i czołgami przejeżdżały od czasu do czasu motocykle; motocykliści, jadący pojedynczo albo parami, ubrani byli w skórzane kurtki i oni tylko szybko pędzili naprzód, zręcznie wymijając innych; wyglądali jak psy owczarskie, żwawo uwijając się wśród olbrzymiego, powolnego stada. Patrząc na ten pochód maszyn, jadących tak blisko siebie, że gdyby rzucić pomiędzy nie monetę, nie upadłaby na ziemię, dziwiłam się, że nie wykorzystują tego Niemcy i nie nadlatują samolotami, by zrobić masakrę. I to przede wszystkim uświadomiło mi, że Niemcy już przegrali wojnę i nikomu więcej nie wyrządzą krzywdy, bo wyrwano im zęby i pazury, którymi w czasie wojny są samoloty oraz armaty. A przy tym raz jeszcze zdałam sobie sprawę, co to jest nowoczesna wojna. Nie ataki na bagnety, które tak podziwiałam na ilustracjach tygodników z 1915 roku, lecz akcja prowadzona na odległość: najpierw samoloty i działa, które oczyszczają teren ogniem i bombami; potem pochód wojsk, które rzadko kiedy stykają się z wrogiem i jadą sobie wygodnie w samochodach z karabinem między nogami, żując gumę i czytając gazety. Ktoś powiedział mi później, że te formacje poniosły wielkie straty w ludziach, lecz nie w bezpośredniej walce z nieprzyjacielem, tylko od ognia zaporowego armat, którym usiłowano ich zatrzymać.

Nie można było nawet marzyć, żeby iść tą drogą lub przedostać się na drugą stronę, byłoby to zupełnie to samo, co chcieć przejść przez rzekę w miejscu, gdzie prąd jest najbardziej wartki. Tak więc zawróciliśmy, jak i wielu innych uchodźców, i gdy doszliśmy do bocznej drogi, skierowałyśmy się ku miastu. Znalazłyśmy się tam w dziesięć minut, ale zobaczyłyśmy, że i tutaj nie ma po co się zatrzymywać. Wszystkie domy były zrujnowane, zostały po nich tylko kupy gruzów, a na pustych placach potworzyły się szerokie rozlewiska cuchnącej wody; na nielicznych miejscach suchych i wolnych od gruzów kręciła się niezliczona ilość żołnierzy amerykańskich, chłopów i uchodźców. Wyglądało to jak wielki targ, tylko że nie było nic do kupienia ani do sprzedania oprócz nadziei lepszego jutra; lecz ci, którzy mogli sprzedać tę nadzieję, czyli Amerykanie, byli obojętni i trzymali się z daleka, a ci, którzy by chcieli ją kupić, chłopci i uchodźcy, nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. Zaczepiali Amerykanów, zwracając się do nich po włosku, a tamci odpowiadali im po angielsku. Chłopci i uchodźcy odchodzili zawiedzeni i zagadywali innych żołnierzy, zawsze z tym samym skutkiem.

Przed jednym z domów, który nie wiadomo jakim cudem pozostał nietknięty, zobaczyłam tłum ludzi i podeszłam bliżej. Na balkonie drugiego piętra stało kilku Amerykanów, którzy ciskali garściami na ulicę cukierki i papierosy; ludzie rzucali się na nie, biorąc się za łby i tarzając w kurzu, co było po prostu bezwstydne. Widać było, że w gruncie rzeczy nie zależy im na

tych cukierkach i papierosach, ale pomimo to biją się o nie, bo czują, że tego właśnie oczekują od nich Amerykanie. Jednym słowem już w ciągu tych kilku godzin stworzyła się owa atmosfera, którą później miałam możliwość obserwować w Rzymie w okresie okupacji amerykańskiej: Włosi prosili o towary, by zrobić przyjemność Amerykanom, Amerykanie dawali je, by zrobić przyjemność Włochom, i żadna ze stron nie orientowała się, że nikomu nie sprawia to przyjemności. Przypuszczam, że tych rzeczy nikt nie chce, a dzieją się same z siebie, jak gdyby na skutek niemego porozumienia. Amerykanie byli zwycięzcami, Włosi zwyciężonymi — i to wystarczyło.

Przystąpiłam do wojskowego samochodu stojącego wśród tego tłumu; siedziało tam dwóch żołnierzy, jeden rudy, piegowaty, o niebieskich oczach, a drugi brunet z pożółkłą twarzą, cienkim nosem i wąskimi ustami. — Powiedzcie mi, jak się dostać do Rzymu? — zapytałam. Rudy nawet nie spojrzał na nas, żuł gumę, pochłonięty czytaniem gazety; ale brunet pogrzebał w kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów. — Nie chcemy papierosów — zawołałam — jesteśmy niepalące... powiedzcie nam tylko, jak dojechać do Rzymu.

— Rzym? — powiedział na koniec brunet. — Rzym, nie.

— Dlaczego? — Niemcy w Rzymie. — Znowu sięgnął do kieszeni, wydając dla odmiany cukierki. Nie wzięłam cukierków i powiedziałam mu tak: — Jeżeli nam chcesz coś dać, to daj bochenek chleba, cukierków nie potrzebujemy. Chcesz nam

osłodzić naszą poniewierkę? Nie da rady, za gorzka. — Nie zrozumiał i wyciągnął z torby aparat fotograficzny, pokazując na migi, że chce nam zrobić zdjęcie. Tym razem straciłam cierpliwość i krzyknęłam: — Chcesz nas fotografować w tych łańchmanach, w których wyglądamy jak żebraczki? Nie, mój kochany, schowaj swój aparat. — Ponieważ nalegał dalej, wzięłam aparat i położyłam go na siedzeniu samochodu, jak gdybym mówiła: — Zostaw. — Zrozumiał nareszcie i zwrócił się do swojego towarzysza mówiąc coś po angielsku, tamten odburknął mu niechętnie, nie podnosząc oczu znad gazety. Potem brunet kiwnął na nas, byśmy wsiadły do samochodu, co zrobiłyśmy natychmiast, a rudy, jak by dopiero teraz otrząsnął się ze snu, chwycił za kierownicę i puścił w ruch motor. Tłum rozstał się, samochód ruszył jak strzała, jadąc na przełaj przez miasto po gruzach i kałużach; widać było, że to wojskowy samochód, dla którego nie istnieją przeszkody. Brunet tymczasem przyglądał się stopom Rosetty, które były obute w chodaki, tak samo zresztą jak moje. Na koniec zapytał: — Buty? — i schylił się dotykając ręką chodaków, potem skrzyżowanych na kostkach sznurowadłach, a wreszcie pogładził Rosettę po łydkach. Widząc to trzepnęłam go mocno po palcach, wołając: — Ręce przy sobie! Tak, to są chodaki, co w tym nadzwyczajnego? A poza tym nie wykorzystuj okazji i nie obmacuj mojej córki. — Udał, że nie rozumie, i biorąc aparat fotograficzny, wskazał na chodaki Rosetty mówiąc: — Fotografia. — Zaprotestowałam stanowczo: — Chodzimy w chodakach, ale ty nie masz potrzeby ich fotografować. Potem pojedziesz do siebie i będziesz

opowiadał, że Włosi noszą chodaki i nie wiedzą nawet, co to są buty. W waszym kraju mieszkają Indianie i co byś powiedział, gdybyśmy ich sfotografowały i mówiły potem, że wszyscy Amerykanie mają pióra na głowie jak koguty? Pochodzę z Ciociarii i jestem z tego dumna; ale dla ciebie jestem Włoszką czy rzymianką, albo czym chcesz, i daj mi już spokój ze swoimi fotografiami. — Wreszcie zrozumiał; nie nalegał dłużej i schował aparat. A tymczasem samochód podskakiwał na gruzach i rozpryskiwał w biegu kałuże; przejechaliśmy przez całe miasto i znaleźliśmy się na głównym rynku.

Tutaj także było pełno ludzi, zupełnie jak w dzień targowy, a najgęściejszy tłum gromadził się przed ratuszem, który ocalał jakimś cudem i miał tylko trochę odrapaną i podziurawioną fasadę. Rudy żołnierz, który do tej pory nie raczył nas obdarzyć ani jednym spojrzeniem, dał znak, byśmy wysiadły; usłuchałyśmy; brunet wysiadł także, kazał nam na siebie zaczekać i znikł w tłumie. Wrócił po chwili wraz z drugim Amerykaninem w mundurze, młodym chłopakiem, który wyglądał na Włocha, miał czarne włosy, błyszczące oczy i białe regularne zęby. Powiedział od razu: — Mówię po włosku — i rozpoczął z nami rozmowę w języku, który uważał za włoski, a tymczasem był to w najlepszym razie dialekt neapolitański, i w dodatku ten najwulgarniejszy, jakim mówią portowi tragarze. Lecz najważniejsze było to, żeśmy się rozumieli; powiedziałam mi: — Jesteśmy z Rzymu i chcemy tam wrócić. Musisz nam powiedzieć, co mamy zrobić, żeby się dostać do Rzymu. —

Zaczął się śmiać szczerząc te białe zębiska, po czym powiedział: — Jedyne sposobem jest ten, byś się przebrała za żołnierza, wsiadła na czołg i wzięła udział w bitwie o Rzym, która toczy się od kilku dni. — Zawiedziona, spytałam: — Jak to, więc jeszcze nie wzięliście Rzymu? — A on: — Nie, tam jeszcze są Niemcy. Ale gdyby nawet Rzym był zdobyty, nie mogłabyś tam jechać, dopóki nie zostaną wydane specjalne zarządzenia, dotyczące ruchu cywilnej ludności. Bez tego zarządzenia nikt się nie dostanie do Rzymu. — Zirytowana, zawołałam: — Więc tak wygląda to wasze wyzwolenie? Skazujecie ludzi na śmierć głodową i na gorszą niż przedtem poniewierkę, bo teraz nie mamy już nawet dachu nad głową! — Wzruszył ramionami i powiedział, że to siła wyższa: wojna jeszcze się nie skończyła. Dodał jednak, że nie ma mowy o tym, by ktokolwiek umarł z głodu, przewidziano bowiem pomoc dla ludności na okupowanych terenach, i chcąc pokazać, że mówi prawdę, obiecał dać mi zaraz trochę żywności. I rzeczywiście, w dalszym ciągu odsłaniając w uśmiechu swoje olśniewające zęby, kazał nam iść ze sobą do ratusza. Zastałyśmy tam istny koniec świata; ludzie krzyczeli i kłócili się stłoczeni w dużej białej sali, gdzie w głębi stała długa lada. Za ladą siedziało kilku obywateli Fondi, z białymi przepaskami na ramieniu, a nieco dalej pod ścianą leżały całe stosy puszek amerykańskich.

Nasz włosko-amerykański oficer zaprowadził nas wprost do lady i kazał nam dać kilka puszek. Pamiętam, że dostałyśmy sześć czy siedem pudełek konserwy mięsnej, kilka rybnej oraz

dużą okrągłą puszkę, co najmniej kilogramową, marmolady śliwkowej. Włożyłyśmy to wszystko do walizki i wyszłyśmy, z trudem przepychając się przez ciżbę. Oficer zasalutował z uśmiechem i odszedł.

Krażyłyśmy po przepelnionych ulicach, bez celu, tak samo jak inni. Czułam się nieco pewniej mając te konserwy w walizce, jedzenie bowiem jest pierwszą potrzebą człowieka, i przyglądałam się z zaciekawieniem wyzwolonemu Fondi. Przy tej okazji miałam możność stwierdzić, że obecna sytuacja nie wyglądała tak różowo, jak wyobrażaliśmy ją sobie w Sant' Eufemia czekając na przyjście Anglików. Nie było jakoś widać owego okrzyczanego dobrobytu, o którym wszyscy mówili. Amerykanie hojnie rozdawali cukierki i papierosy, których zdawali się mieć rzeczywiście niewyczerpane zapasy, lecz co do reszty byli bardzo wstrzemięźliwi. Poza tym, przyznam szczerze, że nie podobało mi się zachowanie tych Amerykanów. Byli uprzejmi, nie można zaprzeczyć, i pod tym względem o niebo przerastali Niemców, którzy nie grzeszyli uprzejmością; ale ich grzeczność była obojętna, wyniosła, traktowali nas jednym słowem jak dzieci, które naprzykrzają się dorosłym, więc trzeba im dać na odczepne właśnie cukierki. Aby dać o tym pojęcie, opiszę pewne wydarzenie, którego byłam świadkiem. Każdy, kto chciał wejść do miasta, musiał mieć przepustkę lub zaświadczenie, że bierze udział w odgruzowywaniu miasta. Przypadkiem znalazłyśmy się z Rosettą na szosie, w tym miejscu gdzie stał posterunek kontrolny, dwóch żołnierzy i sierżant.

Nadeszło właśnie dwóch Włochów, od razu rzucało się w oczy, że muszą to być inteligentni i wykształceni ludzie, choć ubrani byli w łachmany. Jeden z nich, starszy siwy pan, zwrócił się do sierżanta: — Jesteśmy obydwaj inżynierami i dostaliśmy wezwanie od komendy alianckiej, żeby zgłosić się dzisiaj do kierownictwa robót. — Sierżant, barczysty mężczyzna o wygolonej, nalanej twarzy, powiedział: — A przepustka? — Dwaj inżynierowie popatrzyli na siebie, po czym ten starszy powiedział: — Nie mamy żadnej przepustki, po prostu kazano nam się stawić. — Wtedy sierżant krzyknął ordynarnie: — Co? I przychodzicie dopiero o tej porze? Mielście tu być o siódmej rano razem z robotnikami. — Powiedziano nam o tym dopiero przed chwilą — wtrącił młodszy, mężczyzna około czterdziestki, szczupły, dystyngowany; musiał być bardzo nerwowy, miał bowiem dziwny tik, który co chwila wykręcał mu szyję, jak gdyby dostał nagle postrzału. — Kłamstwo, kłamiecie obydwaj! — Proszę się liczyć ze słowami — powiedział ten młodszy, wyraźnie dotknięty — jesteśmy inżynierami i... — Chciał mówić dalej, lecz sierżant przerwał mu: — Milcz, obdartusie jeden, a jak nie, to dostaniesz w mordę. — Ten młodszy inżynier, jak już wspomniałam, musiał być naprawdę nerwowy, bo po tym, co usłyszał, wyglądał tak, jak gdyby rzeczywiście go spoliczkowano. Zbladł jak kreda i myślałam przez chwilę, że chyba zamorduje tego sierżanta. Na szczęście starszy pan nie dał mu dojść do słowa, ugodowo zaczął rozmawiać z sierżantem, no i przeszli wreszcie. Tego samego dnia widziałam jeszcze kilka incydentów tego rodzaju i muszę powiedzieć, że wywoływali je

wszystkie ci Amerykanie włoskiego pochodzenia. Prawdziwi Amerykanie, to znaczy ci szczupli i jasnowłosi, zachowywali się inaczej, byli chłodni, wyniośli, to tak, lecz dobrze wychowani, grzeczni. Tamci natomiast byli naprawdę nieznośni i nie wiadomo było, jak z nimi postępować. Może czując, że są za bardzo podobni do Włochów, chcieli przekonać samych siebie, że są inni i lepsi, a pomiatali swoimi ziomkami, byle tylko odróżnić się od nich; może mieli zakorzenioną niechęć do Włoch, skąd uciekli do Ameryki nadzy i bezdomni; a może w Ameryce ludzie mieli ich za nic, i chcieli to sobie teraz powetować; jednym słowem oni właśnie byli najbardziej brutalni, a jeśli ktoś woli, najmniej grzeczni. Za każdym razem, kiedy musiałam prosić o coś Amerykanów, zawsze modliłam się przedtem, by mieć do czynienia z Amerykaninem, choćby nawet kolorowym, byle tylko nie z pół-Włochem, pół-Amerykaninem. Poza tym wszystkim twierdzili oni, że znają język włoski, a tymczasem mówili dialektami południowych Włoch, kalabryjskim, sycylijskim, neapolitańskim, tak że trudno się było z nimi dogadać. Przy bliższym poznaniu dochodziło się do przekonania, że są to w gruncie rzeczy ludzie, lecz każde pierwsze zetknięcie z nimi było przykre.

Ale dość już rozpisałam się na ten temat. A więc krążyłyśmy jeszcze jakiś czas pośród gruzów, w tłumie chłopów, uchodźców i żołnierzy, po czym wyszłyśmy na szosę, przy której stało sporo nie uszkodzonych domów, samoloty bowiem bombardowały przede wszystkim miasto. U stóp wysuniętego w

bok pagórka, który okrężała szosa, zobaczyliśmy nagle niewielki domek. Drzwi były otwarte, powiedziałam więc do Rosetty: — Zobaczmy, czy nie uda się tutaj przenocować. — Weszliśmy po trzech schodkach i zobaczyliśmy całkiem pusty pokój. Zapewne jego ściany były niegdyś białe, ale teraz wyglądały gorzej niż w stajni, tak były usmolone. Między czarnymi plamami, odpryskami tynku i dziurami widniały zrobione węglem rysunki kobiecych twarzy, nagich kobiet i innych rzeczy, których nie nazwę po imieniu: zwykłe świństwa, jakie bazgrzą na murach żołnierze. Osmalone szczapy i popiół w kącie pokoju wyraźnie wskazywały na to, że palili tu ognisko. W obydwu oknach wybite były szyby i tylko z jednego zwisała żaluzja, drugą spalono zapewne na tymże ognisku. Powiedziałam Rosetce, że możemy tutaj przespać ze dwie, trzy noce. Zobaczyłam przez okno stertę słomy na pobliskim pólku, było więc z czego usłać takie legowisko. Nie miałyśmy ani kołdry, ani prześcieradła, ale było już ciepło i mogłyśmy spać w sukienkach. Skoro zapadła decyzja, uprzątnęłyśmy w miarę możliwości pokój, z grubsza czyszcząc go z brudu, po czym przyniosłyśmy słomę i umościłyśmy poślanie. W pewnej chwili powiedziałam Rosetce: — Dziwne, że nikt przed nami nie zajął tego domku. — Wyjaśnienie przyszło bardzo szybko, kilka minut potem, gdy wyszliśmy na dwór, by się przejść wzdłuż zbocza góry. Tuż koło domu był pusty placyk, koło którego rosła kępa drzew. Otóż okazało się, że na tym placyku Amerykanie ustawili trzy armaty, tak wielkie, jakich nigdy ani przedtem, ani potem nie zdarzyło mi się widzieć. Ich lufy, grube jak pnie

drzew i nieco zwężające się ku górze, były wycelowane w niebo i tak długie, że ginęły w listowiu rosnących tuż obok wysokich platanów. Miały koła na gąsienicach, a na tarczy pełno najrozmaitszych guzików, kółek i rączek, tak że od razu nasuwa się myśl, jak trudno być musi się z nimi obchodzić. Wszędzie dokoła mnóstwo ciężarówek i wagonów przykrytych plandekami; jak nas objaśnili stojący obok chłopci, trzymano tam pociski, które, sądząc po wielkości armat, także musiały być bardzo duże. Żołnierze obsługujący działa przeważnie leżeli na trawie, inni stali oparci o armaty, wszyscy byli młodzi i nonszalancy, mieli zawinięte rękawy od koszul; wyglądali tak, jak gdyby wybrali się na wycieczkę, jedni czytali gazety, inni palili papierosy, inni jeszcze żuli gumę. Jeden z chłopów powiedział nam, że ci żołnierze uprzedzili z góry, iż każdy, kto nie wyprowadzi się z domów znajdujących się w pobliżu owych armat, bierze to na własne ryzyko. Mogło się bowiem zdarzyć, że Niemcy zbombardują armaty i zapas amunicji, a wówczas wszystkie domy stojące w promieniu stu metrów wylecą w powietrze. Teraz zrozumiałam, dlaczego, przy takim braku pomieszczeń w Fondi, nasz domek pozostał nie zamieszkały. — Zdaje się, żeśmy wpadły z deszczu pod rynnę — powiedziałam — mało brakuje, a wylecimy w powietrze razem z tymi wszystkimi chłopcami. — Ale słońce tak jasno świeciło, ci żołnierze byli tacy flegmatyczni, zieleniło się wszystko dokoła i dzień taki był piękny, że śmierć wydawała się czymś nierealnym; dodałam więc po chwili: — Zresztą wszystko jedno... nie umarłyśmy dotąd, to i teraz nie umrzemy. Zostaniemy w tym domku. —

Rosetta, która robiła zawsze to, co chciałam, powiedziała, że i jej jest wszystko jedno: Madonna opiekowała się nami do tej pory, a zatem i teraz nas nie opuści. Tak więc całkiem spokojnie poszliśmy się przejść.

Wyglądało doprawdy tak, jak gdyby była niedziela i świąteczny jarmark, a wszyscy, którzy się nań zjechali, chcieli nacieszyć się w pełni tym dniem wolnym od pracy. Ulice pełne były chłopów oraz żołnierzy, wszyscy palili papierosy, jedli amerykańskie cukierki, radując się słońcem i wolnością, jak gdyby to było jedno i to samo, jak gdyby słońce bez wolności nie dawało ni światła, ni ciepła, a wolność przyjść nie mogła, dopóki była zima i słońce kryło się za chmurami. Jednym słowem wszystko było naturalne, jak gdyby to, co działo się dotychczas, sprzeciwiało się naturze, i dopiero teraz, po tak długim czasie, przyszło zwycięstwo natury. Rozmawialiśmy z wieloma ludźmi i wszyscy mówili, że Amerykanie rozdzielili zapasy żywności, że Fondi zostanie odbudowane i będzie większe i piękniejsze niż przedtem, że wszystko złe jest już za nami i nie ma się czego obawiać. Lecz Rosetta nie dawała mi spokoju, by się dowiedzieć o Michela, bo pomimo całej radości została jej ta drzazga w sercu. Pytałam więc wielu osób, ale nikt nic nie wiedział. Teraz, kiedy Niemcy uciekli, nikt nie chciał już myśleć o smutnych rzeczach, tak samo jak ja, gdy opuszczając Sant' Eufemia bałam się pożegnać z Filippem, jedynym człowiekiem, który nie mógł się cieszyć wyzwoleniem. Ludzie powiadali: — Filippo? Na pewno już wziął się do handlu na

czarnym rynku. — O jego synu nikt nic nie mógł powiedzieć, wszyscy nazywali go studentem i, o ile się mogłam zorientować, uważali go za dziwaka i nieroba.

Tego dnia zjadłyśmy jedną amerykańską konserwę mięsną i kawałek chleba, który dostałyśmy od pewnego chłopca; potem, ponieważ nie miałyśmy nic do roboty, a upał był nieznośny, wróciłyśmy do domku, zamknęłyśmy drzwi i jak kłody rzuciłyśmy się na siennik, by trochę się przespać. Późnym popołudniem zbudził nas straszliwy wybuch, ściany trzęsły się tak, jak gdyby były nie z cegieł, lecz z papieru. Początkowo nie mogłam się zorientować, jakie jest źródło tej eksplozji, lecz gdy powtórzyła się po pięciu minutach, zrozumiałam, że to stojące o pięćdziesiąt kroków dalej armaty rozpoczęły akcję. Choć przespałyśmy kilka godzin, byłyśmy jeszcze bardzo zmęczone, leżałyśmy więc w kącie pokoju na słomie, ogłupiałe, niezdolne do przemówienia jednego słowa, mocno przytulone do siebie. Armata strzelała do wieczora. Gdy minął pierwszy lęk, drzemałam dalej pomimo potwornej siły wybuchów; słyszałam owe armaty pół we śnie, pół na jawie i ich huk mieszał się dziwnie z moimi myślami, które biegły w rytmie wystrzałów. Armata strzelała w regularnych odstępach i moje myśli przystosowały się do nich, więc nie przeszkadzał im ten hałas. Najpierw dawał się słyszeć ogłuszający huk, tak głęboki, chrypliwy i rozdzierający, jak gdyby dobiegał z trzewi ziemi; ściany drżały, z sufitu obrywały się kawałki wapna i spadały na nas. Potem zapadła głucha cisza, i znowu następowała eksplozja,

i znowu trzęsły się ściany i wapno opadało z sufitu. Rosetta nic nie mówiła, tylko kurczowo tuliła się do mnie; a ja nie mogłam przestać myśleć, choć mój mózg pracował leniwie i ospale. Muszę powiedzieć, że każdy z tych wybuchów napełniał mnie radością, a im dłużej się w nie wsłuchiwałam, tym większe przepelniało mnie zadowolenie. Myślałam o tym, że owe armaty strzelają do Niemców i faszystów, i poczułam teraz po raz pierwszy, że nienawidzę z całej duszy Niemców i faszystów; wydawało mi się, że te wybuchy spowodowane są nie armatami, lecz siłą żywiołową, jak na przykład grzmoty podczas burzy. Ta regularna kanonada — myślałam sobie — tak monotonna i zaciekła, wyganiała zimę i cierpienia, i niebezpieczeństwa, i wojnę, i głód, i wszystkie inne paskudztwa, którymi raczyli nas przez tyle lat Niemcy i faszyści. „Kochane armaty — myślałam. — Błogosławione armaty — myślałam. — Złote armaty.” — I na odgłos każdego wybuchu aż drżałam ze szczęścia, a cisza napełniała mnie lękiem, bałam się bowiem, że armaty nie będą już więcej strzelać. Przymykałam oczy i wydawało mi się, że widzę ową ogromną salę z kolumnami i obrazami, którą tak często widywałam w gazecie, a w niej stojący na baczność tłum faszystów w czarnych i hitlerowców w brunatnych koszulach. W głębi za dużym stołem stał Mussolini, z tą swoją szeroką gębą, wytrzeszczonymi oczyskami, wywiniętymi wargami, z wypiętą naprzód pokrytą orderami piersią, obok niego ten jego przyjaciel, ten drugi bandyta i skurwysyn, Hitler, z twarzą rogacza, z tymi wąsami, przypominającymi szczoteczkę do zębów, z oczami śniętej ryby, ze spiczastym nosem i

pretensjonalnym kosmykiem na czole. Tyle się napatrzyłam na tę salę na fotografiach, że widziałam wszystko tak dokładnie, jak gdybym tam była obecna: ci dwaj za stołem, a po prawej i lewej stronie faszyci i naziści; po prawej faszyci, wszyscy w czerni — do diabła z tą ich przekłętą czernią! — w czarnych czapkach, od których ostro odbijały ich śmiertelnie blade twarze; po lewej naziści, tacy, jak widywałam ich w Rzymie, w żółtych koszulach, czerwonych opaskach ze swastyką, podobną do wielkiego owada biegnącego na czterech łapach, w czapkach z daszkami, rzucającymi cień na ich opasłe policzki, w obcisłych spodniach, z których wystawały brzuchy. Patrzałam, patrzałam i nie mogłam się nasycić widokiem tych bezkarnie chodzących po świecie łajdaków, sukinsynów, rogaczy, a potem myśl moja wracała nagle do armat stojących tuż obok pod platanami; widziałam wtedy amerykańskiego żołnierza, który nie stał nieruchomo na baczność, nie miał swastyki, żółtej ani czarnej koszuli, ani trupiej główki na czapce, ani kordzika za pasem, ani żadnych innych ozdób, jakimi obwieszali się faszyci i Niemcy, tylko ubrany był całkiem zwyczajnie, a ponieważ było gorąco, miał zawinięte rękawy od koszuli. I ten amerykański młody chłopak, spokojnie, żując gumę, podnosił bez pośpiechu olbrzymi pocisk i wkładał go do lufy; potem manewrował rączkami przy tablicy i armata wystrzelała nagle, odskakując do tyłu; a ja wtedy słyszałam we śnie huk, który nie był już snem, lecz rzeczywistością. Myśl moja ulatywała wraz z tym pociskiem, prującym ze świstem powietrze, a potem widziałam, jak wpada on do wielkiej sali, grzebiąc w gruzach Hitlera i Mussoliniego

razem ze wszystkimi ich trupimi główkami, orderami, swastykami i kordzikami. Ten wybuch przepełniał mnie radością i wiedziałam, że jest to niedobra radość: radość nienawiści. Lecz nic nie mogłam na to poradzić, widocznie nienawidziłam przez cały czas faszystów i nazistów, sama o tym nie wiedząc, a teraz byłam zadowolona, że Amerykanie strzelają do nich z armat. Tak więc między jedną a drugą eksplozją biegłam myślą od salonu do armaty i z powrotem od armaty do salonu, i za każdym razem widziałam twarze Hitlera i Mussoliniego, faszystów i nazistów, a potem twarz młodziutkiego artylerzysty, i za każdym razem odczuwałam taką samą radość; byłam doprawdy nienasycona. I przedtem, i potem wiele mówiło się o wyzwoleniu, lecz tego popołudnia odczułam je wręcz fizycznie, tak jak odczuwa fizyczną ulgę ktoś, kto był związany, a potem uwolniono go z pęt; lub ktoś, kogo zamknięto w ciasnej celi, i nareszcie zostaje wypuszczony na wolność. I owa armata strzelająca do nazistów, choć całkiem podobna do tych, z których strzelali Niemcy do Amerykanów, była dla mnie symbolem wyzwolenia, była czymś, co miało w sobie błogosławioną siłę, potężniejszą od tamtej przeklętej siły, czymś, co napełniało lękiem tych zbirów, których dotychczas bali się wszyscy ludzie, czymś, co niszczyło ich wreszcie, podczas gdy dotąd oni wszędzie nieśli zniszczenie. Ta armata strzelała do faszystów i nazistów i każdy jej pocisk godził w owo więzienie kłamstwa i strachu, budowane przez nich całymi latami; i to niebotyczne więzienie rozsypywało się teraz ze wszystkich stron pod kulami armat. Wszyscy mogli nareszcie odetchnąć pełną piersią, wszyscy, nawet i oni, faszyści i

hitlerowcy, którzy wkrótce wrócą do swoich domów i nie będą już faszystami ani hitlerowcami, ale zwykłymi ludźmi. Tak, tego popołudnia odczułam wyzwolenie właśnie w taki sposób i choć potem przyniosło ono wiele przykrych i ciężkich chwil, dopóki żyję, pamiętać będę to popołudnie, tę armatę i to uczucie szczęścia, które kazało mi się nawet cieszyć, niby widokiem wiosny, śmiercią i zniszczeniem, jakie kule armatnie niosą innym ludziom.

Tak więc spędziłam owo popołudnie śpiąc, a raczej drzemiąc przy kołysance grzmiących armat, słodszej dla moich uszu niż ta, którą śpiewała mi matka, gdy byłam małym dzieckiem. Przy każdej eksplozji trząsał się cały dom, tynk spadał na mnie kawałkami, a pod słomą wyczuwało się twardą podłogę, pomimo to mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że były to jedne z najpiękniejszych godzin w moim życiu. Gdy spoglądałam w okno, widziałam zielone, połyskujące w majowym słońcu gałęzie platanów; potem zaczął zapadać zmierzch, gałęzie pociemniały, lecz armaty strzelały dalej, a ja tuliłam się mocno do Rosetty i czułam się szczęśliwa. Tak byłam zmęczona i otepiała, że pomimo tej kanonady zasnęłam i spałam co najmniej godzinę twardym, pokrzepiającym snem; potem obudziłam się i słysząc w dalszym ciągu huk dział, ucieszyłam się, że nie przestały strzelać. Wreszcie, gdy w pokoju zrobiło się już całkiem ciemno, nagle armata umilkła. Zapanowała cisza, w której zaczęły się odzywać codzienne normalne odgłosy: daleki dzwon z wieży kościoła, głosy ludzi przechodzących szosą,

szczenie psa, ryk krowy. Leżałyśmy jeszcze przez pół godziny na wpół drzemiąc, po czym wstałyśmy i wyszłyśmy z domu. Noc już zapadała, niebo było gwiaździste, w ciepłym, bezwietrznym powietrzu mocno pachniała skoszona trawa. Od strony Via Appia dobiegał w dalszym ciągu szczęk i hałas motorów: armia amerykańska nieprzerwanie posuwała się naprzód.

Zjadłyśmy jeszcze jedną konserwę z chlebem i znowu położyłyśmy się na słomie, zasypiając natychmiast, tym razem bez akompaniamentu armaty. Nie wiem, jak długo spałyśmy, może cztery, pięć godzin. Wiem tylko, że usiadłam nagle, zmartwiła z przerażenia: cały pokój wypełniało zielone, migotliwe, oślepiające światło i wszystko było zielone — ściany, sufit, słoma, twarz Rosetty, drzwi, podłoga. To światło stawało się coraz intensywniejsze, jak dotkliwy ból, który wzmacnia się przy każdym nowym ataku, co wydaje się niemożliwe, bo i tak jest nie do wytrzymania. Aż nagle zgasło i usłyszałam w ciemnościach ten przekłety ryk syreny, który tak się nam dawał we znaki w Rzymie; wtedy zrozumiałam, że to nalot. Krzyknęłam do Rosetty: — Prędko! Uciekajmy stąd! — i w tej samej chwili usłyszałam gwałtowne wybuchy bomb, które musiały padać bardzo niedaleko; huk eksplozji mieszał się z warkotem samolotów i suchym trzaskiem artylerii przeciwlotniczej.

Chwyciłam Rosettę za rękę i co sił w nogach wybiegłyśmy na dwór. Była noc, lecz zdawało się, że to dzień, bo czerwone

światło oświecało dom, drzewa i niebo. Potem nastąpił wybuch jeszcze silniejszy od poprzednich: bomba padła tuż za domem i szarpnął nami taki podmuch, że pomyślałam, iż jestem ranna, a może nawet zabita. A tymczasem biegłam przez zasiane zbożem pole, ciągnąc za sobą Rosettę; potem poczułam, że się potykam, i wpadłam po kolana w wodę. Jak się okazało, był to rów i to dość głęboki; zimna woda uspokoiła mnie nieco, stałam więc nieruchomo, przyciskając do siebie Rosettę; byłyśmy po pas zanurzone w wodzie. A tymczasem wokół nas tańczyło to czerwone światło, oświetlając jaskrawo porujnowane domy Fondi, których kształt i kolory widoczne były jak za dnia; ze wszystkich stron słychać było bliższe i dalsze wybuchy. Całe niebo nad nami pokrywały białe obłoczki ognia artylerii przeciwlotniczej, a w tym całym piekle najgłośniejszy był warkot samolotów, które leciały nisko, zrzucając bomby. Wreszcie nastąpiła ostatnia, najsilniejsza eksplozja, jak gdyby niebo było pokojem, w którym ktoś wychodząc mocno trzasnął drzwiami. Potem zgasło różowe światło i tylko w jednym miejscu na horyzoncie widać było czerwoną łunę, prawdopodobnie pożar: umilkł wreszcie i warkot samolotów. Baterie przeciwlotnicze oddały jeszcze kilka strzałów, po czym nastąpiła cisza.

Gdy tylko ogarnęła nas ciemność i cisza, powiedziałam do Rosetty: — Nie mamy po co wracać do tego domku... może się zdarzyć, że te skurwysyny jeszcze wrócą ze swoimi bombami, a drugi raz na pewno nie udałoby się nam ująć z życiem.

Zostaniemy tutaj... tu w polu chyba nic nie spadnie nam na głowę. — Tak więc wyszliśmy z wody i położyliśmy się na ziemi koło rowu. Nie spałyśmy, tylko jak przedtem drzemały, ale nie czułyśmy się już takie szczęśliwe jak w tym domku, podczas gdy strzelały armaty. Noc była hałaśliwa, dolatywały dalekie krzyki, nawoływania, huk motorów, tupot licznych kroków oraz inne najdziwniejsze odgłosy. Noc była spokojna i pomyślałam o zabitych i rannych od niemieckich bomb, którym pewnie szli teraz z pomocą Amerykanie. W końcu zasnęłyśmy i obudziłyśmy się o świcie; zobaczyłam, że leżymy w zbożu; tuż przy mojej twarzy rosły rumianki, a nieco dalej maki, ślicznego, czerwonego koloru. Niebo nad moją głową było białe i zimne, świeciło na nim jeszcze kilka złotych gwiazd. Spojrzałam na śpiącą obok mnie Rosettę i zobaczyłam, że ma całą twarz popryskaną czarnym, zaschniętym błotem; miała też zabłocone nogi i sukienkę aż do pasa, ja zresztą tak samo. Czułam się jednak wypoczęta, bo z niewielką przerwą spałyśmy przecież od wczorajszego popołudnia. Powiedziałam Rosetcie: — Chcesz już stąd iść? — Ale ona mruknęła coś niezrozumiałego i przewróciła się na bok, chowając twarz na moim łonie i obejmując mi ramieniem biodra. Położyłam się więc i ja, chociaż nie chciało mi się już spać, i leżałam bez ruchu w rosnącym dokoła nas zbożu, czekając, aż Rosetta się wyśpi.

Obudziła się wreszcie, kiedy słońce już dość silnie przygrzewało. Gdy wstałyśmy i spojrzały w stronę naszego domku, zobaczyłyśmy, że już go nie ma. Po dłuższym wpatrywaniu się

w tamtą stronę dostrzegłam kupę gruzów na skraju pola, w tym właśnie miejscu, gdzie stał przedtem domek. Powiedziałam Rosetcie: — Widzisz? Gdybyśmy tam zostały, zginęłybyśmy jak amen w pacierzu. — Odpowiedziała spokojnie: — Może to byłoby i lepiej, mamó. — Popatrzyłam na nią i zobaczyłam, że ma przygnębiony, zrezygnowany wyraz twarzy, i nagle powiedziałam zdecydowanym tonem: — Jeszcze dzisiaj musimy się stąd wydostać... choćby się waliło i paliło. — Zapytała: — Ale jak? — A ja: — Wszystko jedno, ale musimy jechać dalej.

Na razie jednak poszłyśmy obejrzeć domek i zobaczyłyśmy, że bomba padła tuż obok, spychając go na drogę, która była teraz na całą szerokość zavalona gruzem. Pocisk utworzył szeroki lej z czarnej świeżej ziemi, pomieszanej z powyrywaniem zielskiem, a jego dno podeszło żółtawą, mętną wodą. Tak więc nie miałyśmy już dachu nad głową, a co gorsza straciłyśmy walizki z resztką naszego dobytku. Ogarnęła mnie rozpacz i nie wiedząc, co robić, usiadłam na gruzach, wpatrując się przed siebie. Droga jak i wczoraj pełna była żołnierzy i uchodźców, lecz wszyscy przechodzili obojętnie, nie zwracając uwagi ani na nas, ani na gruzy, których widok przestał kogokolwiek interesować. Po pewnym czasie jakiś chłop przystanął i zagadał do nas; okazało się, że się znamy, kupowałam u niego żywność, gdy schodziłam z Sant' Eufemia do Fondi. Powiedział nam, że to Niemcy bombardowali nas tej nocy i że jest pięćdziesięciu zabitych, trzydziestu żołnierzy i dwudziestu Włochów. Opowiedział nam także, że wśród ofiar

znajduje się między innymi rodzina uchodźców, którzy, tak jak my, cały rok spędzili w górach; zeszli w dolinę z chwilą przybycia aliantów i schronili się w domku stojącym niedaleko naszego. Bomba uderzyła prosto w dach, zabijając wszystkich: żonę, męża i czworo dzieci. I ja, i Rosetta słuchałyśmy tego wszystkiego bez słowa. Dawniej byłabym zawołała: — Jak to? Czy to możliwe? Biedacy! Jaki straszny zbieg okoliczności. — Teraz jednak po prostu nie chciało mi się nic mówić. Na skutek własnych nieszczęść zobojętniałyśmy na cudze. Później już przyszło mi na myśl, że być może jednym z najstraszniejszych następstw wojny jest obojętność i zatwardziałość serca.

Spędziliśmy cały ranek siedząc na ruinach domku, przybite, niezdolne do myślenia o czymkolwiek. Byłyśmy tak otepiałe, że nie czułyśmy się na siłach odpowiadać na pytania żołnierzy i uchodźców, którzy zagadywali do nas po drodze. Przypominam sobie jednego żołnierza amerykańskiego, który, widząc Rosettę nieruchomo siedzącą na gruzach, zatrzymał się, by z nią porozmawiać. Patrzyła na niego, lecz nic nie odpowiadała. On zwrócił się do niej po angielsku, potem po włosku, a w końcu wyciągnął z kieszeni papierosa, wetknął jej go do ust i poszedł. A Rosetta dalej siedziała bez ruchu, z twarzą ubrudzoną czarnym, zaschniętym błotem i z tym papierosem, który wisiał jej na wardze, co byłoby nawet śmieszne, gdyby nie było przede wszystkim smutne. Skoro nadeszło południe, nadludzkim wysiłkiem woli zdecydowałam, że musimy coś począć ze sobą, a przede wszystkim coś zjeść, bo nie można żyć bez jedzenia.

Powiedziałam Rosetcie, że wrócimy do Fondi i poszukamy tego oficera amerykańskiego, który mówił dialektem neapolitańskim i miał, zdaje się, dla nas wiele sympatii. Ruszyliśmy przed siebie, powoli i niechętnie, i wkrótce znalazłyśmy się w centrum miasta. Tak samo jak wczoraj był tam istny jarmark; wśród zrujnowanych domów kręciło się mnóstwo ludzi, przejeżdżały wojskowe auta i ciężarówki, a na rogach ulic stali amerykańscy policjanci, regulując ten nieskoordynowany ruch. Gdy znalazłyśmy się na rynku, poszłam do ratusza, gdzie w dalszym ciągu panował nieopisany zgiełk i ścisk przy rozdawaniu żywności. Tym razem jednak odbywało się to w pewnym porządku; policjanci kazali się ludziom ustawić w trzech ogonkach przed ladą, za którą trzech Amerykanów rozdawało towary. Przy każdym Amerykaninie stał Włoch z białą opaską na ramieniu; byli to pracownicy zarządu miejskiego, przydzieleni do pomocy w rozdawnictwie. Zobaczyłam, że oficer, którego szukałam, jest jednym z trzech stojących za ladą; powiedziałam więc Rosetcie, że staniemy w tym ogonku, który on załatwia, i tym sposobem będziemy mogli się z nim rozmówić. Czekaliśmy dość długo w tym tłumie nędzarzy, aż w końcu przyszła kolej na nas. Oficer poznał nas i wyszczerzył w uśmiechu swoje olśniewające zęby: — No jak tam, nie wyruszyłyście jeszcze do Rzymu?

Odpowiedziałam wskazując na nasze ubranie: — Proszę popatrzeć, jak wyglądamy.

Spojrzał na nas i zrozumiał od razu: — Nocne bombardowanie?

— Właśnie, i nie mamy już nic. Bomba zburzyła dom, w którym zamieszkałyśmy, i nasze walizki zostały pod gruzami razem z konserwami, które dostałyśmy od ciebie.

Oficer już się nie uśmiechał. Zwłaszcza Rosetta, z tą swoją łagodną twarzą uwalaną błotem, odbierała ochotę do śmiechu. — Żywność mogę wam dać tak samo jak wczoraj — powiedział — i także coś niecoś z ubrania, ale niestety nic więcej nie mogę dla was zrobić.

— Pomóż nam wrócić do Rzymu — proszę — tam mamy dom, odzież, wszystko.

Lecz on odpowiedział tak samo jak poprzedniego dnia:

— Nawet my jeszcze nie doszliśmy do Rzymu, więc jakim cudem ty mogłabyś się tam dostać?

Zaniemówiłam na te słowa. On zdjął z półki kilka puszek, dał je nam, po czym kazał Włochowi z białą opaską zaprowadzić nas do punktu rozdziału odzieży. Sama nie wiem czemu, powiedziałam jeszcze na odchodnym: — Mam rodziców tu w okolicy, koło Vallecorsa... to znaczy mieszkali tam przedtem, bo teraz nie wiem, co się z nimi stało. Pomóż mi chociaż dostać się w moje rodzinne strony. Znam tam wszystkich i jeśli nawet nie zastanę rodziców, będę mogła się jakoś urządzić.

Spojrzał na mnie i odrzekł grzecznie, lecz stanowczo: — Cywilnym osobom nie wolno korzystać z wojskowych środków transportowych. To jest surowo zabronione. Tylko ci Włosi,

którzy pracują dla wojsk amerykańskich, mogą się posługiwać naszym transportem, i wyłącznie w sprawach służbowych. Bardzo mi przykro, ale w niczym nie mogę wam pomóc. — Powiedziawszy to, zwrócił się do dwóch stojących za nami kobiet. Zrozumiałam, że nic więcej nie wskóram, i poszłam za Włochem w opasce.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy, Włoch, który słyszał naszą rozmowę, powiedział: — Nie dalej jak wczoraj zdarzył się taki wypadek, że dwoje uchodźców, mąż i żona, zostało odwiezionych wojskowym samochodem. Ale oni dowiedli, że udzielili w zimie gościny w swoim domu jeńcowi angielskiemu. W nagrodę za to zrobiono dla nich wyjątek i odwieziono do rodzinnej wsi. Gdyby tak było i w waszym przypadku, przypuszczam, że nie trudno by wam było dostać się do Vallecorsa.

Rosetta, która do tej pory nie odezwała się ani słowem, zawołała nagle: — Mamo, czy pamiętasz tych dwóch Anglików? Mogłybyśmy powiedzieć, że byli naszymi gośćmi.

Szczęśliwym zrządzeniem losu, ci dwaj Anglicy przed rozstaniem z nami napisali mi bilecik, w swoim języku, i podpisali się obydwaj, a ja schowałam go do kieszeni, w której trzymałam pieniądze. Banknotów zostało mi już bardzo niewiele, lecz bilecik powinien tam być. Całkiem o nim zapomniałam, ale teraz od razu przeszukałam kieszeń i rzeczywiście go znalazłam. Dwaj Anglicy prosili mnie, by oddać ten bilecik jakiemuś oficerowi,

gdy nadejdzie ich wojsko. Powiedziałam uszczęśliwiona: — Wobec tego jesteście uratowane — i wyjaśniłam Włochowi, jak to było z tymi Anglikami, jak tylko my dwie udzieliłyśmy im gościny w dzień Bożego Narodzenia, bo wszyscy inni uchodźcy bali się im dopomóc, i jak oni odeszli następnego ranka, a zaraz potem zjawili się Niemcy. Włoch powiedział: — Chodźcie teraz ze mną po tę odzież, a potem pójdziemy do Komendy. Zobaczycie, że zrobią to, o co poprosicie.

Jednym słowem poszliśmy do innego domu, gdzie rozdzielano odzież. Dali nam tam po parze męskich butów na gumowej podeszwie, zielone skarpety do kolan oraz spódnice i żakiety w tym samym kolorze. Były to mundury, jakie nosiły w ich wojsku kobiety, i cieszyłyśmy się wkładając je na siebie, bo nasze sukienki przypominały łachmany i były uwalane błotem. Dostałyśmy też kawałek mydła i od razu umyłyśmy twarz i ręce, a potem uczesałyśmy się. Wyglądałyśmy teraz całkiem przyzwoicie, a Włoch zawołał na nasz widok: — Brawo! Wyglądacie teraz jak cywilizowane osoby, nie to, co przedtem. Chodźcie ze mną do Komendy.

Komenda mieściła się w sąsiednim domu. Weszliśmy po schodach, napotykając co chwila żandarmów, którzy kontrolowali, dokąd i po co idziemy. Przeciskając się przez tłum wchodzących na górę i schodzących na dół żołnierzy oraz cywilów, dotarliśmy na ostatnie piętro. Włoch przystąpił do stojącego na warcie przed drzwiami żołnierza, rozmówił się z nim, po czym wrócił do nas i powiedział: — Są bardzo za-

interesowani tą sprawą i zaraz was przyjmą. Usiądźcie tu na kanapie i poczekajcie chwilę.

Czekałyśmy bardzo krótko. Nie minęło nawet pięć minut, kiedy przyszedł po nas żołnierz i kazał nam wejść do pokoju.

Pokój był całkiem pusty i stało w nim tylko biurko, za którym siedział jasnowłosy, tęgi mężczyzna w średnim wieku; miał jasnoniebieskie oczy, rudawe, krótko przystrzyżone wąsy i dużo piegów na twarzy. Był w mundurze, ale ponieważ nie znałam się na dystynkcjach amerykańskich, dopiero później dowiedziałam się, że to major. Przed biurkiem stały dwa krzesła; wstał uprzejmie na nasz widok, poprosił, byśmy usiadły, i sam także usiadł. — Chcecie zapalić? — zapytał ładnym włoskim akcentem i podał nam pudełko papierosów. Odmówiłam, a on od razu zaczął mówić: — Powiedziano mi, że macie dla mnie jakiś bilecik.

— Proszę — powiedziałam i podałam mu go. Wziął bilet, przeczytał go dwukrotnie z wielką uwagą, a potem, patrząc na mnie przenikliwie, rzekł: — Ten bilet ma dla nas wielkie znaczenie, przynosicie nam cenną informację. Nie mieliśmy żadnych wiadomości o losie tych dwóch oficerów i jesteśmy wam bardzo wdzięczni za to, coście dla nich zrobiły. Powiedzcie mi teraz, jak oni wyglądali?

Opisałam ich, jak umiałam: — Jeden niski blondyn ze spiczastą bródką. Drugi wysoki, chudy, ciemny, z niebieskimi oczami.

— Jak byli ubrani?

— Mieli wiatrówki, zdaje mi się, z czarnej ceraty i długie spodnie.

— Czy byli w czapkach?

— W wojskowych beretach.

— Uzbrojeni?

— Tak, mieli rewolwery. Pokazywali mi je.

— A dokąd mieli zamiar iść?

— Chcieli dojść górami do linii frontu, przejść ją i dostać się do Neapolu. Przez całą zimę mieszkali u chłopca u podnóża Monte delie Fate, a potem mieli nadzieję, że przejdą przez front. Ale myślę, że im się to nie udało, bo wszyscy mówili, że to prawie niemożliwe; wszędzie były niemieckie patrole i ogień armat, i karabinów maszynowych.

— Tak się też stało — rzekł — nie przeszli, bo nie pokazali się w Neapolu. Kiedy oni u was byli?

Powiedziałam mu datę, a on zapytał po chwili: — Przyjęliście ich do siebie na jak długo?

— Tylko na jeden dzień i jedną noc, spieszo im było iść dalej, a poza tym bali się, by ich ktoś nie wydał. I rzeczywiście zaraz po ich wyjściu przyszli Niemcy. Spędzili z nami dzień Bożego Narodzenia, jedliśmy kurę i wypiliśmy trochę wina.

Uśmiechnął się i powiedział: — To wino i ta kura, którą podzieliliście się z nimi, są tylko małą częścią długu wdzięczności, jaki mamy w stosunku do was. Powiedzcie mi teraz, co możemy dla was zrobić.

Powiedziałam mu więc wszystko jednym tchem: że nie mamy co jeść; że nie możemy dłużej zostać w Fondi, bo dom, w którym schroniłyśmy się, został zbombardowany tej nocy; że chcemy się dostać do rodzinnej wsi koło Vallecorsa, gdzie mieszkają moi rodzice i gdzie znajdziemy przynajmniej dach nad głową. Wysłuchał mnie z powagą i odrzekł tak: — To, o co mnie prosicie, jest zakazane. Ale także udzielanie gościny jeńcom angielskim było zakazane w czasie okupacji niemieckiej, prawda? — Uśmiechnął się i ja się uśmiechnęłam. Po chwili ciągnął dalej: — Zrobimy tak. Powiem, że jedziecie samochodem wojskowym z naszym oficerem, by zebrać w górach informacje o tych dwóch zaginionych. A zresztą rzeczywiście musimy przeprowadzić wywiad w tej sprawie, tyle tylko, że nie w waszych stronach. Tak więc ten oficer najpierw odwiezie was do Vallecorsa, a potem pojedzie na zwiady.

Podziękowałam serdecznie, a on rzekł: — To my wam dziękujemy. Podajcie mi jeszcze wasze nazwiska.

Powiedziałam, jak się nazywamy, a on zapisał sobie wszystko, po czym wstał na pożegnanie; posunął swoją uprzejmość aż tak daleko, że odprowadził nas do drzwi i oddał pod opiekę wartownikowi, do którego powiedział kilka słów po angielsku.

Ten żołnierz także od razu zrobił się bardzo grzeczny i kazał nam iść za sobą.

Poszliśmy z nim w głąb długiego korytarza o białych nagich ścianach, po czym wartownik wprowadził nas do pustego, lecz czystego pokoju, w którym stały dwie wojskowe prycze, i powiedział, że będziemy tu spały dzisiejszej nocy, a jutro, zgodnie z rozkazem majora, pojedziemy dalej. Wyszedł, zamykając drzwi za sobą, a my usiadliśmy na pryczach z głębokim westchnieniem ulgi. Byliśmy czysto ubrane, umyte, miałyśmy konserwy do jedzenia, prycze do spania, dach nad głową, a co najważniejsze, nadzieję lepszego jutra. Jednym słowem byłyśmy jak odmienione i zawdzięczałyśmy tę odmianę majorowi i jego serdecznym słowom. Często myślałam sobie o tym, że człowieka powinno się traktować jak człowieka, a nie jak zwierzę; to znaczy, stworzyć mu takie warunki, by był czysty, miał dach nad głową, okazać mu zrozumienie i sympatię, a przede wszystkim dać nadzieję na przyszłość. Gdy się tego nie zrobi, człowiek jest do wszystkiego zdolny, staje się zwierzęciem i zachowuje się jak zwierzę i wtedy jest już za późno, aby przemawiać do jego człowieczeństwa.

Przytuliliśmy się mocno do siebie i pocałowałam Rosettę mówiąc: — Zobaczysz, że teraz naprawdę wszystko się dobrze ułoży. Spędzimy kilka dni na wsi, odżywimy się, wypoczniemy, a potem wrócimy do Rzymu i wszystko będzie tak jak dawniej. — Rosetta, biedactwo, odpowiedziała: — Tak, mamó — niczym jagnię, które prowadzi się na rzeź, a ono, nie wiedząc o tym, liże

tę rękę, która je na rzeź prowadzi. Tak, była to niestety moja ręka: nie wiedziałam o tym, że dobrowolnie prowadzę rodzone dziecko na rzeź, jak zaraz się okaże.

Tego dnia zjadłyśmy jedną puszkę konserw i przeleżałyśmy całe popołudnie drzemiąc na pryczach. Nie miałyśmy ochoty włóczyć się po ulicach Fondi; ten iście jarmarczny tłum obdartusów i żołnierzy oraz widok ruin na każdym kroku przypominał wojnę. Poza tym byłyśmy zmęczone, mając za sobą pełną emocji noc spędzoną pod gołym niebem, czułyśmy się jak połamane. Spałyśmy więc, budziłyśmy się i spałyśmy znowu. Moja prycza stała naprzeciw okna i za każdym razem gdy otwierałam oczy, obserwowałam słońce, coraz bardziej chylące się ku zachodowi. Czułam się teraz równie szczęśliwa jak wczoraj, gdy wsłuchiwałam się w huk armaty; lecz tym razem cieszyło mnie to, że moja Rosetta jest zdrowa i cała, i może spać spokojnie na wygodnej pryczy. Myślałam o tym, że pomimo wojennej zawieruchy i tylu niebezpieczeństw udało mi się uratować i siebie, i córkę. Obydwie wyszłyśmy bez szwanku z tych wszystkich opresji, czułyśmy się względnie dobrze i lada dzień miałyśmy wrócić do Rzymu, do siebie! W Rzymie, myślałam sobie, zaraz otworzę sklep i wszystko będzie tak jak dawniej, a nawet lepiej niż dawniej, bo wróci z wojny narzeczony Rosetty i młodzi się pobiorą. Myśl o małżeństwie Rosetty po prostu mnie rozrzewniała. Wyobrażałam ją sobie w białej sukni, z bukietem pomarańczowego kwiecia, wychodzącą z mężem z kościoła na przedzie ślubnego orszaku złożonego z

krewnych i przyjaciół. I tego mi było mało, cofałam się więc do kościoła, gdzie nowożeńcy klęczeli przed ołtarzem, a ksiądz wygłaszał kazanie mówiąc im, jakie obowiązki nakłada na nich sakrament małżeństwa. Nawet i to mi nie wystarczało, robiłam więc nowy skok, tym razem wprzód, i widziałam Rosettę z jej pierwszym dzieckiem; siedzieliśmy przy stole, ja, ona i jej mąż, gdy w sąsiednim pokoju zapłakało dziecko, Rosetta szła po nie, przynosiła je, siadała znowu, odpinała bluzkę i dawała pierś dziecku, które łapczywie ją chwyciło, a ona pochylała się nad niemowlęciem i dalej jadła zupę; tak więc było nas już nie troje, lecz czworo przy stole: mąż Rosetty, Rosetta, dziecko i ja. Gdy widziałam w marzeniach ten rodzinny obrazek, przychodziło mi na myśl, że jestem babką, i byłam z tego nawet zadowolona; nie pragnęłam już miłości, chciałam spokojnie się zestarzeć i żyć długie lata jako staruszka przy boku Rosetty i wnuków. Snując te półsennie marzenia, od czasu do czasu spoglądałam na śpiącą Rosettę, której obecność była potwierdzeniem, że owe rojenia staną się rzeczywistością, i to bardzo niedługo, gdy tylko wrócimy do Rzymu i rozpoczniemy normalne życie.

Zapadał już zmrok; przeciągnęłam się na pryczy i rozejrzałam dokoła. Rosetta jeszcze spała; zdjęła żakiet i spódnice i widziałam w półmroku jej nagie, białe i pełne ramiona młodej, zdrowej dziewczyny; nogi miała podkurczone, tak że dotykała prawie brodą kolan. Jej uda też były białe i jędrne, tak samo jak ramiona. Zapytałam, czy chciałyby coś zjeść, a ona nie odwracając się potrząsnęła głową przecząco. Wówczas i ja ułożyłam

się wygodnie i tym razem naprawdę zasnęłam. Obydwie byłyśmy rzeczywiście bardzo wyczerpane i ten uparty sen przypominał nakręcanie zegarka, który od dawna już stoi i który nakręca się i nakręca bez końca, bo sprężyna jest całkiem rozkręcona.

ROZDZIAŁ IX

O świcie zbudziło nas silne pukanie do drzwi. Był to żołnierz, który wczoraj nas tu przyprowadził i który powiedział już od progu, że musimy się śpieszyć, ponieważ samochód mający nas odwieźć do Vallecorsa stoi na dole. Ubrałyśmy się szybko i ubierając się poczułam, że ten pokrzepiający sen wrócił mi wszystkie siły. Po energicznych ruchach Rosetty widziałam, że i ona jest jak odrodzona. Tylko matka może zrozumieć pewne rzeczy; przypominałam sobie, jak wyglądała wczoraj, siedząc na ruinach domku z pochłapaną błotem, otepiałą twarzą, ze smutnymi, niewidzącymi oczyma, teraz cieszyłam się widząc, jak rześko rusza się na łóżku, wyciągając przed siebie obydwie ręce i prężąc krągłe piersi, które zdawały się rozsadzać jej stanik. Potem podeszła do stojącej w kącie pokoju miednicy, porządnie się uszorowała i oblała zimną wodą twarz, szyję i ramiona; z zamkniętymi oczami chwyciła ręcznik i wycierała się tak mocno, że zrobiła się cała czerwona. Były to czynności całkiem normalne, codzienne, widziałam ją myjącą się niezliczoną ilość razy. Lecz teraz bardziej niż kiedykolwiek odczuwałam bijącą od niej młodość, odzyskaną tężyznę fizyczną, tak jak czuje się piękno i siłę młodego drzewa, które stoi nieruchomo w słońcu i tylko drży prawie niedostrzegalnie przy podmuchach wiatru wiosennego.

Ubrałyśmy się więc i zbiegłyśmy na dół po pustych jeszcze o tej porze schodach tego pustego domu. Przed drzwiami stał odkryty samochód, typowy aliancki wojskowy samochód o twardych żelaznych siedzeniach. Przy kierownicy siedział oficer angielski, blondyn, którego różowa twarz wyrażała niezadowolenie. Wskazał nam tylne siedzenie i powiedział kiepską włoszczyzną, że ma rozkaz odwieźć nas do Vallecorsa. Nie był bardzo uprzejmy, lecz wypływało to pewnie raczej z zażenowania i nieśmiałości niż z braku sympatii dla nas. W samochodzie stały dwa duże kartonowe pudełka, wypełnione po brzegi puszkami konserw, i oficer oświadczył tym swoim zaambarasowanym tonem, że przysłał je dla nas wraz z pozdrowieniami major, przepraszając, że nie może nas osobiście pożegnać, ponieważ jest bardzo zajęty. Podczas tych przygotowań do odjazdu wielu uchodźców, którzy najprawdopodobniej spędzili noc na dworze, otoczyło samochód patrząc na nas w milczeniu z wyraźną zawiścią. Zdałam sobie sprawę, że zazdrozczą nam, ponieważ znalazłyśmy sposób, by wyjechać z Fondi, i to z dużym zapasem żywności; muszę się przyznać, że ogarnęła mnie pycha, pomieszana jednak z odrobiną wyrzutów sumienia. Nie wiedziałam jeszcze, że nie było czego nam zazdrościć.

Oficer zapuścił motor i samochód ruszył jadąc po kałużach i ruinach w kierunku gór. Skreślił w boczną drogę i niezadługo z dużą szybkością zaczął wjeżdżać pod górę wąską kotliną, wciśniętą pomiędzy dwa zbocza; tuż obok drogi płynął potok

górski. Milczeliśmy wszyscy troje; mnie i Rosetcie sprzykrzyło się już porozumiewanie się na migi, bo przecież nie byliśmy głuchonieme, a on nie odzywał się, może przez nieśmiałość, a może dlatego, że nie odpowiadała mu narzucona rola szofera. A zresztą, o czym miałyśmy mówić z tym oficerem? O tym, że jesteśmy zadowolone wyjeżdżając z Fondi? Że jest śliczny dzień majowy, niebo bez chmurki i zieleń kapie się w promieniach słońca? Że jedziemy do miejscowości, w której przyszedłem na świat? Że tam zamieszkamy wreszcie, jak się to mówi, pod rodzinną strzechą? To wszystko nie mogło go interesować i miałby rację, powiadając nam prosto w oczy, że go to nic nie obchodzi, że ma rozkaz zawieźć nas na określone miejsce, wobec czego mamy siedzieć cicho, bo on musi prowadzić wóz i nie wolno mu rozpraszać uwagi. Tak właśnie myślałam, lecz, dziwna rzecz, pomimo to przez cały czas kusiło mnie, by wdać się w pogawędkę z tym oficerem. Byłam ciekawa, kim on jest, co się dzieje z jego rodziną, czym się zajmował w pokojowych czasach, czy jest zaręczony, i tak dalej. Uświadomiłam sobie dopiero później, że ciekawiło mnie to dlatego, że minęło niebezpieczeństwo i zaczęłam doznawać znowu normalnych uczuć, nabierać zainteresowania dla ludzi oraz ich spraw, przestałam myśleć wyłącznie o ocaleniu siebie i Rosetty. Jednym słowem znowu wchodziłam w życie, a żyć to znaczy robić często wiele rzeczy bez powodu, po prostu ot tak, dla zachcianki czy kaprysu, a nawet dla zabawy. Ten oficer obudził moją ciekawość, w taki sam sposób, jak rekonwalescenta ciekawi po długiej chorobie wszystko, co się dookoła niego dzieje, choćby i sprawy jak

najbardziej błahe. Patrzyłam na tego Anglika i musiałam stwierdzić, że ma naprawdę prześliczne blond włosy, koloru złota, lekko falujące, połyskliwe, miękko opadające na kark. Te złote włosy wzbudziły we mnie nieomal chęć, by wyciągnąć rękę i pogłaskać je: nie dlatego, by ten młody człowiek podobał mi się lub pociągał mnie w jakiś sposób, lecz dlatego, że na nowo nabrałam chęci życia, a te włosy właśnie były żywe. I rzeczywiście ogarniało mnie to samo uczucie na widok drzew, okrytych młodą zielenią, którymi wysadzona była cała droga, na widok białego obmurowania za rowem, mającego powstrzymać obsypującą się ziemię i zbudowanego z gładkich, równo obciosanych kamieni, na widok błękitnego nieba i olśniewającego majowego słońca. Wszystko mi się podobało, rozsmakowywałam się we wszystkim: po długim poście każda potrawa budzi apetyt.

Boczna droga biegnąca górską doliną wzdłuż potoka, po kilkunastu kilometrach łączyła się z główną szosą, a potok wpadał do szerokiej rzeczki, przepływającej nieco szerszą doliną. Góry nie sterczały już tak prostopadle obok drogi, ich zbocza były łagodniejsze i już nie tak zielone, lecz kamieniste i z rzadka tylko pokryte roślinnością. Cały krajobraz stawał się nagi, opustoszały i surowy. W tym właśnie otoczeniu urodziłam się i rosłam, i rozpoznając je teraz, doznałam jakby uczucia lęku, że jest aż tak dzikie i puste, niemniej cieszyłam się, że wracam w rodzinne strony. Był to pejzaż iście zbójecki i nawet słońce majowe nie czyniło go przytulniejszym i miłszym dla oka; były

tam tylko skały i kamienie, rozpadliny, przecinające skały, i rzadkie kępki trawy między skałami i kamieniami; i ta czarna, gładka świecąca droga, wijąca się pośród owego usypiska głazów, wyglądała zupełnie jak wąż, zbudzony ze snu pierwszym wiosennym ciepłem. Nie widać było ani jednego domu, szopy, baraku czy chałupy, ani jednego człowieka czy zwierzęcia. Wiedziałam, że owa dzika, bezludna dolina ciągnie się na tak długiej przestrzeni, że zdaje się nie mieć końca i że w promieniu kilkunastu kilometrów jedynym zamieszkanym osiedlem jest nasza wieś; była to zresztą nieduża wioska, składająca się z grupy domków zbudowanych wzdłuż jednej tylko uliczki, dochodzącej do placu, na którym stał kościół.

Jechaliśmy długo, cały czas w milczeniu, i oto nagle, za zakretem ukazała się moja wieś. Wszystko wyglądało tak samo jak dawniej: na skraju jedynej ulicy, po obydwu jej stronach, stały dwa domki, które tak dobrze znałam, dwa stare wiejskie domki zbudowane z kamienia, nie pobielone, ciemne i ubożuchne, pokryte pozieleniałymi od mchu dachówkami. Nagle, sama nie wiem czemu, poczułam wstyd przed tym oficerem angielskim, który zdawał się obrażony, że musi służyć nam za szofera; odruchowo wyciągnęłam rękę i klepnęłam go po ramieniu mówiąc, że zajechałyśmy już na miejsce i tutaj wysiadziemy. Gwałtownie zahamował, a ja żałując w duchu, że tak pochopnie kazałam mu się tu zatrzymać, powiedziałam Rosetcie, iż jesteśmy na miejscu. Wysiadłyśmy z samochodu, a oficer pomógł nam wyładować kartonowe pudła z konserwami,

które postawiłyśmy sobie na głowie. Na pożegnanie uśmiechnął się i powiedział prawie serdecznie po włosku: — Życzę wszystkiego dobrego — po czym błyskawicznie zakręcił i odjechał z szybkością strzały. W przeciągu kilku sekund zniknął za zakrętem; zostałyśmy same.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z panującej wokół nas kompletnej ciszy i pustki. Nie widać było żywej duszy, nie słychać było najłżejszego szmeru prócz podmuchu wiosennego wiatru, który cicho szumiał w dolinie. Potem przyglądając się dwóm domom stojącym na skraju wsi, zobaczyłam coś, czego nie zauważyłam przedtem: zamknięte szczelnie okiennice i drzwi zabite przymocowanymi na krzyż deskami. Zrozumiałam wówczas że cała wieś została ewakuowana, i po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może źle zrobiłam opuszczając Fondi, gdzie istniało wprawdzie niebezpieczeństwo bombardowania, lecz wszędzie dokoła byli ludzie i nie czuł się człowiek samotny jak palec. Poczułam nagle, że serce mi się ściska, i by dodać sobie otuchy, powiedziałam do Rosetty: — Bardzo możliwe, że wieś jest opuszczona i że wszystkich ewakuowali. Jeśli tak jest, nie zostaniemy tutaj, tylko pójdziemy do Vallecorsa. To niedaleko, kilka kilometrów stąd. Albo wsiądziemy na jakąś ciężarówkę i poprosimy, żeby nas podwieźli... To przecież główna szosa, powinien być tutaj duży ruch.

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie moich słów, wyjechała spoza zakrętu kolumna ciężarówek i samochodów wojskowych; ten widok nappełnił nas otuchą: to byli alianci, a

więc przyjaciele, w razie czego mogliśmy zwrócić się o pomoc do nich, tak jak zrobiliśmy w Fondi. Zeszliśmy z szosy na bok i przystanęliśmy obserwując przejeżdżającą przed nami kolumnę. Na czele jechał odkryty samochód podobny do tego, który przywiózł nas tutaj; siedziało w nim trzech oficerów. Na masce tego samochodu powiewała chorągiewka czerwono-biało-granatowa. Jak się dowiedziałam później, była to flaga francuska i ci oficerowie byli rzeczywiście Francuzami we francuskich czapkach, które miały kształt rondelków i daszki. Za tym samochodem jechał długi szereg ciężarówek; wszystkie były jednakowe i pełne żołnierzy, którzy wyglądali całkiem inaczej od tych, jakich widywaaliśmy dotychczas: mieli bardzo ciemne twarze i przypominali Turków w swoich czerwonych fezach, każdy z nich owinięty był w białą płachtę i miał zarzuconą na wierzch ciemną pelerynę. Jakiego pochodzenia byli ci żołnierze, o tym także dowiedziałam się później: byli z Maroka, a Maroko leży bardzo daleko w Afryce i gdyby nie wojna, owi Marokańczycy nigdy nie trafiliby do Włoch. Kolumna nie była bardzo długa i przejechała w kilka minut ginąc nam z oczu za zakrętem wsi; na drodze znowu zrobiło się cicho i pusto. Powiedziałam do Rosetty: — To także są na pewno alianci, ale licho wie, jakiej rasy... Kto kiedy widział takich odmieńców? — Potem ruszyliśmy w stronę wsi.

Przed samą wsią wyrastała przy drodze skała, w której była grotka, a w tej grocie źródło. Idąc z pudełkiem na głowie, rzekłam do Rosetty: — W tej grocie jest źródło. Wstąpimy tam, bo mam

pragnienie i chcę się napić wody. — Powiedziałam to jako pretekst, by wstąpić do tej groty; jako mała dziewczynka, a potem młoda dziewczyna, przychodziłam tu kilka razy dziennie po wodę z miedzianym naczyniem na głowie i zostawałam z dziesięć minut albo i dłużej, by pogawędzić z innymi kobietami, które przychodziły tutaj po to samo co i ja. Czasami zjawiali się też w grocie ludzie z dalszych stron z beczkami, przytroczonymi na grzbietach osłów, było to bowiem jedyne źródło w okolicy, które nigdy nie wysychało, a woda była naprawdę znakomita, czysta jak łza i bardzo zimna. Byłam przywiązana do tej groty; jako dziecko uważałam ją za dziwne i tajemnicze miejsce, które napełniało mnie lękiem i pociągało zarazem. Często pochylałam się nad basenem, do którego spływała źródłana woda, przeglądałam się w ciemnej tafli i patrzyłam na bujnie rosnące „capelveneri”, za którymi tryskało źródło. Lubiłam przyglądać się swojemu jasnemu i kolorowemu odbiciu; lubiłam wpatrywać się w delikatne listeczki i czarne jak heban gałązki, lubiłam obserwować aksamitny, zielony, pokrywający ściany groty mech, na którym perliły się błyszczące kropelki wody i rosły gdzieś tam małe czerwone kwiatuszki. Lecz grotę pociągała mnie przede wszystkim dlatego, że niegdyś ktoś ze wsi powiedział mi, iż wystarczy skoczyć w tę wodę, by dostać się do podziemnego świata, o wiele piękniejszego niż nasz, pełnego legendarnych skarbów, wróżek i krasnoludków. Owa bajka zrobiła na mnie ogromne wrażenie, i nawet później, kiedy już dorosłam i przestałam w nią wierzyć, ilekroć weszłam do groty, ogarniały mnie wątpliwości, czy to jednak, pomimo wszystko,

nie jest prawda i czy gdybym zdecydowała się na ten skok do wody, nie zobaczyłabym owego zaczarowanego świata.

Tak więc weszliśmy do groty; postawiłam na ziemi kartonowe pudło i zbliżyłam się do basenu; opierając się piersią o jego brzeg stałam pod zwisającymi stalaktytami, które jak dawniej obrośnięte były zielonym, błyszczącym mchem. Rosetta stanęła przy mnie i patrzyłam przez chwilę na nasze twarze odbite w czarnej, nieruchomej wodzie; westchnęłam na myśl, ile to rzeczy się zmieniło od czasu, gdy jako dziecko pochylałam się nad tą samą wodą i tak samo się w niej przeglądałam. Pod rosnącym na dnie basenu „capelvenere” widać było dopływ wody i nie mogłam powstrzymać się od myśli, że źródło to tryskać będzie wiecznie, podczas gdy ani mnie, ani Rosetty nie będzie już na tym świecie, a po tej straszliwej wojnie pozostanie tylko wspomnienie. Tak więc wszystko ma kres na tym świecie — pomyślałam sobie. — Minęło moje dzieciństwo, mam już dorosłą córkę, tylko owo źródło bije sobie jak niegdyś i bić będzie wiecznie. Pochyliłam się, by napić się wody, i łza spłynęła mi po policzku, lecz Rosetta, która także piła stojąc przy mnie, nie zauważyła tego. Potem otarłyśmy usta, z powrotem włożyłyśmy pudełka na głowy i ruszyłyśmy w kierunku wsi.

Moje przewidywania sprawdziły się niestety: wieś była opuszczona. Nie była zbombardowana ani zniszczona, tylko po prostu wygnano z niej wszystkich mieszkańców. Wszystkie domostwa, nędzne domki z ciosanego kamienia, cisnące się

jeden przy drugim wzdłuż ulicy, miały zamknięte okiennice i pozabijane deskami drzwi. Przechodząc między tymi martwymi domami doznawałam uczucia lęku, jakiego doznaje się na cmentarzu, gdy człowiek pomyśli o wszystkich zmarłych, spoczywających tam pod nagrobkami; doszliśmy do domu moich rodziców, który był także zamknięty na cztery spusty, więc nie próbowałam nawet zastukać do drzwi i nie mówiąc Rosetcie, że to nasz dom, przyśpieszyłam kroku; w końcu doszliśmy do placu, który szerokimi stopniami wznosił się pod górę; stał tam kościół, typowy wiejski kościółek, bardzo stary i prosty, bez żadnych ornamentów, o kamiennych, poczerniałych murach. Plac wyglądał identycznie tak samo jak dawniej; stopnie wybrukowane były ciemnymi płytami o białych obwódkach; drzew nie przybyło, rosło ich tylko kilka i jak zazwyczaj na wiosnę, pokryte były jasnym listowiem; z boku stała stara studnia, ocembrowana takim samym szerniałym kamieniem jak i kościółek; żelazny żuraw był całkiem zardzewiał. Zauważyłam, że drzwi kościoła pod opartym na dwu kolumnach portykiem są uchylone, i powiedziałam Rosetcie: — Wiesz, co zrobimy? Kościół jest otwarty, posiedzimy tam chwilę, by odpocząć, a potem wyruszmy do Vallecorsa. — Rosetta nic nie odpowiedziała i poszła za mną.

Gdy tylko weszliśmy do środka, zorientowałam się od razu, że w tym kościele musieli biwakować żołnierze; nie był on nawet bardzo zniszczony, niemniej wyglądał jak stajnia. Kościół ten był wąski i długi, pobielony wapnem, pułap miał czarny,

belkowany; w głębi stał ołtarz z obrazem Madonny z Dzieciątkiem. Ołtarz był teraz całkiem pusty, bez jednej świeczki, nie mówiąc już o lichtarzach, wazonach i innych ozdobach; obraz wisiał jeszcze, lecz wyglądał tak, jakby przeszło tędy trzęsienie ziemi; jeśli idzie o ławki, stojące dawniej podwójnym szeregiem przed ołtarzem, to pozostały tylko dwie i przesunięto je pod ścianę. Między nimi leżał na ziemi szary popiół i osmalone szczapy, widomy znak, iż rozpalono tu ognisko. Światło wpadało do kościoła przez duże okno, znajdujące się nad kruchtą, było ono ozdobione niegdyś kolorowym witrażem. Obecnie z tego witrażu pozostały tylko ułamki kolorowego szkła sterczącego po bokach futryny i w kościele jasno było jak na dworze. Podeszłam do jednej z ocalałych ławek, którą przesunęłam na wprost ołtarza, a potem położyłam na niej kartonowe pudło i powiedziałam do Rosetty: — Oto mamy najlepszy przykład, czym jest wojna: nawet kościoła nie umieli uszanować. — Potem usiadłam, a Rosetta siadła obok mnie.

Doznałyśmy dziwnego uczucia, jak ktoś, kto znalazł się w sanktuarium, a nie ma ochoty się modlić. Podniosłam oczy na wizerunek Madonny, zniszczony i prawie czarny ze starości, który wisiał tak krzywo, że Madonna miała wzrok zwrócony w sufit, a nie na ławki, i pomyślałam sobie, że jeśli chcę się pomodlić, powinnam przede wszystkim wyprostować ten obraz. Ale może i wtedy nie mogłabym się zmusić do modlitwy, byłam tak odrętwiała i oszołomiona zarazem, że przestałam cokolwiek

odczuwać. Wracalam pełna nadziei do mojej rodzinnej wsi, gdzie spodziewalam się zobaczyć ludzi, wśród których się wychowalam, a przede wszystkim moich rodziców, a tymczasem zastałam pustą skorupę. Odeszli wszyscy, może nawet i Madonna, której wizerunek został zbezczeszczoney. Potem spojrzalam na siedzącą przy mnie Rosette i zobaczyłam, że się modli, ze złożonymi rękami, schyloną głową, ledwie poruszając wargami. Powiedzialam cicho: — To dobrze, że się modlisz... pomódl się i za mnie... ja jakoś nie mogę się skupić.

W tej samej chwili usłyszałam bliżej nieokreślony hałas i tupot za drzwiami kościoła; obejrzałam się i zobaczyłam na progu jakąś białą postać, która cofnęła się natychmiast. Nie wiedzialam, kto to taki, lecz od razu przyszło mi do głowy, że to zapewne jeden z owych dziwnych żołnierzy, których widziałyśmy przed chwilą przejeżdżających szosą, i zdjeta nagłym lękiem wstałam, mówiąc do Rosetty: — Chodźmy stąd... musimy stąd wyjść. — Wstała natychmiast, robiąc znak krzyża na piersi. Pomagałam jej postawić pudełko na głowie, zrobiłam to samo ze swoim i skierowałyśmy się ku wyjściu. Pchnęłam drzwi, które były teraz zamknięte, i stanęłam oko w oko przed jednym z tych kolorowych żołnierzy, który całkiem wyglądał na Turka, taki był ciemny i ospowaty; spod czerwonej czapki połyskiwały mu czarne jak węgiel oczy, owinięty był cały w białe prześcieradło, a z ramion zwisała mu ciemna peleryna. Pchnął mnie do tyłu, mówiąc coś, czego nie zrozumiałam; zobaczyłam, że za nim stoją inni, lecz ilu ich było, tego nie

widziałam, bo on chwycił mnie mocno za ramię i pociągnął za sobą do kościoła, a tamci tłoczyli się z tyłu. Krzyknęłam: — Spokojnie! Jesteśmy wysiedlone... wysiedlone z Rzymu... — W tej samej chwili spadło mi z głowy pudełko, puszki z hałasem potoczyły się po podłodze, a ja zaczęłam się szarpać z tym żołnierzem, który teraz objął mnie w pól i przybliżał tę swoją straszną, ciemną twarz do mojej. Potem usłyszałam przeraźliwy krzyk Rosetty i zebrałam wszystkie siły, by się wyrwać i biec jej na pomoc. Lecz on trzymał mnie mocno i był tak silny, że na nic nie zdały się wszystkie moje wysiłki. Nie pomogło i to, że tłukłam go pięścią w brodę raz za razem, tak że odchyłał głowę do tyłu; poczułam, że ciągnie mnie coraz dalej za sobą, aż do ciemnego kąta po prawej stronie drzwi. Wtedy i ja krzyknęłam i krzyk mój był jeszcze bardziej przenikliwy niż Rosetty, bo wyraziłam nim całą rozpacz i grozę, nie tylko tego, co działo się w tej chwili, lecz wszystkiego, co spotkało mnie od chwili opuszczenia Rzymu. Ten zbir chwycił mnie teraz za włosy z tak straszliwą siłą, jak gdyby chciał oderwać mi głowę od tułowia, i przegiął mnie do tyłu tak mocno, że wraz z nim upadłam na podłogę. Leżał teraz na mnie, a ja usiłowałam zepchnąć go rękami i nogami; wtedy przygwoździł mi głowę do podłogi, trzymając mnie jedną ręką za warkocz, a drugą podciągnął mi na brzuch spódnicę; znowu zaczął szarpać mnie za włosy tak brutalnie, że krzyknęłam z bólu; czułam, że opuszczają mnie siły, z trudem łapałam oddech, traciłam przytomność. Nagle w ostatnim przebłysku świadomości przypomniałam sobie, że mężczyźni są niesłychanie wrażliwi na ból w tym miejscu.

Wyciągnęłam rękę i posuwając ją wzdłuż brzucha napotkałam jego rękę. On myśląc widocznie, że chcę mu ulec, puścił moje włosy i nawet uśmiechnął się do mnie, tym straszliwym uśmiechem, wyszczerzając czarne, wyszczerbione zęby. Tymczasem ja szarpnęłam go za genitalia, zaciskając palce jak tylko mogłam najmocniej. On wydał z siebie nieludzki ryk, znowu złapał mnie za warkocz i stuknął moją głową o podłogę tak gwałtownie, że nawet nie odczułam bólu, tylko od razu zemdlałam.

Nie wiem, ile czasu minęło, nim się ocknęłam; uświadomiłam sobie, że leżę w mrocznym kącie kościoła, że żołnierzy już nie ma i że cisza panuje dokoła. Bolała mnie głowa, ale tylko w okolicy karku, poza tym nie odczuwałam żadnego bólu i zrozumiałam, że temu łajdakowi nie udało się dopiąć celu, bo w porę zemdlałam, a niełatwo jest zgwałcić zemdloną kobietę. Lecz nie zrobił mi nic, przede wszystkim dlatego, że, jak dowiedziałam się później, jego towarzysze zawołali go, by pomógł im trzymać Rosettę, i on wraz z innymi dał upust swoim żądzom na niej. Niestety, Rosetta nie zemdlała, widziała wszystko i wszystko czuła.

Leżałam jeszcze przez chwilę, niezdolna do najlżejszego poruszenia, po czym, próbując się podnieść, odczułam ostry ból w karku. Przemogłam się jednak; wstałam i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, były rozsypane po całej podłodze puszki konserw; podniosłam oczy i ujrzałam Rosettę. Leżała pod samym ołtarzem, dokąd albo uciekła sama, albo ją zaciągnęli ci

zołdacy; leżała na plecach, nieruchomo, spódnicę miała zarzuconą na głowę, była do pasa naga. Widziałam jej biały jak marmur brzuch i białe nogi, po których spływała smuga krwi. Przyszło mi do głowy, że nie żyje, tym bardziej iż była zakrwawiona, a chociaż wiedziałam, dlaczego, była to przecież krew, a krew nasuwa zawsze myśl o śmierci. Podbiegłam do niej i cicho zawołałam: — Rosetto! — nie wierząc prawie, że mi odpowie; istotnie nie odezwała się ani słowem, nie poruszyła się nawet. Byłam przekonana, że nie żyje, i odsłoniłam jej twarz. Zobaczyłam wtedy, że patrzy na mnie szeroko otwartymi oczyma, bez słowa, bez najlżejszego ruchu, wzrokiem, jakiego nigdy u niej nie widziałam. Był to wzrok zwierzęcia schwytanego w pułapkę, które nie może się poruszyć i czeka, by myśliwy je dobił.

Usiadłam wtedy przy niej pod ołtarzem, wsunęłam jej rękę pod plecy, uniosłam ją lekko i przytuliłam do siebie. — Córuchno złota moja — powiedziałam; nie umiałam powiedzieć nic więcej, bo zaczęłam płakać i łzy wielkie jak groch spływały mi po policzkach, wpadając do ust; połykałam je i czułam, że są tak gorzkie, jak gdyby zgromadziła się w nich cała gorycz mojego życia. A zarazem zakrzątnęłam się, by doprowadzić Rosettę do możliwego wyglądu; wyjęłam chustkę i otarłam jej z krwi nogi, a potem obciągnęłam spódniczkę; zapięłam bluzkę, którą poodpinali jej ci barbarzyńcy; robiłam to wszystko szlochając rozpaczliwie. Na koniec wzięłam grzebień i długo rozczesywałam pasma jej potarganych włosów. Rosetta

pozwalala na wszystko, milczaca i sztywna jak kawałek drewna. W końcu zbrakło mi łez i poczułam się jeszcze bardziej nieszczęśliwa, że nie mam już sił płakać, krzyczeć i rozpaczać. Powiedziałam jej: — Czy czujesz się na siłach stąd wyjść? — Odpowiedziała mi szeptem: — Tak. — Pomogłam jej wstać, chwiała się na nogach i blada była jak papier, lecz, podtrzymywana przeze mnie, ruszyła ku drzwiom. W połowie kościoła, gdy doszliśmy do ławek, przystanęłam mówiąc: — Musimy poukładać do pudełek te puszki i zabrać je ze sobą... czy starczy ci sił? — Znowu odpowiedziała: tak. Pozbierałam więc konserwy do pudełek, sama wzięłam jedno, a drugie postawiłam jej na głowie; wreszcie wyszliśmy na dwór.

Głowa bolała mnie tak straszliwie, że gdy wychodziłam z kościoła, mgła przesłoniła mi wzrok, lecz przewyciężyłam się nadludzkim wysiłkiem woli, myśląc o tym, jak cierpi w tej chwili Rosetta. Zeszliśmy powoli po kamiennych stopniach; słońce stało już wysoko na niebie i rzucało jaskrawe światło na poczerniały bruk. Bogu dzięki po Marokańczykach nie było już ani śladu, zapewne po tym, co zrobili, zaraz odjechali, by gdzie indziej zacząć wszystko na nowo. Przeszliśmy więc przez wieś, między szeregiem milczących, pozamykanych domów, dochodząc do głównej szosy, słonecznej, czystej, jasnej, gdzie powiewał wiosenny wietrzyk, jak gdyby szepcąc mi do ucha, że nie powinnam się martwić, że i tak wszystko będzie jak przedtem, jak zawsze. Przeszliśmy blisko kilometr bardzo powoli, ani słowem nie odzywając się do siebie; ból głowy

dokuczał mi coraz bardziej i widziałam, że Rosetta także ledwie powłóczy nogami, powiedziałam jej więc: — Przy pierwszej napotkanej szopie zatrzymamy się i wypoczniemy do jutra. — Nic nie odpowiedziała i tak zaczął się ów niewypowiedziane przykry okres, w którym nie mogła wydobyć z siebie głosu, a który zaczął się w chwili, gdy zgwałcili ją Marokańczycy. Po przejściu jakichś stu metrów zobaczyłyśmy nadjeżdżający w naszą stronę samochód, taki sam, jakim przyjechałyśmy tutaj, a w nim dwóch oficerów francuskich, których poznałam po czapkach w kształcie rondelka. Sama nie wiem, co mnie napadło, ale wyskoczyłam na środek drogi, robiąc znaki ręką, i oni stanęli. Podbiegłam do samochodu i krzyknęłam z furją: — Wiecie, co nam zrobili ci Turcy, którzy są w waszym wojsku? Wiecie, co ośmielili się zrobić, w uświęconym miejscu, w kościele, na oczach Madonny? Powiedzcie, czy wiecie, co zrobili? — Nie rozumieli i patrzyli na mnie zdumieni; jeden z nich był to brunet z czarnymi wąsikami i czerstwą, czerwoną twarzą, drugi miał jasne włosy, bladoniebieskie oczy i drobne rysy. Zawołałam po raz drugi: — Wiecie, co zrobili? To moja córka, zmarnowali mi ją, zmarnowali życie mojej córce, która była wcielonym aniołem... to gorsze od śmierci. Ale czy wiecie, co jej zrobili?! — Wtedy brunet podniósł rękę, jak gdyby chciał powiedzieć: — Dosyć! — i powiedział po włosku, ale z francuskim akcentem: — Pokój, pokój. — Wrzasnęłam. — Tak, pokój, ładny mi pokój, wy skurwysyny. — Blondyn powiedział wtedy coś do bruneta, prawdopodobnie, że mają do czynienia z wariatką, bo stuknął się w czoło z uśmiechem. Wtedy straciłam

głowę i znowu ryknęłam: — Nie, nie jestem wariatką, spójrzcie — i zrzucając na ziemię pudełko z konserwami, podbiegłam do Rosetty, która stała nieco w tyle, na środku szosy, nieruchoma jak posąg, z pudełkiem na głowie. Rosetta nie poruszyła się na mój widok, nawet nie spojrzała na mnie, a ja zadarłam jej do góry sukienkę, odsłaniając białe, smukłe, zaciśnięte uda; przypuszczałam, że zostały na nich tylko ślady krwi, którą, jak mogłam najdokładniej, obtarłam chustką, lecz zobaczyłam, że Rosetta krwawi i ma nogi zalane aż po kolana świeżą krwią, która błyszczała w słońcu. — Macie... patrzcie i powiedzcie teraz, czy jestem wariatką — zawołałam zmieszana i zarazem przerażona widokiem tej ilości krwi. W tej samej chwili usłyszałam huk motoru, a gdy się obejrzałam, zobaczyłam, że samochód znika za zakrętem.

Rosetta stała dalej nieruchomo jak posąg, wyprostowana, podtrzymując jedną ręką pudełko na głowie; przeszła mnie nagle myśl, że ona mogła zwariować po tych strasznych przejściach, i pełna lęku zapytałam: — Dlaczego nic nie mówisz, córuchno, dlaczego nie odzywasz się do twojej matki? — Wtedy odrzekła spokojnie: — To nic, mamó, to całkiem naturalny objaw, zresztą krwotok już ustaje. — Odetchnęłam z ulgą na te słowa, bo już doprawdy myślałam, że owe przeżycia przyprawiły ją o utratę zmysłów, i spytałam nieco spokojniej: — Czujesz się na siłach iść jeszcze kawałek? — Odpowiedziała: — Tak, mamó, — Wzięłam więc pudełko i ruszyłyśmy w dalszą drogę.

Przeszliśmy jeszcze około kilometra; głowa bolała mnie coraz bardziej, chwilami nie bardzo wiedziałam, co się ze mną dzieje, i robiło mi się czarno przed oczami, jak gdyby nagle zaszło słońce. W końcu za zakrętem szosy zobaczyliśmy u podnóża wysokiej góry małe wzgórze, całe pokryte lasem. Widniała tam między drzewami, prawie na szczycie, szopa, podobna do tych, w jakich w Sant' Eufemia chłopci trzymali trzodę. Powiedziałam Rosetcie: — Nie mam już siły iść dalej, ty też na pewno jesteś zmęczona. Pójdziemy do tej szopy... jeśli zastaniemy tam ludzi, pozwolą nam na pewno przenocować. Jeśli nikogo nie zastaniemy, tym lepiej, odpoczniemy tam sobie, a jutro, jak tylko poczujemy się lepiej, wyruszymy dalej. — Jak i przedtem nic mi nie odpowiedziała, lecz teraz byłam już znacznie spokojniejsza; widziałam, że nie zwariowała, a to, że była przybita, uważałam za całkiem naturalne. Czułam jednak, że Rosetta jest już nie ta sama co dawniej i że to, co zaszło, wpłynęło także na jej charakter. Choć byłam jej rodzoną matką, nie miałam prawa zadawać żadnych pytań i wiedziałam, że całą moją miłość okażę jej najlepiej, zostawiając ją w zupełnym spokoju.

Skreśliśmy na ścieżkę wijącą się między drzewami w kierunku szopy i w końcu po dłuższej wspinaczce dotarliśmy na samą górę. Tak jak sobie wyobrażałam, był to pasterski szałas, ze ścianami z ułożonych na płask kamieni, ze słomianym dachem, prawie dotykającym ziemi, i drewnianymi drzwiami. Postawiliśmy pudełka na ziemi i próbowaliśmy dostać się do

szopy. Lecz przy drzwiach wisiała kłódka, i były one zbite z tak grubych belek, że nawet silny mężczyzna nie potrafiłby ich wyważyć. Mocując się z drzwiami, usłyszałyśmy beczenie tak ciche, że ledwie dosłyszalne; brzmiało ono żałośnie, a nie głośno i natrętnie, jak beczą zazwyczaj kozy, zamknięte w ciemnym pomieszczeniu, gdy chcą wydostać się na dwór. Powiedziałam wtedy do Rosetty: — Zamknęli kozy w szopie i uciekli. Musimy znaleźć jakiś sposób, by je wypuścić. — Powiedziawszy to, podeszłam do rogu szałas i zaczęłam wyszarpywać słomę z dachu. Nie było to łatwe, bo była stwardniała od deszczu i starości, poza tym każdy snop związany był łykiem i umocowany od wewnątrz do pułapu. Jednakże ciągnąc mocno i rozluźniając tyko udało mi się wyrwać kilka snopów, tak że nad obmurowaniem utworzyła się spora dziura. Gdy tylko ją zrobiłam, zaraz wytknęła głowę biało-czarna koza, opierając się kopytkami o murek i patrząc na mnie złotymi oczyma. Znowu cicho beknęła, a ja powiedziałam: — No skacz, skacz, ślicznotko. — Lecz zobaczyłam, że to biedactwo nie ma siły samo się wydostać, bo całkiem osłabło z głodu, i że będę musiała wyciągnąć ją z szałas. Poszerzyłam więc otwór, po czym chwyciłam wpatrującą się we mnie kozę za szyję, ciągnąc ją tak mocno, że udało się jej wreszcie wyskoczyć na dwór. Po niej ukazała się w dziurze następna, potem trzecia i czwarta; wydobyłam je stamtąd wszystkie po kolei. Wyglądało na to, że szopa jest już pusta, ale znowu rozległo się beczenie, oparłam się więc o murek i wskoczyłam do wnętrza. Od razu zobaczyłam kilka koźlątek cisnących się pod otworem, a w głębi w kącie

leżało coś białego. Była to duża, nieruchomo leżąca na boku koza, którą ssało skulone przy niej kozłátko. W pierwszej chwili pomyślałam, że koza nie rusza się dlatego, że karmi swoje kozłę, lecz kiedy podeszłam bliżej, przekonałam się, iż jest martwa. Poznałam to po przechylonej do ty ha głowie i otwartym pyszczku, który obsiadły muchy. Koza zdechła z głodu, a trzy kozłátka ocalały dlatego, że do ostatniej chwili piły mleko matki. Wyniosłam więc na dwór jedno po drugim także i kozłéta i postawiłam je pod murkiem. Cztery uwolnione przeze mnie kozy pożerały już liście z nieopisaną zachłannością, musiały być do ostateczności wygłodzone; kozłaki pobiegły do nich i po chwili cała trzódka znikła w zaroślach. Słysząc było jednak beczenie, które stawało się coraz to silniejsze i donioślejsze, jak gdyby każdy kęs wzmacniał głos kóz i jak gdyby te biedne stworzenia chciały mi dać znać, że czują się coraz lepiej i dziękują mi za uratowanie ich od śmierci głodowej.

Z wielkim trudem udało mi się też wydobyć z szałasów niezwywą kozę, którą zaciągnęłam jak najdalej mogłam w krzaki, by nie psuła nam powietrza. Potem zabrałam wszystką wydartą ze strzechy słomę i zrobiłam z niej poślanie w kącie szopy. Powiedziałam Rosetcie: — Chcę się teraz przespać, tu, na słomie. Chodź się położyć obok mnie. — Odpowiedziała: — Położę się na dworze, na słońcu. — Nie namawiałam jej dłużej i poszłam się położyć. Leżałam w półmroku, lecz widziałam przez dziurę w dachu błękitne niebo: promień słońca wpadał do szałasów, oświetlając klepisko pokryte kozimi bobkami, które

były tak czarne i lśniące jak jagody na gałązkach lauru; wszędzie dokoła rozchodził się przyjemny zapach stajni.

Czułam się jak połamana i osłabienie zmogło mnie do tego stopnia, że nawet nie potrafiłam się martwić nieszczęściem Rosetty tak, jak by należało. To, co się stało, pozostało mi w pamięci jako coś niezrozumiałego i absurdalnego; widziałam Rosettę stojącą nieruchomo na szosie, ze spływającą po nogach, lśniącą w słońcu strugą krwi. Ten obraz majaczył mi przed oczami, lecz nie rozumiałam, co oznacza. Na koniec zasnęłam.

Spałam niedługo, może pół godziny, gdy obudziłam się nagle, głośno wołając Rosettę. Nikt mi nie odpowiedział, dokoła panowała głucha cisza, nie słychać było nawet kóz, które zaszyły się widocznie daleko w zaroślach. Zawołałam raz jeszcze, zerwałam się z posłania i wyskoczyłam przez dziurę: Rosetty nie było. Obeszłam dokoła szałas, zobaczyłam stojące pod ścianą kartonowe pudełka, ale jej nie znalazłam.

Ogarnął mnie straszliwy lęk i pomyślałam sobie, że Rosetta uciekła ze wstydu i rozpaczy albo, co gorzej, że w chwili załamania rzuciła się na szosie pod jakiś samochód, by z sobą skończyć. Zabrakło mi tchu, serce jak młotem waliło mi w piersi i zaczęłam wołać Rosettę na całe gardło, stojąc przed drzwiami szałas. Lecz nikt mi nie odpowiadał i wreszcie zabrakło mi głosu, poszłam więc jej szukać do lasu.

Poszłam na chybił trafił ścieżką biegnącą między drzewami, która była w tym miejscu nieco szersza, lecz tak zarośnięta, że

zlewała się prawie z leśnym podszyciem. Nagle znalazłam się przy skale, której ściana sterczała nad szosą. Rosło tam drzewo i skała miała spłaszczone zbocze, z którego widać było w dole spory kawałek drogi, wijącej się w wąskiej dolinie, a nieco dalej łożysko strumienia, pokryte białymi kamieniami, wśród których spływały wąskie strużki wody. Gdy usiadłam na tym spłaszczonym skalnym siodełku i przechyliłam się w dół, zobaczyłam Rosettę. Od razu zrozumiałam, dlaczego mnie nie usłyszała: znajdowała się bardzo daleko, poniżej poziomu drogi; szła powoli i ostrożnie środkiem łożyska strumienia, przeskakując z kamienia na kamień, by nie zamoczyć sobie nóg; poznałam po jej kroku, że nie zeszła tam bynajmniej w samobójczych celach. Potem zobaczyłam, że przystaje w tym miejscu, gdzie strumień staje się węższy i głębszy, a potem przykłęka, pochyla głowę i pije. Gdy skończyła pić, wstała, rozejrzała się dokoła, po czym uniosła spódnicę, odsłaniając uda, na których, pomimo dużej odległości, jaka nas dzieliła, zdawało mi się, że dostrzegam zakrzepłą krew. Następnie przykucnęła i nabierając wodę w dłoń zaczęła polewać sobie uda, zrozumiałam więc, że się myje. Głowę miała przechyloną na bok, myła się bez pośpiechu, systematycznie, wcale się nie krępując, że spełnia tak intymną czynność w biały dzień, pod gołym niebem. Tak więc upadły wszystkie moje przypuszczenia: Rosetta oddaliła się od szałasów i zeszła do potoka wyłącznie w tym celu, by się umyć, i muszę się przyznać, że doznałam jak by bolesnego rozczarowania. Oczywiście, że nie pragnęłam, by odebrała sobie życie, tego się właśnie obawiałam; widząc ją robiącą coś wręcz przeciwnego,

byłam nie tylko rozczarowana, lecz ogarnął mnie lęk przed tym, co będzie dalej. Wydało mi się, że Rosetta pogodziła się z myślą o utracie dziewictwa, że uznała to za zrządzenie losu i że także to jej zacięte milczenie wy pływało nie z rozpacz y, ale z rezygnacji. Już później, gdy moje przewidywania sprawdziły się niestety, uświadomiłam sobie, że moja biedna Rosetta nagle stała się kobietą, ciałem i duszą, kobietą doświadczoną, twardą, zgorzkniałą, nie mającą już żadnych złudzeń i żadnych nadziei.

Patrzyłam na nią długo z wierzchołka skały; po umyciu wytarła się także bez najmniejszego skrepowania, jak zwierzę, po czym przeszła przez strumyk i wdrapała się na szosę. Skoro tylko znalazła się przy ścieżce, zeszłam ze skały i wróciłam do szałas u: nie chciałam, by myślała, że ją szpiegowałam. Przyszła po kilku minutach z twarzą równie spokojną jak pozbawioną wyrazu; udając, że jestem głodna, powiedziałam jej: — Zachciało mi się jeść... może coś przegryziemy. — Odpowiedziała bladym i obojętnym głosem: — Jak chcesz. — Usiadłyśmy więc obydwie na kamieniach przed szałasem i otworzyłam kilka puszek; widząc, że Rosetta je zachłannie, a nawet żarłocznie, znowu doznałam niemiłego zdziwienia; chciałam, by się posiliła, lecz jej wilczy apetyt był dla mnie czymś nieoczekiwanym, bo byłam pewna, że po tym, co zaszło, nabierze na jakiś czas wstrętu do jedzenia. Nie wiedziałam, co powiedzieć, i siedziałam całkiem ogłupiała patrząc, jak Rosetta sięga raz za razem do puszki, wyciąga kawałek mięsa i wpycha do ust, żując zawzięcie, z wytrzeszczonymi oczyma. W końcu

odezwałam się do niej: — Córuchno moja, nie powinnaś już myśleć o tym, co się stało w kościele. Nie powinnaś nigdy o tym myśleć, a zobaczysz... — Lecz ona przerwała mi sucho: — Jeśli nie chcesz, bym o tym myślała, to nie zaczynaj ze mną o tym mówić. — Zrobiło mi się nieprzyjemnie, bo i ton jej głosu był nowy, poirytowany, a zarazem szorstki i obojętny.

Jednym słowem spędziłyśmy tam na górze cztery dni i cztery noce; w nocy spałyśmy w szałasie, wchodząc do niego przez dziurę w dachu; wstawaliśmy o świcie, żywiłyśmy się amerykańskimi puszkami, wodę piłyśmy ze strumienia i prawie nie rozmawiałyśmy ze sobą, zamieniałyśmy kilka słów tylko, gdy to było konieczne. Chodziłyśmy bez celu po lesie, po południu drzemałyśmy w cieniu drzew. Kozy przez cały dzień pały się na dworze, a wieczorem same wracały; pomagałyśmy im dostać się do szałasu i spały w jednym kącie wraz z nami, przytulone jedna do drugiej; koźlęta ssały kolejno ich mleko i zapomniały już zupełnie o zmarłej matce. Rosetta była w dalszym ciągu apatyczna, obojętna, daleka; zgodnie z jej życzeniem, nie rozmawiałam już więcej o tym, co zaszło w kościele; po pierwszej rozmowie na ten temat pozostała mi jakby zadra w sercu i wiedziałam, że ten nie znajdujący ujścia ból nigdy już nie minie. Co więcej, wracając do owych czterech dni, jestem przekonana, sama nie wiem czemu, że właśnie w tym okresie zmienił się charakter Rosetty; trudno powiedzieć, czy stało się tak dlatego, że przetrawiała sama w sobie i po swojemu to, co się jej przydarzyło, czy też owa przemiana nastąpiła w niej

samorzutnie i bez udziału woli, na skutek doznanego wstrząsu, dość na tym, że stała się inną osobą. Pragnę zaznaczyć, że jeśli idzie o mnie, byłam początkowo zupełnie zaskoczona tą zmianą, lecz później, po dłuższym namyśle, uznałam, że nie mogło stać się inaczej, biorąc pod uwagę usposobienie Rosetty. Wspominałam już przedtem, że była ona uosobieniem doskonałości w całym tego słowa znaczeniu, bez żadnych ułomności ludzkich czy przywar, do tego stopnia, że zdawało mi się czasami, iż mam za córkę świętą. A teraz owa doskonałość świętej, która oparta była — o czym także już mówiłam — przede wszystkim na nieświadomości i braku doświadczenia, doznała śmiertelnego ciosu na skutek tego, co zaszło w kościele, i przekształciła się w coś wręcz przeciwnego; Rosetta stała się niepodobna do siebie jak dzień do nocy, brakło jej bowiem tego umiaru i ostrożności, właściwych ludziom normalnym, niedoskonałym i doświadczonym. Dotąd była religijna, dobra, czysta i łagodna; mogłam więc teraz oczekiwać, że bez chwili wahania czy zwątpienia stanie się przeciwieństwem siebie samej. Z moich bolesnych rozmyślań wysnułam wniosek, że czystość obyczajów nie jest darem natury, który przynosi się ze sobą na świat, że zdobywa się ją poprzez doświadczenia życiowe; że ten, kto chlubi się swoją wrodzoną czystością, musi ją wcześniej czy później stracić; że, jednym słowem, o wiele lepiej jest urodzić się niedoskonałym i pracując nad sobą stawać się coraz lepszym, by osiągnąć wreszcie pełnię człowieczeństwa.

ROZDZIAŁ X

A tymczasem zapas konserw w puszkach, które dostałyśmy od majora angielskiego, topniał w oczach, tym bardziej że Rosetta nie traciła wilczego apetytu; tak więc zdecydowałam, że należy opuścić jak najprędzej nasze leśne zacisze. Nie miałam odwagi udać się do Vallecorsa ani żadnej innej miejscowości w najbliższej okolicy w obawie, by znowu nie zetknąć się z Marokańczykami, którzy, jak mi się zdawało, grasowali po całej Ciociarii. Wreszcie powiedziałam Rosetce tak: — Nie pozostaje nam nic innego, jak wracać do Fondi. Stamtąd najłatwiej nam będzie dostać się do Rzymu, o ile już jest zajęty przez aliantów. Wolę bombardowanie niż Marokańczyków. — Rosetta wysłuchała mnie w milczeniu, a potem powiedziała coś całkiem nieoczekiwanego, co niemile mnie zaskoczyło: — Nie, jeśli o mnie idzie, wolę Marokańczyków niż bomby. Teraz Marokańczycy nie mogą mi już zrobić nic gorszego niż to, co mi zrobili. A umierać nie chcę. — Dyskutowałyśmy jeszcze przez chwilę i przekonałam ją w końcu, że najlepiej będzie wrócić do Fondi. Alianci musieli się już posunąć daleko na północ i w związku z tym bombardowania z pewnością ustały. Tak więc piątego dnia wczesnym rankiem opuściłyśmy sztaś i zeszłyśmy na szosę.

Miałyśmy szczęście, bo oprócz kilku samochodów wojskowych, które, jak wiedziałam, nie przewoziły cywilów, napotkałyśmy wkrótce pustą ciężarówkę, jadącą beztrosko po szosie zygzakami na złamanie karku. Stałam na środku drogi, machnąłam ręką i ciężarówka od razu się zatrzymała. Przy kierownicy siedział młody blondyn o niebieskich oczach ubrany w elegancką czerwoną koszulę. Stał, spojrzał na mnie, a ja zawołałam: — Jesteśmy wysiedlone, czy możesz zawieźć nas do Fondi? — Gwizdnął głośno i odrzekł: — Masz szczęście, jadę właśnie do Fondi... a gdzie jest twoja towarzyszka? — Już idzie — odpowiedziałam, dając znak Rosetcie, której kazałam zostać na ścieżce za krzakiem, w obawie przed jakimś niepożądanym spotkaniem. Wyszła teraz na zalaną słońcem szosę, idąc ku nam z pudełkiem, w którym poukładane były resztki konserw. Miałam okazję przyjrzeć się przez ten czas młodemu szoferowi, który nie wydał mi się sympatyczny; w wyrazie jego niebieskich oczu i bardzo czerwonych ust było coś wyuzdanego, nieokiełzanego i wulgarnego. Owo niemiłe wrażenie utwierdziło się jeszcze, gdy Rosetta podeszła do samochodu i zobaczyłam, że on nie patrzy na jej twarz, lecz na piersi, które tym wyraźniej uwydatniały się pod bluzką, że podniesionymi rękami podtrzymywała na głowie pudełko. Śmiejąc się obleśnie, zawołał do Rosetty: — Twoja matka powiedziała mi, że jesteś wysiedlona, ale nie powiedziała, że śliczna z ciebie dziewczyna. — Potem wyskoczył z szoferki, pomógł Rosetcie wsiąść, sadzając ją obok siebie, a mnie umieścił z drugiej strony. Złapałam się na tym, że nie zaprotestowałam głośno przeciwko tym aż nazbyt poufałym

słowom, podczas gdy kilka dni temu na pewno skarciłabym go ostro, a może nawet zrezygnowałabym z tej jazdy; pomyślałam nagle, że i ja się zmieniłam, przynajmniej w stosunku do Rosetty. Tymczasem młody chłopak zapuścił motor i samochód ruszył.

Przez chwilę milczeliśmy, po czym, jak to zwykle bywa w takich razach, zaczęła się rozmowa. Powiedziałam mu o nas tylko kilka słów, lecz on zdawał się nad wyraz gadatliwy, nie szczędził nam informacji o sobie. Oznajmił, że pochodzi z tych stron, że był żołnierzem, lecz zdezerterował w porę, w chwili zawieszenia broni; powiedział, że wkradł się w łaski pewnego niemieckiego kapitana, a ten zamiast wysłać go na roboty fortyfikacyjne na front, umieścił go w kuchni, gdzie wprawdzie musiał pracować dla Niemców, ale za to jadł lepiej niż kiedykolwiek przedtem; wreszcie oświadczył, że dysponując w okresie klęski głodowej ogromnymi zapasami żywności, mógł zdobyć każdą kobietę, jaka wpadła mu w oko: — Tyle ślicznych dziewcząt zgłaszało się do mnie po różne produkty. Pomagałem im, ale oczywiście pod pewnym warunkiem. Nie uwierzycie mi pewnie, lecz nie znalazła się ani jedna, która by mi odmówiła. Wiadomo, głód daje się we znaki i skłania do rozsądku nawet te najbardziej odporne. — By zmienić temat, zapytałam go, co robi teraz, a on odpowiedział, że założył spółkę ze swymi przyjaciółkami i przewozi uchodźców, którzy chcą wracać w swoje strony, oczywiście za słoną opłatą. — Ale od was nic nie wezmę — powiedział zerkając nieprzyzwoicie na Rosettę. Głos

miął gruby i chrypliwy; na szeroki kark opadały mu jasne, kędzierzawe kosmyki włosów, tak że miał głowę podobną do barana. Wzrok, jakim spoglądał na Rosettę, miał także w sobie coś baraniego, a patrzył przede wszystkim na jej piersi. Powiedział nam również, że ma na imię Clorindo, i zapytał Rosetty, jak jej na imię. Odpowiedziała mu, a on ciągnął dalej: — Szkoda, wielka szkoda, że skończył się głód. Ale zobaczysz, że i tak dojdziemy do porozumienia. Podobają ci się jedwabne pończochy? A może wolałabyś ładny kupon wełny na sukienkę? Albo buciki z kozłowej skórki? — Rosetta ku memu najwyższemu zdumieniu odrzekła po chwili. — A komu by się to mogło nie podobać? — Roześmiał się i powtórzył: — Zobaczysz, że dojdziemy do porozumienia. — Zatrzęślam się cała i nie mogłam powstrzymać się, by nie krzyknąć: — Licz się ze słowami... nie wiesz, z kim masz do czynienia! — Spojrzał na mnie z ukosa i wycedził: — Ach, jakaś ty niedobra... nie wiem, z kim mam do czynienia? Z dwiema biednymi wysiedlonymi kobietami, które potrzebują pomocy.

Jednym słowem nie brakło mu wymowy, ale był przy tym wulgarny, brutalny i do głębi zepsuty. Gdy dojechaliśmy na szczyt wzniesienia, skąd droga opada w dół ku morzu, zaczął prowadzić wóz jak wariat, pędząc w dół z wyłączonym motorem na łeb na szyję, gwałtownie biorąc zakręty; śpiewał przy tym na całe gardło jakąś nieprzyzwoitą piosenkę. Nie dziwiłam się, że miał ochotę śpiewać, bo dzień był rzeczywiście przepiękny, i czuło się w powietrzu wolność odzyskaną po tylu latach niewoli.

I nie mogę zaprzeczyć, że on także tą swoją niepohamowaną wesołością dał nam odczuć w pewien sposób, że owa wolność naprawdę wróciła; tyle tylko, że on brał ją po swojemu, jak łądak, który nie chce uszanować nikogo i niczego; dla mnie natomiast i dla Rosetty ta wolność oznaczała powrót do Rzymu i rozpoczęcie dawnego życia. Gdy samochód zarzucił na zakręcie, upadłam na Clorinda i wtedy zauważyłam, że trzyma on kierownicę tylko jedną ręką, a drugą ściska dłoń Rosetty. Znowu się zdziwiłam, że ona pozwala mu na to i że ja sama nie umiem się zdobyć na słowo protestu, co jeszcze kilka dni temu byłoby nie do pomyślenia. „Tak więc ten hultaj pojmuje wolność” — pomyślałam sobie, lecz nic na to nie mogłam poradzić. Tak jak Madonna nie działała cudu, by nie dopuścić do zbrodni Marokańczyków pod ołtarzem, tak samo ja, o tyle słabsza i bezsilniejsza od Madonny, nie mogłam przeszkodzić temu, by on trzymał Rosettę za rękę.

A tymczasem byliśmy już w dolinie, na szosie, którą tak dobrze znałam, mając po prawej ręce góry, a po lewej gaje pomarańczowe. Przypomniałam sobie, że gdy byłam tu ostatnim razem, szosa roiała się od uchodźców, żołnierzy, samochodów i czołgów, i byłam zaskoczona panującą tu obecnie głuchą ciszą. Gdyby nie piekące słońce i zielone drzewa, wystrzelające ponad kwitnącymi żywopłotami, mogłabym pomyśleć, że jest jeszcze zima, okres najgorszych represji okupanta, gdy sterroryzowani ludzie kryli się po domach niczym króliki w norach. Nie widać było żywej duszy, od czasu do czasu przemykał się tylko jakiś

chłop popędzając przed sobą osła; nie dochodziły znikąd żadne odgłosy, ani z bliska, ani z daleka. Przejechaliśmy w błyskawicznym tempie szosę i znaleźliśmy się w Fondi. Tutaj także panowała pustka i cisza, tym przykrzejsza, że wokół widać było zrujnowane domostwa, kupy gruzów i rozlewiska cuchnącej wody. Ludzi kręciło się bardzo niewiele i wszyscy byli wynędzniali i obdarci, tak samo jak miesiąc temu pod okupacją niemiecką. Podzieliłam się moją obserwacją z Clorindem, a on odpowiedział wesoło: — A tyle było gadania, że Anglicy przyniosą dobrobyt. I owszem, przynoszą, ale tylko na te kilka dni, kiedy zatrzymują się po drodze. Przez ten czas rozdają cukierki, papierosy, konserwy, odzież. Potem odjeżdżają i dobrobyt się kończy, a ludzie klepią taką samą biedę, jak przedtem, a nawet jest im jeszcze gorzej, bo niczego już nie oczekują, nawet przyjscia Anglików. — Zrozumiałam, że on ma rację; tak właśnie było: alianci zatrzymywali się w miejscowościach odbitych Niemcom i na dwa, trzy dni ich wojsko wносиło tam życie. Potem odchodzili i wszystko wracało do dawnego stanu. Powiedziałam Clorindowi: — Co my z sobą zrobimy? Nie możemy zostać tutaj w tych opłakanych warunkach. Nic nie mamy. Musimy wracać do Rzymu. — A on, prowadząc wóz między ruinami, odpowiedział: — Rzym nie został jeszcze zdobyty. Musicie na razie tu zostać. — A cóż my ze sobą pocniemy? — Wtedy odrzekł znaczącym tonem: — Wami ja się zaopiekuję. — Ten ton wydał mi się dziwny, ale wolałam nic nie mówić. A tymczasem Clorindo wyjechał już za Fondi i skręcił z szosy w boczną drogę, biegnącą

pomarańczowym gajem: — Tutaj, w tym gaju, mieszka zaprzyjaźniona ze mną rodzina — powiedział wesoło. — Zamieszkacie u nich, dopóki Rzym nie będzie uwolniony. Zawiozę was do Rzymu ciężarówką, kiedy tylko to będzie możliwe. — I tym razem nic nie powiedziałam; Clorindo zrobił pół obrotu na drodze, po czym stanął mówiąc, że musimy wysiąść i dojść na piechotę do domu jego znajomych. Poszliśmy ścieżką przez gaj pomarańczowy. To miejsce wydało mi się dziwnie znajome, pomimo że takich ścieżek przecinających pomarańczowe gaje widywałam w życiu tysiące i ta niczym nie różniła się od innych. Pewne szczegóły natrętnie nasuwały mi myśl, że musiałam już tędy niegdyś przechodzić. Szliśmy jeszcze około dziesięciu minut i gdy nagle znaleźliśmy się na polanie, wszystko stało się dla mnie jasne: przede mną stał dom Concetty, u której mieszkaliśmy po przyjeździe do Fondi. Powiedziałam stanowczo: — Nie, nie chcę się tutaj zatrzymać. — Dlaczego? — Bo mieszkałyśmy już tu kilka miesięcy temu i musiałyśmy uciekać... to złodziejska rodzina, a ta Concetta chciała oddać Rosettę w ręce faszystów i zrobić z niej ich nałożnicę. — Wybuchnął głośnym śmiechem: — Dawne dzieje... dawne dzieje. Teraz faszystów już nie ma, a synowie Concetty to porządni chłopcy, oni są właśnie moimi współnikami w interesach. Możesz być spokojna, że będą się z tobą obchodzić jak w rękawiczkach... co było, to było i minęło. — Chciałam dalej protestować, że nie zgodzę się tu zamieszkać, ale nie zdążyłam, bo w tej samej chwili ukazała się Concetta we własnej osobie i już biegła na nasze spotkanie. Nie zmieniła się ani na

jotę, jak dawniej była przesadnie czuła, egzaltowana i rozentuzjasmowana: — Co za szczęśliwy traf was tu przywiódł! Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem się zejdzie... uciekłyście bez słowa pożegnania, nawet nie zapłaciliście tego, coście nam były winne. Ale trzeba wam wiedzieć, że dobrze zrobiłyście uciekając w góry. Zaraz potem i moi synowie musieli schronić się do lasu, bo ci przekłęci Niemcy wyłapywali ludzi jak króliki. Dobrzeście zrobiły, wykazałyście więcej rozsądku od nas, a my, lepiej nie mówić, cośmy tutaj przeszli. Witajcie, witajcie, cieszę się, że widzę was w dobrym zdrowiu, a wiadomo, że zdrowie to wszystko. Chodźcie, chodźcie, Vincenzo i moi chłopcy ucieszą się, jak was zobaczą. A poza tym przyjechałyście z Clorindem, to całkiem to samo, jak gdybyście przyjechały z moim synem. Clorindo należy do rodziny. Rozgoście się, moje miłe. — Jednym słowem była to kubek w kubek ta sama Concetta i serce mi się ścisnęło na myśl, że znalazłyśmy się znowu w tej samej sytuacji, a nawet gorszej niż przedtem, ponieważ uciekłyśmy z domu Concetty, by uniknąć tego, co spotkało nas potem w mojej rodzinnej wsi. Lecz nic nie powiedziałam i pozwoliłam się ścisnąć i całować tej znienawidzonej kobiecie, tak samo zresztą jak Rosetta, która wyglądała niczym kukła, tak była apatyczna i obojętna. A tymczasem wyszedł z domu także Vincenzo, który jeszcze bardziej niż dawniej przypominał złowróźbne ptaszysko; był przeraźliwie wychudzony, nos miał jeszcze bardziej haczykowaty, brwi jeszcze bardziej nastroszone, oczy jeszcze bardziej błyszczące niż wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni. Gdy ścisnął mi rękę

w swoich dłoniach, bełkocąc coś niezrozumiałego, Concetta miała czelność powiedzieć: — Vincenzo mówił nam, że byliście w górach razem z Festami, że widział was w Sant' Eufemia. No tak, także i dla Festów to była ciężka zima. Najpierw my nie mogliśmy oprzeć się pokusie i naruszyliśmy tę kryjówkę w murze, no a potem ta historia z ich synem Michele. Biedacy! My oddaliśmy im wszystko, cośmy ukradli, oczywiście prócz tego, co było już sprzedane, jesteśmy uczciwymi ludźmi, cudza własność to dla nas rzecz święta. Ale kto im odda syna, biedacy, biedacy! — Nie skłamię, jeśli powiem, że na te słowa, tak bezmyślne i okrutne zarazem, poczułam, iż serce we mnie zamiera i krew krzepnie mi w żyłach; musiałam straszliwie zblednąć. Zapytałam słabym głosem: — A dlaczego? Co się stało z Michele? — Odpowiedziała mi z takim entuzjazmem, jak gdyby była zwiastunką radosnej wieści: — Jak to? Nie wiecie? Zamordowali go Niemcy. — Stałyśmy na podwórzu i poczułam nagle, że mdleję, uświadomiłam sobie bowiem po raz pierwszy, że kochałam Michela jak rodzzonego syna. Osunęłam się na stojącą koło domu ławkę i ukryłam twarz w dłoniach. A rozentuzjasmowana Concetta ciągnęła dalej: — Tak, zamordowali go uciekający Niemcy. Podobno wzięli go jako przewodnika i doszli górami do jakiegoś położonego na uboczu osiedla, gdzie mieszkała chłopska rodzina; ponieważ Michele nie znał dalszej drogi, Niemcy spytali tych chłopów, w których stronach jest nieprzyjaciel, mając na myśli Anglików, którzy są ich wrogami. Ale ci chłopci, biedacy, przekonani jak my, wszyscy Włosi, że nieprzyjaciel to Niemcy, odpowiedzieli, że

wszyscy puciekali do Frosinone. Niemcy rozwścieczeni, że nazwano ich nieprzyjaciółmi, wpadli w furję, powyciągali rewolwery i wymierzyli w chłopów. Wtedy Michele rzucił się, by ich osłonić, i zawołał: — Nie strzelajcie, oni są niewinni. — Został zabity wraz z innymi. Zginęła cała rodzina, wiadomo, wojna, cała rodzina zmasakrowana, istna rzeź, mężczyźni, kobiety, dzieci, a z nimi Michele, który miał całą pierś przedziurawioną kulami... tak się zemścili Niemcy, że wstawił się za tamtymi. Dowiedzieliśmy się o tym, bo córeczce tych chłopów udało się schować za stertę siana i w ten sposób ona jedna ocalała. Potem przyszła i wszystko opowiedziała. Jak się to stało, że nic nie wiedziałyście o tym? Całe Fondi o niczym innym nie mówi. Wiadomo, wojna, wojna...

A więc Michele nie żył. Siedziałam nieruchomo, z twarzą ukrytą w dłoniach, a potem poczułam, że płaczę, bo całe palce miałam mokre; głębokie westchnienie wyrwało mi się z piersi i zaczęłam rozpaczliwie szlochać. Wydawało mi się, że opłakuję wszystkich, przede wszystkim Michela, którego kochałam jak syna, i Rosettę, dla której może byłoby lepiej, żeby umarła jak Michele; i siebie samą, bo po tylu miesiącach, podczas których tylko nadzieja trzymała mnie przy życiu, przestałam się teraz czegokolwiek spodziewać. Łkając słyszałam mówiącą do mnie Concettę: — Płacz, płacz, to ci dobrze zrobi. Jak moi synowie uciekli w góry, ja także płakałam, sama już nie wiem, jak długo i potem poczułam się lepiej. Płacz, płacz, widać, że masz dobre serce, i dobrze robisz opłakując tego biedaka Michela, który był

jak święty i takie miał wykształcenie, że gdyby nie umarł, na pewno zostałby ministrem. To wojna, wiadomo, każdy coś stracił na wojnie. Ale Festowie więcej od innych; bo ci, co stracili majątek, jeszcze to odrobiją, ale jak odrobić stratę syna, tego się nie odrobi, o nie. Płacz, płacz, to cię uspokoi.

Płakałam długo; płacząc słyszałam, jak inni dokoła mnie rozmawiają o swoich sprawach, i gdy na koniec podniosłam głowę, zobaczyłam Concettę, Vincenza i Clorinda, dyskutujących w rogu podwórza na temat jakiegoś transportu mąki; Rosetta trzymała się na uboczu czekając, aż przestanę płakać. Spojrzałam na nią i jeszcze raz ogarnęło mnie przerażenie na widok jej obojętnej i apatycznej twarzy. Nie wylała ani jednej łzy, jak gdyby imię Michela nic jej nie mówiło. Jej oziębłość sprawiła, że znowu odczułam dotkliwy ból na wspomnienie śmierci Michela, bo pomyślałam sobie, że on ją kochał i on jeden mógłby ją odmienić; lecz nie żył już i wszystko przepadło. Muszę się przyznać, że w tym momencie jeszcze bardziej od śmierci Michela zabolęło mnie to, w jaki sposób Rosetta przyjęła tę wiadomość. Concetta miała rację, była wojna, a poza tym my sami przesiąkliśmy nią do tego stopnia, że zaczęliśmy uważać wojnę, a nie pokój, za normalne warunki dla człowieka.

Wreszcie wstałam, a Clorindo powiedział: — Chodźmy teraz zobaczyć, jak się tu urządzą — tak więc poszliśmy za Concetta do szopy z sianem. Teraz jednak nie było tam siana, tylko trzy łóżka z materacami i kołdrami; Concetta oświadczyła z entuzjazmem: — To są łóżka tego biednego właściciela hotelu

w Fondi. Biedak, zabrali mu wszyściutko, hotel jest pusty, ogołocony ze wszystkiego, wynieśli nawet nocniki. Zarobiliśmy trochę pieniędzy na tych łóżkach w zimie. Przychodzili uchodźcy, nadzy i bosy, biedacy, kazaliśmy im płacić za nocleg, no i zarobiło się trochę. Właściciele hotelu uciekli do Rzymu czy do Neapolu, nie ma ich w Fondi. Kiedy wrócą, oddamy im te łóżka, bo jesteśmy uczciwymi ludźmi; na razie jednak zarabiamy sobie w ten sposób, trochę sobie zarabiamy. Wiadomo, co wojna, to wojna. — Clorindo przerwał ten potok wymowy: — Ale tym dwom paniom nie każesz nic płacić. — A ona entuzjastycznie: — Ależ oczywiście! A któż by im kazał płacić. Wszyscy jesteśmy rodziną. — Clorindo dorzucił: — I będziesz je także żywiła, potem się policzymy. — A ona: — Naturalnie, że dam im jedzenie, ale proste, wiejskie, muszą przywyknąć, wiadomo, jak to na wsi. — Jednym słowem wyszli po chwili, a ja zamknęłam drzwi i prawie po ciemku usiadłam na jednym z łóżek obok Rosetty.

Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu, po czym zawołałam gwałtownie. — Czy dowiem się nareszcie, co się z tobą dzieje? Nie zmartwiłaś się śmiercią Michela, co, nie zmartwiłaś się!? A przecież go kochałaś. — Nie widziałam jej twarzy, bo głowę miała pochyloną, a przy tym w baraku panował półmrok, usłyszałam tylko odpowiedź: — Oczywiście, że się zmartwiłam. — I mówisz to w ten sposób? — A jak mam mówić? — Co ci jest? Co się z tobą stało? Mów! Nie wylałaś ani jednej łzy nad tym biedakiem, który zginął w obronie tych nieszczęsnych

chłopów, który zginął męczeńską śmiercią. — Nic nie odpowiedziała, a ja wpadłam po prostu w furję i szarpnęłam ją za ramię, powtarzając: — Mów, co ci jest, co się z tobą dzieje, mów! — Spokojnie odsunęła moją rękę i rzekła powoli, z naciskiem: — Mamo, daj mi święty spokój. — Tym razem ja nic nie odpowiedziałam i siedziałam przez chwilę jak skamieniała, patrząc przed siebie szeroko otwartymi oczyma. Ona tymczasem wstała, podeszła do stojącego obok łóżka i położyła się, odwracając się do mnie plecami. W końcu ja także się położyłam i dość szybko zasnęłam.

Gdy obudziłam się, było już ciemno, i Rosetty nie było obok na łóżku. Jeszcze przez dłuższy czas leżałam na wznak, nieruchomo, nie mając siły wstać, nie tyle z osłabienia, ile dlatego że czułam się zupełnie bezwolna. Potem przez ścianę szopy usłyszałam głos Concetty, rozmawiającej z kimś na podwórku, przemogłam się więc, wstałam i wyszłam. Concetta nakryła do stołu na dworze, naprzeciw kuchennych drzwi; zobaczyłam ją i Vincenza, lecz Rosetty i Clorinda nie było. Podeszłam do nich i spytałam: — Gdzie jest Rosetta? Nie widzieliście jej? — Concetta odrzekła: — Myślałam, że wiesz. Wyjechała z Clorindem. — Co to znaczy? — A ona: — No tak, Clorindo pojechał odwieźć ciężarówką uchodźców do Lenoli. Wziął z sobą Rosettę, żeby mieć towarzystwo w powrotnej drodze. Myślę, że powinni tu być jutro po południu. — Nie wierzyłam własnym uszom; była to bardzo przykra niespodzianka; dawniej Rosette nie przyszłoby do głowy zrobić

coś podobnego: wyjechać z tym typem jak Clorindo i w dodatku nie zawiadamiając mnie o tym. Zapytałam jeszcze: — I nic nie kazała mi powiedzieć? — Nic, kazała cię tylko zawiadomić. Nie chciała cię budzić, bo jest dobrą córką, A zresztą wiadomo, młodość ma swoje prawa, podoba jej się Clorindo i chce z nim być sam na sam. Przychodzi taki czas, że my, matki, przeszkadzamy naszym dzieciom. Moi synowie także uciekają z domu, żeby przebywać sam na sam z dziewczętami. A Clorindo to bardzo przystojny chłopak i tworzą z Rosettą piękną parę. — Wtedy wymknęło mi się niebacznie: — Gdyby nie stało się to, co się stało, Rosetta nie spojrzalaby nawet na Clorinda! — Zaledwie zdążyłam to powiedzieć, pożałowałam moich słów, lecz było już za późno, bo ta jędza stała nade mną jak kat nad dobrą duszą i pytała: — A co się stało? Mnie także to zdziwiło, że Rosetta tak pochopnie zgodziła się z nim pojechać, ale nie zwracałam na to uwagi, wiadomo, młodość. No więc powiedz mi, co się stało?

Sama nie wiem czemu, może dlatego że byłam, rozżalona na Rosettę, a może dlatego że czułam potrzebę wywnętrzenia się przed kimś, choćby tym kimś była tylko Concetta, dość, że nie umiałam się powstrzymać i powiedziałam wszystko. Concetta rozlewała teraz zupę na talerze i nie przerywając swego zajęcia wtrącała: — Biedna, biedna dziewczyna, biedna Rosetta. Ach, jak mi jej żal, jak mi żal. — Potem usiadła i gdy skończyłam opowiadać, zawołała: — No tak, ale to przecież wojna, wiadomo. Ci Marokańczycy to także pomimo wszystko młodzi

chłopcy i na widok twojej córki, takiej ładnej i młodej, nie mogli oprzeć się pokusie. Wiadomo, to przecież... — lecz nie zdążyła dokończyć, bo ja bowiem jak szalona rzuciłam się na nią z nożem w rękę, krzycząc: — Ty nie wiesz, nie możesz wiedzieć, co to był za wstrząs dla Rosetty. Ty jesteś urodzona dziwka i chciałabyś, żeby wszystkie kobiety były takimi samymi dziewczkami. Ale jeśli spróbujesz tylko rozmawiać tym tonem z Rosettą, zabiję cię, klnę się na Boga! — Widząc mnie tak rozwścieczoną, Concetta uskokczyła w bok i złożyła ręce: — Jezu Chryste, czego się tak złościysz? Co ja takiego powiedziałam? Że co wojna, to wojna, co młodość, to młodość i że Marokańczycy też są młodzi. Nie złość się, teraz Clorindo zaopiekuje się Rosettą i dopóki on będzie o niej myślał, niczego jej nie zabraknie, bądź pewna. On handluje na czarnym rynku, ma żywność, odzież, buty, pończochy, bądź spokojna, Rosetta przy nim nie zginie. — Jednym słowem zrozumiałam, że szkoda każdego mojego słowa na rozmowę z tą kobietą; odłożyłam nóż i zjadłam w milczeniu trochę zupy. Lecz ten posiłek zmienił się dla mnie w truciznę, bo ani na chwilę nie mogłam przestać myśleć o tym, jaka Rosetta była dawniej, a jaka jest teraz. Pojechała z Clorindem jak pierwsza lepsza lafirynda, która oddaje się każdemu, kto ma na to ochotę, nie zawiadomiła mnie o wyjeździe i może w ogóle już nie chce mnie znać. Kolacja skończyła się w milczeniu, a potem wróciłam do szopy i rzuciłam się na łóżko; tym razem jednak nie spałam, leżałam tylko z szeroko otwartymi oczami, baczna na każdy odgłos, roztrzęsiona do ostateczności.

Rosetta nie wróciła nazajutrz, a ja spędziłam ten dzień snując najbardziej nieprawdopodobne przypuszczenia, krążąc po pomarańczowym gaju i co chwila wyglądając na drogę, czy czasem nie nadjeżdża. Zjadłam kolację z Vincenzem i Concetta, która próbowała mnie pocieszać na swój głupi, rozegzaltowany sposób, nie przestając mi powtarzać, że Rosetcie dobrze jest z Clorindem i że od tej pory niczego jej nie zabraknie. Nie odzywałam się ani słowem, bo widziałam, że nie zda się to na nic, i nawet złość mi minęła. Po kolacji zamknęłam się w szopie i zasnęłam. Około północy usłyszałam, że drzwi uchylają się powoli; otworzyłam oczy i przy świetle księżyca zobaczyłam wchodzącą na palcach Rosettę. Podeszła po ciemku do nocnego stolika, stojącego między naszymi łózkami, i zapaliła świecę. Zmrużyłam oczy udając, że śpię, ale patrzyłam na nią i widziałam, że przebrana jest od stóp do głów, tak jak przewidywała Concetta. Miała dwuczęściową czerwoną sukienkę z lekkiego materiału i białą bluzkę, czarne lakierki na wysokich obcasach i nawet jedwabne pończochy. Najpierw zdjęła zakieciak, przyjrzała mu się z lubością i powiesiła go na poręczu krzesła, potem zdjęła spódnicę i położyła ją obok zakietu. Stała teraz w czarnej ażurowej halce, przez którą przeświecało jej białe ciało; w końcu usiadła i ściągnęła buty, oglądając je długo przy świetle świecy. Gdy rozebrała się do naga, zobaczyłam, że ma na sobie czarny, ściskający jej biodra gorset ze sznurówką i podwiązkami do pończoch. Nigdy dotąd nie nosiła pasa, ani czarnego, ani żadnego innego, tylko podwiązki powyżej kolana; ten gorset tak zmieniał jej ciało, że

miałam wrażenie, iż patrzę na kogoś innego. Dawniej było to zdrowe, młode, jędrne, czyste ciało niewinnej dziewczyny; teraz natomiast z powodu tego tak czarnego i tak obcisłego pasa wyglądało nieprzyzwoicie i wyzywająco: biodra wydawały się za białe, uda za pełne, brzuch za bardzo wypukły. Jednym słowem nie było to ciało Rosetty, która była dotąd moją córką; było to ciało Rosetty, która żyła z Clorindem. Spojrzałam na jej twarz i zobaczyłam, że i twarz się zmieniła. Rzucił na nią odblask płomyk świecy i gdy patrzyłam na tę zmysłową, zamysłoną, skrytą twarz Rosetty, przyszła mi na myśl ulicznica, która po swoim nocnym obchodzie pokoi hotelowych wraca nad ranem do domu i przelicza zarobek. Nie byłam w stanie dłużej panować nad sobą i powiedziałam głośno: — Rosetto! — Od razu podniosła na mnie oczy, po czym rzekła powoli i jakby niechętnie: — Co, mamó? — Zapytałam: — Gdzieś ty była? Trzy dni niepokoiłam się o ciebie. Dlaczego nie uprzedziłaś mnie? Gdzieś ty była? — Spojrzała na mnie i odrzekła: — Pojechałam z Clorindem i wróciłam właśnie przed chwilą. — Usiadłam na łóżku i pytałam dalej: — Co się z tobą stało, Rosetto? Ty przecież już nie jesteś sobą, nie jesteś dawną Rosettą. — Odpowiedziała cicho: — Oczywiście, że jestem sobą, dlaczego nie miałabym być sobą? — Zawołałam, zboląła: — Ależ córuchno, przecież Clorindo to całkiem obcy człowiek! Co cię może łączyć z Clorindem? — Tym razem nic mi nie odpowiedziała, siedziała ze spuszczonej oczyma, lecz odpowiedziało za nią jej nagie, obcisnięte gorsetem ciało, zmienione nie do poznania. Wtedy straciłam cierpliwość, zerwałam się z

łóżka i potrząsając ją za ramiona, krzyknęłam: — Chcesz mnie doprowadzić do rozpaczony tym twoim milczeniem? Ale wiem dobrze, dlaczego nie chcesz nic mówić, myślisz, że nie wiem? Nie chcesz mi nic powiedzieć, bo zachowałam się jak uliczna dziwka i jesteś teraz kochanką tego Clorinda. Nie chcesz nic mówić, bo gwizdziesz sobie na rodzoną matkę i dalej chcesz się puszczać! — Milczała w dalszym ciągu, a ja jak nieprzytomna potrząsałam ją za ramiona; wreszcie straciłam głowę i wrzasnęłam dziko: — Ale to, to natychmiast masz zdjąć! — i szarpnęłam gorset. I tym razem ani nie poruszyła się, ani nie oponowała, a ja mocowałam się z gorsetem, który był tak obcisły, że ani rusz nie mogłam go z niej ściągnąć. Porwana furją pchnęłam ją, tak że upadła twarzą na kołdrę, i z całej siły uderzyłam ją w pośladki, po czym zadyszana rzuciłam się na łóżko, krzycząc: — Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, coś ze sobą zrobiła? Jak możesz nie zdawać sobie z tego sprawy? — Sama nie wiem dlaczego, miałam nadzieję, że teraz wreszcie moje słowa znajdą w niej jakiś oddźwięk. Nic podobnego, wstała i zdawała się w tej chwili pochłonięta wyłącznie troską o swoje pończochy, które poodpinały się, gdy ściągałam jej gorset. W jednej rzeczywiście puściło oczko od uda po kolano i Rosetta potarła je starannie poślinionym palcem, by nie poleciało dalej. Potem powiedziała: — Dlaczego nie śpisz, mamó? Jest już bardzo późno — rozsądnym spokojnym tonem; zrozumiałam więc, że próżne są wszystkie moje wysiłki, i gwałtownie przewróciłam się na drugi bok, odwracając się do niej plecami. Słyszałam, że rusza się jeszcze, i widziałam jej cień na

przeciwległej ścianie. Potem zgasiła świecę, zrobiło się ciemno i zaskrzypiały sprężyny łóżka, na którym układała się do snu.

Teraz mogłabym powiedzieć wiele rzeczy, których nie umiałam sformułować przy świetle, patrząc na Rosettę, bo tak rozwścieczyły mnie zmiany, jakie w niej dostrzegłam. Powiedziałabym, że ją rozumiem; że po tym, co zaszło z Marokańczykami, ona przestała być sobą i zapragnęła teraz mężczyzny, by poczuć się kobietą i przekreślić tym sposobem wspomnienie tego, co się stało; że rozumiem, iż po tym, co spotkało ją na oczach Madonny, która nie zrobiła nic, by temu przeszkodzić, nawet religia przestała ją obchodzić. Chciałam powiedzieć jej to wszystko, wziąć ją w ramiona, przytulić, ucałować i płakać z nią razem. Lecz czułam także, że nie potrafiłabym nic powiedzieć ani zdobyć się na szczerłość w stosunku do niej, bo ona, zmieniając się sama, zmieniła i mnie, i nasz wzajemny stosunek wyglądał już całkiem inaczej. Jednym słowem po długim wahaniu, czyby jednak nie wstać i nie położyć się obok niej, zaniechałam tej myśli i zasnęłam.

Nazajutrz i w ciągu następnych dni było kubek w kubek to samo. Rosetta prawie nie rozmawiała ze mną, nie jak osoba, która jest obrażona, ale jak taka, która nie ma nic do powiedzenia; Clorindo nie odstępował jej ani na krok i, bynajmniej nie krępując się moją obecnością, obejmował ją wpół, głaskał po twarzy i pozwalał sobie na poufałe pieszczoty, co Rosetta przyjmowała z pełnym pokory zadowoleniem i powiedziałabym, nawet z wdzięcznością. Concetta składając ręce wykrzykiwała

co chwila, że tworzą razem piękną parę, a mnie ogarniała rozpacz, lecz czułam, że nic na to nie mogę poradzić. Któregoś dnia próbowałam przypomnieć jej narzeczonego, który był w Jugosławii, i wiecie, co mi odpowiedziała? — On na pewno także znalazł sobie jakąś Słowiankę. A ja nie mogę przecież całe życie czekać. — Zresztą rzadko kiedy przebywała w domu. Clorindo stale woził ją ciężarówką, która stała się jak gdyby ich domem. I trzeba było widzieć, jaki on miał na nią wpływ, jak była mu posłuszna. Wystarczało, by pokazał się na polanie i zawołał ją, a natychmiast rzucała wszystko i biegła na jego spotkanie. Nie wołał jej nigdy po imieniu, tylko gwizdał na nią jak na psa, lecz wyglądało na to, że jej się podoba właśnie takie traktowanie; było jasne jak słońce, że przykuło ją do niego to, czego nigdy przedtem nie zakosztowała i bez czego nie mogła się już teraz obejść, tak jak pijak nie może obejść się bez wina, a palacz bez papierosów. Tak, rozsmakowała się w tym, co Marokańczycy narzucili jej gwałtem; i może właśnie najsmutniejszą stroną owej odmiany, z jaką nie mogłam się pogodzić, było to, że jej bunt przeciwko przemocy, która ją zdruzgotała, znalazł wyraz w podporządkowaniu się tej sile i poszukiwaniu jej, a nie w jej odrzuceniu.

Jeździła razem z Clorindem ciężarówką do Fondi, w okolicy Fondi lub do Frosinone czy Terraciny, a nawet aż do Neapolu i wówczas spędzała tam z nim noc; za każdym powrotem zdawała się coraz silniej związana z Clorindem, a ja, dostrzegając w niej najdrobniejsze nawet zmiany, nie miałam już

żadnych złudzeń widząc, że staje się po prostu kurwą. Oczywiście nie było już mowy o powrocie do Rzymu, który nie był zresztą jeszcze zajęty przez aliantów. Clorindo nie ukrywał bynajmniej, że nawet zdobycie Rzymu nie będzie równoznaczne z naszym wyjazdem z Fondi: Rzym na pewien czas zostanie uznany za strefę wojskową i by się tam dostać, potrzebne będą specjalne pozwolenia oraz przepustki, nie wiadomo nawet, kiedy zaczną je dawać. Jednym słowem owa przyszłość, która w momencie wyzwolenia wydawała mi się tak jasna i różowa, teraz na skutek zachowania Rosetty, a po części z powodu obecności Clorinda, całkowicie się zaciemniła. Sama już nie wiedziałam, czy nadal pragnę powrotu do Rzymu i do dawnego życia, bo zdawałam sobie sprawę, że skoro my jesteśmy inne, i ono będzie inne. Te dni spędzone w domu Concetty, wśród pomarańczowych gajów, były najbardziej tragiczne z całego okresu wojennego, ponieważ przez cały czas nurtowała mnie myśl, że Rosetta żyje z Clorindem i że dzieje się to nieomal na moich oczach. Czasami na przykład późnym wieczorem, gdy leżałyśmy już w łózkach, dawał się słyszeć gwizd Clorinda i Rosetta wstawiała natychmiast, a ja pytałam zboląła: — Dokąd ty idziesz po nocy... czy dowiem się nareszcie, gdzie ty chodzisz? — Ona nie raczyła mi odpowiedzieć, ubierała się pośpiesznie i wybiegała z szopy; a twarz jej miała zawsze ten sam skryty i zmysłowy wyraz, który dostrzegłam u niej po raz pierwszy przy płomyku świecy, owego wieczoru, gdy wróciła z Lenoli, i który potwierdził mi nieomylnie, że nastąpiła w niej nieodwracalna zmiana. Pewnej nocy doszło nawet do tego, że Clorindo znalazł

się w baraku, to znaczy jestem prawie pewna, że tam był, obudziło mnie bowiem skrzypienie łóżka i szept ściszonych głosów; usiadłam na łóżku i zaczęłam nadśłuchiwać w ciemności, a potem spytałam Rosetty, czy śpi. Odpowiedziała mi znudzonym głosem: — Pewnie, że śpię, a co miałabym robić? To znaczy spałam, bo teraz mnie obudziłaś. — Położyłam się z powrotem, bynajmniej nie przekonana, i przypuszczam, że oni zachowywali się cicho, czekając, aż zasnę, a potem, o świcie, Clorindo wymknął się chyłkiem z szopy. Lecz tym razem wolałam nie zapalać świecy, bo za nic nie chciałam zobaczyć ich razem w łóżku; nad ranem, gdy wydało mi się, że Clorindo wychodzi, choć nie spałam, naumyślnie przymknęłam oczy i usłyszałam tylko ciche skrzypnięcie otwieranych drzwi. Lecz przeważnie kochali się licho wie gdzie, wyjeżdżając po kolacji ciężarówką i wracając późną nocą; zdarzało się to codziennie, ich czysto fizyczna miłość była nienasycona. Clorindo schudł i miał stale podkrążone oczy, Rosetta z dnia na dzień stawała się coraz to bardziej kobietą i biło od niej owo leniwe zadowolenie, które cechuje właśnie kobiety zmysłowo zaspokojone we współżyciu z dobranym partnerem.

Po miesiącu tego życia próbowałam się pocieszyć myślą, że ostatecznie Clorindo to przystojny chłopak, obrotny w interesach, i że gdyby poślubił Rosettę, wszystko by się pomyślnie ułożyło. Nie odpowiadało mi to o tyle, że Clorindo nie był sympatyczny, ale, jak się to mówi, musiałam robić dobrą minę do złej gry, no i przecież nie ja miałam wyjść za niego za mąż,

tylko Rosetta, a skoro jej się podobał, nic na to nie mogłam poradzić. Myślałam, że się pobiorą i wyjadą na stałe do Frosinone, gdzie mieszkała jego rodzina, będą mieli dzieci i może Rosetta będzie szczęśliwa. Ta perspektywa dodała mi nieco otuchy, lecz niepokoiło mnie to, że ani Clorindo, ani Rosetta nie wspominają jakoś o małżeństwie. Tak więc pewnego wieczoru, po kolacji, wzięłam się na odwagę i gdy byłyśmy w szopie, zagadnęłam Rosettę: — Nie chcę nic o tym wiedzieć, co robicie czy nie robicie, kiedy jesteście sami, ale chciałabym wiedzieć przynajmniej, czy on ma poważne zamiary... mam nadzieję, że tak, i powiedz mi, kiedy zamierzacie się pobrać.

Rosetta siedziała naprzeciw mnie na łóżku i zdejmowała buty. Wstała, spojrzała na mnie i odrzekła spokojnie: — Ależ mamo, Clorindo jest żonaty. Ma żonę i dwoje dzieci we Frosinone.

Muszę powiedzieć, że na te słowa krew uderzyła mi do głowy, bądź co bądź jestem Ciociarą, a my wszyscy w Ciociarii mamy gorącą krew i dźgnąć człowieka nożem to dla nas fraszka. A więc nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, zerwałam się na równe nogi, rzuciłam się na nią, schwyciłam ją za szyję, rzuciłam na łóżko i zaczęłam wymierzać jej policzek za policzkiem. Próbowwała się bronić, zasłaniając twarz ramieniem, a ja bijąc ją krzychałam: — Zabiję cię... chcesz być kurwą, ale ja cię przedtem zabiję. — Dalej zasłaniała się ręką, lecz nie protestowała i nie reagowała na moje ciosy. W końcu zabrakło mi tchu i dałam jej spokój. I teraz nie poruszyła się, leżała z

twarzą ukrytą w poduszce, tak że nie wiedziałam, co robi, czy rozmyśla, czy płacze. Wpatrywałam się w nią siedząc na moim łóżku i nie potrafiłabym opisać mojej rozpacz, zrozumiałam bowiem, że byłabym zdolna ją zamordować, lecz i to nie zdałoby się na nic: byłam bezsilna, przestałam mieć na nią jakikolwiek wpływ. W końcu powiedziałam ze złością: — Teraz chcę jeszcze tylko porozmawiać z tym łajdakiem Clorindem. Zobaczymy, czy będzie miał czelność mi to wszystko powiedzieć. — Na te słowa Rosetta podniosła głowę i zobaczyłam, że ma suche oczy i obojętny, apatyczny wyraz twarzy. Powiedziała spokojnie: — Nie zobaczysz już więcej Clorinda, wrócił do rodziny. Nie miał już nic do roboty w Fondi. Wrócił do Frosinone, pożegnaliśmy się dziś wieczór. Ja też go już nie zobaczę, bo teść zagroził mu, że zabierze córkę do siebie, a że żona Clorinda jest bogata, nie pozostało mu nic innego, jak usłuchać. — Znowu byłam zaskoczona, bo nie spodziewałam się usłyszeć takiego wyjaśnienia. A przede wszystkim zdziwił mnie jej ton: mówiła z taką obojętnością o rozstaniu się z Clorindem, jak gdyby ta sprawa w ogóle jej nie dotyczyła, a ostatecznie był on przecież pierwszym mężczyzną w jej życiu. W głębi serca łudziłam się, że oni naprawdę się kochali, a tymczasem wcale tak nie było. On żył z nią jak mężczyzna z przelotną kochanką, którą obdarza się prezentami i z którą się potem zrywa bez wzajemnych pretensji i bez żalu, wykreślając ją od razu z pamięci. Jednym słowem, po raz nie wiem który, przyszło mi na myśl, jak bardzo zmieniła się Rosetta, lecz sama nie wiedziałam do jakiego stopnia, bo pomimo wszystko, jako matka, nadal

uwazałam ją za moją dawną Rosettę. Zawołałam zdumiona i przerażona zarazem: — Więc wysługiwałaś mu się jak dziwka, teraz on ci podziękował i odszedł, a ty mi to tak mówisz?! — Odpowiedziała: — A jak mam mówić? — Zachnęłam się z gniewem, a ona zasłoniła się ramieniem, jak gdyby się bała, że znowu będę ją biła, co sprawiło mi dotkliwy ból, bo żadna matka nie pragnie, by dzieci się jej bały, tylko by ją kochały. Powiedziałam: — Bądź spokojna, nie tknę cię już nawet palcem... tylko serce mi się kraje, gdy widzę, co ze sobą zrobiłaś. — Nie odezwała się ani słowem i zaczęła się rozbierać, a ja zawołałam z rozpaczą: — I kto nas teraz odwiezie do Rzymu? Clorindo obiecywał, że nas zawiezie, jak tylko Rzym zostanie uwolniony przez aliantów. Rzym już jest wolny, ale nie ma Clorinda i co będzie dalej? Jutro choćby się waliło i paliło, wyruszam do Rzymu, żebym miała iść nawet całą drogę na piechotę. — Rosetta odrzekła ze spokojem: — Jeszcze przez kilka dni nie będzie można się dostać do Rzymu. Ale potem zawiezie nas tam jeden z synów Concetty. Wrócą jutro wieczorem, pojechali do Frosinone odwieźć Clorinda. Teraz spółka już się rozwiązała i oni biorą ciężarówkę dla siebie. Nic się nie bój, wrócimy do Rzymu. — Nie ucieszyła mnie i ta wiadomość; jak dotąd synowie Concetty wcale się nie pokazywali, bo handlowali na czarnym rynku w Neapolu, ale dobrze ich pamiętałam i byli mi jeszcze mniej sympatyczni niż Clorindo. Nie spodobał mi się ten pomysł, by z nimi jechać do Rzymu. Zapytałam Rosetty: — Ciebie już w ogóle nic nie obchodzi, prawda! — Spojrzała na mnie i odpowiedziała

pytaniem na pytanie: — Mamo, dlaczego mnie tak dręczysz? — W jej głosie zadrgała nuta dawnego przywiązania, a ja odrzekłam ze wzruszeniem: — Córuchno złota moja, bo mam wrażenie, że się zmieniłaś i nic już dla nikogo nie czujesz, nawet dla mnie. — A ona: — Zmieniłam się, nie przeczę, ale dla ciebie jestem zawsze ta sama. — Tak więc przyznawała sama, że się zmieniła, ale zarazem chciała mnie zapewnić, że kocha mnie takjak dawniej. Nie wiedząc, czy mam się tym cieszyć, czy martwić, zamilkłam i tak skończyła się nasza rozmowa.

Nazajutrz Rosetta oznajmiła mi, że z Frosinone wrócił ciężarówką tylko jeden syn Concetty, Rosario, drugi pojechał w interesach do Neapolu. Jak już wspomniałam, nie znosiłam ich obydwóch, lecz Rosaria uważałam za jeszcze bardziej antypatycznego niż jego brata. Był to chłopak średniego wzrostu, masywny, nieco przygarbiony, o twarzy brutalnej, prawie kwadratowej, śniadej; czoło miał niskie, do połowy zarośnięte włosami, krótki nos oraz wystającą szczękę. Jednym słowem był typowym okazem mężczyzny, jakiego w Rzymie nazywają „burino”, czyli nieokrzesanym wiejskim prostakiem, byczkiem, a przy tym złym i głupim. W dniu przyjazdu, przy stole, Rosario, zazwyczaj taki milczący, stał się prawie gadatliwy. Powiedział Rosetcie: — Przywożę ci pozdrowienia od Clorinda. Powiedział, że jak tylko wrócisz do Rzymu, zaraz cię tam odwiedzi. — Rosetta odpowiedziała sucho, nie podnosząc oczu znad talerza: — Powiedz mu, żeby nie przyjeżdżał. Nie chcę go więcej widzieć. — Wtedy zrozumiałam

po raz pierwszy, że obojętność Rosetty była udana, że zależało jej na Clorindzie; i zdziwiłam się, że bardziej niż jej obojętność, drażni mnie fakt, iż ona cierpi z powodu tego obmierzłego hultaja. Rosario zapytał: — Dlaczego? Czy masz do niego jakieś pretensje? Czy on ci się już nie podoba? — Nie mogłam tego znieść, że Rosario rozmawia z Rosettą niegrzecznie i lekceważąco jak z pierwszą lepszą lafiryndą, a już do reszty dobiła mnie odpowiedź Rosetty: — Clorindo zrobił coś, czego nie powinien był zrobić. Nic mi nie mówił, że jest żonaty. Powiedział mi to dopiero wczoraj, kiedy zdecydowaliśmy się rozstać. Krył się z tym, dopóki tak mu było wygodniej, ale kiedy było mu wygodniej to powiedzieć, od razu mi wszystko wyjawiał. — Takie już było widocznie moje przeznaczenie, by nie rozumieć Rosetty ani jej przeżyć, i znowu byłam boleśnie zaskoczona; a więc ona dowiedziała się dopiero w ostatniej chwili, że on ma żonę i dzieci, i mówiła o tym jak o jakimś błahym uchybieniu, bez ambicji, bez poczucia godności własnej, niczym dziewczyna uliczna, która wie, że kochany przez nią mężczyzna nie może odwzajemnić jej miłości. Czułam się jak ogłuszona, a tymczasem Rosario mówił chichocząc: — A po co ci miał o tym mówić? Przecież nie mieliście chyba zamiaru się pobrać? — Rosetta schyliła głowę i nic nie odpowiedziała, natomiast zabrała głos ta jędza Concetta: — Co tam, to przestarzałe historie; podczas wojny, wiadomo, wszystko się zmieniło, chłopcy zalecają się do dziewcząt nie przyznając się, że są żonaci, a dziewczęta oddają się im nie wymagając, by się z nimi żenili. Przestarzałe historie, wszystko się zmieniło, co to

ma za znaczenie, czy ktoś jest żonaty, czy nie, czy ma żonę i dzieci, czy nie ma? Przeszarżałe historie. Ważne jest to, żeby się kochać, a Clorindo na pewno ją kochał. Wystarczy spojrzeć na Rosettę, żeby się o tym przekonać; kiedy tu przyjechała, ubrana była jak nędzarka, a teraz wygląda jak wielka pani. — Concetta powiedziała to, by bronić tego łajdaka, bo sama była łajdaczką, lecz w gruncie rzeczy miała rację: wojna naprawdę zmieniła wszystko i najlepszym tego dowodem była moja rodzona córka, która z anioła dobroci przekształciła się w apatyczną kurwę. Wiedziałam o tym wszystkim i wiedziałam także, że to jest prawda, niemniej słowa Concetty ubodły mnie do żywego i zwróciłam całą moją wściekłość przeciwko niej: — A gównu się tam zmieniło! To wy, wy nie mogliście się doczekać wojny, żeby pozwalać sobie na to, o czym by się wam nawet nie śniło w normalnych czasach. Czekając na to i ty, i twoi synalkowie, i ten łajdak z piekła rodem, Clorindo, i ci zbrodniarze Marokańczycy, i inni. Gówno! i powiem ci jeszcze, że to długo nie potrwa, przyjdzie dzień, że wszystko wróci do normy i wtedy ani ty, ani twoi synalkowie, ani Clorindo nie będziecie już tacy pewni siebie, bo poczujecie na własnej skórze, że jest jeszcze moralność i religia, i prawo, i że ludzie uczciwi są więcej warci od przestępców. — Na te słowa ten półgłówek Vincenzo, on właśnie, który ukradł dobytek swojego gospodarza, powiedział: — Święta racja. — Lecz Concetta wzruszyła ramionami i odrzekła: — Po co się tak gorączkujesz. Życie to znaczy życie samemu i pozwolić żyć innym. — A Rosario tylko się roześmiał i oświadczył: — Ty, Cesiro, jesteś przedwojenną kobietą, a my,

to znaczy ja, mój brat, Rosetta, moja matka i Clorindo, jesteśmy powojennymi ludźmi. Weź na przykład mnie: byłem w Neapolu z transportem konserw amerykańskich i wojskowych swetrów. Sprzedałem to od ręki i zakupiłem od razu towary, których brak w Ciociarii, a oto rezultat! — Mówiąc to wyciągnął z kieszeni plik banknotów i pomachał mi nimi przed nosem. — Zarobiłem w jeden dzień więcej niż mój ojciec przez ostatnie pięć lat. Wszystko się zmieniło, nie jest już tak jak za króla Ćwieczka, musisz to sobie uświadomić. A poza tym, po co się tak przejmujesz Rosettą? Ona też zrozumiała, że to, co było przed wojną, a to, co jest teraz, to inna para kaloszy, zrobiła się nowoczesna i nauczyła się żyć. Ty może w ogóle nigdy nie zasmakowałaś w miłości i nauczono cię pewnie, że miłość nie pobłogosławiona przez księdza nie jest i nie może być miłością. Ale Rosetta wie, że z księdzem czy bez księdza miłość zawsze pozostanie miłością. Prawda, Rosetto, że wiesz o tym? Powiedz swojej matce, że o tym wiesz. — Myślałam, że wyskoczę ze skóry, lecz Rosetta, pogodna i spokojna, zdawała się przyznawać rację Rosariowi. A on ciągnął dalej: — Na przykład niedawno byliśmy wszyscy razem w Neapolu, ja, mój brat, Rosetta i Clorindo. I choć Rosetta podobała się każdemu z nas, nie było żadnych swarów ani scen zazdrości i pozostaliśmy nadal przyjaciółmi. Bawiliśmy się świetnie we czwórkę. Sama powiedz, Rosetto, czy źle żeśmy się bawili? — Trzęsłam się teraz jak liść, bo zrozumiałam, że Rosetta nie tylko była kochanką Clorinda i najprawdopodobniej Rosaria, ale że zabawiała się z nią cała ta zgrana banda; kto wie, być może

oddała się także i bratu Rosaria oraz jego neapolitańskim kompanom, którzy lubią hulać z kobietami i wymieniają je między sobą niczym towar. Rosetta była w tej chwili tak bezwolna, że każdy mężczyzna mógł zrobić z nią, co chciał, bo z chwilą zgwałcenia jej przez Marokańczyków coś się w niej załamało; a zarazem to, o czym dotychczas nie wiedziała, jak ogień weszło jej w krew i pragnęła być traktowana przez wszystkich mężczyzn, z jakimi się stykała, tak samo jak przez Marokańczyków. Tymczasem skończyła się kolacja i Rosario wstał od stołu, rozluźniając pasek od spodni. — Muszę jeszcze zrobić mały objazd ciężarówką — powiedział. — No co, Rosetto, pojedziesz ze mną? — Zobaczyłam, że Rosetta kiwa potakująco głową, odkłada serwetkę i podnosi się od stołu, z tym zmysłowym i apatycznym wyrazem twarzy, jaki dostrzegłam u niej po raz pierwszy po ucieczce z Clorindem. Wiedziona sama nie wiem jakim impulsem, zawołałam: — Nie ruszysz się stąd! Zostaniesz. — Zapanowała chwila ciszy, a Rosario patrzył na mnie z udanym zdziwieniem, jak gdyby chciał powiedzieć: Co się dzieje? Czyżby się świat zawalił? Potem zwrócił się do Rosetty i powiedział rozkazująco: — No, jedziemy, pośpiesz się. — Wtedy powtórzyłam prosząco: — Rosetto, zostań. — Ale ona wstała już i odrzekła: — Zobaczymy się później, mamó — i nie oglądając się za siebie, pobiegła za Rosariem, który, pewien siebie, szedł już do samochodu; wsunęła mu rękę pod ramię i obydwójce zniknęli w pomarańczowym gaju. Tak więc nie umiała mu się oprzeć, jak przedtem nie umiała się oprzeć Clorindowi, i teraz on wiozł ją ze sobą w nieznane, by pieścić się

z nią gdzieś w krzakach, a ja nic nie mogłam na to poradzić. Concetta zawołała: — Wiadomo, matka ma prawo zabronić wyjść córce, jakże by mogła nie mieć prawa? Ale córka ma prawo przebywać z mężczyzną, którego kocha, dlaczegóż by nie? Matki nigdy nie żyją w zgodzie z mężczyznami, którzy się podobają ich córkom, ale co robić, młodość ma swoje prawa, i my matki musimy zrozumieć i przebaczyć, przebaczyć i zrozumieć. — Milczałam i stałam ze spuszczoną głową, przy świetle karbidowej lampy, wokół której latały brzęcząc chrabąszcze; co chwila któryś z nich przypalony płomieniem padał martwy na ziemię. Pomyślałam sobie, że moja nieszczęsna Rosetta jest podobna do jednego z tych chrabąszczy: spalił ją płomień wojny i umarła, przynajmniej dla mnie.

Tej nocy Rosetta wróciła bardzo późno i nie słyszałam nawet, jak wchodziła do szopy. Lecz przed zaśnięciem długo myślałam o niej i o tym, co się jej przydarzyło, i o tym, czym się stała; a potem w niewytłumaczony sposób myśli moje skupiły się wokół Michela i póki nie zasnęłam, myślałam już tylko o nim. Nie miałam odwagi złożyć wizyty Festom, by powiedzieć im, jak cierpię nad stratą ich syna, który był dla mnie jak rodzone, najdroższe dziecko. Jego straszna, okrutna śmierć pozostawiła mi w sercu nie zabliźnioną ranę. Pomyślałam sobie, że to wojna, jak mówiła Concetta, i że na wojnie giną właśnie najlepsi, bo są odważniejsi, uczciwsi i mniej samolubni od innych; niektórzy tracą życie, jak ten biedak Michele, a niektórzy łamią się wewnętrznie, jak moja Rosetta. A ci najgorsi,

ludzie bez religii, bez wiary, bez poczucia godności osobistej, bez cywilnej odwagi, którzy kradną, mordują, myślą tylko o sobie i o własnym interesie, pozostają przy życiu, doskonale im się powodzi i stają się jeszcze gorsi i bezczelniejsi niż kiedykolwiek przedtem. Myślałam także o tym, że gdyby Michele nie umarł, dałby mi może jakąś dobrą radę i nie byłabym pojechała z Fondi do mojej rodzinnej wsi, nie spotkałybyśmy Marokańczyków i Rosetta pozostałaby do dzisiaj uosobieniem czystości i dobroci. Rozważałam, jak ciężką poniosłyśmy stratę, że zginął właśnie on, który był dla nas ojcem, mężem, bratem i synem, bo choć był dobry niczym święty, potrafił być też twardy i bezlitosny wobec takich łajdaków jak Rosario czy Clorindo. Miał w sobie tę siłę, której mnie było brak, ponieważ był nie tylko dobry, lecz i wykształcony; wiedział o tylu rzeczach i osądzał każdy fakt rozsądnie, bezstronnie, a nie przyziemnie jak ja, ciemna kobieta, ledwie umiejąca czytać i pisać, dla której dom i sklep były całym światem.

W pewnej chwili, sama nie wiem jak, ogarnęła mnie krańcowa rozpacz i zniechęcenie; powiedziałam sobie, że nie chcę dłużej żyć na takim jak ten świecie, w którym uczciwe kobiety i porządni mężczyźni nie mają już głosu, bo wszędzie rozpanoszyli się łajdacy. Pomyślałam, że dla mnie życie przy boku tak odmienionej Rosetty przestało mieć jakikolwiek sens i że nawet po powrocie do Rzymu, do własnego mieszkania i sklepu, nie będę już ta sama co dawniej i życie nie będzie mi miłe.

Zapraǳnęłam nagle umrzeć; wyskoczyłam z łóżka, drżącymi z niecierpliwości rękami zapaliłam świecę i poszłam do kąta, gdzie wisiał sznur, na którym suszyłyśmy bieliznę. W tym kącie szopy stało także wyplatane krzesło, weszłam na nie ze sznurem w rękę, by zaczepić go o jakiś gwóźdź lub przerzucić przez belkę pułapu; byłam zdecydowana założyć sobie pętlę na szyję, kopnąć krzesło i skończyć ze sobą raz na zawsze. Ale w tej samej chwili, gdy zwróciłam oczy na sufit, szukając punktu zaczepienia, usłyszałam, że drzwi baraku powoli się otwierają. Odwróciłam się i zobaczyłam na progu Michela, tak, jego właśnie! Wyglądał zupełnie tak samo jak w chwili, gdy widziałam go po raz ostatni, gdy zabierali go Niemcy; zauważyłam, że tak jak wówczas jedna nogawka od spodni, dłuższa, dotykała buta, podczas gdy druga sięgała tylko do kostki. Miał okulary, jak zawsze, i by mnie lepiej widzieć, spuścił głowę i patrzył spodnad szkiele, tak jak to robił za życia. Widząc, że stoję na krześle z powrozem w rękę, wykonał ręką taki gest, jak gdyby chciał powiedzieć: — Nie rób tego, nie wolno ci tego robić. — Wtedy zapytałam: — Dlaczego nie miałabym tego zrobić? — On otworzył usta i powiedział coś, czego nie dosłyszałam; potem mówił dalej, lecz nie dolatywało do mnie ani jedno słowo; było tak, jak kiedy patrzy się czasem na kogoś mówiącego za oknem i widzi się tylko, że porusza wargami, ale spoza szyby nie dobiega żaden dźwięk. Wówczas zawołałam: — Mów głośnie, nie rozumiem cię — i w tym samym momencie zrana potem, usiadłam na łóżku. Zrozumiałam, że to był sen: próba samobójstwa, interwencja Michela i jego słowa, których nie mogłam

usłyszeć. Pomimo to ogarnęło mnie straszliwe rozżalenie, że nie słyszałam tego, co mi chciał powiedzieć; przez dłuższy czas przewracałam się z boku na bok na łóżku, zastanawiając się, co to takiego mogło być; i myślałam sobie, że chciał mnie przekonać, iż nie wolno popełniać samobójstwa, bo warto żyć, bo życie choćby najcięższe zawsze jest lepsze od śmierci. Tak, na pewno, w kilku słowach wyjaśnił mi sens życia, którego my, żyjący, nie uświadamiamy sobie, ale który dla umarłych jest jasny i zrozumiały. Na moje nieszczęście nic z tego wszystkiego nie usłyszałam, choć ten sen był prawdziwym cudem, a, jak wiadomo, gdy zdarza się cud, urzeczywistniają się nawet najbardziej nieprawdopodobne rzeczy. Stał się cud, lecz tylko w połowie: Michele ukazał mi się, zabronił mi odebrać sobie życie, to prawda, lecz widocznie nie byłam godna usłyszeć jego słów. Tak więc musiałam żyć dalej, ale jak przedtem, jak zawsze, nie wiedziałam, dlaczego życie ma być lepsze od śmierci.

ROZDZIAŁ XI

Przyszedł wielki dzień powrotu do Rzymu, ale jakże inaczej wyobrażałam go sobie w moich marzeniach o wyzwoleniu podczas dziewięciomiesięcznego pobytu w Sant' Eufemia! Wyobrażałam go sobie wtedy wesoło, na samochodzie ciężarowym, pełnym jasnowłosych żołnierzy, angielskich i amerykańskich, zadowolonych, roześmianych, miłych; przy sobie widziałam Rosettę, mojego anioła, i Michela, nie poważnego jak zazwyczaj, lecz rozpromienionego. Wyobrażałam sobie, jak nie będę się mogła doczekać chwili, gdy na horyzoncie ukaże się kopuła Świętego Piotra, pierwsza rzecz, jaką się widzi dojeżdżając do Rzymu; jak serce moje przepełnione będzie nadzieją, projektami związanymi z przyszłością Rosetty i jej ślubem, ze sklepem i z mieszkaniem. Można powiedzieć, że przez te dziewięć miesięcy przestudowałam każdy najdrobniejszy nawet szczegół owego powrotu. Wyobrażałam sobie także przyjazd do domu, Giovanniego, który przyjmie nas z dobrodusznym uśmiechem, z cygarem w kąciku ust, oraz gromadzących się wokół sąsiadów, ściskających nas i zarzucających pytaniami, na które będziemy odpowiadać wesoło: — No, przeżyliśmy jakoś, potem wam wszystko opowiemy. — Myślałam o tym i jeszcze o wielu innych rzeczach, i często łapałam się na tym, że uśmiecham się do

własnych myśli; w żadnym wypadku nie przyszło mi do głowy, by nie miało być tak właśnie, jak to sobie wymarzyłam. Jednym słowem nie przewidziałam tego, co stale powtarzała Concetta: że wojna to wojna; to znaczy, że ta wojna nie kończy się z dnia na dzień, podobnie jak konające zwierzę, które potrafi jeszcze ugryźć czy kopnąć przed śmiercią. I wojna dała nam właśnie kopniaka w swoich ostatnich podrygach; Marokańczycy zgwałcili Rosettę, hitlerowcy zamordowali Michela, my dwie musiałyśmy wracać do Rzymu z tym bandytą Rosariem; a ja zamiast nadziei miałam w sercu smutek, gorycz i rozpacz.

Był czerwcowy ranek, letnie słońce padało z nieba na wyschniętą, pełną kurzu ziemię. Obydwie z Rosettą kończyłyśmy się ubierać w szopie, bo samochód Rosaria czekał już na nas na szosie. Rosetta spędziła część nocy pod gołym niebem i gdy słyszałam, jak wraca ukradkiem do szopy, doświadczyłam, po raz nie wiem który, owego uczucia całkowitej niemocy: słowa aż przelewały się we mnie, lecz nic nie mogłam wykrztusić. W końcu, gdy Rosetta myła nogi w miednicy w kącie baraku, zdobyłam się na zapytanie: — Czy można wiedzieć, gdzieś ty latała po nocy? — Oczekiwałam jak zwykle milczenia lub krótkiej, zdawkowej odpowiedzi, lecz tym razem było inaczej. Gdy tylko skończyła się wycierać, zwróciła się do mnie i powiedziała donośnym, stanowczym głosem: — Byłam z Rosariem i kochaliśmy się ze sobą. Nie pytaj mnie więcej, co robię, dokąd chodzę i z kim się widuję, bo już teraz wiesz: oddaję się byle komu i byle gdzie, jak tylko trafi się ku temu

okazja. Powiem ci nawet więcej: lubię to robić, nie chcę i nie mogę się obyć bez miłości. — Zawołałam na to: — Ale z Rosariem?! Czy zdajesz sobie z tego sprawę, kto to jest Rosario? — A ona: — On czy inny to dla mnie bez różnicy. Powiedziałam ci już: miłość jest jedyną rzeczą jaka mi się podoba i na jaką mam ochotę. Od dzisiaj już zawsze tak będzie, więc proszę cię, żebyś nie zadawała mi więcej pytań, bo zawsze odpowiem ci to samo. — Nigdy jeszcze nie postawiła sprawy tak jasno i zdarzyło się po raz pierwszy, że chciała ze mną rozmawiać. Zrozumiałam, że dopóki nie minie ten jej obłęd, powinnam postępować tak, jak sama powiedziała: nie pytać o nic i milczeć. Tak też zrobiłam; nie odzywałam się więcej, udając, że zajęta jestem ubieraniem, i ona zrobiła to samo.

Wyszliśmy wreszcie z szopy i zastałyśmy Rosaria siedzącego z matką przy stole; zjadał chleb z cebulą. Concetta od razu wyszła na nasze spotkanie i natychmiast rozpoczęła jeden ze swoich chaotycznych i egzaltowanych monologów, których nie mogłam ścierpieć od pierwszej chwili, gdy zobaczyłam ją na oczy, a co dopiero teraz. — A więc wyjeżdżacie, wracacie do Rzymu, ale macie szczęście, w czepku żeście się urodziły. Wyjeżdżacie i zostawiacie nas, wiejskich biedaków, zostawiacie nas na tym pustkowiu, gdzie nie ma już nic i wszyscy cierpią głód, i wszystkie domy są w ruinie, i wszyscy ludzie chodzą nadzy i bosi jak Cyganie. Szczęściarzy, jedziecie do Rzymu, gdzie będziecie wielkimi paniami, gdzie jest dobrobyt; to, co Anglicy dawali nam przez trzy dni, wam będą dawać przez cały

rok. Ale cieszę się z tego, bo was kocham, a człowiek zawsze się cieszy, kiedy bliskim sercu osobom dobrze jest na świecie. — By uciąć wreszcie ten potok wymowy, powiedziałam: — Pewnie, że mamy szczęście, i to nie byle jakie, nie ma co mówić. A przede wszystkim dlatego, że poznałyśmy waszą rodzinę. — Ale ona nie zrozumiała ironii i odrzekła: — Możesz głośno o tym mówić, że zacna z nas rodzina. Dobrze wam tu było, traktowaliśmy was jak siostrę i córkę, jadłyście i piły, wysypiałyście się i robiłyście, co tylko wam się podobało. Rzadko kiedy można spotkać taką rodzinę jak nasza. — Na szczęście! — miałam ochotę jej odpowiedzieć, ale ugryzłam się w język, bo czas już był jechać i, choćby nawet w towarzystwie Rosaria, chciałam jak najprędzej opuścić tę otoczoną gajami pomarańczowymi polanę, która przypominała więzienie. Pożegnaliśmy się więc z Vincenzem, który wyrwał się jak Filip z konopi: — Co, już odjeżdżacie? Przecież dopiero co żeście przyjechały... czy nie mogłybyście zostać chociaż do połowy sierpnia? — Concetta ścisnęła nas i całowała w policzki z głośnym mlaskaniem, a te pocałunki były równie głośne, liczne i nieskoordynowane jak jej słowa. W końcu wyszliśmy na ścieżkę, pozostawiając za sobą raz na zawsze ten przeklęty, różowy dom. Na szosie stała ciężarówka. Wsiadliśmy, Rosetta zajęła miejsce obok Rosaria, a ja obok Rosetty.

Rosario zapuścił motor, zawołał: — Odjazd do Rzymu! — i samochód ruszył. Był już późny ranek i czerwcowe słońce świeciło wesołym, oślepiającym światłem; szosa była biała od

kurzu, przydrożne krzaki także pokrywał biały pył i gdy ciężarówka zwalniała nieco, słychać było cykające na nielicznych drzewach świerszcze ukryte w liściach. Słyszając to dzwonienie świerszczy, widząc biały kurz na szosie i żywopłotach, i pikujące na dół skowronki, które chwyciły w dzióbki odrobiny nawozu mulego i potem znowu ulatywały ku niebu, nagle doznałam wzruszenia i łzy stanęły mi w oczach. Tak, to była ta wieś, ukochana wieś, gdzie się urodziłam i wychowałam, gdzie schroniłam się przed wojną i głodem, jak dziecko szukające schronienia w ramionach matki, starej, doświadczonej, dobrej, która wie wszystko i wszystko przebacza. A tymczasem ta wieś zdradziła mnie; i teraz ja się zmieniłam, lecz wieś pozostała ta sama, świeciło słońce, które ogrzewało wszystko, prócz mojego serca; cykały świerszcze, których tak miło słuchać, kiedy jest się młodym i kocha się życie, ale które teraz prawie mnie drażniły, bo niczego się już nie spodziewałam; w powietrzu rozchodził się zapach kurzu, gorącego i suchego, który odurza zmysły, gdy są jeszcze nie rozbudzone, a który dusił mnie w tej chwili, jak gdyby ktoś zatkał mi dłonią nos i usta. Wieś zdradziła mnie i wracałam do Rzymu bez cienia nadziei w sercu, zrozpaczona. Płakałam cicho, połykając gorzkie łzy, i odwracałam głowę w bok, w kierunku drogi, by nie widzieli mnie Rosetta i Rosario. Lecz pomimo to Rosetta zauważyła, że płaczę, i zapytała: — Dlaczego płaczesz, mamo? — tak łagodnym głosem, że odżyła we mnie nadzieja, iż stał się jakiś cud i ona jest znowu moją dawną Rosetta. Właśnie chciałam jej odpowiedzieć, gdy zwracając się ku niej zobaczyłam, że trzyma rękę na udzie Rosaria,

wysoko, tuż obok pachwiny. I uświadomiłam sobie nagle, że oni oboje od kilku minut milczeli i siedzieli zupełnie bez ruchu; wtedy zrozumiałam, że nie umieli powściągnąć swoich namiętności nawet na moich oczach i że łagodny głos Rosetty był następstwem rozkoszy, jaką napawała się bezwstydnie, podczas gdy on prowadził wóz. Wtedy powiedziałam: — Płacę ze wstydu, oto dlaczego płacę. — Na te słowa Rosetta zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała cofnąć rękę, ale ten obrzydliwiec chwycił jej dłoń i znowu położył ją sobie na udzie. Wydawało mi się przez chwilę, że Rosetta usiłuje mu się wyrwać, lecz zaraz tego zaniechała i dalej siedziała bez ruchu. Stwierdziłam więc raz jeszcze, że to, co robiła, silniejsze było nawet od wstydu.

A tymczasem jechaliśmy już po Via Appia, wzdłuż olbrzymich platanów, którymi po obydwu stronach wysadzana była droga i których korony tworzyły strop nad naszymi głowami. Miało się wrażenie, że się jedzie przez zielony tunel; słońce przeświecające gdzieś gdzieś poprzez liście kładło się jasnymi smugami na szosie i w tych miejscach matowy asfalt zdawał się ożywiać, stawał się połyskliwy i drgający jak grzbiet zwierzęcia, w którego żyłach tętni ciepła krew. Patrzałam przez cały czas w bok, na drogę, by nie widzieć tego, co robili Rosario i Rosetta, i chcąc oderwać się od moich myśli obserwowałam krajobraz. Oto skutki powodzi, którą spowodowali Niemcy wysadzając w powietrze tamy: całe połacie uprawnych pól zalane taflą błękitnej, pomarszczonej od wiatru wody, z widniejącymi tu i ówdzie wierzchołkami drzew i dachami

zrujnowanych domów. Oto San Biagio i droga skręca ku morzu, rozkołysanemu przez lekki, orzeźwiający wietrzyk tysiącem niebieskich fal, z których każda błyszczała tak silnie, że cała powierzchnia morza zdawała uśmiechać się w słońcu. A oto Terracina, która zrobiła na mnie jeszcze straszniejsze wrażenie niż Fondi. Wszystkie domy zniszczone przez ogień artyleryjski, z podziurawionymi ścianami i czarnymi otworami okien, przypominającymi oczy ślepców, przedstawiały rozpaczliwy widok; w niektórych domach, gdzie pozostały tylko fasady, okna były niebieskie, co jeszcze przeraźliwiej wyglądało; wszędzie widniały piętrzące się sterty zakurzonych gruzów i rowy wypełnione żółtą wodą. Nie było tam żywej duszy, tak mi się przynajmniej wydało, nie napotkaliśmy bowiem nikogo ani na rynku, gdzie basen fontanny wypełniony był po brzegi odpryskami tynku i cegieł, ani na długich, prostych, biegnących w kierunku morza ulicach. Pomyślałam sobie, że w Terracinie przebieg wypadków musiał być taki sam jak w Fondi: w dniu wyzwolenia jarmark na ulicach, tłum żołnierzy, chłopów i uchodźców, rozdział żywności i odzieży, radość, zgiełk, ruch, jednym słowem życie. Potem wojsko wymaszerowało do Rzymu, życie nagle zamarło i pozostały tylko głuche, smutne ruiny. Za Terraciną zaczęliśmy pędzić na złamanie karku, po prostej jak strzała drodze prowadzącej do Cisterny, mając po prawej stronie głęboki, zielony kanał nawadniający pola, a po lewej szeroką dolinę, zalaną w niektórych miejscach wodą i rozciągającą się u stóp gór, majaczących niebieskim konturem na horyzoncie. W przydrożnych rowach napotykaliliśmy co

chwila leżące do góry kołami kadłuby samochodów wojskowych, tak już zardzewiałe, jak by wojna skończyła się kilka lat temu. Na polach zasianych zbożem widać było od czasu do czasu sterczące w górę lufy armatnie czołgów, a w miarę zbliżania się ukazywał się czołg zagłębiony w wysokim życie, nieruchomy i kanciasty jak szczątki nieżywego zwierza. Rosario prowadził teraz wóz bardzo szybko, trzymając jedną ręką kierownicę, a drugą ściskając Rosettę za przegub dłoni. Nie mogłam znieść tego widoku, który był jeszcze jednym potwierdzeniem przemiany mojej córki; sama nie wiem dlaczego, przypomniałam sobie nagle, że Rosetta była wyjątkowo muzykalna i umiała ślicznie śpiewać; dawniej, gdy pomagała mi w domowych zajęciach, zawsze lubiła śpiewać, a ja z sąsiedniego pokoju słuchałam z prawdziwą przyjemnością jej miłego dźwięcznego głosu, który brzmiał czysto i pewnie i tworzył harmonijną całość z jej anielskim usposobieniem. Przypomniałam sobie o tym na odcinku drogi między Cisterną a Terraciną i ogarnęło mnie pragnienie, by choć na moment wskrzesić wspomnienie mojej dawnej Rosetty. Powiedziałam jej: — Rosetto, zaśpiewaj coś. Zawsze tak ślicznie śpiewałaś, wybierz jakąś ładną piosenkę, bo inaczej w tym skwarze na tej prostej drodze wszyscy pozasypiamy. — Rosetta odrzekła: — A co ci mam zaśpiewać? — Wymieniłam pierwszą piosenkę, która przyszła mi na myśl, bardzo modną przed kilku laty, i ona od razu zaczęła głośno śpiewać, siedząc nieruchomo i ściskając Rosaria za rękę. Zorientowałam się od razu, że to już nie ten sam głos; był mniej pełny, mniej melodyjny i nawet chwilami brał

fałszywe tony; ona sama musiała też zdawać sobie z tego sprawę, bo urwała nagle, mówiąc: — Zdaje mi się, że nie umiem już śpiewać, mamó, jakoś mi się nie chce. — Miałam ochotę jej powiedzieć: Nie chce ci się śpiewać, bo tulasz do siebie jego rękę i nie jesteś już sobą i nie ma już w tobie tego uczucia, które rozpierało ci piersi, tak że śpiewałaś jak leśna ptaszyna. Oto dlaczego nie chce ci się śpiewać. Lecz nie miałam odwagi się odezwać. Rosario zawołał: — No, to jeśli chcecie, ja wam zaśpiewam — i zaintonował swoim chrypliwym głosem jakąś skoczną i nieprzyzwoitą piosenkę. Cierpiałam teraz jeszcze bardziej niż przedtem, zarówno dlatego, że Rosetta zmieniła się do tego stopnia, iż nie mogła już śpiewać, jak i dlatego, że on śpiewał. A tymczasem ciężarówka pędziła na złamanie karku, tak że bardzo szybko znaleźliśmy się w Cisternie.

Także i tutaj panowało kompletne spustoszenie. Pozostała mi w pamięci przede wszystkim fontanna w rynku, otoczona półkolem rumowisk, basen po brzegi wypełniony był gruzami, a pośrodku stał piedestał z posągami; ten posąg w miejscu głowy miał tylko czarny żelazny hak, poza tym brakowało mu jednej ręki, a druga była bez dłoni. Owa postać na piedestale miała w sobie coś bardzo ludzkiego, właśnie dlatego że była bez ręki i bez głowy. I tu nie napotkaliśmy nawet psa z kulawą nogą, najwidoczniej mieszkańcy Cisterny jeszcze przebywali w górach lub kryli się po ruinach. Za Cisterną droga biegła przez rzadkie dębowe lasy, nie widać było ani domów, ani ludzi, tylko wszędzie, gdzie oko sięgało, zielone podszycie i czerwone,

powykręcane gałęzie drzew, które wyglądały jak obdarte ze skóry. Teraz dzień nie był już taki piękny; od strony morza niebo zasnuło się jak by wachlarzem szarych obłoczków i ten wachlarz otwierał się coraz to szerzej, aż wreszcie stał się olbrzymi, zataczając krąg na całe niebo.

Słońce schowało się i cały krajobraz z tymi czerwonymi, powykręcanymi dębami, które zdawały się cierpieć, że są powykręcane i czerwone, stał się matowy i szary. Było całkiem pusto wszędzie dokoła i choć motor samochodu huczał bez przerwy, można się było domyślać, że panuje cisza, nie zmałona śpiewem ptaków i cykaniem świerszczy. Rosetta drzemała teraz, Rosario prowadząc wóz palił papierosa, a ja patrzyłam to na przydrożne białe słupki, to w głąb lasu, w dalszym ciągu nie widząc żywej duszy. W pewnej chwili Rosario wziął ostry zakręt, po czym tak gwałtownie zahamował, że silnie uderzyłam głową o szybę. Padając, zobaczyłam, że droga była zatarasowana na całą szerokość przewróconym słupem telegraficznym; w tej samej chwili z lasu wyłoniło się trzech mężczyzn, którzy zbliżali się do nas, dając rękami jakieś znaki. Rosetta obudziła się i spytała: — Co się stało? — a tymczasem Rosario wyskoczył już z samochodu i szedł zdecydowanym krokiem naprzeciw tamtych trzech. Zapamiętałam doskonale tych ludzi i dziś jeszcze rozpoznałabym ich pośród tysiąca innych: byli w łachmanach, jak wszyscy w owym czasie, jeden był niski, jasnowłosy, szeroki w ramionach, miał na sobie brązowe welwetowe ubranie; drugi wysoki, w średnim wieku, bardzo chudy, z zapadniętymi

policzkami, podkrążonymi oczyma i potarganymi, szpakowatymi włosami; trzeci miał wygląd raczej pospolity: brunet o szerokiej twarzy, trochę podobny do Rosaria. Rosario, wysiadając z samochodu, szybko wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął z niej jakiś pakiet i wetknął go do schowka, znajdującego się pod kierownicą. Zrozumiałam, że ten pakiet zawiera pieniądze i że ci trzej to bandyci. Potem wszystko stało się w mgnieniu oka; jak sparaliżowane ze strachu, patrzyłyśmy przez brudną szybę, zamazaną od deszczu, kurzu i małych muszek, przez którą wszystko jeszcze ciemniej i smutniej wyglądało. Widzieliśmy, jak Rosario podszedł bez chwili wahania do trzech nieznajomych, bo co jak co, ale nie brakło mu odwagi; tamci z kolei przybrali groźną postawę. Rosaria widziałam tylko z tyłu, widziałam natomiast twarz blondyna, który z nim rozmawiał. Miał czerwone, nieco wykrzywione usta, zeszpecone jakąś krostą czy wrzodem. Blondyn coś mówił i Rosario mu odpowiedział; blondyn znowu zabrał głos i przy drugiej odpowiedzi Rosaria chwycił go za kłapę od marynarki, prawie pod samym gardłem. Rosario szybkim poruszeniem ramion uwolnił się od napastnika i w tej samej chwili włożył rękę do kieszeni od spodni. Natychmiast usłyszałam strzał, potem dwa następne i myślałam, że to strzela Rosario. A tymczasem on odwrócił się nagle, jak gdyby chciał wrócić do samochodu, ale dziwnie niepewnie, ze zwieszoną głową, i nagle upadł na kolana, opierając się rękami o ziemię. Trwał tak przez chwilę z nisko opuszczoną głową, jak gdyby się nad czymś namyślał, i

przewrócił się na bok. Tamci trzej, nie zwracając na niego uwagi, podeszli do samochodu.

Blondyn, który trzymał jeszcze w ręku rewolwer, stanął na stopniu i zajrzał do szoferki, mówiąc zadyszczanym głosem: — A wy obydwie jazda stąd, wysiadać natychmiast! — Machał przy tym rewolwerem, może nawet nie po to, by nam grozić, ale żebyśmy zrozumiały, iż musimy wysiąść. Widziałam, że nie ma innej rady, jak go usłuchać, i powiedziałam Rosetcie: — Chodź, wysiadamy — i otworzyłam drzwi. Lecz blondyn, który zaglądał do szoferki, wychylił się nagle na zewnątrz spoglądając na drogę, i zobaczyłam, że jego dwaj kompani dają mu gwałtowne znaki rękami, jak gdyby stało się coś nieprzewidzianego. On zaklął, zeskoczył z wozu i pobiegł do swoich towarzyszy, po czym zobaczyłam, jak wszyscy uciekają co sił w nogach, wymijając drzewa, i wreszcie znikli mi z oczu. Na szosie leżał tylko przewrócony pal telegraficzny, odsunięty teraz na bok, a przy nim ciało Rosaria. Powiedziałam do Rosetty: — I co my teraz poczniemy ze sobą? — W tej samej chwili zobaczyłam tuż obok nas niewielki otwarty samochód, który podjechał z tyłu; siedziało w nim dwóch oficerów angielskich oraz szofer. Samochód zwolnił biegu, ponieważ ciało Rosaria tarasowało drogę, lecz nie do tego stopnia, by tuż przy rowie nie można było przejechać. Dwaj oficerowie popatrzyli najpierw na trupa, a potem na nas dwie; potem zobaczyłam, że jeden z nich machnął ręką w stronę szofera, jak gdyby chciał powiedzieć: — Komu śmierć, a komu życie, naprzód. — Samochód przejechał tuż tuż

obok Rosaria, jak strzała pomknął naprzód, znikając za zakrętem. Wtedy, sama nie wiem jak, przypomniałam sobie o pieniądzach, które Rosario wsunął do schowka, wyciągnęłam rękę, wyjęłam je i schowałam pod bluzką na piersiach. Rosetta zauważyła to i obrzuciła mnie spojrzeniem, które wydało mi się pełne wyrzutu. Nagle tuż nad uchem usłyszałam zgrzyt hamulców i stanęła przy nas jakaś ciężarówka.

Tym razem kierowcą był Włoch, niski mężczyzna z dużą, łysą głową, o bladej, złanej potem twarzy, okrągłych, wypłupionych oczach; miał długie baczki, które sięgały mu do połowy policzków. Minę miał wystraszoną i niezadowoloną, ale poczciwą; wyglądał jak człowiek, który zdobywa się na bohaterski czyn, ale zarazem przeklina los, który zmusza go do bohaterstwa. Zapytał szybko: — Co się stało? — nie wysiadając z ciężarówki i trzymając rękę na lewarku. Powiedziałam: — Zatrzymali nas i zamordowali tego chłopaka, a potem uciekli. Chcieli pieniędzy. A my dwie jesteśmy wysiedlone... — Przerwał mi: — W którą stronę uciekli? — Wskazałam na las, a on spojrzał w tamtym kierunku przerażonym wzrokiem, po czym zawołał: — Na litość boską, wsiadajcie do mojego wozu, jeżeli chcecie jechać do Rzymu, ale prędko, prędko, na litość boską! — Zrozumiałam, że wystarczy moment wahania, a on natychmiast odjedzie, wysiadłam więc pośpiesznie, ciągnąc Rosettę za rękę. Wtedy on zawołał jeszcze drżącym ze strachu głosem: — Odsuńcie na bok to ciało, odsuńcie, bo w żaden sposób nie przejadę! — Spojrzałam na drogę i zobaczyłam, że

istotnie nie ma dość miejsca między rowem a trupem Rosaria dla tego ciężarowego wozu o tyle szerszego od samochodziku angielskich oficerów. — Tylko szybko, na litość boską! — przynaglił nas znowu płaczliwym głosem. Otrząsnęłam się i zawołałam do Rosetty: — Pomóż mi! — Podeszłam do Rosaria, który leżał na boku, z ręką wyciągniętą nad głową, jak gdyby chciał coś uchwycić przed śmiercią, ale już nie zdążył. Schyliłam się i złapałam go za jedną nogę, a Rosetta za drugą; i tak, z wielkim trudem, ponieważ był bardzo ciężki, przeciągnęłyśmy go na skraj drogi; jego głowa, ręce i plecy bezwładnie wlokły się po asfalcie. Rosetta pierwsza puściła jego nogę i zaraz potem ja zrobiłam to samo. Instynktownie pochyliłam się jeszcze nad zmarłym, bojąc się prawie, iż może się okazać, że on jeszcze żyje: miałam na piersiach jego pieniądze i zależało mi na tym, by je zachować, bo w naszych warunkach mogły się nam bardzo przydać. Tak więc chciałam się przekonać, czy Rosario naprawdę umarł. Pozbyłam się resztek wątpliwości, gdy zajrzałam w jego oczy, które były otwarte, szklane, nieruchomo wpatrzone gdzieś w przestrzeń. Przyznaję, że w tym momencie zachowałam się jak osoba chciwa i podła, tak jak by zachowała się Concetta, zgodnie z jej dewizą, że „co wojna, to wojna”. Ukradłam pieniądze nieboszczyka; z powodu tych pieniędzy miałam obawy, czy aby na pewno umarł; lecz gdy przekonałam się, że nie żyje, chciałam odkupić mój obrzydliwy lęk aktem wiary, który nic mnie nie kosztował: schyliłam się i nakreśliłam kciukiem i środkowym palcem znak krzyża na piersi Rosaria, w miejscu gdzie jego czarna marynarka miała dużą, ciemną plamę.

Gdy moje palce dotknęły marynarki, poczułam, że materiał jest mokry, i biegnąc do ciężarówki zerknęłam ukradkiem na moje palce, którymi kreśliłam znak krzyża: były splamione świeżą krwią. Na widok owej krwi szarpnęły mną wyrzuty sumienia, poczułam wstręt do samej siebie, że potrafiłam zrobić znak krzyża na ciele człowieka, którego przed chwilą okradłam. Miałam nadzieję, że Rosetta tego nie dostrzegła, lecz gdy wycierałam palce w spódnice, zobaczyłam, że Rosetta patrzy na mnie i że wszystko widziała. A tymczasem usiadłyśmy już w szoferce, obok łysego mężczyzny. Samochód ruszył.

Ten mężczyzna prowadził wóz, nisko pochylając się nad kierownicą, którą trzymał obydwoma rękami, jak gdyby się na niej opierał; oczy miał wytrzeszczone, twarz bladą, wykrzywioną i pełną przerażenia; ja dalej myślałam o pliku banknotów ukrytych na mojej piersi; Rosetta patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem i twarz miała tak apatyczną, że trudno by się w niej doszukać jakiegokolwiek uczucia. Przyszło mi do głowy, że żadne z nas trojga nie okazało ani cienia litości dla Rosaria, który został zabity jak pies i porzucony na szosie: wystraszony mężczyzna nie wysiadł nawet z wozu, by sprawdzić, czy jest żywy, czy martwy; ja troszczyłam się przede wszystkim o to, czy aby na pewno umarł, z powodu tych pieniędzy, które sobie przywłaszczyłam, a Rosetta ograniczyła się do pociągnięcia go za nogę w stronę rowu, robiąc to tak, jak gdyby miała do czynienia z cuchnącą padliną. Tak więc nie było litości ani wzruszenia, ani ludzkiego współczucia; umarł

człowiek, a jego bliźni gwizdali sobie na to, każdy ze swoich osobistych powodów. Jednym słowem była wojna, jak stale mówiła Concetta, i bałam się teraz, że w nas ta wojna długo się jeszcze przeciągnie. Lecz w tym wypadku najgorzej z nas trojga zachowała się Rosetta: nie dalej jak pół godziny temu pieściła się jeszcze z Rosariem; wzbudziła jego pożądanie i zaspokoila je; dała mu rozkosz i sama zaznała rozkoszy; a teraz siedziała bez jednej łzy, nieruchoma, obojętna, apatyczna, bez odrobiny wzruszenia na twarzy. Myślałam o tym i powiadałam sobie, że wszystko działo się wręcz przeciwnie, niż powinno się było dziać, że życie stało się jednym wielkim absurdem, nie miało ani rąk, ani nóg i że rzeczy ważne przestały już być ważne, bo ważne stały się te najbłahsze. Potem nagle stało się coś dziwnego, coś, czego nie przewidziałam: Rosetta, która do tej chwili wyglądała jak kawałek drewna, zaczęła śpiewać. Najpierw słabym, jakby zduszonym głosem, a potem coraz to głośniej i pewniej, śpiewała tę samą piosenkę, o którą prosiłam ją przedtem i którą przerwała w połowie pierwszej strofki. Była to piosenka modna przed kilku laty i jak już wspomniałam, Rosetta zwykła była ją śpiewać krzątając się przy domowych zajęciach. Nie było to nic nadzwyczajnego, ot, taka sobie piosneczka sentymentalna i głupia, i w pierwszej chwili nie mogłam się nadziwić, że śpiewa ją właśnie teraz, po śmierci Rosaria. Uznałam to za jeszcze jeden dowód jej zatwardziałości i obojętności. Ale potem przypomniałam sobie, że kiedy prosiłam, by śpiewała, odpowiedziała mi, że nie może, bo „jakoś jej się nie chce”; i przypomniałam sobie także, iż pomyślałam wtedy, że

nie może już śpiewać, bo nie jest taka jak dawniej. I nagle przyszło na mnie olśnienie: może śpiewa teraz dlatego, by dać mi do zrozumienia, że się nie zmieniła, że w dalszym ciągu jest tą dawną, dobrą, niewinną jak anioł Rosetta. Spojrzałam na nią i zobaczyłam, że istotnie ma oczy pełne łez i te łzy z szeroko otwartych oczu ściekają jej po policzkach. Teraz miałam już pewność: ona się nie zmieniła. Opłakiwała tymi łzami przede wszystkim Rosaria, którego zgładzono bezlitośnie jak psa, opłakiwała siebie i mnie, i tych wszystkich, których wojna zabiła, zmiażdżyła, stratowała. Oznaczało to, że nie tylko ona nie zmieniła się w gruncie rzeczy, ale że i ja nie ukradłam pieniędzy Rosaria i że nic nie zawinili ci wszyscy, których wojna zmieniła i zaraziła własnym okrucieństwem. Otucha i nadzieja wstąpiły nagle w moje serce i pierwszym ich oddźwiękiem była spontaniczna myśl: — Kiedy tylko wrócę do Rzymu, odeślę zaraz pieniądze matce Rosaria. — Bez słowa ujęłam Rosettę pod ramię i zacisnęłam jej dłoń w swojej dłoni.

Zaśpiewała tę piosenkę kilkakrotnie, podczas gdy samochód dojeżdżał do Velletri; potem, gdy łzy przestały płynąć jej z oczu, przestała także śpiewać. Właściciel ciężarówki, który nie grzeszył odwagą, lecz musiał być w gruncie rzeczy poczciwym człowiekiem, wyczuł zdaje się nasz nastrój, bo nagle zapytał: — Czym był dla was ten chłopak, którego zamordowano? — Odpowiedziałam z pośpiechem: — Niczym, to był tylko nasz znajomy. Handlował na czarnym rynku i zaproponował, że odwiezie nas do Rzymu. — Lecz on, znowu ogarnięty lękiem,

wtrącił szybko: — Nic nie mów, nie chcę o niczym wiedzieć, nic nie wiem i nic nie widziałem. Gdy się rozstaniemy w Rzymie, zapomnijmy, żeśmy się w ogóle znali. — Odpowiedziałam mu: — Przecież sam mnie o to zapytałeś. — A on: — Tak, masz rację, ale zapomnijmy i o tym, że się o cokolwiek pytał.

I oto wreszcie w głębi rozległej, zielonej doliny ukazało się wąskie pasmo nieokreślonego, białozółtawego koloru: przedmieścia Rzymu. A nad tym pasmem wyrastała szara na szarym tle nieba, daleka, a jednak wyraźna kopuła Świętego Piotra. Bóg tylko wie, jak w ciągu całego roku pragnęłam ujrzeć znowu na horyzoncie tę drogą sercu kopułę, tak małą i tak wielką zarazem, że można było ją wziąć z daleka za faliste wzniesienie terenu, pagórek czy wzgórze; tak potężną, choć zarysowaną nie mocniej od cienia; tak napawającą otuchą, bo swojską, oglądaną tysiące razy. Owa kopuła była dla mnie nie tylko Rzymem, ale moim życiem w Rzymie, dobrymi dniami przeżyтыми w zgodzie z własnym sumieniem, w zgodzie z innymi ludźmi. Z daleka, sponad linii horyzontu owa kopuła mówiła mi, że mogę spokojnie wracać do domu, że dawne życie będzie toczyć się dalej, pomimo tylu zmian i tylu tragedii. I mówiła mi także, że tę całkiem nową nadzieję, która wstąpiła we mnie, zawdzięczam Rosetcie, jej śpiewowi i jej łzom. I że bez tego cierpienia Rosetty nie wjechałyby do Rzymu te dwie niewinne kobiety, które opuściły go przed rokiem, lecz złodziejka i prostytutka, którymi stały się podczas wojny i przez wojnę. Cierpienie. Znowu stanął mi przed oczyma Michele, którego nie było przy

nas w tym tak upragnionym momencie i którego nie zobaczymy już nigdy; przypomniałam sobie ów wieczór, gdy czytał nam na głos w szafasie w Sant' Eufemia urywek o Łazarzu; gdy tak się złościł na chłopów, którzy nic z tego nie zrozumieli, i krzyczał, że wszyscy jesteśmy nieżywi i czekamy na wskrzeszenie jak Łazarz. Wówczas słowa Michela pozostawiły mnie w niepewności; teraz natomiast wiedziałam, że on miał rację, i że na pewien czas umarliśmy także i ja, i Rosetta, bo umarła w nas litość dla innych i dla siebie samych. Lecz w ostatniej chwili uratowało nas cierpienie; tak więc w pewnym sensie cytaty o Łazarzu można było zastosować także i do nas, bo dzięki cierpieniu wyszliśmy cało z wojny, która zamknęła nas w grobie zła i obojętności. I teraz wracałyśmy do dawnego życia, które było może ubożuchne, pełne błędów i niejasności, lecz było właśnie tym jednym jedynym, jakie powinnyśmy przeżyć — i tak by na pewno powiedział Michele, gdyby był razem z nami.